

Gilles Legardinier

I NAGLE WSZYSTKO *się zmienia*



„Pełna napięcia, zabawna i wzruszająca powieść”.
Le Parisien


WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Gilles Legardinier

I NAGLE
WSZYSTKO
się zmienia

Z języka francuskiego przełożyła
Marta Olszewska



WYDAWNICTWO
SOWA

Tytuł oryginału:
ET SOUDAIN TOUT CHANGE

Copyright © 2013, Fleuve Éditions, Département d'Univers Poche
Copyright © 2016 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2016 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Ilona Gostyńska-Rymkiewicz

Redakcja: Marcin Grabski i Olga Rutkowska
Korekta: Joanna Rodkiewicz, Iwona Wyrwisz

ISBN: 978-83-7999-726-8

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadrage.pl

www.soniadrage.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2016

Skład wersji elektronicznej:

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Zapadł już zmierzch, jest chłodno. Po lekcjach opuściliśmy jak najszybciej liceum. Perspektywa przemierzenia połowy miasta w tę zimową pogodę nikogo nie cieszy, ale jesteśmy zdecydowani. Trzeba było wykazać się sprytem, żeby zdobyć adres.

Wilgotna mgła unosi się nad pustymi ulicami. Latarnie rzucają świetliste kręgi na asfalt – mijamy je, jedne po drugich, jak pionki poruszające się po planszy do gry w gęsi. Na ostatnim polu być może czeka nas małe zwycięstwo.

Pauline wlecze się na końcu, jak dziecko, które jest ciągnięte dokądś wbrew jego woli. A przecież to właśnie z jej powodu tutaj jesteśmy – aby jej pomóc i ją wspierać. Sama nigdy nie zdobyłaby się na odwagę, żeby stawić czoło pannie Mauretta.

Kilka kroków przede mną idą Axel i Léo, dyskutując o tym, w jaki sposób najlepiej zniszczyć wiadukt kolejowy. I zrozumiem tu chłopców... Pochłonęli już co najmniej dwie paczki ciastek. Ja usiłuję nadażyć za nimi, mając u boku Marie. Léi nie ma i brakuje mi jej.

Nasza grupka zna się od lat, niektórzy kolegują się nawet od przedszkola. Mimo że nie zawsze chodziliśmy do tych samych klas, nigdy nie straciliśmy się z oczu. W tym roku – w ostatniej klasie liceum – w końcu jesteśmy razem. Marzyłam o tym na początku każdego roku szkolnego, aż nastąpiło to *in extremis*, zanim rozejdziemy się każde w swoją stronę. Codziennie delektuję się daną nam szansą. Lubię być wśród przyjaciół. Lubię świadomość, że się spotykamy, że mamy wspólne zajęcia. Traktuję ich jak moją drugą rodzinę. Nie wiem, czy oni czują to samo, ponieważ żadne z nas o tym nie rozmawia, ale ja wiem, że ich kocham, i każdego ranka, wychodząc do szkoły, czuję się szczęśliwa na myśl o tym, że ich zobaczę.

Nie pamiętam już dokładnie, jak zrodził się zwyczaj ratowania się nawzajem z opresji. W którym momencie zrozumieliśmy, że tak jest lepiej? Wydaje mi się, że to było w pierwszej klasie, kiedy jakiś łobuz z szóstej klasy ukradł Léi piórnik podczas przerwy. Płakała tak rozpaczliwie, że poprzysięgłam sobie odzyskać przedmiot siłą, jeśli będzie trzeba. Czułam taką wściekłość, że ani wzrost złodzieja, ani to, że jest w starszej klasie, nie robił na mnie wrażenia. Axel, który już wtedy był od nas wyższy, widząc, że ruszam w bojowym nastroju, dogonił mnie.

– Camille, nie idź sama. Pójdę z tobą.

Wtedy po raz pierwszy zwrócił się do mnie po imieniu. Zabawne, że w dzieciństwie nigdy nie mówimy do siebie po imieniu. Używamy imion tylko do wskazywania nieobecnych. Przez resztę czasu zaczepiamy się, nadajemy sobie przezwiska, ale rzadko zwracamy się do siebie bezpośrednio. Pamiętam doskonale, jaki to wywołało skutek: poczułam przyływ odwagi. Pozostali również postanowili nam towarzyszyć podczas krótkiej trasy, jaka dzieliła nas od placu zabaw starszych uczniów. Rzuciliśmy się na szóstoklasistę niczym chmara piskliwych wróbli. Nie opierał się długo. Tego dnia nauczyliśmy się pewnej ważnej rzeczy – w walce wygrywa nie najsilniejszy, ale najbardziej przekonany do swojej racji.

Dziś nikt już nie kradnie nam piórników, stawiamy jednak czoło innym problemom, zachowaliśmy również zwyczaj pomagania sobie nawzajem. Dziś wieczorem naszym

zmarciem jest panna Mauretta. Uczy rysunku osoby, które wybrały ten przedmiot. Nie jest zwykłą nauczycielką – to lokalna celebrytka, o której jest u nas głośno. Jest powszechnie znana w naszym małym miasteczku! Nieszczęsna kobieta naprawdę w to wierzy. Patrzy na nas jak na robaki, przekonana, że jest artystką, której geniuszu nie potrafi zrozumieć ignorancka tłuszcza. Specjalizuje się w malowaniu ubrań na wieszakach. Nie zapalają się wam jeszcze iskiereki w oczach? Zapewniam was, że mnie także nie. Maluje je dziesiątkami – sukienki, spódnice, a nawet biustonosze – gotowe obrazy przekazuje zaś w darze miastu. Niezłe prezenty! Tłumaczy wszystkim wokół, że źródłem jej inspiracji jest szafa. Sama koncepcja wydaje się trochę nie z tej ziemi. Jej stara garderoba w roli muzy! Podczas wernisaży wystaw – na które muszą przychodzić uczniowie wszystkich klas – przybiera minę pełną przekonania, żeby wyjawiać nam głębokie znaczenie swojego dzieła: „Zaproszenie do wślizgnięcia się w skórę i ubrania innego. Poszczególne płótna stanowią rekonstrukcję wizerunku, jaki wszyscy sobie stworzymy”. Pewnie! Nie powinna odstawiać leków. Kto ma ochotę na „rekonstrukcję” w ciuchach, które każde muzeum zaklasyfikowałoby do działu starożytności egipskich? Zastanawiam się, jak by wyglądały na Benjaminie, naszym playboyu o płomiennym spojrzeniu.

Docieramy wreszcie do wylotu ulicy. Zbliża się godzina spotkania twarzą w twarz. Musimy koniecznie odzyskać dokumenty Pauline, ponieważ w przeciwnym razie nie zdąży ona wysłać na czas podania do akademii sztuki. Nasza koleżanka uznała, że list polecający od lokalnej artystki może dodać znaczenia jej kandydaturze, zamiast jednak pomóc Pauline, panna Mauretta przede wszystkim zawzięcie wszystko sabotowała, co groziło obecnie uniemożliwieniem wybrania kierunku studiów. A przecież Pauline ma talent! Widziałam, jak rysuje, to zaś, co robi, mocno na mnie oddziałuje. Kiedy byłyśmy małe, zaczynała od kwiatków, później miała okres „ptaków”, który przerodził się w „ptaki w ukwieconym ogrodzie”. Rysowała ich setki – ozdabiała nimi salę lekcyjną, plakaty przedstawień na koniec roku, nasze notatniki, a nawet czoło Baptiste’a. Słodkie. Później zaczęła rysować ludzi i umieszczać ich w różnych sceneriach. Wszyscy byliśmy pod wrażeniem, Pauline potrafi bowiem odtworzyć charakterystyczny wyraz twarzy w połączeniu z oświetleniem w sposób, który mnie fascynuje. Każde z nas ma w domu jej rysunki – nie dlatego, że jest naszą koleżanką, ale dlatego, że są piękne. Zapewne jej dzieła nigdy nie trafią do muzeum, gdyż Pauline nie należy do żadnej kliki, ale jest w naszych sercach i w życiu każdego z nas, ponieważ to, co robi, otwiera nam głowy. Czyż to nie jest sztuka? Sama więc myśl, że mogłaby stracić swoją szansę podjęcia studiów w zakresie grafiki z powodu jakiejś pseudoartystki, zapewne zazdrosnej, która blokuje jej podanie, przyprawia mnie o ból głowy. Stąd powód naszej dzisiejszej ekspedycji.

Panna Mauretta mieszka z dala od centrum miasta. Jak na ironię jej dom znajduje się w zaułku Auguste’a Renoira. Zastanawiam się, co ten wielki malarz pomyślałby o starej, stęchłej i poplamionej krótkiej spódnicy, która stanowiła najważniejsze dzieło wystawy retrospektywnej zorganizowanej przez władze miejskie z okazji rozpoczęcia roku szkolnego. Zabawne, że każde miasto musi sobie wmawiać, że daje schronienie artyście, nawet jeśli to nieprawda. I chwali się tą osobą, która najbardziej je przypomina. Pani Pelletier, moja nauczycielka z przedszkola, zawsze mawiała, że lepiej nie mieć nic, niż mieć coś brzydkiego.

Przed nami, w głębi zaułka, odcinając się na tle nocy, wznosi się budowla o dziwnym dachu. Wszyscy ją zauważyli. Dom nie jest duży, ale jego osobliwy kształt kojarzy się

z posiadłością rodem z filmów grozy. Léo żartuje:

- Znając nasze szczęście, to jej chata. Witajcie u Frankensteina!
 - Ona mieszka pod numerem trzynastym... – precyzuje Marie głosem jak zza grobu.
- Odwracam się do Pauline.
- Teraz twoja kolej. Jesteś gotowa?
 - Pewnie znowu będzie usiłowała mnie zbyć, mówiąc, że potrzebuje czasu.
 - Nie pozostawiaj jej wyboru! Nie odejdziemy bez dokumentów.
 - A jeśli odmówi?
 - Chcesz się dostać do akademii czy nie?
 - Marzę o tym.
 - Tym lepiej, po to właśnie tu jesteśmy. Nie możesz teraz stchórzyć.

Pauline wygląda tak, jakby znalazła się w głębokiej dziurze, my zaś jesteśmy w ślepych zaułku. Léo wskazuje emaliowaną tabliczkę z numerem „13”. Unosi wysoko ręce, udając zombi.

- Ona was zeżre i waszą krwią namaluje majtki!
- Nie ma dzwonka – stwierdza Axel.
- Nie chce, żeby rozliczni adoratorzy przeszkadzali jej podczas pracy nad arcydziełami – ironizuje Léo.

Axel pokazuje tabliczkę umieszczoną na skrzynce na listy:

- „J. Mauretta i Jean-Marc”. Myślałem, że mieszka sama.
- Jak widać, każdemu dana jest jego szansa – zauważa Marie.

Przez kraty ogrodzenia usiłuję przyjrzeć się ogrodowi pogrążonemu w wełnistej ciemności. Zawsze zadziwiają mnie miejsca, w których mieszkają ludzie znani mi tylko z powodu wykonywanej przez nich pracy. W takich chwilach przenika się przez oficjalny wizerunek, później zaś postrzega się ich już inaczej. W pobliżu kępy zieleni dostrzegam krasnala ogrodowego. Nie bardzo wiem, co powinnam z tego wnioskować. Mam tylko nadzieję, że to małe pucułowate szkaradzieństwo o lekko perwersyjnym spojrzeniu nie będzie najnowszym źródłem inspiracji lokalnej artystki.

W domu nie świeci się światło. Paradoksalnie – Pauline wydaje się przyjmować to z ulgą.

- Widzicie, nie ma jej. Mimo wszystko dziękuję, że mi towarzyszyliście. A teraz wracajmy, mamy zadania do odrobienia.

Léo wyjmuje z kurtki latarkę i popycha furtkę. Protestuję:

- Chory jesteś?! Nie chcemy, żeby zaczęli strzelać do nas jak do złodziei! Wychodź stąd natychmiast!

Wtrąca się Axel:

- Głupio byłoby zostać z niczym. Gdybyśmy mieli jej numer telefonu, moglibyśmy zadzwonić, ale w tej sytuacji... Trzeba przynajmniej zapukać do drzwi.

– Wracaj, Léo! – gderam.

– Cool, Camille! – odpowiada. – Rozluźnij się, rozejrzemy się tylko.

I już zniknął w ciemności. Żeby dobrze zrozumieć Léo, trzeba wiedzieć, że uważa się on za szpiega w służbie Jej Królewskiej Mości. Od dziecka cechują go odpowiednie gesty i spojrzenia oraz charakterystyczna flegma, zawsze ma również przy sobie swój sprzęt. Nigdy nie wychodzi bez noża, latarki ani innych gadżetów, które z pewnością służą do niszczenia

wiaduktów kolejowych. Z biegiem lat całkowicie wcielił się w swoją rolę. Rezultat: dziś, nawet jeśli opiera się o framugę drzwi albo idzie korytarzem, przypomina postać z plakatów filmowych.

Wszyscy stoją przed ogrodzeniem i wpatrują się w mrok. Od czasu do czasu można dostrzec tańczący snop światła rzucany przez latarkę.

– Nie czuję tego – jęczy Pauline. – Jeśli ona nas tu zobaczy, będzie wściekła. Podrze moje podanie, a wtedy to już naprawdę wszystko będzie stracone.

Głaszczę ją po ramieniu, aby dodać jej otuchy.

– Nie możesz teraz panikować. Léo zaraz wróci. A nam dopisze szczęście i wtedy właśnie pojawi się Mauretta! Poprosimy ją uprzejmie o twoje dokumenty, ona nam je wręczy, życząc powodzenia, i wszystko dobrze się skończy!

Cichy trzask dochodzący z ogrodu przyciąga naszą uwagę. To Léo przemyka się od jednej kępy zarośli do drugiej. Wraca do furki.

– Nikogo. Wydaje mi się jednak, że widziałem podanie na stole w kuchni.

– Co?! – woła Marie. – To niemożliwe. Co za pech!

– Nie jestem pewien na sto procent, ale wygląda podobnie. Z technicznego punktu widzenia w domu nie ma alarmu, okno w łazience jest zaś uchylone. Są kraty, ty jednak, Camille, dałabyś radę przejść.

Niemal się udławiłam:

– Mam się włamać do tej starej wariatki? Wykluczone. Nigdy! Naprawdę oszalałeś.

– Jesteś pewien, że nie ma ryzyka? – Axel zwraca się do Léo.

– Gdybym potrafił się prześlizgnąć, sam bym poszedł.

Spojrzenia wszystkich są skierowane w moją stronę. Nawet Pauline, która do tej pory wbijała wzrok w swoje stopy, patrzy teraz na mnie.

– Czy zdajecie sobie sprawę z tego, o co mnie prosicie?

– To kwestia kilku minut. Nikt cię nie zobaczy. Nie będziemy musieli się już z nią wyklócać i pomożesz Pauline.

Marie jest mojego wzrostu – jestem przekonana, że jeśli ja przecisnę się przez kratę, to ona także będzie w stanie to zrobić. Jeśli jednak o tym wspomnę, każdy uzna, że chcę zrzucić z siebie problem. Tymczasem nie potrafię się wymigać. Powiedziałabym nawet, że to mój problem. Biorę sobie wszystko do serca, zawsze czuję się zaangażowana. Za bardzo. Jestem pewna, że właśnie dlatego proszą mnie o zrealizowanie ich durnego planu. Fałszywi bracia! Zdrajcy! Zwodziciele o nieczystym sumieniu! Popatrzcie na nich tylko. Niewiele brakuje, żeby Pauline o spojrzeniu osieroconego psiaka zaczął drzeć podbródek, co miałoby na celu wzbudzenie we mnie jeszcze większej litości i popchnięcie mnie jak najszybciej w tę pułapkę.

– A co, jeśli ona się pojawi, kiedy będę w środku?

– Zatrzymamy ją! – odpowiada natychmiast Marie.

– Coś wymyślimy – dodaje Axel. – Zagadnę ją o obrazy. Powiem jej, że jestem jej fanem i chcę kupić jedno z płócien!

– Jesteście potężnie walnięci.

Léo wskazuje mi drogę:

– Chodź! Powiedz sobie, że to misja, która może ocalić świat.

W ciemności usiłuję podążyć za Léo, idąc przez ogród. On przemieszcza się jak dziki kot. Moje nogi zaplątują się w każdy mijany krzew, podczas gdy on zdaje się nad nim przepływać. Jego ruchy są niezwykle opanowane. Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Naprawdę świetnie wygląda. Bez dwóch zdań, jest w swoim żywiole. Przemyka się wzdłuż ścian domu. Nagle nieruchomieje przy oknie złożonym z małych szybek i daje mi znak, żebym podeszła bliżej. Zapala latarkę, tłumiąc snop światła palcami, i wskazuje mi wewnątrz:

– Tam, widzisz je? Na stole, obok czasopism.

Nie bardzo mnie to urządza, ale Léo chyba ma rację. Dokument diabelnie przypomina podanie na studia. Léo rusza i zatrzymuje się nieco dalej, przy małym okienku. Przylega plecami do ściany.

– Podsadzę cię. Weź moją latarkę. Nie świeć w kierunku okien, ktoś mógłby zobaczyć cię z zewnątrz. I zdejmij buty, żeby nie zostawić śladów.

Splata dłonie i daje mi znak, żebym się po nich wspięła. Co my tutaj robimy? Miałam powtarzać matkę, bawić się z kotem i psem, pilnować młodszego brata i wysłać esemesa do Léi z pytaniem, czy ustały jej mdłości i zawroty głowy. Poza tym dziś wieczorem jest moja kolej przygotowywania posiłku w domu.

Stawiam nieobutą stopę w zagłębieniu złączonych dłoni i Léo mnie podnosi. Podciągam się i popycham ostrożnie skrzydło okna. Przyczajona przy parapecie, zapalam latarkę i rozglądam się po pomieszczeniu. To rzeczywiście łazienka. Przede wszystkim nie mogę za dużo myśleć, muszę nabrać dystansu do sytuacji. To misja, tylko misja. Czy ja śnię, czy Léo właśnie popchnął moje pośladki?

Udaje mi się opuścić na podłogę, nie przewracając małej szafki, nad którą przerzucam nogi. Powinnam uprawiać więcej sportu. Supergłupio mi tu być. Nad umywalką widzę wszystkie kosmetyki panny Mauretta. Biała szafka w całości jest również zastawiona buteleczkami, tubkami i słoiczkami. Od tej chwili już wiem, że na twarz, podobnie jak na swoje płótna, nakłada za dużo farby. Na drzwiach wisi smutnie stary, bezkształtny szlafrok o postrzępionych mankietach. Kiedyś będzie to zapewne szczyt sztuki malarskiej naszego stulecia.

Zapuszczam się w głąb korytarza, żeby dotrzeć do kuchni. Czuję się jak złodziejka. Serce bije mi jak szalone. Na ścianach wiszą obrazy, ale nie są autorstwa właścicielki domu. Ogólnie może i ma gust. Zauważam także kilka zdjęć. Mauretta przed piramidą i przed mostem Londyńskim. Na jednej fotografii uśmiecha się szeroko na widok tortu ze świeczkami. Jest ich zbyt dużo, żeby je liczyć, ale ten uśmiech – okropny! Mauretta przypomina klauna ludożercę z horroru, który kiedyś oglądałam. Teraz jestem już pewna: znalazłam się w siedlisku demona. Nie ma tutaj ludzi, ponieważ panna Mauretta ukrywa ich na strychu, poszarpanych na strzępy. Trafiam na zdjęcie, na którym kołysze się na huśtawce. Nigdy bym nie pomyślała, że ona kiedykolwiek mogła się huśtać. Ramzes II na placu zabaw. Węszę wokoło, sprawdzając, czy nie znajdę jakiegoś jej zdjęcia z mężczyzną. Chętnie się dowiem, jak wygląda tajemniczy Jean-Marc. Przynajmniej raz to ja przyniosłabym jakąś plotkę do liceum!

Docieram do kuchni. Nagle wśród ciemności za oknem zauważam dwoje oczu wpatrujących się we mnie. Tłumię krzyk, dreszcz przerażenia przebiega mi po plecach. Gdybym miała problemy z sercem, moja opowieść zakończyłaby się w tym właśnie momencie. To tylko ta gadzina Léo mnie pilnuje. Wskazuje stół, na dodatek ma czelność popędzać mnie gestami. Gderam pod nosem, ale ruszam naprzód.

Bingo! To rzeczywiście podanie Pauline. Nagle słyszę za sobą jakiś odgłos. Przeszywa mnie kolejny dreszcz, nieco słabszy od poprzedniego. Jak widać, człowiek szybko się przyzwyczaja. Jeszcze dwie lub trzy misje i ja również będę mogła zostać agentem. Przyciskam podanie do piersi. Nikt nie zdoła mi go wyrwać. Może się pojawić policja, panna Mauretta może mi grozić, mogą wysłać helikoptery, czołgi i siły specjalne – nigdy nie wypuszczę go z objęć.

Kieruję się do wyjścia, kiedy w korytarzu słyszę nie tyle hałas, ile warczenie. Świecę latarką i dostrzegam go.

– Jean-Marc?

Jest mały, krótkowłosy. Paskudny biały szczurołap w czarne łaty. Z paszczą pełną zębów. Musi uśmiechać się tak samo jak jego pani, ale teraz się nie uśmiecha. Jego oczy lśnią w blasku światła. Trochę strasznie. Proszę, mam już swój film grozy. Podaję się do dymisji ze służb specjalnych. Zaraz się zsiusiam. Drzwi do łazienki znajdują się kilka metrów od karłowatego brytana. Przy odrobinie szczęścia go prześcignę. Ryzykowne, ale do zrobienia. Próbuję schlebić mu słowami:

– Spokojnie, Jean-Marc...

Nadstawia ucha, nie przestaje jednak warczeć. Nie ma wątpliwości, że tak ma na imię.

– Dobry piesek. Masz szczęście, ponieważ twoje imię znajduje się na skrzynce na listy, choć nie wiem, czy dostajesz dużo listów.

Nagle wrywam się naprzód. Trzema susami dopadam drzwi łazienki, ale – mając na nogach same skarpetki – wpadam w poślizg.

Nie będę was okłamywać. Nic nie potoczyło się tak jak w filmach akcji. Moja scena z pewnością zostanie wycięta, w najgorszym wypadku trafi do kroniki gaf. Udało mi się wspiąć na parapet okna. W objęciach trzymałam dokumenty, które miały ocalić świat. Ale stwór, który chciał go zniszczyć, jeszcze ze mną nie skończył. W chwili, w której wbił wszystkie swoje drobne ząbki w mój lewy pośladek, pomyślałam, że przeżywam właśnie najgorszą chwilę w swoim życiu.

Myliłam się. Prawdę mówiąc, był to ostatni spokojny wieczór, jaki spędziłam przed upływem długiego okresu. Od tej chwili w ciągu kilku miesięcy przeżyłam więcej niż to, co sądziłam, że spotka mnie w całej mojej egzystencji.

Nigdy nie prowadziłam pamiętnika – zapewne dlatego, że to, co robię dla siebie samej, niezbyt mnie interesuje. Tą historią chciałabym się jednak z wami podzielić. Wiecie, zawsze wierzyłam, że istnieje wiek, w którym zaczyna się odmieniać czasowniki: „iść”, „rosnąć”, „kochać”, „tracić”, „cierpieć”, „kłamać”, „spuszczać wzrok”, „uczyć się”, „bić się”, „przyznawać”, „mieć nadzieję”, „odchodzić” lub „pozwolić odejść”. Teraz wiem, że to nieprawda. Nie ma wieku na odmienianie czasowników, są tylko okoliczności.

Niektórzy przychodzą do liceum piechotą, inni przyjeżdżają rowerem, autobusem albo na skuterze. Najzamożniejsi są przywożeni samochodem. Dla mnie i Léi liczy się tylko jedno – żebyśmy przyszły razem. Przez ponad połowę naszego dotychczasowego życia zaczynałyśmy dni, mając tę drugą u swojego boku. Nie od razu się zaprzyjaźniłyśmy, odkąd jednak pamiętam, zawsze zwracałam na nią uwagę. Na jej długie kasztanowe włosy, na jej śmiech, na zaskakujący sposób, w jaki biegła, na coś żywego, co z niej emanowało, ale także na spokój, którego mi brakuje. Z biegiem czasu stałyśmy się koleżankami, przyjaciółkami, bliskimi przyjaciółkami, dziś zaś jesteśmy jak siostry. To u niej spędziłam moje pierwsze wakacje bez rodziców. To jej wysłałam mojego pierwszego esemesa. Dzieliłyśmy wiele pierwszych razów i to ona pocieszała mnie wtedy, kiedy nie mogłam ze swoich strapiień zwierzyć się mamie. Chcąc nie chcąc, nasze rodziny również się zbliżyły – spędzamy sporo czasu u siebie nawzajem. Léa i ja znamy się doskonale. Gdybyśmy padły ofiarą konspiracji i jedna z nas została zastąpiona swoim sobowtórem, wystarczyłoby kilka pytań, na które tylko my znamy odpowiedzi, żeby zdemaskować oszustwo. Czy chodzi o imię pierwszego chłopca, którego pocałowałam, czy o piosenki, które ona śpiewa na całe gardło w suterenie, czy o miejsce, w którym mój ojciec chowa klucze do sejfu – tylko my dzielimy się tą wiedzą. Ona wie, czego pragnę najbardziej na świecie. Nie mamy przed sobą żadnych tajemnic, z wyjątkiem jednej.

Ponieważ Léa mieszka bliżej liceum niż ja, każdego dnia po nią przychodzi. Zawsze mamy sobie coś do powiedzenia:

- Mam wrażenie, że swobodniej oddychasz. Jak tam nudności, lepiej się czujesz?
- Lekarz przepisał mi jeszcze silniejsze środki, ale nie może zrozumieć, skąd się to bierze. Będę musiała poddać się dodatkowym badaniom. Jakoś to jednak wytrzymuję.
- Nie jesteś chyba w ciąży?
- Mama pytała mnie o to samo. Jesteście nienormalne! A skoro mowa o tych sprawach, to jak tam twoje pośladki?
- Spędziłam koszmarną noc. Mam na sobie ślad chyba każdego jego zęba. Nie wiem, jak zdołam usiąść.

Pojawienie się w liceum to zawsze wielka chwila. Lubię tę wrzawę. Wszyscy się spotykają. Gwar, ruch, hałas, życie. Chłopcy i dziewczęta zadbali, żeby starannie się ubrać. Założę się, że niejedna osoba spędziła więcej czasu na eksponowaniu swoich walorów niż na odrabianiu lekcji. Uwielbiam myśl, że w całym mieście, w każdym budynku, w każdym mieszkaniu, każdy szykuje się na przyjście do szkoły. Nie wykonujemy tych samych gestów, nie stosujemy tych samych metod i nie osiągamy tego samego rezultatu, ale robimy to w tym samym celu. Wszystko jest przemyślane. Włosy uczesane lub rozwichrzone równie starannie, ubrania dobrane, szaliki opadają tam, gdzie powinny, czapki dopasowane z dokładnością co do milimetra. Niektórzy pachną perfumami. Często za bardzo. Każdy zakłada kostium przed wejściem na scenę. Każdy wybiera swoją rolę. Uwodzicielka lub turysta przejazdem, twardziel albo gwiazda rocka, awanturnik lub słodka idiotka, prymus albo ikona mody – kto

wcieli się w kogo? Nieważne, liczy się tylko to, żeby każdy wziął udział w przedstawieniu. Jedni nadużywają modnych wyrażań i gotowych powiedzonek, które wplatają niemal w każdą wypowiedź, dziewczyny obnoszą ostry lub romantyczny makijaż, niektórzy chowają gardło w gruby sweter albo rozpinają koszulę aż po pępek mimo styczniowego chłodu. Codziennie nowy spektakl. W obliczu tego wielkiego show coraz częściej nabieram pewności, że jestem bardziej widzem niż aktorem. Niektórzy sprawiają wrażenie tak bardzo pewnych siebie. Ja do nich nie należę. Nigdy nie wierzyłam w siebie. Jestem nawet przekonana, że to się pogarsza z wiekiem. Nie wiem, czy jestem ładna. Nie wiem, co robić. Nie mam bladego pojęcia. Co gorsza nie wiem, czy kiedykolwiek będę coś warta w czyichś oczach. Gdyby można było sprzedawać wątpliwości i niepokoje, byłabym miliarderką. Wiele osób starszych ode mnie mówi, że bycie młodym to coś naprawdę wspaniałego. Dlatego zaczynam obawiać się przyszłości, jeśli bowiem nic nie wiedzieć, nic nie móc i bać się wszystkiego ma być szczęściem, to co mnie czeka później? Oczywiście nie wszystko jest aż takie czarne – muszę przyznać, że gdyby nadzieje i chęci również można było sprzedać, także byłabym superbogata. Na razie jednak nikt mnie nie zauważa. Rozmawiają ze mną tylko ci, którzy mnie znają. Za to jeśli jakaś staruszka chce zdjąć konserwę z najwyższej półki w supermarkecie, jeśli ktoś zgubił się na ulicy albo jeśli jakiś kłozard jest głodny, możecie być spokojni – każde z nich zwróci się do mnie. A przecież nie usiłuję zwracać na siebie niczyjej uwagi. Wolę obserwować i potajemnie, porównując się z innymi, próbuję również odkryć, kim sama jestem. Nie należę do tych osób, które wiedzą, ale chyba jestem jedną z tych, które chcą się tego dowiedzieć.

Trzy pierwsze guziki mojej koszuli są rozpięte pod sweterkiem z dekoltem w serek. Nie bardzo lubię się malować. Ciotka Margot powtarza coś, co uważam za całkiem sprytne: „Im więcej na siebie bierzemy, tym większa szansa, że to się zawali”. Prawdą jest, że kiedy wieczorem wszyscy wychodzą z liceum, stroje nie wyglądają już na tak zadbane. Koszule wystają ze spodni, fryzury są zepsute. Przetoczył się po nich dzień. To sprawdza się u wszystkich oprócz Vanessy. Ona jest gwiazdą. Znam ją od wielu lat i nigdy nie udało mi się jej przyłapać. Od rana do wieczora wygląda jak na wybiegu. Świetne ubrania, doskonała fryzura, profesjonalny makijaż, zawsze odpowiedni uśmiech i eleganckie gesty. Nie odstaje żaden kosmyk, żaden paznokieć nie jest niedomalowany. Prawdziwa top modelka. Nawet kiedy siedzi, odnosi się wrażenie, że gra w reklamie szamponu, z tymi jej jasnymi falującymi włosami. Niestety, nie jest równie zdolna do nauki co do upiększania się. Ma ponadto potężny problem z chłopcami – wszyscy ślinią się na jej widok. Wśród dziewczyn jednak, ponieważ nie jestem dla niej ani rywalką, ani krytykiem, dość dobrze się dogadujemy.

Za chwilę zabrzmi dzwonek, ale na razie wszyscy tłoczą się w przestronnym holu. Pocałunki, nawoływania, śmiechy i spotkania. Za kilka chwil rozlegnie się sygnał dźwiękowy, mrowiąca się masa rozpełźnie się po korytarzach, schodach, piętach i zaledwie trzy minuty później nie będzie tu już nikogo, nie licząc kilkorga spóźnialskich. Po zgiełku nastąpi brak jakichkolwiek hałasów oprócz stłumionych głosów w salach lekcyjnych, za zamkniętymi drzwiami.

Tego ranka zaczynamy od lekcji filozofii z panią Gerfion. Niełatwe nazwisko. Moja mama mówi, że nie powinniśmy się z niej nabijać, że to nie jej wina, choć mimo wszystko... Tak naprawdę najgorsze nie jest nazwisko, tylko twarz. Nie chodzi o to, że jest brzydka, założę się

jednak, że szykuje się do wyjścia, nie zerkając nawet w lustro. Zapewne dlatego guziki jej kamizelki są zawsze krzywo zapięte. Dziś rano musiała malować się w pociągu, który właśnie się wykolejał. Przybyła tutaj przez andyjskie Kordyliery, droga się zaś zawaliła, ponieważ Léo i Axel wysadzili most. Ocalała tylko ona – pani Gerfion, przypominająca stracha na wróble. „Za duży pech!” – jak by powiedziała Lana. W każdym razie jako jedyne usprawiedliwienie jej wyglądu widzę katastrofę, gdyż jest to jednak swoisty rekord. A może spotkała na swojej drodze Zorro, który nazaczył jej twarz literą „Z” za to, że poczęstowała małe wygłodniałe meksykańskie dzieci dietetycznymi ciasteczkami. Wszyscy w klasie chichoczą po cichu. Jestem skłonna powiedzieć jej, że coś jest nie tak, ale nie mam śmiałości. Gdybym była na jej miejscu, wolałabym jednak, żeby ktoś mnie oświecił, że przypominam znak drogowy informujący o nowozelandzkiej gołoledzi.

Ostatni uczniowie jeszcze nie usiedli, kiedy nauczycielka zaczyna już lekcję. Opowiada nam o Kartezjuszu i Spinozie, o wolnej woli i determinizmie – pojęciach, które w każdym z nas znajdują potężne echo o ósmej trzydzieści siedem rano. Jedni notują zawzięcie, nie rozumiejąc ani słowa, inni kończą zadanie z matmy na następną lekcję, jeszcze inni wyglądają przez okno na budzący się dzień, większość jest jednak skupiona na jaskrawej ulotce, którą rozdano nam przy wejściu, informującej o szkolnej imprezie jubileuszowej.

Siedzę obok Léi. Trzy ławki przed nami jest Axel. Léo siedzi blisko drzwi, gotowy rzucić się w bezpieczne miejsce, gdyby na budynek przypuszczono atak pancernicą raketową. Marie ulokowała się tuż przed biurkiem nauczycielki razem z Pauline, która odzyskała uśmiech.

W rzędzie przede mną Méliissa wpatruje się w ulotkę. Szkoła będzie świętować pięćdziesięciolecie. Pół wieku. Nawet moich rodziców nie było jeszcze wtedy na świecie. Odnoszę jednak wrażenie, że niektórzy nauczyciele uczestniczyli w jej otwarciu. Purée, które serwują nam w stołówce – również. Ulotka zapowiada „wielkie święto”, spektakl muzyczny w wykonaniu nauczycieli i uczniów, przemowy absolwentów opowiadających o swoich karierach i huczną imprezę. Drzę już na samą myśl. Jaki los spotkał dawnych uczniów? Dobrze wiedzieć, że przeżyli, ale... Naprawdę nie wiem, jak ma wyglądać to „wielkie wydarzenie, którego nie można przegapić”, choć sama myśl o nauczycielach i uczniach biorących udział w feście przemawia do mnie.

Méliissa narysowała na swojej ulotce serce. Wszędzie rysuje serca: na zeszytach do ćwiczeń chłopców, na ich plecach, na stołach. Trochę to męczące. Zazwyczaj pani Gerfion tego nie zauważa, ale ulotka jest jaskrawa, przez to bardziej rzuca się w oczy. Daję znak Méliissie i się prostuję. Pani Gerfion wraca do swojej przemowy:

– Kiedy tok argumentacyjny nie pokrywa się z tokiem rozumowania, górę bierze korzyść, wpływające z niej działania może być zaś tylko zdeprawowane. To najważniejsza rzecz, jaka pozwala zrozumieć ten nurt filozoficzny.

To samo powtarzam sobie we wtorki, wynosząc worki ze śmieciami.

Na porannej przerwie główny hol szkoły jest szczelnie wypełniony przez młodzież. Łagodne zapachy ze stołówki już unoszą się w powietrzu. Cokolwiek szykują w szkolnej kuchni, zawsze pachnie tym samym. Plecaki piętrzą się wzdłuż ścian. Ci, którzy wybrali akurat model z najnowszej kolekcji, mają kłopot, wszystkie są bowiem do siebie podobne. Czego się jednak nie robi, żeby znaleźć się na topie. Ten problem mnie akurat nie dotyczy, ponieważ rodzice nigdy nie pozwalali mi się w to bawić. Początkowo miałam im trochę za złe, ale szybko się zorientowałam, że to raczej zaleta niż wada. Chcąc wciąż upodobniać się do innych, żeby poczuć się osobą zasymilowaną z grupą, człowiek jest zmuszony poświęcić zbyt dużo siebie samego.

Każda grupa uczniów ma zwyczaj spotykania się mniej więcej w tym samym miejscu. Istnieje swoista – niepisana, ale rozpoznawana i akceptowana przez wszystkich – zasada, zgodnie z którą najstarsi mają pierwszeństwo wyboru miejsca spotkań. Dwa lata temu staliśmy przy toalecie i przy drzwiach na podwórko, stale w przeciagu. W zeszłym roku gromadziliśmy się gdzieś pośrodku, w tłumie – już nie początkujący, ale jeszcze nie eksperci. W tym roku rozsiadamy się przy oknach, w kącie przy kaloryferach lub w pobliżu stoiska z drożdżówkami i korytarza prowadzącego do naszej części budynku. Co za sukces! Pokonaliśmy niezwykłą drogę – od drzwi toalety do kaloryfera.

Przez okna obserwuję nasze podwórko, właściwie puste. Za ogrodzeniem dostrzegam dziedziniec gimnazjum sąsiadującego z naszym liceum – panuje tam wrzawa. Chłopcy grają w piłkę i biegają. Kilka dziewcząt bawi się z nimi, ale to raczej wyjątkowa sytuacja. Najstarsze uczennice utworzyły niewielką grupkę, w której dyskutują o modzie albo o facetach, o programach o modzie albo o facetach, a może o najlepszym sposobie, żeby być modnym i przyciągać facetów. Niewiele tylko przerysowuję. Sprawiają wrażenie takich młodych. Trudno mi sobie uświadomić, że zaledwie trzy lata temu byliśmy na ich miejscu. Odnoszę wrażenie, że bawią się więcej niż my. Z naszej strony, nie licząc palaczy ukrywających się w najciemniejszych zakątkach podwórka, nikt nie wychodzi na zewnątrz. Chwilami z żalem wspominam czasy, kiedy należałam do młodszej grupy po drugiej stronie siatki. Co zyskaliśmy, dorastając? Co straciliśmy? Mamy coraz więcej obowiązków w zamian za często iluzoryczną wolność. W jaki sposób człowiek zmienia się tak bardzo przez kilka lat? Jaka jest różnica między dorastaniem a starzeniem się? Czy to normalne, że w naszym wieku zadajemy sobie dziesięć tysięcy pytań w ciągu dnia? Dlaczego nikt z nami o tym nie rozmawia?

Naprzeciw mnie Sabrina smaruje dłonie kremem – powtarza tę czynność co czterdzieści osiem minut, z precyzją szwajcarskiego zegarka. Wykonuje urocze, szybkie gesty, niczym wydra czyszcząca futerko na łapach. Nieco dalej chłopcy z naszej klasy napychają się bułeczkami z czekoladą, usiłując jednocześnie wcisnąć lateksową rękawiczkę na głowę Romaina, który wyrywa im się ze śmiechem. Tuż obok, kontrastując z pozostałymi uczniami, Maeva afiszuje grobową minę. Pewnie znowu rzucił ją chłopak. Nie liczcie jednak na mnie, że

zapytam ją o to, czy coś nie gra. Pozwoliłam się już raz tak zrobić w zeszłym roku. Wzrusza cię mina koali pogrążonego w depresji, uprzejmie więc pytasz nieszczęsną istotę o przyczynę złego nastroju, wtedy zaś następuje eksplozja i atak. Znajdujesz się w pułapce. Ona płacze, uzala się nad samą sobą, zalewa cię swoim obrzydzeniem do życia, aż się topisz. Robi wrażenie. Potrafi przygnębić klauna naszprycowanego gazem rozweselającym. Wydaje mi się, że potrafiłaby doprowadzić do płaczu nawet kamień. Co gorsza, ponieważ jej słuchasz, ona zaczyna traktować cię nagle jak swoją najlepszą przyjaciółkę. I tutaj pojawiają się prawdziwe kłopoty – tłumaczy ci, nawet przez drzwi w toalecie, że jej życie to miłosna katastrofa, że okropny chłopak bez serca jest śmieciem, któremu zamierza wydrapać oczy. Przy każdym spotkaniu próbuje udowodnić, że faceci to potwory. W końcu po tygodniu na celowniku pojawia się nowy chłopak. I sytuacja powtarza się aż do kolejnej tragedii. Średni czas trwania pełnego cyklu „uwodzenie – szalona miłość – zaciekle nienawiść – depresja – nowe podejście” wynosi trzy tygodnie. Ty zaś potrzebujesz dwóch tygodni, żeby przetrwać gorycz. Tym razem nie ma więc mowy, żebym się do tego mieszała. Mimo że instynkt popycha mnie i każe pocieszać tych, którym jest źle, drugi raz nie wpadnę w tę samą pułapkę. Aż tu nagle... Patrzcie, kto się zbliża: Lucie. Uciekaj, nieszczęsna istoto! Natychmiast! Nie wsiadaj do pociągu jadącego przez Kordyliery, linia kolejowa się osunęła. Moje fale mózgowie na próżno nadają intensywne sygnały – Lucie w ogóle ich nie odbiera. Zgadnijcie, co robi? Pyta Maewę, co jest nie tak. Za późno! Klątwa wiecznie porzucanej spada na niewinną młodą dziewczynę, która chciała jedynie dać świadectwo współczucia. Biedna Lucie, teraz ma przechłapanie. Maeva zatruje ci obiad, będzie zapychać ci telefon płaczliwymi esemesami – ale się nie martw, za cztery dni, kiedy już zepsuje ci nastrój i obrzydzi ideę miłości, uwolni cię od swojego ohydneho uroku i przestanie cię w ogóle zauważać.

To jeszcze nie wszystko – za kwadrans mamy sprawdzian z matmy. Nikt się nie przygotował, mieliśmy bowiem jeszcze do oddania duże zadanie z fizyki. Tibor mówi, że ma pewien pomysł, nie musimy się więc martwić. Twierdzi z przekonaniem, że klasówka się nie odbędzie dzięki jego niezawodnemu planowi. Kiedy Tibor mówi, że nie trzeba się martwić, oznacza to tylko jedno: trzeba się martwić. Tibor to specyficzny chłopak. Nie mam pojęcia, jakiego pochodzenia jest jego imię, wszyscy się zresztą zastanawiamy, skąd pochodzi sam Tibor. To geniusz matematyczny i fizyczny, ale w pozostałych sferach zachowuje się jak osoba z autyzmem. Najgorsza ocena, jaką uzyskał z matematyki, to osiemnaście punktów na dwadzieścia. I płakał. Specyficzny, jak mówię. Gdybym musiała płakać za każdym razem, kiedy dostanę mniej niż osiemnaście punktów, od dawna leżałabym na intensywnej terapii, zupełnie odwodniona, moje oczy porwałby zaś potok łez. To, że jest uzdolniony w przedmiotach ścisłych, nie czyni go niemiłym – wprost przeciwnie. Mimo to żadna z nas nie ośmieliła się wybrać go sobie na chłopaka, jeśli bowiem do głowy wpadnie mu idiotyczny pomysł, to lepiej uciekać i szukać schronienia. Już w zeszłym roku chodziliśmy do jednej klasy. Jakże mogłabym o tym zapomnieć? Za pierwszym razem, podczas zajęć laboratoryjnych z chemii, poraził prądem ucznia na sąsiednim stanowisku, ponieważ uznał, że ten nie jest dość dobudzony. Za drugim razem dopisał „głupie pytanie” obok pytania postawionego przez nauczycielkę na sprawdzianie z matmy. Odjęła mu punkty za bezczelność. Uznał, że to niesprawiedliwe, i nadal twierdził, że to naprawdę było – cytuję – „groteskowe pytanie”, po czym zagroził nauczycielce, że rzuci się w przepaść, jeśli ta wciąż będzie się upierać przy

swoim. Ona jednak zachowała godność i nie chciała odpuścić. Wtedy Tibor wszedł na ławkę i rzeczywiście rzucił się na głowę, krzyząc: „Ma pani na sumieniu moją śmierć!”. Łoskot uderzenia nas zmroził – rozległo się okropne „łup!” – ale Tibor, skulony w sposób, jaki wszystkim wydawał się niemożliwy, wydał z siebie komiczny odgłos psiej zabawki i wezwaliśmy pogotowie. Cały rok był już potem istnym festiwalem niepojętych działań zrodzonych przez szalony umysł Tibora. W tym roku nie jest spokojniej. W pierwszym trymestrze podpalił sobie włosy w proteście przeciwko marnowaniu żywności w stołówce. Nawet nie będę opowiadać, jak bardzo był potem rozczarowany. Jego nastawiony na rozgłos czyn spowodował skutek odwrotny do zamierzonego. Wyobraźcie sobie wrzeszczącego typu, który z płonąca głową przebiega przez jadalnię. To wam z całą pewnością odbiera apetyt. Nie jecie zatem nic i marnuje się dwa razy więcej.

Kiedy usiedliśmy w pracowni matematycznej w oczekiwaniu na sprawdzian, okazało się, że Tibora nie ma, ja zaś nie byłam jedyną osobą, która się zastanawiała, co on knuje.

– Czy ktoś widział mój płaszcz przeciwdeszczowy? – zapytał Axel.

Ci, którzy wśród panującej wrzawy usłyszeli pytanie, pokręcili przecząco głowami.

Pani Serben, nauczycielka, wyciąga kartki z aktówki. Nie bardzo widzę, co mogłoby nas ocalić przed sprawdzianem, tym bardziej że szkoła nie reaguje już na telefony o podłożeniu bomby, ponieważ jakiś czas temu mieliśmy trzy takie dni. Léo widział Tibora tuż przed wejściem – jego ostatnie słowa brzmiały: „Uratuję was!”. Boję się. Chłopcy z niecierpliwością wypatrują fajerwerków, Méliissa rysuje serduszka, Maeva wciąż rozpacza nad swoim losem, Sabrina wsmarowuje krem w dłonie, nauczycielka rozdaje kartki. Na pierwszy rzut oka – nie będzie łatwo.

Nagle drzwi otwierają się gwałtownie. W progu staje mężczyzna. Na głowie ma turban z różowo-żółtego szalika, który zasłania mu twarz, ubrany jest zaś w za dużą pelerynę, której kieszenie zdaje się wypychać broń.

– To porwanie!

Udawany południowoamerykański akcent jest żaloszny. Przez klasę przetacza się fala oszołomienia i niedowierzającej radości. Mężczyzna ciągnie:

– Domagam się natychmiastowego uwolnienia wszystkich więźniów politycznych świata, żądam również przeniesienia klasówki na, powiedzmy, przyszły czwartek. W przeciwnym razie zabiję jedną dziewczynę! O, tę z wielkimi cyckami!

Wskazuje Clare, która odruchowo spogląda z zadowoleniem na swoje piersi. Niełatwo odegrać wiarygodnego porywacza, będąc opatulonym w żółto-różowy szalik. Ten element garderoby kojarzy się bardziej z gejem niż z bohaterskim wyzwolicielem. Oczywiście ta kretynka Inès wzięła to przedstawienie dosłownie i prawie zemdląła. Pani Serben uśmiecha się i odpowiada:

– Lanski, marnujesz czas swoich kolegów. Proszę zdjąć z siebie to komiczne przebranie i czym prędzej siadać na miejsce.

– Ależ proszę pani, jestem bojownikiem wolności!

– Tibor, proszę mnie nie zmuszać do podniesienia głosu. Masz robotę. Jeśli nie przestaniesz, odejmę ci od razu pięć punktów.

Jeśli to zrobi, Tibor dostanie piętnaście na dwadzieścia punktów. Wtedy z pewnością złoży swoje życie w ofierze przy zbiorniku na olej opałowy i cała szkoła pójdzie z dymem.

Jakiś czas temu w domu wydarzyło się coś dziwnego. Kiedy wracam wieczorem, mój młodszy brat Lucas bawi się zwykle z naszym psem, Zoltanem. To Lucas wybrał dla niego imię – zapewne zaczerpnął je z komiksu o superbohaterach. Mając do czynienia z podobnym imieniem, człowiek się spodziewa, że łagodny psiak będzie miał lasery w łapach albo rentgena w ślepiach, ale jego jedynymi nadprzyrodzonymi właściwościami, jakie udało nam się na razie odkryć, jest zdolność przewracania kubłów ze śmieciami i myszkowanie w nich oraz wpatrywanie się godzinami w lodówkę w nadziei, że jakaś wróżka – zapewne owłosiona i obdarzona psim nosem – otworzy mu drzwi i pozwoli pochłonąć zawartość.

Lucas i Zoltan spędzają całe godziny, goniąc się po salonie, wokół kanapy – po kanapie, kiedy nie ma rodziców – i po schodach prowadzących do naszych pokoi. Spróbujcie tylko skupić się na równaniach trzeciego stopnia przy chłopcu, którzy się wydziera, i krążącym wokół niego ujadającym psie.

Z początku, uwzględniając zachowanie i poziom rozwoju umysłowego mojego brata, uważałam, że Lucasa nie mogli wydać na świat rodzice należący do gatunku ludzkiego. Moja matka z pewnością musiała go kupić w zwierzętarni, żebym mogła dorastać w towarzystwie żywej zabawki. To prawda – mając to na uwadze, przyznaję, że pierwsze lata były cudowne: Lucas zmieniał kolor, kiedy przytrzymałam go pod wodą, rozśmieszał mnie przy każdym posiłku, nie trafiając jedzeniem do ust, i zawsze, kiedy zalegała pełna skupienia cisza, on bekał. Nie potrafił również zejść po schodach, nie staczając się z nich jak stary pijany kłoszard. Przytrząskiwał sobie palce we wszystkim, co się zamykało, wydając z siebie krzyki kastrowanej kuny. Jaka zabawka – i to bez baterii – ma tyle do zaoferowania? Teraz, odkąd mam do czynienia z innymi chłopcami, zastanawiam się czasem, czy wszyscy faceci nie pochodzą przypadkiem ze zwierzętarni. Wykazując się podobnym talentem, Lucas potrafi być superuroczy, ale chwilę później staje się niewiarygodnie wkurzający. Muszę przyznać, że mój brat stanowi wyjątkowy obiekt badań. Obserwowanie go pomaga mi trochę zrozumieć facetów. Cóż, pomaga mi się przede wszystkim dowiedzieć, czy w ogóle warto próbować ich zrozumieć. Choć różnica wieku między nami wynosi zaledwie trzy lata, dzieli nas cały świat. Na przykład on je byle co, ubiera się byle jak i śmieszą go żałosne rzeczy. Czasami wszystkie te trzy cechy się kumulują, dając oszałamiający rezultat: Lucas siedzi przed telewizorem w koszulce założonej na lewą stronę, zaśmiewa się jak debil i zjada połówki tabliczek czekolady posmarowane masłem. Ponieważ ma dobre serce, dzieli się z psem i kanapą. Wcale nie jest jednak głupi. Na przykład ostatnio bardzo szybko zrozumiał, że mam jakiś problem z pośladkiem, i – dosłownie i w przenośni – nieustannie dotykał bolącego miejsca.

W listopadzie minionego roku, kiedy mój ojciec pomagał sąsiadowi w naprawie altany ogrodowej, między ścianą a parkanem została odkryta martwa kotka, prawdopodobnie dzika, i jej młode. Jedno z kociąt wciąż żyło. Było wychudzone i już nawet nie miauczało – zwinięte w kłębek, z podkulonymi łapkami, wtulało się w zimne ciało swojej matki. Wszyscy uznali, że to bardzo smutne, i każdy wyjaśniał, dlaczego nieszczęsne zwierzątko, biorąc pod uwagę jego

godny politowania stan, zapewne nie pożyje zbyt długo. Jedni mówili, że natura bywa okrutna, ale jesteśmy wobec niej bezsilni, inni twierdzili, że to po prostu pech, słyszałam również, jak sąsiadka zapewniała, że Bóg wezwie je do siebie i zabierze do kociego raj. Kiedy tydzień później zepsuła jej się pralka i kobieta złorzeczyła w całej dzielnicy, powinnam była jej powiedzieć, że to Bóg wezwał do siebie urządzenie i że trafi ono do raj. Wszyscy byli wkurzający. Mnie ten mały kotek wzruszył. Sprawy stracone to moja specjalność. Kiedy więc wszyscy wrócili już do swoich zajęć, wzięłam go do rąk. Był brudny, pod skórą wyczuwałam jego delikatne kosteczki. Miauknął ledwie dosłyszalnie i otworzył jeszcze niebieskawe oczęta. Od jak dawna tu się znajdował, zdany na łaskę losu? Byłam przekonana, że znalezienie go stanowiło swoistą szansę – nie odkryliśmy go, żeby teraz patrzeć, jak zdycha. Jeśli Bóg istnieje, myślę, że zajmuje się raczej organizowaniem tego typu spotkań niż wzywaniem zagubionych kotów do siebie. Mam nadzieję, że ma na głowie ważniejsze sprawy, w przeciwnym wypadku jesteśmy w nie lada kłopotach.

Przygarnęłam kociaka, mama zaś mnie poparła. Spędzałam swój wolny czas na podawaniu mu butelki i głaskaniu go, kiedy spał. Lucas mi pomagał. Po raz pierwszy w życiu ja i mój brat robiliśmy coś wspólnie. Karcił kota tuż pod nosem psa, który usiłował lizać kocię po pyszczku. Po kilku dniach umyłam kotka i nadałam mu imię. Lucas chciał go nazwać Wszą, ale udało mi się przeforsować Kłaczka. Kotek był leciutki, a jego futerko – wreszcie czyste – okazało się jasne i jakby z angory. W ciągu kolejnych tygodni Kłaczek nabierał sił. Po miesiącu przypominał już każdego innego kota. Czy pamiętał to, co przeżył w ciągu swoich pierwszych dni na świecie? Czy na podświadomości odcisnął mu się jakiś ślad? A może dla niego to coś całkiem normalnego, ponieważ nie zaznał innego losu? Prześladowają mnie te pytania i rozmyślałam nad nimi, patrząc, jak kot biega, wygina grzbiet, jakby uważał się za tygrysa, albo testuje pazury na czym popadnie. Skoro już mowa o pazurach... Pewnego wieczoru Kłaczek przypuścił atak na śliczną dmuchaną piłkę. Zabawka eksplodowała mu prosto w łebek, paraliżując go niemal ze strachu i pozostawiając w stanie szoku. Przynajmniej raz śmiałam się zapewne równie głupkowato jak Lucas, który na dodatek tarzał się po podłodze. Kłaczek uczył się życia.

W pewien poniedziałkowy wieczór Kłaczek po raz pierwszy zamruczał. Doskonale to pamiętam. Mama często opowiada o tym, co czują rodzice na widok pierwszego uśmiechu swojego dziecka. Tego dnia chyba więc lepiej zrozumiałam, o co jej chodzi. Kłaczek leżał mi na kolanach. Głaskałam go, aż nagle zaczął wibrować. Z początku sądziłam, że drży, ale to nie było to. Można było usłyszeć cichutkie chrapanie. Do oczu napłynęły mi łzy szczęścia. Lucas powiedział tylko:

– O cholera! Chciałbym umieć tak pierdzieć!

Najgorsze jest to, że od razu zaczął próbować.

Z biegiem czasu Kłaczek stawał się coraz bardziej żywiołowy. Tato zapytał, co zamierzam z nim zrobić, ale i tak już wiedział, że mam nadzieję go zatrzymać. Tym sposobem zyskaliśmy kota. Kłaczek zaczął się bawić, co zaś ciekawe – dobrze się czuł w towarzystwie Zoltana. Pies szybko go zaadoptował. Początkowo kotek wspinał się na psa, żeby podgryzać mu uszy albo po nim deptać. Traktował go jak matę edukacyjną. Kłaczek uwielbiał również bawić się ogonem Zoltana, który bez protestów poddawał się tym zabiegom. Aż w końcu wycieńczony

kociak zasypiał wtulony w swojego wielkiego kumpla. Zoltan nie ruszał się i ze wzruszającą opiekuńczością zajmował się małą włochatą kulką. Później maluch zaczął przeciskać się pędem pod krzesłami, pies zaś biegł za nim, wywracając meble. Urządzali sobie niezłe imprezy! W Boże Narodzenie choinka wielokrotnie o mało się nie przewróciła z ich powodu – kot chował się pod nią, a ciężki pies robił wszystko, żeby go stamtąd wyłuskać. Stali się nierozłączni. Teraz co wieczór kot zasypia między psimi łapami. Zoltan pozwala nawet kocurowi jeść ze swojej miski, chociaż warczy, kiedy to samo usiłuje zrobić Lucas – przysięgam, że mój brat podejmuje regularne próby. Zadziwiające, że kot dorasta, mając za jedyny wzorzec psa. Z tego powodu Kłaczek rozwija w sobie pewne zachowania, które niezupełnie cechują jego gatunek. Miauczy tak, jak pies szczeka, kiedy ktoś dzwoni do drzwi, z kolei w ramach zabawy przynosi coś, co mu się rzuci. Przyglądanie się Kłaczkowi, jak naśladuje psa, to rewelacyjne widowisko. Czasami siedzimy z Lucasem i obserwujemy ich zabawę. Pan Fréteau, jeden z moich dawnych nauczycieli francuskiego, mówi, że najbardziej skuteczną metodą edukacji jest przykład. To, co dzieje się u nas w domu, zdaje się potwierdzać jego tezę. Kłaczek nabiera psych zwyczajów. Trochę obawiam się rezultatu. Szczególnie że Lucas pełni tutaj funkcję przewodnika duchowego. Widzę Kłaczka, który siedzi i wyciąga głowę, żeby przyjrzeć się dokładnie swojemu psiemu wzorowi. Jest taki malutki, taki słodki u nóg dużego Zoltana. Po prostu żyją razem. Zastanawiam się, czy Kłaczek myśli, że urośnie równie duży jak Zoltan? Czy również nabierze zwyczaju zasypiania na grzbiecie na kanapie, licząc na łaskotanie po brzuchu? Pani Gorfion z pewnością nie omieszkałaby nam zrobić wykładu o tym, co wrodzone, co zaś nabyte, i o tym, czym jesteśmy, co nas warunkuje i co z tego wynika. Temat na długą dyskusję. Jeśli tylko kot zacznie gonić listonosza, który przechodzi wzdłuż naszego ogrodzenia, albo pić wodę z sedesu, obiecuję, że się zastanowię. Na razie jednak widok tego malutkiego kotka żywego i szczęśliwego zapewnia mi codziennie tyle szczęścia, że dochodzę do wniosku, że świat jest całkiem udany. Bóg z pewnością by się ze mną zgodził. I niech pralka idzie sobie do diabła!

Wychodząc z łazienki, dostrzegam od razu, że w domu jest jakoś inaczej, choć nie potrafię określić dlaczego.

Zbiegam na dół na śniadanie. To światło jest nietypowe. Wchodzę do kuchni i zamieram na widok tego, co za oknem: ogród jest całkiem biały. Padało przez całą noc i nadal pada. Bajkowo. Wiatr porywa do walca płatki, tworząc majestatyczne spirale. Stół ogrodowy jest przykryty piękną warstwą śniegu. Alejka prowadząca do garażu przypomina nieskazitelnie białą wstążkę, przeciętą jedynie śladami opon samochodu mojego ojca, który już wyjechał do pracy.

Przy wejściu szczeka pies. Śnieg go ekscytuje. Wszystko go ekscytuje. Mama narzeka, ponieważ Lucas nie zdołał się opanować i wybiegł do ogrodu w piżamie, żeby potarzać się w sypkim śniegu razem z Zoltanem. Kłaczek usadowił się przed przeszkłonymi drzwiami salonu, z ogonem starannie owiniętym wokół siebie. Przygląda się szeroko otwartymi ślepiami. Dziś rano nie poznaje świata. Wczoraj, kiedy zasypiał, wszystko było jak zwykle. Budzi się – i nagle wszystko się zmienia. Co się teraz dzieje w jego małej główce? Jest zaniepokojony czy ciekawy? Myślę, że chętnie wyszedłby na zewnątrz, ale odczuwa chłód i nie ma śmiałości. Dobrze go rozumiem.

Drogi są śliskie i będę musiała iść do szkoły pieszo. Nic nie szkodzi. W najgorszym wypadku zajmie mi to tylko dziesięć minut więcej. Cieszę się, miasto musi bowiem pięknie wyglądać zasypane śniegiem. Wszystko wydaje się nowe, czyste, harmonijne i łagodne. Człowiek ma wrażenie, że znalazł się w zupełnie nowym miejscu.

Opatuliłam się szalikiem aż po nos i wychodzę z domu. W progu wyciągam przed siebie dłoń i patrzę, jak osiadają na niej płatki śniegu. Jeśli któryś z nich wyląduje dokładnie pośrodku, uznam to za znak, że dzień będzie należał do udanych. Nie jestem specjalnie przesądna, ale cały czas wymyślam takie rzeczy. Jeśli zdołam przejść pod szlabanem, zanim się zamknie, dostanę dobrą ocenę z matematyki. Jeśli trafię na same zielone światła, Axel zauważy, że mam nową bluzę. Cudowny płatek osiada dokładnie pośrodku mojej dłoni, między linią serca i linią życia. Z błogim uśmiechem na ustach przyglądam się, jak topnieje, po czym wyruszam w drogę z lekkim sercem.

Świat jakby na chwilę przyhamował – samochody jadą wolniej, nieliczni przechodnie poruszają się ostrożnie. Dostrzegam małego chłopca, który drecze w oczekiwaniu, aż jego matka odśnieży przednią szybę samochodu. Chłopiec przypomina mi Kłaczka – rozgląda się bacznie wokoło. Mały człowieczek z pomponem czapki niemal tej samej wielkości co jego głowa.

Przechodzę obok domu sąsiadki, która wszystko sprowadza do Boga. Kiedy pada deszcz, mówi, że On płacze. Dziś pewnie myśli, że On ma łupież i potrząsa głową nad naszym nędznym światem. Obrzydliwe! Wolę wymazać ten obraz z pamięci.

Lubię skrzypienie śniegu pod butami, stłumione dźwięki, jaskrawość czerwonych świateł zagubionych w tym białym oceanie zlewającym się z niebem. Nawet okolica dworca wygląda

sympatyczniej, a to już prawdziwy wyczyn. Trwają prace nad poprawieniem wizerunku dworcowego budynku, ale na razie miejsce przypomina tor przeszkód z tymi wszystkimi maszynami, olbrzymimi błotnistymi kałużami i rozprutymi chodnikami. Robotnicy rozbierają jedno po drugim stare zabudowania z cegły. Budowla, obok której przechodzę codziennie rano, jest jedną z ostatnich, jakie jeszcze przetrwały. Została opróżniona pod koniec zeszłego roku. Tuż przed przerwą bożonarodzeniową w oknach jeszcze świeciły się światła. Z początkiem roku zostały zamurowane. Buldożery już prawie uporały się z burzeniem budynków w dalszej części ulicy. Zostawiły po sobie pole ruin, sterty gruzu i belek, zepchniętych na bok przez koparki, które załadowywały ciężarówki wśród przerażającego łoskotu. Nie lubię tych zmian. Pamiętam jeszcze piekarnię, która znajdowała się na rogu ulicy. Było to miejsce, do którego udałam się pierwszy raz sama po zakupy. „Poproszę jedną bagietkę, niezbyt przypieczoną, a za resztę – cukierki”. Powtarzałam to zdanie chyba setki razy. Piekarnia już nie istnieje. Nie mam jeszcze dwudziestu lat, czuję się jednak jak skamielina. Mówię jak mój dziadek! Przed budynkiem z zaślepienymi oknami dostrzegam sylwetkę szefa budowy. Stoi sam na wprost budowli i przygląda się jej. Na pewno się zastanawia, jak najlepiej zabrać się do jej wyburzenia. Widzę go tutaj już nie po raz pierwszy z samego rana. Idę dalej swoją drogą.

Léa mieszka w ładnej dzielnicy willowej. Jej dom z piaskowca jest stary, ma dużo wdzięku, przede wszystkim zaś – zagospodarowany strych. Ogród jest przynajmniej dwa razy większy niż nasz. Kiedy otwieram furtkę, metalowe skrzydło odgarnia warstwę śniegu i rysuje doskonałe ćwierć okręgu. Pani Serben dostrzegłaby tu zapewne kąt mniej więcej czterdziestopięciostopniowy albo łuk okręgu, którego obwód jest równy dwukrotności liczby π pomnożonej przez promień. Ten sposób postrzegania świata musi być straszny. Patrząc w stronę domu i widzę, że Léa stoi w oknie salonu. Daje mi znaki. Czekala na mnie. Rozkoszny dreszczyk szczęścia. Cóż może być przyjemniejszego niż świadomość, że ci, których kochamy, cieszą się z naszego przybycia? Uśmiecha się, a jej twarz jest skąpana w otaczającym ją ciepłym świetle. Kiedy jednak podchodzę pod drzwi wejściowe, kulka śniegu uderza mnie w plecy. Odwracam się. To Christophe, ojciec Léi, który stoi w progu garażu i śmieje się ze swojego dowcipu.

– Cześć, Camille!

– Dzień dobry!

Mój ojciec nie zrobiłby czegoś takiego. Chociaż zanim zmienił pracę, dobrze się razem bawiliśmy.

Przy wejściu do budynku liceum zbiera się wesoła ciżba. Między samochodami, przemykającymi skuterami i gimnazjalistami obrzucającymi się śniegowymi kulkami trudno jest utorować sobie drogę. Razem z Léą spieszymy się, żeby uniknąć padających pocisków. W pobliżu głównej bramy dostrzegam chłopców z naszej klasy, którzy bawią się z najmłodszymi uczniami. Proponuję:

– Chętnie bym się z nimi pośmiała. Idziesz, Léa? – pytam.

– Już zmarłam. Wsadzą mi śnieg za kołnierz, a nie mam na to ochoty.

Mimo to zgarniam z murku trochę śniegu i celuję w Léo. Zostaje trafiony w ramię i natychmiast rozpoznaje kierunek, z którego padł strzał. Dlaczego rzuciłam w jedyną osobę,

która uważa się za machinę wojenną? Kontratak jest bezwzględny. Jest i skutek uboczny: maluchy uświadomiły sobie, że włączyłam się do ich zabawy, i – zachwycone, że mają nowy cel – rzucają się teraz na mnie. Léa ucieka w stronę holu, żeby się schronić.

– Powodzenia, moja droga! – woła, dysząc. – Nie trzeba było ich prowokować!

Gimnazjaliści przypuszczają na mnie atak. Waham się, czy nie uciekać, ale nigdy by mi się to nie udało. Muszę stawić im czoło. Chwytam pierwszego, który się do mnie zbliża, i postanawiam uczynić z niego przykład dla innych. Turlam go po śniegu i łaskoczę, zmuszając do zjedzenia garści płatków. Dzieciak zaśmiewa się i wzywa kolegów na ratunek. Małe potwory! Są solidarne! Czując, że nie zdołam oprzeć się nacierającej hordzie, Léo, Malik i Clément ustawiają się obok mnie. Powalam na ziemię drugiego ucznia i nacieram mu twarz śniegiem. Ten wije się i błaga:

– Litości, proszę pani!

Pani? Ile według niego mam lat? Zaniemówiłam. Po raz pierwszy w życiu ktoś nazwał mnie panią! Korzystając z mojego zaskoczenia, dzieciak zmyka na czworakach, z odsłoniętymi plecami. Czy powinnam mu powiedzieć, żeby się okrył, albo go zabiję? Z naprzeciwnika nadciąga kawaleria gimnazjalna. Moi koledzy na próżno mnie zasłaniają, spada na mnie prawdziwa ulewa starannie ubitych śniegowych kul. Nic już nie widzę. Mam śnieg w oczach. Zataczając się, robię krok w tył i wpadam na Doriana, który próbuje dotrzeć do holu.

– Bawicie się jak małe dzieci – prycha. – Jesteście rozpaczliwi. Jeśli nie mieliście ochoty dorastać, trzeba było zostać w szóstej klasie.

Przecieram oczy zakłopotana. On jednak jest już daleko i kręci głową ze zgorznięciem. Kule śniegowe wciąż na mnie lecą, ale przez tego kretyna przeszła mi ochota do śmiechu. Dlaczego dorastając, nie mielibyśmy mieć już prawa do zabawy? Dlaczego należy zrezygnować z prostych radości, żeby sprostać narzuconym kodom i traktować się poważnie? Co jest głępsze: bawić się śniegiem czy podniecać bezwartościową, zarazem zaś płatną aplikacją w telefonie?

Clément pada u moich stóp, powalony ciężarem uwieszonych na nim maluchów.

– Pomóż mi, Camille! Nakarm ich śniegiem!

Nie mogę się poruszyć. Kiedy zaczynam się zastanawiać, nie potrafię się bawić. Dzwonek. Niczym chmara wróbli gimnazjaliści ruszają w stronę budynku. Zostajemy sami, lekko osłupiali. Léo strzepuje śnieg z kurtki. Malik zgina się wpół, żeby zrzucić zlodowaciałą kulę, która utknęła mu na karku. Było fajnie. Nie licząc tego kretyna, który spędza życie na niszczeniu wszystkich wokół. W nielicznych momentach, kiedy udaje nam się o wszystkim zapomnieć, dać się ponieść chwili, nikt nie powinien mieć prawa nas atakować.

W holu dogania mnie Axel.

- Co ci powiedział ten kretyn?
- Nic. Nie przejmuj się.
- Widziałem, że się zasmuciłaś. Znowu splunął jadłem?
- Powiedział, że jesteśmy dzidziusiami, ponieważ bawimy się w śniegu.
- Nie przejmuj się. To śmieć. Potrafi zaistnieć tylko przez niszczenie. Pójdę i powiem mu kilka słów.

Przytrzymałam go za ramię.

– Nie, Axel! Nie trzeba. Naprawdę. To miłe z twojej strony, ale nie chcę, żebyś się z tego powodu denerwował. Powinnaś nauczyć się relatywizować rzeczy.

Kładzie mi rękę na ramieniu na znak wsparcia.

Dużo czasu zajęło mi zrozumienie, co sprawia, że Axel jest taki wyjątkowy. Oczywiście fakt, że jest raczej ładnym chłopakiem, ma pewne znaczenie, ale nie jest najważniejszy. To się rozgrywa raczej na płaszczyźnie jego osobowości. Zawsze to czułam, tak naprawdę jednak zrozumiałam to dopiero w zeszłym roku. Od tamtej pory obserwuję go i codziennie znajduję potwierdzenie mojej oceny. Inne dziewczyny kręcą się wokół niego, ponieważ jest przystojny. Vanessa pożera go wzrokiem, pozostałe mu nadskakują. Początkowo się obawiałam, że będę po prostu jedną z nich. Słyszałam, jak o nim rozmawiają, „szaleją na punkcie jego oczu”, uważają, że „mega wzbudza zaufanie” (o wielu bardziej pikantnych uwagach tutaj nie wspomnę). Nie to mnie w nim najbardziej porusza. Nie zatrzymałam się na czarującym wyglądzie i odkryłam to, co nadaje mu prawdziwą wartość. Nawet gdyby był niższy o głowę i miał barani wzrok, i tak robiłby na mnie wrażenie. Jego wdzięk w moich oczach można podsumować jednym zdaniem: Axel emanuje energią kogoś, komu przyświeca jakiś cel. Może się to wydawać proste, ale zdarza się rzadko. Większość chłopców przybiera sztuczne miny, kopiuje style, odgrywa role. On nie. Nigdy nie przyjmuje żadnej pozy. Obok zaś stoją klauni, którzy robią wszystko, żeby ludzie zobaczyli ich majtki lub usłyszeli muzykę, jakiej słuchają, albo nakładają sobie żel na włosy. Za każdym razem kiedy Axel coś robi, można odnieść wrażenie, że działanie to jest wynikiem jego decyzji. Są tacy, którzy naśladowują innych, i są ci inni. On zdecydowanie należy do tej drugiej kategorii. Nie dba o to, co sobie pomyślą ludzie – sam ocenia i wybiera sposób bycia. Kiedy wyraża swoją opinię, nikt nie ma wątpliwości, że przemyślał sprawę. Kiedy z wami rozmawia, patrzy wam prosto w oczy – swoją drogą niełatwo jest podtrzymać jego spojrzenie. Nigdy nie mówi nic ponad to, co chce powiedzieć. Nigdy nie uśmiecha się dla zasady, nigdy nie udaje. Wydaje mi się to bardzo piękne.

Zawsze miałam do niego pewną słabość. Léa również. Ze względu na szacunek, jakim darzymy się nawzajem, postanowiłyśmy, że nigdy nie będziemy próbowały się z nim związać. Odbyłyśmy tylko jedną rozmowę na ten temat, dwa lata temu. Śnił mi się koszmar: Léa poślubiła Axela. Stali oboje w progu merostwa. Uśmiechnięci, piękni, zakochani. Ryż sypał się na nich, ja zaś ukryłam się w parku, skąd ich śledziłam, wypłakując oczy. Czułam żal do

Léi, miałam za złe Axelowi. Od tamtej pory Léa i ja unikamy wstydliwie tego tematu, ale nie potrafię się opanować przed zerkaniem na Axela. Zawsze się boję, że Léa mnie przyłapie albo wyczyta prawdę z moich oczu. Za nic w świecie nie chciałabym, żeby historia miłosna zniszczyła naszą przyjaźń. Jestem więc zmuszona traktować Axela jak przyjaciela, prawdziwego i na długo – mam nadzieję. Mimo to, kiedy myślę sobie o spędzeniu życia z jakimś chłopcem, chciałabym, żeby był do niego podobny. Podoba mi się jego niezależność. Nigdy nie widziałam, żeby dał się komuś na coś namówić. Ma telefon, ale nigdy nie wysyła esemesów. Nie ma profilu na żadnym serwisie społecznościowym. Rzadko pojawia się na imprezach. Kiedy koledzy zaczynają rozmawiać o grach komputerowych, butach albo ubraniach – wycofuje się. Wydaje się znikać w innym świecie. Axel nigdy nie opowiada o swoim życiu poza szkołą. Nikogo do siebie nie zaprasza. Ma raczej dobre oceny, ale wiem, że ciężko na nie pracuje. Nigdy nie ośmieliłam się zapytać go o jego codzienność, o rodzinę, o pasje, a przecież pytania te kłębią się w mojej głowie. Wydaje mi się, że Axel mnie lubi.

Chociaż nie jest ponurakiem, tylko raz widziałam go naprawdę szczęśliwego. Było to w zeszłym roku na zajęciach wychowania fizycznego. Lało jak z cebra, my zaś uczyliśmy się akurat grać w rugby. Z sobie tylko znanych powodów nauczyciele wpadli na pomysł, żeby drużyna była mieszana. Chodziło o udowodnienie, że kobiety naprawdę są równe mężczyznom. W każdym zespole chłopcy atakowali, z kolei dziewczyny uciekały. Świnie wśród kur. Wielka chwila pedagogiki. Byliśmy wszyscy przemoknięci i ubłoceni, a fazę, w której człowiek ma jeszcze nadzieję, że się za bardzo nie ubrudzi, mieliśmy już dawno za sobą. Tibor sędziował, ale zamiast nadzorować mecz, usiłował nauczyć psa stróża dmuchać w gwizdek. Byliśmy wszyscy odrażający, rzucanie się w kałuże stawało się zaś niemal zabawą samą w sobie.

Nauczyciel sprawiedliwie rozdzielił osiłeków na dwie drużyny. Axel był z nami, a Louis, wysoki Metys – w drużynie przeciwników. Nikomu nie udawało się zatrzymać Axela, oczywiście oprócz Louisa. Staraliśmy się wszyscy podawać mu piłkę i torować drogę. Biegłam obok Axela, choć raczej – prawdę mówiąc – Axel minął mnie biegiem, podczas gdy ja stałam i patrzyłam. Louis go dopadł. Stałam naprzeciwko nich w chwili, kiedy padali na ziemię. Niesieni siłą rozpędu, prześlizgnęli się niemal do moich stóp. Najpierw się przestraszyłam, ale fascynacja szybko wzięła górę. Znajdowałam się w doskonałym punkcie obserwacyjnym. Szczęśliwy, że gra, Axel uśmiechał się tak jak jeszcze nigdy. Białe zęby rozświetlały jego zabłoconą twarz. Oczy lśniły blaskiem czystej energii, usłyszałam nawet, jak wybucha śmiechem. Axel stracił punkt, ale był szczęśliwy. Leżał chwilę na ziemi, w deszczu, w błocie, promieniejąc szczęściem. Nie zauważył, że mu się przyglądałam, i nikt poza mną nie widział wyrazu jego twarzy. To był jedyny raz. Nigdy więcej się to nie powtórzyło – w każdym razie nie w mojej obecności. Oprócz poważnego chłopca, który zawsze robi to, co powinien, dostrzegłam coś jeszcze. Chwila ta pozostaje moim skarbem i sekretem. Mam nadzieję, że pewnego dnia mu o tym opowiem. Jestem zazdrosna o dziewczynę, która wywoła w nim tę samą reakcję, muszę się wam bowiem jeszcze do czegoś przyznać – złoścę się, kiedy Axel rozmawia z koleżankami. Wiem, że to idiotyczne, ale nie potrafię zapanować nad tym uczuciem. Pewnie uważacie, że moja sytuacja jest rozpaczliwie banalna i jak jakaś panienka jestem po prostu zakochana w przystojnym chłopaku w moim wieku. Gdybym zobaczyła inną dziewczynę na moim miejscu, pomyślałabym to samo. Mimo to czuję, że jest we mnie coś takiego, że nawet po latach, kiedy już będę żoną kogoś innego i zamieszkałam na

drugim końcu świata, za każdym razem gdy pomyślę o Axelu, będzie mnie ogarniać to samo osobliwe uczucie, przyciąganie znacznie silniejsze niż zauroczenie. Nie wiem, co o tym myśleć. Teoretycznie powinnam porozmawiać o tym z Léą, ale to niemożliwe. Czasami chciałabym pogadać z mamą, choć wiem, że ona by tego nie zrozumiała. A jednak chciałabym wiedzieć, na czym stoję. Myślę o tym bez przerwy. Czuję się osamotniona w obliczu tej sytuacji. Wiem, że moja ciotka Margot odpowiedziałaby mi szczerze. Powiedziała by prawdę, ponieważ znam jej wolny umysł i bezceremonialność, nie zobaczę się z nią jednak przed upływem kilku tygodni, a nie chciałabym poruszać podobnego tematu w rozmowie telefonicznej. Co się jeszcze do tego czasu wydarzy?

Rozpoczęły się właśnie dwie godziny wprowadzenia do ekonomii, choć – szczerze mówiąc – raczej się z tego cieszę. Większość osób, które wybrały ten przedmiot, nie uczyniła tego ze względu na kilka punktów, jakie zapewnia udział w zajęciach, ale dlatego, że prowadzi je pan Rossi. Poza tym – jak on sam twierdzi – jest to przedmiot, w którym wszystko należy zrozumieć i nie trzeba się niczego uczyć. Pan Rossi nie należy do grona najmłodszych nauczycieli, jest w nim jednak coś, co odróżnia go od pozostałych. Nie ogranicza się do recytowania lekcji – każe nam reagować, wymieniać się z nim uwagami. Jest osobą, która lubi wykładany przez siebie przedmiot i często wykracza poza jego podstawy, chcąc, żebyśmy dowiedzieli się więcej.

– Akshan Palany to hinduski ekonomista z drugiej połowy dwudziestego wieku, który rozwinął interesującą teorię struktur ekonomicznych – wyjaśnia. – Ponieważ koncepcja ta proponuje pewną nietypową perspektywę, jest przedmiotem licznych badań na świecie. Akshan Palany uważa, że sukces danego modelu ekonomicznego opiera się nie na spójności korzyści, ale na podziale zadań i wzajemnym uzupełnianiu się potrzeb. Innymi słowy, zamiast ukierunkowywać podaż w celu jej ujednoczenia i uproszczenia produkcji z korzyścią dla oferentów, należy wsłuchać się w popyt i przystosować się do niego, odpowiadając jak najlepszymi standardami jakości. Określenie „misja” powraca regularnie w tej teorii, podkreśla ona również to, że zamiast wdrażać pompacyjne, jednocześnie zaś rzadko stosowane zasady, człowiek powinien pilnować swojego miejsca i nie udawać, że jest kimś innym niż w rzeczywistości. Akshan Palany twierdzi, że żadna ekonomia nie może się rozwijać bez uczciwości. Słowo to może się wydać nieco wyświechtane w naszych czasach, on jednak mimo wszystko czyni z uczciwości swoją główną zasadę. Każdy powinien odnaleźć swoje miejsce w schemacie podziału i wymiany, również handlowej, ale nikt nie powinien robić nic oprócz tego, co do niego należy. Każdy ma swoją misję. Jego zdaniem wszystko inne wywodzi się z tej prostej zasady. Kiedy już system kół zębatach zostanie wprowadzony w ruch i wyraźnie określony, mechanizm ekonomiczny może zacząć pracować. Piekarz piecze chleb, strażak gasi pożar, sędzia wymierza sprawiedliwość, lekarz leczy. Warto dodać, że Akshan Palany nie jest ani utopistą, ani postkomunistą. Zaprezentowana tutaj wizja może wydawać się naiwna, ale cały jej sens tkwi w obserwacji różnych odchyłeń, jakich ofiarami często padamy. Akshan Palany uważa, że klęska cywilizacji wynika bezpośrednio z tego, że większość osób nie wypełnia misji, jaka została im przydzielona. Rozdzźwięk między pełnioną funkcją a wykonywanym działaniem powoduje utratę punktów odniesienia i zaufania, co jest – jego zdaniem – niekorzystne dla naszych społeczeństw. Akshan Palany powołuje się między innymi na systemy polityczne, które stały się niezdolne do opieki nad społeczeństwem, na koncerny farmaceutyczne, które na siłę sprzedają lekarstwa – również te toksyczne – zamiast leczyć, na pracowników spędzających czas na stronach portali społecznościowych, na banki generujące zyski kosztem osób, których aktywami powinny zarządzać, oraz na media, które służą bardziej interesom niż upowszechnianiu informacji.

Mathieu podnosi rękę i zauważa:

– Akshan Palany mógłby także wspomnieć o nauczycielach, którzy wybierają ten zawód ze względu na długie wakacje i którzy zupełnie nic sobie z nas nie robią.

Mathieu to prowokator, ale pan Rossi nie należy do osób, które pozwoliłyby się wciągnąć do jego gry.

– Słusznie, Mathieu. Akshan Palany mógłby również rozszerzyć swoją wypowiedź o tych, którzy zajmują dane stanowisko, nie wypełniając przydzielonych im obowiązków. Masz całkowitą rację, wskazując na niewłaściwe funkcjonowanie osobników i systemów, powinniście jednak wszyscy zastanowić się nad waszą rolą w otaczającym was świecie. Dlaczego jesteście w szkole?

– Nie prosiliśmy wcale o to, żeby tutaj być! – żartuje Antoine.

Wszyscy się śmieją.

– To prawda – odpowiada pan Rossi. – Nie prosiliście również o to, żeby się urodzić, być chłopcem albo dziewczyną, żeby dorastać w tym kraju, nie zaś w innym. Uświadomiwszy to sobie, dochodzicie do etapu waszego pierwszego życiowego wyboru: albo uważacie się za ofiary tego, co zostało wam narzucone, albo zastanawiacie się, co z tym zrobić. Jakie miejsce chcielibyście zająć? Czego oczekujecie od świata? Jaki będzie wasz wkład? Musicie sobie zadać te pytania właśnie teraz. To w waszym wieku wszystko się rozgrywa. Jeśli zdołacie określić, co jest nie tak, zapewne będziecie potrafili to poprawić.

– To nie z naszej winy nic nie działa tak, jak powinno! – wtrąca Raphaël. – Nie mamy nawet jeszcze prawa głosu!

– Zgadza się. A jednak ta doskonała wymówka was nie usprawiedliwia. Nasze społeczeństwa zostały zorganizowane w taki sposób, że najmłodsze jednostki są zwalniane ze wszystkich obowiązków, żeby mieć czas na naukę i rozwijanie zdolności. Nie zapominajcie, że na naszej planecie ponad sześćdziesiąt procent młodych ludzi w waszym wieku już pracuje, często nawet od ponad dziesięciu lat, za miesięczną pensję, która nie pokrywa kosztu jednego czekoladowego batonika. Średnia długość życia tych osób jest trzykrotnie niższa od waszej. System, z jakiego korzystacie, zakłada, że poświęcicie część waszego czasu i intelektu na przyswojenie wiedzy zgromadzonej przez wcześniejsze pokolenia. Z kolei aktywa państwowe finansują placówki szkolne i nauczycieli, których zadaniem jest waloryzowanie waszego potencjału.

– W rzeczywistości nie wygląda to tak pięknie! – stwierdza Olivia.

– Nikt nie twierdzi, że system jest doskonały, ale przynajmniej istnieje. Jest wam lepiej w tym liceum, niż byłoby w fabryce farbowania tanich ubrań, w kopalni siarki albo na śmietniku, gdzie musielibyście palić kable i wdychać duszące opary, żeby odzyskać metal, za który fabryka zapłaci wam kawałkiem suchara. Czas, jakim dysponujecie, aby móc wypełnić określoną misję, wcale nie jest czymś oczywistym. To decyzja cywilizacji. Żaden gatunek zwierząt żyjących na Ziemi nie pozwala swoim młodym obijać się przez jedną czwartą ich egzystencji, chyba że zamierza je potem zjeść. Jak wykorzystacie ten czas? Niektórzy gromadzą wiedzę i siły, inni jednak – zapewne ze względu na epokę i wartości, jakie są wam proponowane – traktują szkołę jak balast, którego chcieliby się za wszelką cenę pozbyć. Nie wiem, czy Akshan Palany zgodziłby się ze mną, ale wydaje mi się, że osoby te popełniają fundamentalny błąd. Tak jak nauczyciele, którzy nie są tutaj z powołania, również wy

zapominacie o waszej misji. Nie mam pojęcia, jakim sposobem pozwolono wam utwierdzić się w przekonaniu, że jesteście tutaj, ponieważ zostaliście do tego zmuszeni siłą – nieszczęsne ofiary okrutnego i złego systemu, który uniemożliwia wam słuchanie muzyki, wysyłanie tysięcy bezużytecznych wiadomości i oglądania głupkowatych programów w telewizji, poszatkowanych reklamami różnych paskudztw, które ludzie – ci z kolei po studiach – usiłują wam wcisnąć.

– Czy to, co nam pan tutaj opowiada, należy do programu? – pyta Dorian.

– Dobre pytanie. Powiedzenie wam tego wszystkiego stanowi dla mnie pewne ryzyko. Być może wasi rodzice przyjdą do mnie i będą narzekać, że wpycham wam do głów rewolucyjne myśli, wydaje mi się jednak, że na tym właśnie polega moja misja. Usiłuję was nauczyć zadawania sobie pytań. Mógłbym ograniczyć się do recytowania teorii Keynesa czy Grossmana albo opowiadać wam o mechanizmie mikrokredytu. Ale staram się połączyć nasz przedmiot z prawdziwym życiem. Próbuję was nakarmić. Jesteście głodni? A może jesteście już najedzeni grami wideo, programami telewizyjnymi, bezużytecznymi informacjami, które wypełniają wam żołądki, nie odżywiając was, tak samo jak niezdrowe jedzenie, które tak lubicie?

– Dlaczego podejmuje pan takie ryzyko? – docieka Olivia.

– Twoje pytanie jest przerażające i mam nadzieję, że zrozumiesz moją odpowiedź. Podejmuję to ryzyko, ponieważ próbuję porządnie wykonywać swój zawód. Nie zdecydowałem się zostać nauczycielem ze względu na długie wakacje. Stoję przed wami, ponieważ mam wiarę. Biorąc pod uwagę to, kim jestem, i przebytą przeze mnie drogę, to właśnie jest moje miejsce – jestem o tym przekonany. Jest nas jeszcze kilku w tej samej sytuacji. To z nami spędzacie większość czasu. Widuję was częściej niż wasi rodzice. To tutaj, w tej sali lekcyjnej, wspólnie z kolegami odkrywacie życie. Pierwszych przyjaciół, pierwszych wrogów, pierwsze wzory do naśladowania, pierwsze miłości. Wszyscy już tego doświadczyliście albo doświadczyacie właśnie w szkole. Nie jesteście byle gdzie. Nie jesteście w więzieniu. Jesteście u progu waszego życia.

Przynajmniej raz nikt nie patrzy za okno, nikt nie odrabia zadań z matmy na następną lekcję, nikt nie rysuje. Oczy wszystkich są wpatrzone w pana Rossiego. To się nigdy nie zdarza. Można się zgadzać albo nie zgadzać z tym, co mówi, ale każdy czuje, że sprawa go dotyczy. Nauczyciel ciągnie dalej:

– Każde kiełkujące ziarno to cud. Od wykiełkowania aż po dojrzałość jest wystawione na wiele niebezpieczeństw. Może je połknąć ptak, ktoś może na nie nadepnąć, może zamarznąć albo wyschnąć, ponieważ sąsiednie ziarno przechwyci potrzebną mu wodę. Każde dorosłe drzewo to ocalony szczęśliwiec. Życzę wam, żebyście wyrosli na wielkie, majestatyczne drzewa. Wy jednak, w przeciwieństwie do ziarna w lesie, macie możliwość działania, dokonywania wyborów i rozwijania się. Ci, którzy żyli przed wami, ci najszlachetniejsi, uczynili to możliwym, ulepszając wasze czasy. Dziś kolej na was. Żyćcie, korzystajcie z młodości, szalejcie, ale nigdy nie traćcie rzeczywistości z oczu. Wiem, że to niełatwe, biorąc pod uwagę to, co się wam pokazuje, ale bądźcie silniejsi niż wulgarne dekoracje, które zasłaniają wam prawdziwe życie. Nie marnujcie podarowanego wam czasu i postarajcie się pozostać przy życiu. Na razie to jest wasza misja. Później sami wybierzeć swoje zobowiązania.

– Za misję się płaci – protestuje Théo.

– Nieprawda. Twoim rodzicom nikt nie płaci za to, że cię wychowują, a przecież to prawdziwe zadanie. Osoba, która wskazuje drogę, kiedy się zgubisz, przyjaciel, który pocieszy, żona, która wspiera – za najważniejsze rzeczy w życiu nie przysługuje wynagrodzenie. Smutna jest ta przekorna logika. Wy przecież nikomu nie zapłaciliście za to, żeby żyć, a jednak żyjecie. Pewnego dnia najbardziej ludzcy spośród was odkryją w tym szansę, i to – dosłownie – bezcenną. Tymczasem zachęcam was do zadawania sobie pytań na temat funkcjonowania tego świata i pozycji, jaką chcielibyście w nim zajmować. Nie myślcie sobie, że to, o czym właśnie rozmawiamy, nie ma żadnego związku z ekonomią. Konsumpcja oznacza dokonywanie wyborów, głosowanie, wymianę mocy z tymi, od których się uzależniamy. Istnieć to wiedzieć, co się daje i co się bierze. Dużym uproszczeniem byłoby sprowadzenie ekonomii do prostej kwestii zysków i strat. Świadomość i zdolność dokonywania wyborów stanowią dwa kryteria, które kierują wszystkim, co robimy. Zastanówcie się nad tym. Jestem do waszej dyspozycji, jeśli chcielibyście o coś zapytać.

Wyjątkowo to nauczyciel pierwszy pakuje swoje rzeczy i wychodzi z klasy. Pan Rossi zawsze kończy zajęcia tym zdaniem: „Jestem do waszej dyspozycji, jeśli chcielibyście o coś zapytać”. Nikt nigdy nie zadał mu żadnego pytania.

W końcu jednak ruszyliśmy się z miejsc. Pauline podchodzi do mnie:

– Zauważyłaś? Nie ma Manon. Wiesz, co z nią?

– Nie. Rzadziej się z nią widuję, odkąd jest z Malikiem.

– Nie odbiera komórki i nie odpisuje na esemesy.

Wciąż jeszcze nieco poruszeni wykładem pana Rossiego, spotykamy się w holu, trochę rozkojarzeni. Tworzą się dwa obozy: tych, którzy odrzucają jego słowa, ponieważ zmuszają ich one do zmiany swojego nastawienia, i tych, którzy zaczęli zadawać sobie pytania. Choć niewiele osób się wypowiada, wyraźnie widać, że wszyscy o tym myślą. Jesteśmy w okresie wyznaczania sobie kierunku, dlatego myśl o konieczności wyboru własnej drogi przemawia do nas. Jeśli jednak chodzi o samą orientację, to wymaga się od nas stawiania znaczków w kratkach i wybierania między wytyczonymi już wcześniej drogami, nie zaś rozmyślania o życiu. Wielu z nas nie wie, co chciałoby ze sobą zrobić. Większość zdecydowała się na kontynuowanie studiów – jak najdalej i jak najdłużej będzie to możliwe. Niektórzy mają już określone precyzyjne kryteria: chcą zarabiać pieniądze lub podróżować, albo nie muszą się o nic martwić, albo pragną, żeby wszystkie te warunki zostały spełnione jednocześnie! Akshan Palany powiedziałyby zapewne, że przestali myśleć o swojej misji, jeszcze zanim ją rozpoczęli.

Postanowiliśmy spędzić godzinę przeznaczoną na odrabianie lekcji w bibliotece, żeby popracować nad chemią. Jest przy tym jeszcze sporo roboty. Wspinając się po schodach, rozmawiam z Léą, kiedy nagle ktoś zbiegający z góry gwałtownie mnie potrąca. Mam wrażenie, że jakiś bałwan uwiesił się mojego plecaka. Prawie tracę równowagę i odwracam się, żeby się od niego uwolnić. Staję oko w oko z chłopakiem z ostatniej klasy, którego twarz znajduje się na wysokości mojej, ale tylko dlatego, że chłopak stoi dwa stopnie niżej. Wcale mnie nie potrącił – złapał mnie za kurtkę i przytrzymał.

– Ty jesteś córką psa z centrum handlowego?

Patrzy na mnie wrogo.

– Co cię to obchodzi?

– Twój ojciec znowu wczoraj wsadził mojego starszego brata, zaczynamy mieć tego dość. Powiedz mu, żeby go wypuścił, albo wpadniesz w tarapaty.

Jestem w szoku.

– Nawet nie wiem, jak się nazywasz...

– Nawet nie próbuj. Na pewno nie przyskrzypił wczoraj aż takich tłumów. Przekaż mu wiadomość i nie dociekaj.

Léa wtrąca się do rozmowy:

– Odbiło ci, żeby tak napadać na moją kumpelę?

– Ty się do tego nie mieszaj!

Typ puszcza mnie i grozi palcem. Kiedy tylko się odwraca, zaczynam drzeć jak osika.

– Co za debil! – złości się Léa.

Nie po raz pierwszy ktoś wyżywa się na mnie z powodu tego, czym zajmuje się mój ojciec, ale nigdy dotąd nie było to równie gwałtowne i złowrogie. Co ja zrobię?

Stoję razem z Léą, Pauline i Vanessą w kolejce do stołówki. One rozmawiają, ale ja ich nie słucham. Słowa pana Rossiego wciąż dźwięczą w mojej głowie. Zazwyczaj jadamy najpóźniej, jak to tylko jest możliwe, żeby uniknąć tłumu. Sięgam po mokrą tacę i staję przed gablotką z deserami. Trudno myśleć o poważnych tematach, stojąc przy taśmie samoobsługowej. Każdy popycha przed sobą tacę i przechwytuje po drodze talerze. To cały odrębny świat: dzwonienie sztućców, światło jak na sali operacyjnej, stukanie naczyń, drapanie szpatulek w wielkich miskach ze stali nierdzewnej, kucharki w czepkach na głowie, żarty kucharzy w białych fartuchach, wymieszane zapachy dań, które się gotują, smażą albo przypalają. Na końcu taśmy, tuż za stanowiskiem z pieczywem, jakaś kobieta wręcza nam czerwone jabłka, nalegając za każdym razem, żebyśmy jedli owoce. Nie wiem, czy to kwestia koloru jabłka czy też jej twarzy, ale kojarzy mi się z czarownicą z bajki o Królewnie Śnieżce.

Kiedy tylko zajmujemy miejsca, Vanessa zaczyna dziobać widelcem w talerzu. Jeśli pojawi się Valentin, założę się, że się do nas dosiadzie. Nie chodzi jednak o to, że chciałby z nami rozmawiać – po prostu wie, że żadna z nas nigdy nie pochłania całej porcji, on zaś jest bardzo głodny.

Zauważam Manon wchodzącą do stołówki. Jest sama, spuściła nisko głowę i szuka stolika na uboczu.

- Przepraszam was, dziewczyny. Zaraz wracam.
- Mijam dwa rzędy stołów i podchodzę do Manon.
- Cześć! Martwiłyśmy się o ciebie. W porządku?
- Niezbyt.
- Chodź, zjesz z nami!
- To miło z waszej strony, ale nie jestem głodna.

Rzeczywiście, na jej tacy znajdują się tylko jogurt i lśniąca czerwone jabłko. Wiem, co by powiedziało siedmiu krasnoludków, wydaje mi się jednak, że Manon nie jest w nastroju do śmiechu.

- Chcesz, żebym zostawiła cię w spokoju?
- Jak wolisz.

Waham się. Manon zajmuje miejsce. Słyszę, jak Léa się śmieje. Manon nawet na mnie nie patrzy. Nagle rzuca:

– Moi rodzice się rozwodzą! Wczoraj nam to obwieścili. Chcą sprzedać dom. To okropne. Mój starszy brat nie chce stąd wyjeżdżać, ponieważ ma tutaj dziewczynę i nową pracę w okolicy. Zdecydowali, że ja wyjadę z mamą. Nie wiem, dokąd zamierza mnie zabrać. Wygląda na to, że nawet nie dotrwam tu do końca roku szkolnego.

Wyrzuciła z siebie wszystko jednym tchem, jak gdyby zbyt długo powstrzymywany potok przerwał tamę. Nie udaje jej się jednak powstrzymać łez i wybucha płaczem. To dziwne, Manon jest bowiem bez wątpienia jedną z najbardziej dojrzałych uczennic – i jedną z najbardziej eleganckich. Skromna i zadbana, zawsze bardzo uważa na dobór słów i maniery.

Kiedy widzę, jak płacze, dostrzegam, jak ulatnia się stworzona przez nią postać, pojawia się zaś mała dziewczynka. Już nie udaje i się nie kontroluje – za bardzo cierpi. Jej twarz, zazwyczaj tak ładna, jest teraz wykrzywiona niszczącymi emocjami. Nie jest brzydka, lecz wzruszająca. Mam ochotę chwycić ją za rękę, ale nie mam odwagi.

– Nie trzymaj tego w sobie – mówię. – Opowiedz mi. Jesteśmy przyjaciółkami...

Manon pociąga nosem i próbuje nad sobą zapanować. Mała dziewczynka powoli znika za fasadą pozorów.

– Nie tutaj. Nie chcę, żeby ktoś widział, jak się rozklejam.

– W porządku. Chodź! Wiem, dokąd możemy pójść. Nikt tam nie będzie nam przeszkadzał.

W liceum znajduje się pewne miejsce, o którego istnieniu wiemy tylko my. Odkryliśmy je pierwsi i jest to zapewne najlepiej strzeżony sekret naszej małej grupy. Kiedy chcemy mieć spokój, szukamy tam schronienia. Klucz ma na przechowaniu Romain – znalezienie go nie zajęło mi jednak dużo czasu. Tymczasem Léa zaprowadziła tam Manon, która jeszcze nigdy nie była w kryjówce. Spotykamy się na ostatnim podejściu południowych schodów budynku „B”. W godzinach posiłków na piętrach zawsze jest pusto.

Romain szybko się orientuje, że coś jest nie tak, ale nie zadaje Manon żadnych pytań. Kiedy chłopcy wyczuwają, że sytuacja jest poważna, często potrafią się odpowiednio zachować. Romain otwiera klapę szybu wentylacyjnego i zsuwa na dół drabinę.

– Na górze na pewno leży śnieg, zamarzniecie. Nie zapomnijcie o zablokowaniu klapy rękawiczką.

– Dzięki, Romain.

Léa wspina się pierwsza, za nią podąża Manon. Ja zamykam pochód. Taras – właściwie płaski dach – jest jedną wielką połącją śniegu okoloną niebieskim niebem. Pogoda jest cudowna. Górzymy nad okolicą. Można by pomyśleć, że znajdujemy się w ośrodku narciarskim, przed nami zaś rozciągają się trasy zjazdowe. Wieje lekki wiatr, wznosząc tumany śniegowych kryształków, które kłują nas w twarz. Z oddali docierają odgłosy wrzawy na dziedzińcu gimnazjum. Léa wyciąga ramiona i wdycha głęboko powietrze. Manon jest tutaj po raz pierwszy, biorąc jednak pod uwagę jej stan, muszę przyznać, że pozostaje dość zamknięta na magię tego miejsca. Sadowimy się w zakątku osłoniętym od wiatru, na krawędzi szybu wentylacyjnego. Zaczynam:

– Od dawna twoi rodzice się nie dogadywali?

– Bywało nieprzyjemnie od czasu do czasu, ale nie sądziłam, że jest aż tak źle.

– Może to tylko fałszywy alarm – sugeruje Léa. – Moi sąsiedzi mieli się rozwodzić, kiedy jeszcze bawiłam się w piaskownicy, a są razem do dziś. Znam również parę przyjaciół moich rodziców, która cały czas się przekomarza. Za każdym razem gdy przychodzą do nas na kolację, mam wrażenie, że widzimy ich po raz ostatni w związku małżeńskim. Ciągłe sobie coś zarzucają, jak dzieci. Moja mama mówi, że biorą inne osoby na świadków, żeby załatwić swoje porachunki, ponieważ nie są w stanie się porozumieć bez zewnętrznego autorytetu. Być może twoi rodzice przechodzą kryzys i w końcu się uspokoją.

– Chciałabym, żeby tak było, ale nie sądzę, że coś to zmieni. Rozmawiali z nami, nie mogli już bowiem postąpić inaczej. Procedura rozwodowa została zresztą wszczęta. Zauważyłam pisma od adwokatów, ale nie myślałam, że...

Znów płacze.

– Wiecie, co mnie najbardziej dobija? – dodaje po chwili Manon. – Wstyd mi nawet o tym mówić i czuję się jeszcze bardziej przygnębiona. W gruncie rzeczy nie dbam o to, że moi rodzice już się nie kochają. To ich sprawa. Dorastałam jednak w tym domu i lubię życie, jakie w nim więdziemy. Często widuję brata, ponieważ przychodzi na kolację trzy razy w tygodniu. Lubię, kiedy jest w domu. W weekendy, gdy uczę się w swoim pokoju, słyszę, jak tato majsterkuje albo pracuje w ogrodzie. To idiotyczne, lubię jednak czuć ten mój mały świat wokół mnie. Poza tym czasami piekę z mamą ciastka. Wiem, może to głupie, ale to moje życie. A oni je zniszczą tymi swoimi przepychankami. Nic już nie będzie tak, jak było dawniej.

Léa obejmuje ją ramieniem. Potrafi robić takie rzeczy. Ja nie. Szukam w kieszeni chusteczek dla Manon i pytam:

– Wiesz, o co im poszło?

– Nie za bardzo. I nie chcę wiedzieć. Jeśli jedno zdradziło drugie, będę czuła obrzydzenie, ale nie sądzę, że poszło o zdradę. Nie sprawiają nawet wrażenia złych na siebie. Przewrócą moje życie do góry nogami tylko dlatego, że ich własne ich nudzi. Okupię tę historię niezdaną maturą.

Cichy trzask przykuwa moją uwagę. Wyszłam na dach i zapomniałam zablokować klapę. Spoglądam na moje dłonie w rękawiczkach. Zrywam się na równe nogi i biegnę po śniegu aż do wejścia. Gdyby ktoś nagrywał mnie w zwolnionym tempie, na tle niebieskiego nieba i z całym tym sypkim śniegiem, który wzbijam podczas biegu, mogłoby to być uznane za wspaniałą scenę cudownego filmu przygodowego rozgrywającego się na biegunie północnym. To jednak tylko ja, która wpakowałam nas właśnie w niezłe tarapaty.

Kłapa jest oczywiście porządnie zamknięta. Léa prostuje się i woła:

– Co cię napadło, żeby tak biegać? Ukłął cię szerszeń czy co? Za dziesięć minut dzwonek.

– Jesteśmy zamknięte.

– Co proszę?

– Kłapa się zatrzasnęła. Jesteśmy uwięzione na dachu.

Pogrążona w smutku Manon zdaje się tym nie przejmować. Léa podchodzi do mnie i próbuje pociągnąć za aluminiowy uchwyt. Wybuchają śmiechem.

– Śmiesz cię to?

– Świat się nie kończy! Zadzwońmy do Romaina i on nam otworzy.

– Masz jego numer?

– Nie, a ty?

Kręcę przecząco głową. Podchodzi do nas Manon.

– Zimno mi, dziewczyny. Dzięki! Dobrze mi zrobiło wyzalenie się komuś. Schodzimy na dół?

– Nie tak od razu – odpowiada Léa.

– Dlaczego?

– Dlatego, że tu utknęliśmy.

Manon znów zaczyna płakać.

– Zadzwońmy do Axela – mówi Léa. – On znajdzie Romaina.

– Axela nie ma – odpowiadam. – Musiał wrócić do domu.

– Skąd wiesz?

– Powiedział mi to po lekcji fizyki.

Widzę, że Léa ma tik nerwowy. Wygrzebuję telefon i usiłując się nie zarumienić, oświadczam:

– Zadzwoń do Léo. Agent specjalny powinien umieć nas stąd wydostać.

W ciągu dziesięciu minut połowa chłopców z naszej klasy już wie o sprawie. Romain jakby zapadł się pod ziemię, ale każdy wtajemniczony proponuje swoje rozwiązanie. Trzymajcie się, będzie ostro! Jedni sugerują, żeby dawać znaki przelatującym samolotom, inni obiecują, że będą nam wysyłać żywność za pomocą katapulty, Antoine uważa zaś, że gdybyśmy rozpięty kurtki i rzuciły się w pustkę, wylądowałybyśmy na parkingu nauczycieli. Dzięki za pomoc, chłopcy!

Nagle odnoszę wrażenie, że słyszę czyjeś wołanie. Stało się – zwariowałam! Przeczytałam gdzieś, że głód w połączeniu z ekstremalnymi temperaturami może wywoływać ten rodzaj halucynacji. Przed chwilą jednak wstałyśmy od stołu, termometr nie wskazuje zaś nawet zera, przyczyna musi więc leżeć gdzie indziej. Znowu rozlega się głos:

– Halo, panienki!

Głosu nie można zidentyfikować. Znając moje szczęście, okaże się za chwilę, że na dachu mieszka potwór, który wzywa w ten sposób swoje ofiary. Zaproponujemy mu w darze tę spośród nas, której życie jest już i tak zmarnowane. Zanim zdąży pożreć Manon, być może pomoc już do nas dotrze...

– Dziewczyny, słyszałyście? – pytam.

Manon tak głośno wydmuchuje nos, że nie usłyszałyby nawet syreny przeciwmgielnej. Léa nadstawia ucha. Nagle mruży oczy.

– Masz rację. To dochodzi z tej strony...

Podchodzi do krawędzi dachu. Głos wydaje się dobiegać z otwartego okna pod nami.

– Kto tam? – pyta Léa.

– Tu Tibor. To ty, Léa?

– Tak, jestem tu z Camille i Manon.

– Uratuję was.

Spoglądamy po sobie. Nagle dostrzegamy dwa ramiona wysuwające się przez niewielki otwór, na jaki pozwala uchYLENIE okna. Tibor naprawdę stara się wyciągnąć je jak najdalej. Spodziewamy się, że zaraz rzuci nam sznur albo poda tyczkę, ale on woła:

– Skacz, Léa, złapię cię!

Jest już późno, choć jednak jestem zmęczona, nie mogę zasnąć. Rodzice chrapią już od godziny. Lucas również. Kłaczek bawił się ze mną tak długo, jak tylko mógł, ale w pewnej chwili wpełzł pod łóżko w poszukiwaniu kłębka włóczki i już stamtąd nie wyszedł. Uklękałam, żeby sprawdzić, co tam robi, i zobaczyłam, że śpi. Z wyciągniętą łapką, zaledwie kilka centymetrów od swojego celu. Musiał paść jak rażony gromem. Mama opowiada, że to czasami zdarza się małym dzieciom – kiedyś, zwiedzając zoo, runęłam jak długa, tak bardzo byłam zmęczona. Sytuacja bardzo się zmieniła i dzisiejszego wieczoru jestem ostatnią osobą w rodzinie, która jeszcze trzyma się na nogach – samotna, z tyloma pytaniami i niewieloma odpowiedziami.

Znów myślę o tym, co powiedział pan Rossi. Czego oczekuję od życia? Jaki będzie mój wkład w ten świat? Nie patrząc tak daleko, stwierdzam, że byłoby już nieźle, gdybym tylko mogła okazać się przydatna tym, których kocham. Myślę także o Manon i o rozwodzie jej rodziców. Jaka byłaby moja reakcja, gdyby to spotkało naszą rodzinę? Jak to sprawdzić? Wolę się cieszyć, że nie muszę sobie zadawać tego pytania. Podobnie jak Manon bardzo nie chciałabym stąd wyjeżdżać. Byłabym zdolna do wszystkiego, żeby tylko temu zapobiec. Tutaj za dużo rzeczy ma dla mnie znaczenie. Lubię ten dom, wiąże z nim wszystkie wspomnienia, ale tęskniłabym przede wszystkim za ludźmi. Wydaje mi się, że jestem bardziej przywiązana do ludzi niż do miejsc. Gdyby wszyscy, na których mi zależy, przeprowadzili się w inne miejsca, pojechałabym za nimi bez żalu. Mój kraj to moja rodzina i moi przyjaciele, nie zapominając o małym kotku, którego układam właśnie do snu na łóżku, otulonego w bluzę. Kłaczek nie zorientował się nawet, że go przenoszę. Kiedy się obudzi, nie będzie o niczym pamiętał i poświęci się wyłącznie temu, co ma przed sobą. Dla niego liczy się tylko teraźniejszość. Być może na tym polega dziecięca siła. Dzieci myślą tylko o danej chwili, czekając, aż pojawi się przed nimi przyszłość. Starzy ludzie często wspominają przeszłość. Dawniej nigdy o niej nie myślałam. Teraz mi się to zdarza. Czy to znaczy, że jestem już stara?

Pochyliłam się nad śpiącym Kłaczkiem. Uwielbiam te jego małe wąsiki i miękkie długie włoski, które rosną mu w uszach. Teraz, kiedy o tym myślę, przypominam sobie, że wujek Michel również ma małe wąsiki i włosy w uszach, ale jego mnie brzydzą. Jak widać, ta sama rzecz może was odstraszać i rozczulać. Kłaczek porusza łapką. Jest taki uroczy. Czuję się za niego odpowiedzialna. Może dlatego, że go ocaliłam. Coś musi w tym być, odczuwam bowiem odpowiedzialność za wszystkich, których kocham, a przecież nikogo spośród nich nie ocaliłam. Kiedy ojciec opowiadał mi o swojej poprzedniej pracy, mówił, że żeby chronić, trzeba kochać.

Gwałtownie powraca wspomnienie chłopaka, który mi dziś groził. Boję się go. Nie miałam odwagi powiedzieć o tym mamie ani tacie. Wieczorem zresztą trochę się wszyscy troje poprzytykaliśmy, ponieważ ośmieliłam się poskarżyć, że w spiżarni nigdy nie ma ciastek, które mi smakują. Zawsze jest tam mnóstwo grubych biszkoptów, ociekających czekoladą ciasteczek i innych ohydnych przemysłowych specjałów. Są idealne dla Lucasa i dla psa, ale ja, jeśli

zjem choćby połowę czegoś takiego, zyskuję trzy kilogramy. Naprawdę nie jest mi to potrzebne. Odkąd mój ojciec przyjął pracę w centrum handlowym, nie potrafię rozmawiać z nim tak jak dawniej. Chyba mam do niego żal. Jest dyrektorem sekcji ochrony. Nie podoba mi się tego typu praca. Dawniej, kiedy pracował w ochronie ludności, jego zadaniem było ratowanie ludzi. Na jego biurku stało zdjęcie, na którym trzymał mnie, pięcioletnią, w ramionach. Miał na sobie czarno-pomarańczowy uniform, ja zaś się uśmiechałam, ściskając tatę z całych sił. Fotografia leży teraz w szufladzie, a kiedy mnie ktoś pyta o to, co robi mój ojciec, usiłuję wymigać się od odpowiedzi. Nie wiem, dlaczego zmienił pracę. Nikt nigdy mi tego nie wytłumaczył.

Przed oczami staje mi Axel. Lubię o nim rozmyślać. Tak bardzo chciałabym, żebyśmy byli ze sobą bliżej. Regularnie w południe wychodzi ze szkoły i „wraca do domu”. Nigdy nie podaje powodu i zawsze podejmuje decyzję w ostatniej chwili. Często po ostatniej lekcji sprawdza swój telefon i jak najszybciej wychodzi. Wiele dałabym za to, żeby móc przeczytać jeden z tych esemesów, które go tak mobilizują. Jego tajemnice są tym bardziej zaskakujące, że zazwyczaj członkowie naszej grupy mówią sobie wszystko. Czasami myślę, że Axel kłamie – tak naprawdę wcale nie wraca do domu, tylko umawia się z jakąś inną dziewczyną. Przyprawiłoby mnie to o chorobę.

Mój telefon wibruje. Esemes od Manon z zapytaniem, czy śpię.

Nie.

Moi rodzice znowu się kłócili wieczorem. To się staje nie do zniesienia.

Jeśli chcesz, przyjdź kiedyś spać do mnie, odpoczniesz sobie ;)

Miło z Twojej strony. W co się ubierzesz na święto szkoły?

Nie mam pojęcia.

Głaszczę Kłaczka, który nawet nie zdaje sobie z tego sprawy. Jest taki słodki. Nie wiem, gdzie wolę go głaskać – po czubku głowy, w zagłębieniu szyi czy może po poduszeczkach na łapach. Lubię również wsuwać nos za jego uszy. Przed zgaszeniem światła rozglądam się po pokoju. Zastanawiam się, co pomyślałabym sobie o dziewczynie, która tutaj mieszka, gdybym jej nie znała. Jest tu mnóstwo książek – bardzo dużo. Do nauki, ale także sporo powieści. Musi być romantyczką, lubi ponadto historie o podróżach i fantastykę. Na ścianach i meblach kilkadziesiąt zdjęć z przyjaciółmi, z Léą, Axelem, z przyjęcia u Alice, z wyjazdu narciarskiego z klasą. Osoba, która tutaj mieszka, zbiera drobiazgi, które kojarzą się jej ze szczęśliwymi chwilami i wspomnieniami. Porozstawiane, rozwieszane, ułożone w stosy, wyeksponowane. Pudełka, kawałki drewna, kilka makiet, kolaże, a nawet opakowania, które matka na pewno kazała jej wielokrotnie wyrzucić do kosza. Widać także kilka rysunków, zapewne autorstwa jej młodszego brata, lekko poźółkłych, i innych, nowszych dzieł kuzynów. Pod najpiękniejszymi podpisała się Pauline. Jeden z jej ulubionych rysunków przedstawia ją samą siedzącą przed grupą młodych ludzi, którzy tańczą albo rozmawiają. Tak właśnie należy ją postrzegać: jako obserwatorkę. W pokoju znajduje się ponadto wiele pluszowych maskotek, a wśród nich Norbert, wyliniały miś, najstarsza ze wszystkich jej zabawek. Nad biurkiem, na plastikowym trapezie, kołysze się wielka włochata mała w kolorze jaskrawej zieleni – pamiątka z zeszłorocznego jarmarku. Ubrania wiszą na krześle i na wieszaku na drzwiach, niektóre zalegają u stóp łóżka. Większość jest w raczej stonowanych kolorach, nic krzykliwego. Na biurku leżą rozłożone podręczniki. Obok znajdują się stojak na ołówki,

odtworzyć płyt oraz cała masa drobiazgów i gadżetów. Każdy z nich ma swoją historię. Nad nimi, na półce, stoi domek dla lalek, a w nim rodzina małych laleczek siedząca przy stole. Figurki są pokryte cienką warstwą kurzu, zapewne dlatego, że od dawna nikt ich nie używał. Być może nawet od dwóch lat. To prawda, że dziewczyna dorasta i coraz rzadziej się bawi. To samo spotka Kłaczka. Na razie jednak dotyczy jej.

Przyglądam się temu wszystkiemu, usiłując zdobyć się na świeże spojrzenie. Objawia mi się następująca prawda: nie potrafię zdefiniować młodej dziewczyny, która tutaj mieszka. Będę potrzebowała pomocy innych, żeby odkryć, kim jestem.

Moi koledzy to kretyni. Wmówili Inès, że na święto szkoły trzeba przyjść w przebraniu. Nieszczęsna dziewczyna pojawiła się przebrana za księżniczkę – w niewiarygodnej niebieskiej sukni na obręczach, z haftowanym gorsetem, z cudownymi blond włosami upiętymi w misterny kok. Jej matka jest co prawda fryzjerką, ale i tak musiała nad tą fryzurą spędzić całą noc. Młoda dziewczyna z innego stulecia zagubiona we współczesnej scenerii stanowiła naprawdę surrealistyczne widowisko. Istny film science fiction z gatunku „podróże w czasie”. W wypełnionym po brzegi holu, z muzyką w stylu groove i rock w tle, Inès i jej strój à la cesarzowa Sissi usiłują utorować sobie drogę wśród tłumu uczniów, którzy w kontraście z nią wydają się bardzo mdli. Prawdziwe zderzenie stylów. Wierzcie mi, że w naszych czasach suknie tracą coraz bardziej na objętości, szczególnie podczas oficjalnej imprezy, z której wielu ma zamiar skorzystać, żeby kogoś poderwać.

Inès sunie, kierując się wycuciem, w poszukiwaniu Romaina i Antoine’a. Z tego co usłyszałam, jak mamrocze, używając słów znacznie mniej eleganckich niż jej suknia, ma zamiar urwać im głowy i zmusić do pożarcia własnych organów rozrodczych. Technicznie rzecz biorąc, nie będzie to łatwe zadanie, szczególnie w tym stroju. Jej kolczyki, wielkie niczym żyrandole, kołyszają się do taktu. Choć Inès znajduje się na drugim końcu holu, jej fryzura góruje ponad tłumem i pozwala ją zlokalizować. Kogut policyjny jest zbędny. Winni tego nieprzyjemnego dowcipu z pewnością zauważą, kiedy zaczną się do nich zbliżać. Razem z Léą jesteśmy rozdarte między szaleńczym śmiechem a współczuciem. Żadne z uczuć nie zwycięża, na zmianę biorą nad nami górę, co sprawia, że wyglądamy jak idiotki – raz zasmucone, raz rozbawione. Jeśli chodzi o wystrój holu, to trzeba przyznać, że liceum się postarało, ale daleko mu jeszcze do atmosfery modnego lokalu. Niełatwo jest przekształcić miejsce czysto funkcjonalne w zaskakujący przybytek rozrywki. Kilka kolorowych reflektorów oświetla ściany pokryte plakatami informującymi o szkodliwości tytoniu, o antykoncepcji, o klubie teatralnym i o naszej przyszłości – nie wiem, która z tych rzeczy jest najbardziej przerażająca. Bardziej ekstrawaganckie są długie girlandy z kolorowych proporczyków, które rozpięto między ścianami i sufitem na elementach systemu przeciwpożarowego. Cóż za przepych! To takie radosne jak meta biegu w workach w domu starców.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni często słyszałam od różnych osób, że „za żadne skarby świata” nie przyjdą na tę żalną imprezę. A jednak wszyscy tutaj są, jak gdyby się bali, że coś przegapią. Już widzę, jak niektórzy całują się po kątach.

W głębi holu ustawiono estradę. Zwieńcza ją transparent z hasłem „Pięćdziesiąt lat w służbie nauki i rozwoju”. Skąd oni biorą takie slogany? Gdzie szukają tych zdań o niebywalej głębi? Za każdym razem to samo. W skrzętnie ukrywanym sejfie, mającym uniemożliwić kradzież tego niezwykle wyrafinowanego narzędzia, dyrekcja musi trzymać pudełko z różnymi słowami zapisanymi na małych kartonikach, z którego ciągnie losy. Zupełnie jak w przedszkolu. Ułożone na stole, tworzą krótkie, oryginalne i trafne zwroty, na przykład: „Przyszłość powstaje dzisiaj”, „Myślmy życiem”, „Fajnie być uczciwym”, „Razem

budujemy świat”, „Autentyczność nie czeka”, „Dobrze jest sprzątać, jeszcze lepiej nie brudzić”. Skrzyneczka ze słowami i cudowne rezultaty jej użycia są także wykorzystywane przy okazji święta przedsiębiorców, naprawy systemu kanalizacyjnego, sto dwunastych urodzin cioci Jeanine, otwarcia żłobka albo zwodowania nuklearnego lotniskowca. Z miejsca, w którym stoję, niewiele widzę, wydaje mi się jednak, że pod tą wspaniałą deklaracją – na wypadek gdybyśmy wciąż jeszcze byli spragnieni emocji – dodano cytaty: Wzbij się w górę, ptaszku, niebo należy do ciebie. Jérôme Chevillard. Stało się – sens mojego istnienia trafia do innego wymiaru. Nie wiem nawet, jak udało mi się dożyć do dziś, nie przeczytawszy tych słów. Dlaczego ludzie czują się zobowiązani wszędzie umieszczać maksymy? Nigdzie nie jesteście bezpieczni, w każdej chwili możecie trafić na: „Chwytaj życie, jakim jest, i pielęgnuj obecną chwilę”, „Nie chwal dnia przed zachodem słońca” albo „Ludzkość jest solą oceanu tego świata”. Lana powiedziałaaby: „Jest moc!”. Otwieracie powieść, wchodzicie do muzeum, czekacie u lekarza, czytacie *Kacze historie* – i wszędzie znajdujecie złote myśli. Ci, którzy ich używają, wyobrażają sobie zapewne, że dzięki nim sprawiają wrażenie inteligentniejszych, gdy zaś jeszcze słowa te wypowiedział ktoś znany, wówczas cała chwała i cały geniusz tej osoby spłyną na nich. Laozi, Konfucjusz, Oscar Wilde, Talleyrand, Mazarin i Bee Gees służą za intelektualną laskę wspierającą niezliczone próżnie. A gdyby wystarczała sama myśl? Gdybyśmy ograniczyli się do maksym, które robią na nas wrażenie, bez konieczności przypisywania ich komuś znanemu? Albo dlaczego chcąc zbliżyć elity do ludu, nie kazalibyśmy celebrytom mówić zwykłych rzeczy? Admirał Nelson mógłby stwierdzić: „Cholera, znowu zrobiłem sobie dziurę w kurtce”, Attyła zaś: „Spalę tego, kto ponownie zwędzi mi zabawkę niespodziankę z płatków śniadaniowych”. Jeszcze lepiej włożyć w usta Ludwika XIV słowa: „Markiza de Montespan zatkała toaletę peruką, muszę z większym rozmachem rozbudowywać Wersal”. Kiedy będę miała dziewięćdziesiąt lat, moje liczne prawnuki zasiądą zaś kręgiem wokół mnie i będą dopytywać o przełomowe chwile mojego życia, powiem im, że wszystko zaczęło się w dniu, w którym przeczytałam napis na starym prześcieradle: Wzbij się w górę, ptaszku, niebo należy do ciebie. Dziękuję, Jérôme Chevillardzie! Co to właściwie za gość? Gdyby się tak dobrze zastanowić, należałoby uznać, że „Wzbij się w górę, ptaszku” brzmi jak to, co Tibor doradzał Léi, kiedy zostałyśmy uwięzione na dachu.

Na scenę wchodzi grupka uczniów z instrumentami. Rozpoznaję kilkoro. Dołącza do nich dwoje nauczycieli. Jeden dźwiga lśniący saksofon, drugi – gitarę elektryczną. Łącznie ośmioro muzyków. Perkusista atakuje, uderzając trzykrotnie w talerze. Na początek rozbrzmiewa rock'n'roll i już po pierwszych taktach można się zorientować, że zespół świetnie sobie radzi. To, że niektórzy uczniowie ruszają już do tańca, świadczy o tym, że werdykt tłumu jest jak najbardziej pozytywny. Obserwuję tę osobliwą orkiestrę. Chłopak przy klawiszach jest świetny. Kiedyś już go spotkałam na korytarzu – ma olbrzymią grzywkę, która zasłania mu całą górną część twarzy. Nie widać jego oczu. Biorąc jednak pod uwagę jego wirtuozerię, przyznaję, że wcale mu to nie przeszkadza. Dziwne, zawsze wydawał mi się dość rozlazły. Za to teraz, przy klawiszach, wygląda zupełnie inaczej i wydaje się pełen energii. Gra z pozostałymi i sprawia wrażenie szczęśliwego. Właściwie wszyscy wydają się szczęśliwi. Grają razem. Jest coś magicznego w przyglądaniu się tym zwykłym ludziom, którzy przez muzykę przestają być sobą. Każdy używa swojego instrumentu w nieco w inny sposób, ale

przyświeca im jeden cel. Czuję wzruszenie. Ich energia jest zaraźliwa, muzyka unosi wszystkich niczym fala porywająca kąpiących się w oceanie. Lubię patrzeć, jak ludzie współodczuwają. Niestety, po pierwszym muzycznym kawałku pan Tonnerieux, dyrektor, wchodzi na estradę z mikrofonem, który trzyma jak prezydent programu rozrywkowego z ubiegłego stulecia.

– Dzień dobry wszystkim! – zagaja. – Witam w tym szczególnym dniu, mamy bowiem okazję celebrować wspólnie pół wieku istnienia naszej placówki.

Zaczyna składać podziękowania niekończącej się liczbie osób: z akademii i z regionu, następnie nauczycielom i urzędnikom miejskim. Przemawia uroczyście, ale ze wzruszeniem. Najbardziej zaskakujące jest to, że wydaje się szczerzy. Jak on może brać na poważnie swoje przemówienie? Czy my również będziemy kiedyś recytować takie głodne kawałki z podobnym przekonaniem? Jak to możliwe? Jest pewnie w wieku moich rodziców, ale przecież musiał być kiedyś młody. Co takiego spotkało go w życiu, że stał się tym człowiekiem w eleganckim garniturze, o sztywnych ruchach i słownictwie godnym nieudolnie przetłumaczonej z języka niemieckiego instrukcji obsługi kuchenki mikrofalowej? Musiały go porwać istoty z innej planety, wyprać mu mózg i ponownie zaprogramować. Od tamtej pory należy do konspiracyjnej organizacji, której celem jest sprawienie, żebyśmy uwierzyli, że rodzimy się na tym świecie wyłącznie po to, aby płacić składki na cudze emerytury.

Kiedy kończy się przemowa, nieliczne brawa dochodzące z sektora, w którym zgromadzili się nauczyciele i pracownicy szkoły, towarzyszą dyrektorowi schodzącemu ze sceny. Wreszcie można wrócić do poważnych spraw. W ciągu kilku chwil zespół znów poprawia atmosferę i wszyscy ruszają do tańca. Dostrzegam chłopaka, który całuje w rękę Inès i składa wytworny ukłon. Dziewczyna się uśmiecha. Cieszę się z jej powodu. Zaczynają tańczyć. Wielkie obręcze sukni wcale mu nie przeszkadzają w mocnym objęciu Inès. Głośność muzyki zostaje jeszcze nieco zwiększona. Nie sposób już rozmawiać – wszelka niechęć zostaje odrzucona raz, a dobrze.

Tłum dzieli się na dwie części: tych, którzy wyżywają się na parkiecie, i tych, którzy wycofują się na obrzeża holu, żeby zrobić miejsce tym pierwszym. Jeśli o mnie chodzi, ukryłam się za jedną z kolumn. Léo mnie tego nauczył – w razie niebezpieczeństwa, zagrożenia wybuchem lub niekontrolowanego naporu tłumu lepiej stać w pobliżu solidnych struktur, one bowiem są najbardziej wytrzymałe. Opieram się więc o kolumnę i patrzę. Zdyszana Léa zmierza w moją stronę. Krzyczy, żebym ją usłyszała:

– Chodź z nami!

Kręcę przecząco głową.

– Nie bądź taka ponura!

Okopuję się na swojej pozycji. Léa wzrusza lekko ramionami, macha mi ręką na pożegnanie, odwraca się i znika w tłumie. Chyba tańczy z Axelem...

Utwory ciągną się jeden po drugim, ja się jednak nie ruszam. W najlepszym wypadku wybijam rytm nogą. Jeśli mam być szczerą, moje ciało również nieco faluje w rytmie, choć wbrew mojej woli. Patrzę, jak znajomi się bawią. Od czasu do czasu jakiś kolega albo jakaś koleżanka usiłuje wciągnąć mnie do zabawy, ale się nie daję. Przyglądanie się imprezie nie stanowi dla mnie żadnego problemu. Lubię to i wolę patrzeć, niż uczestniczyć. Od czasu do czasu myślę, że chciałabym mieć odwagę lub lekkomyślność tych, którzy się popisują, dając

się ponieść. Niestety, ja nie będę do tego zdolna w tym życiu. Kiedy odrodzę się jako kura, surykotka albo panna Mauretta ze zdjęcia urodzinowego, wtedy będę zdolna do wszystkiego. Zatrącę wszelkie poczucie śmieszności i pozbędę się wstydu. Na razie jednak trzymam się blisko mojej kolumny i otwieram szeroko oczy, jak Kłaczek na widok zaśnieżonego ogrodu. Gdyby Axel mnie zaprosił do tańca, wtedy być może dałabym się przekonać, ale on znajduje się po drugiej stronie holu, pogrążony w dyskusji z Léo i Louisem. Léa regularnie podchodzi do mnie, dotrzymuje mi towarzystwa i opowiada, co się dzieje na parkiecie.

– Adrien i Eva są już chyba parą! Powinnaś to zobaczyć, jest gorąco! Trzeba przyznać, że przy takim zespole i wolnych kawałkach, jakie niedawno nam serwował, aż chce się zakochać. Nie uważasz, że świetnie grają?

– O tak, niesamowicie. Kiedy zamykasz oczy, łatwo uwierzyć, że jesteś na eleganckim przyjęciu wśród wzgórz Hollywoodu, nad basenem, a na twarzy czujesz ciepło ostatnich promieni słońca znikającego w Pacyfiku.

– Myślisz, że na wzgórzach Los Angeles śmierdzi stołówką?

Léa wybucha śmiechem i wraca do tańca. Ładnie wygląda. Nie jest aż tak seksowna jak Vanessa albo Émilie, ale ma dużo wdzięku. Na pewno wyrośnie na piękną kobietę, jak pani Holm, nasza nauczycielka przyrody.

Atmosfera na imprezie sięga zenitu. Zapomnieliśmy już, po co tu jesteśmy – wszyscy doskonale się bawią. Straciłam z oczu Axela. W samym środku jednego z utworów rozlega się saksofonowe solo zapierające dech w piersiach swoją maestrią i nawet najbardziej zapamiętali tancerze odwracają głowy w stronę estrady, żeby zobaczyć, kto tak dobrze gra. To pan Caron, nasz ubiegłoroczny nauczyciel historii i geografii. Jest chyba nieco młodszy od moich rodziców. Gra z zamkniętymi oczyma. Jego palce przebiegają po klawiszach instrumentu z budzącą podziw wirtuozerią. Wszyscy są zaskoczeni, odkrywając, że nauczyciel potrafi tak grać. Połowa dziewcząt z jego klas na pewno się w nim zakocha. Słucham z otwartymi ustami, zafascynowana. Ktoś się do mnie odzywa:

– Rewelacyjna gra, prawda?

Odpowiadam, nie patrząc, kto mnie zagadnął:

– Co ty powiesz!? Oczywiście!

– Chociaż podejmuje ogromne ryzyko.

– Ten kawałek jest bardzo trudny, ale on daje radę.

– Nie utwór jest ryzykowny, tylko granie przed uczniami.

Odwracam głowę, żeby zobaczyć, z kim rozmawiam, i staję oko w oko z panem Rossim, naszym nauczycielem ekonomii. Cofam się gwałtownie. On się uśmiecha i pyta z ironią:

– Uważasz, że jestem aż tak odrażający?

Nie czuję się swobodnie. Być może dlatego, że wyjątkowo nie dzieli nas biurko, a może uważałam, że jestem wśród uczniów. Zastanawiam się, co on tutaj właściwie robi. Odpowiadam bełkotliwie:

– Proszę wybaczyć, chyba zwróciłam się do pana per „ty”...

– W taki dzień jak dziś nie stanowi to dla mnie problemu.

Wskazuje pana Carona, który wciąż na scenie daje z siebie wszystko.

– Ty także jesteś pod wrażeniem.

– Są ku temu powody! Trudno wyobrazić sobie nauczyciela...

Zagryzam wargi. Pan Rossi uśmiecha się szeroko:

– Zamykacie nas w naszej roli. To normalne. Co wy jednak sobie myślicie? Naprawdę sądzicie, że kiedy wychodzicie ze szkoły, my zamieramy za biurkami w oczekiwaniu na wasz powrót następnego dnia rano? Jak w parku rozrywki, w którym wyłączają się maszyny, kiedy nie ma zwiedzających. Wyobrażasz to sobie? Gdybyście wiedzieli... Wystarczy spojrzeć na miny twoich kolegów, kiedy spotykam któregoś z nich w supermarkecie. Szczeka im opada na samą myśl o tym, że nauczyciel także może robić zakupy albo jeść. Już nawet nie mówię, co się dzieje, jeśli na wierzchu koszyka mam papier toaletowy!

– Wolałabym zobaczyć, jak pan gra na harmonijce niż na muszli.

Co ja wygaduję? Momentalnie oblewam się rumieńcem, ale on się śmieje. Chyba nie było tak źle.

– Ty, która zawsze wszystko obserwujesz, co sądzisz o wymieszaniu nauczycieli i uczniów na jednej imprezie? – pyta.

Jestem zaskoczona, że zadajemy sobie to samo pytanie. Waham się z odpowiedzią. Pan Rossi to zauważa.

– Możesz mi powiedzieć prawdę, Camille.

Zastanawiam się chwilę, szukając właściwych słów, aż wreszcie się decyduję:

– Taka mieszanina to dość dziwny pomysł. Piękna idea, ale uważam, że... wbrew naturze.

Powiedziałam zbyt dużo. Pan Rossi unosi brew. Zespół gra już następny kawałek, ale ja nawet się nie zorientowałam.

– Wbrew naturze? – powtarza pan Rossi. – Jak gdyby policjanci i złodzieje bawili się razem? Jak kot i myszy, wieloryb i plankton?

– Mniej więcej.

– Jak sądzisz, skąd się bierze dzieląca nas bariera?

Wzdycham. Nieoczekiwana rozmowa zaczyna schodzić na śliski teren, ja zaś zupełnie nie jestem na to przygotowana. Pan Rossi zauważa moje zakłopotanie i przeprosza gestem dłoni.

– Przykro mi. Nie miałem zamiaru ci przeszkadzać podczas zabawy, rzadko jednak zdarzają się okazje do szczerzej rozmowy. Widzimy się na lekcji, wygłaszam wam swoje teksty, później wszyscy wracamy do swojego świata.

Ma rację. Uśmiecham się do niego i próbuję wyjaśnić:

– Nie chodzi o barierę, tylko o coś innego. Może o różnicę w postrzeganiu życia.

– Bez wątplenia temat wart jest głębszej analizy.

Pan Rossi zerka na hol i dodaje:

– Zostawię cię już. Léa dwukrotnie chciała podejść, ale nie ma odwagi ze względu na mnie.

– Nie szkodzi.

– Oczywiście, że szkodzi! To są twoi przyjaciele. A przyjaciele to świętość! Korzystaj z nich. Ja zmykam. Miło było z tobą porozmawiać.

Przynajmniej raz w miesiącu moja rodzina i rodzina Léi jedzą razem sobotnią kolację. Spotykamy się raz u nich, raz u nas. Dziś wieczorem idziemy do nich. Nie wiem, ile razy już tam byliśmy, ale na pewno mnóstwo. To trochę jak mój drugi dom. Kiedy byłam młodsza, nie licząc własnego domu, tylko tam czułam się na tyle swobodnie, żeby iść do toalety. W tamtych czasach to było bardzo ważne kryterium! Élodie, mama Léi, podaje nam, „dzieciom” kolację wcześniej, podczas gdy dorośli piją aperitif. Chociaż teraz jesteśmy już dość duże, żeby siedzieć z nimi przy stole, wolimy, żeby było jak dawniej. Lubię widzieć ich razem, podczas gdy my się bawimy. Lucas i Julien, starszy brat Léi, wychodzą na piętro, żeby ogłupiać się gramami wideo, tymczasem ja i Léa schodzimy do sali zabaw położonej w przyziemiu, gdzie rozmawiamy i śpiewamy.

Nasi rodzice często żartują, że aby nasze dwie rodziny zbliżyły się do siebie jeszcze bardziej, musiałabym poślubić Julię, Léa zaś powinna wyjść za Lucasa. Oblewam się rumieńcem, a Lucas krzywi się z obrzydzeniem, w które i tak nikt nie wierzy. Żeby mu dokuczyć, Léa podchodzi do niego regularnie i rozmarzonym głosem pyta go na przykład: „Jak się miewa mój piękny i bohaterski przyszły małżonek?”. Lucas, który przecież niełatwo daje za wygraną, bierze wtedy nogi za pas, rzucając na odchodnym granat w stylu: „Zostaw mnie w spokoju, wariatko, mogłabyś być moją babką!”. Za to Julien zawsze okazuje mi życzliwość.

Nasi rodzice nadają na tych samych falach. Nasze mamy chodzą razem na gimnastykę i zdarza im się spotykać również bez nas. Kiedy Christophe, ojciec Léi, potrzebuje pomocy, natychmiast dzwoni do mojego taty. Właściwie to my jesteśmy za to odpowiedzialne, Léa i ja. Bez szkoły, bez naszej przyjaźni, zapewne nie zamieniliby ze sobą ani słowa. To, co mnie najbardziej zaskoczyło, to porozumienie, jakie zapanowało między moim bratem i Julienem. Dzieli ich blisko siedem lat, ale od razu się dogadali. Doszłam do wniosku, że chłopcy mają wrodzony dar porozumienia. Gorzej jest zrozumieć, co ich łączy. Wzajemne męskie zrozumienie jest drobnym ziarenkiem, które często kiełkuje w glebie, która wcale nie pachnie różami! Jakie to piękne. Brzmi niczym cytata z Jérôme’a Chevillarda. Regularnie słyszymy, jak Julien i Lucas wybuchają śmiechem, my zaś nawet nie podejrzewamy, że przyczyna radości nie jest zbyt mądra. Początkowo chłopcy spędzali większą część wieczoru na dokuczaniu nam, ale odkąd Lucas zyskał prawo do korzystania z gier zakazanych poniżej osiemnastego roku życia, poświęcają cały swój czas na niszczenie zombi albo wysadzanie w powietrze czołgów i helikopterów, dzięki czemu już nam nie przeszkadzają.

Kiedy tylko przełknimy posiłek, Léa i ja schodzimy do naszego sekretnego królestwa, które jej ojciec urządził w piwnicy. Mają salę zabaw dwa razy większą od mojego pokoju! Teraz, kiedy Julien już studiuje, rzadko tam przebywa. Miejsce to stało się jakby prywatnym schronieniem Léi. Spędzamy tam całe godziny. Kiedy byłyśmy młodsze, zdarzało nam się tam spać, ale niezbyt często, ponieważ bardzo bałyśmy się pieca, który potrafił włączyć się w środku nocy. Spodziewałyśmy się, że zaraz zobaczymy maniaka z maczetą w masce hokejowej, i nie mogłyśmy już zasnąć.

Léa opada na jeden ze starych, zniszczonych foteli.

– Czego chciał Rossi?

– Niczego. Chyba po prostu miał ochotę pogadać.

– Widziałam was dwoje: on się śmiał, ty byłaś czerwona jak burak.

Chętnie bym jej odpowiedziała, że widziałam, jak tańczy z Axelem, ale to nie byłoby w porządku. Uchylam się więc:

– Ma poczucie humoru.

Siadam w fotelu naprzeciwko niej, z nogami na poręczu. Léa nie spuszcza ze mnie wzroku. Waha się i pyta:

– Powiedz chociaż, że nie podobają ci się staruchy.

– Dlaczego to mówisz? Bo zamieniłam trzy słowa z panem Rossim?

– Był jedynym facetem, z jakim rozmawiałaś podczas całej imprezy.

– Zwariowałaś!

Zmieniam temat:

– A ty co sądzisz o dziewczynie, która na koniec zaśpiewała z zespołem?

– Niezła. Podobało mi się.

– Ja uważam, że ty masz lepszy głos i powinnaś była zgłosić się do zaśpiewania czegoś.

– Śpiewać przed wszystkimi? Chyba żartujesz?

– Masz świetny głos. Radzisz sobie znacznie lepiej niż ona, a popatrz, jaką owację jej zgotowali.

– Za bardzo się boję. Tylko przy tobie jestem w stanie śpiewać, albo jak jestem sama. Nie chcę nawet tego robić przed moją rodziną. Tymczasem co byś powiedziała na mały duet?

Léa lubi piosenki o miłości. Wielką klasykę, hity albo pikantniejsze kawałki, które odkrywam dzięki niej. Za każdym razem to teksty ją wzruszają. Nie bawi się w gwiazdę przy modnych utworach karaoke, przeżywa przejmujące słowa, które zostawiają ślad w jej głosie. Szuka, szpera, tropi. Artystów anglosaskich, zespoły, a nawet kawałki z epoki naszych dziadków. Nie dba o to, czy piosenka jest nowa czy też nie. Ceni sobie emocje, jakie ta w niej budzi, wibracje, jakich jej dostarcza. Podoba mi się to podejście i to dzięki niej odkryłam wiele moich ulubionych obecnie piosenek. Podróże między epokami i stylami pozwoliły nam uświadomić sobie, że nawet trzy pokolenia przed naszym dziewczyny również marzyły o chłopcach, że najpiękniejsze historie miłosne są często najsmutniejsze i że wszyscy szukamy tego samego. Często się zastanawiałam, o kim Léa myśli, śpiewając.

Mamy piosenkę, którą uwielbiamy razem śpiewać – jedyną, w której nie wypadam żałośnie przy Léi: *You're Nobody till Somebody Loves You*. Śpiewali ją Frank Sinatra, Louis Armstrong, Dean Martin i Nat King Cole, a ci, którzy mają choć odrobinę głosu, próbują w niej swoich sił. Wszystkich ich rozumiem. Ta piosenka jest taka prawdziwa. Jesteśmy niczym, dopóki ktoś nas nie pokocha. To jedna z tych drobnych prawd, które podsuwają nam pod nos niektóre filmy i inne dzieła, żebyśmy zrozumieli ten świat i przezwyciężyli narzucone nam przeszkody.

Léa wstaje, żeby podłączyć wieżę, ale nagle zaczyna słać się na nogach i musi oprzeć się o oparcie fotela, żeby nie stracić równowagi.

– Co się dzieje? Źle się czujesz?

– Te cholerne zawroty głowy i nudności... Nie ustępują. Nie mówiąc już o oddechu. Rano

jeszcze działają leki, ale wieczorem...

– Usiądź. Chcesz, żebym ci przyniosła szklanę wody?

– To miłe, ale nie pomoże. Śpiw dobrze mi robi.

Dni wreszcie stają się coraz dłuższe. Najwyraźniej można to zauważyć rano. Za tydzień lub dwa tygodnie nie będziemy już musieli zapalać lampy przy śniadaniu. Powrót światła dobrze nam robi. Nie wpływa jednak pozytywnie na Lucasa, który wciąż poświęca tyle samo czasu na zebranie się. Dziś rozpoczyna dzień, na wpeł śpiąc nad kubkiem letniej czekolady.

– Co ty masz we włosach?

– Nie wiem, ale coś tam musi być, choć mam wrażenie, że to coś wpadło mi do kubka.

Wypija łyk, a ja stwierdzam:

– A teraz to „coś” jest w twoim ciele.

Kłaczek wyszedł do ogrodu razem z Zoltanem. Maluch wciąż spogląda na duże zwierzę zafascynowany. Co prawda jeszcze nie próbuje podnosić nogi na przebiśniegi, widziałam jednak ostatnio, jak próbował coś zakopać, niedawno zaś on i pies biegały za swoimi ogonami. Z dużym zainteresowaniem obserwuję, jak pokonuje osobliwą drogę między tym, co wrodzone, i tym, co wyuczone.

Kiedy już mam wychodzić, słyszę, jak Lucas wydaje z siebie krzyk przerażenia. Wpada jak szalony do kuchni i woła do mamy:

– Mam jakieś robactwo we włosach, zobacz!

Wyciąga rękę z małym skorkiem przebierającym nóżkami. Lucas jest na granicy ataku paniki.

– Musiało mnie to dopaść w garażu, kiedy szukałem rakiety. Ohyda, na pewno to właśnie wpadło mi do mleka! Zagnieździ mi się w płucach!

Mam ochotę zostać i poczekać, aż zacznie błagać, żeby go zawieźć do szpitala, tak jak wtedy, kiedy połknął motyla, jadąc na rowerze, ale nie chcę się spóźnić do szkoły. Powodzenia, braciszku! Pociesz się, że to wartościowe białko.

Kiedy stopniał śnieg, dzielnica dworcowa ponownie zmieniła się w jedno wielkie błotniste pole. Koparki atakują właśnie ostatni stojący budynek, a kierownik budowy znów stoi w tym samym miejscu. Nigdy nie zauważyłam, żeby rozmawiał z którymś z robotników. Zastanawiam się, jaka jest jego rola.

Zbliża się posiedzenie rady pedagogicznej na koniec drugiego trymestru. Napięcie rośnie. Wkrótce koniec przerabiania materiału, zaczną się powtórki. Zauważam Manon, której długie włosy znikły, zastąpione zaskakującą męską fryzurą. Podchodzę do niej:

– Fajna fryzura! Odmieniła cię!

– Nie miałam wyboru. Wczoraj wieczorem, żeby zaprotestować przeciwko kolejnemu seansowi rodzicielskich wygłupów, sięgnęłam po nożyczki i obciąłam sobie włosy na ich oczach.

– O cholera...

– Od razu się uspokoili. Byłam wściekła. Mam już tego dość!

– Swoją drogą, jak na rozwścieczoną, całkiem nieźle się ścięłaś...

– Mama Inès uratowała mnie o jedenastej wieczorem... W przeciwnym razie wyglądałabym dziś jak ocalała z katastrofy lotniczej.

– Moja ty biedna... Podtrzymuję zaproszenie. Przyjdź, kiedy będziesz miała ochotę, możesz dobijać się do drzwi, wołając: „Błagam o azyl!”, a my cię przygarniemy. Niewielka to pomoc, ale płynie ze szczerego serca.

– To miłe z twojej strony, ale mój wybuch chyba dał im do myślenia. Nie odezwali się już przez resztę wieczoru, a rano obiecali, że w trosce o naszą równowagę nie będą rozmawiać o rozwodzie do czasu sprzedaży domu i znalezienia nowego, gdzie będziemy mogli się osiedlić w spokoju. Ja cię proszę...

– Zawsze to chwila ulgi.

– Krótkotrwałej... Wizyty agentów nieruchomości zaczną się od przyszłego tygodnia.

– Obiecuj, że nic już sobie więcej nie obetniesz, gdyby zaczęli na ciebie krzyczyć.

– Jeśli chodzi o włosy, byłoby to trudne, niewiele mi ich zostało.

– Nie okaleczaj się.

– Nie martw się – jestem wybuchowa, ale nie szalona. Jeśli będę musiała coś uciąć, to będą ich głowy!

Ponieważ przyszyliśmy ostatnie, na lekcji języka angielskiego siadamy z Léą w pierwszej ławce. Mimo że miejsce to budzi strach, paradoksalnie okazuje się dobrą pozycją, ponieważ nauczycielka nigdy nie pyta osób z przodu klasy.

– Pospieszcie się, mamy sporo pracy! – popędza tych, którzy ociągają się z wypakowaniem rzeczy.

Ktoś puka do drzwi.

– Proszę wejść! – woła nauczycielka poirytowana.

Drzwi się otwierają, w progu staje zaś zakłopotana dziewczyna prowadząca nieznanego niczym ślepcą, jego głowa jest bowiem uwięziona w dużej metalowej rurze. Spodobałby się nauczycielowi historii – niecodziennie Człowiek w Żelaznej Masce składa nam wizytę. Dziewczyna oświadcza:

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale on mówi, że ma tutaj lekcję. Spotkałam go błakającego się po omacku po korytarzu, nie był w stanie sam znaleźć drogi.

Pani Shelley zwraca się do chłopaka, którego głowa jest wciśnięta w olbrzymią konserwę:

– Proszę mi to natychmiast zdjąć i siadać!

Przewodniczka odpowiada za niego:

– On nie może, utknął...

– Kto jest w środku? – pyta nauczycielka.

– Nie wiem, proszę pani. Muszę już wracać na swoją lekcję.

– Dobrze, proszę zmykać. I dziękuję.

Podchodzi do chłopaka z metalową głową i puka w cylinder.

– Kto tam?

Nie możemy uwierzyć. Zduszony głos odpowiada:

– Tibor.

– Dłaczego mnie to nie dziwi.

Pani Shelley kontempluje przez chwilę zdumiewający obraz, jaki ma przed sobą. Wydaje

się zbita z tropu, ale tylko przez ułamek sekundy, ponieważ uczucie to ustępuje gwałtownemu odruchowi łączącemu przesyty i chęć skończenia z tym wszystkim, rzuca się więc z furią na metalową rurę, usiłując ją zerwać gołymi rękami. Bez powodzenia. Nie zamierza jednak się poddać – wczepia się w nią i ciągnie ze wszystkich sił, pomrukując. Nigdy bym nie podejrzewała, że potrafi poruszać się tak szybko i tak brutalnie. Tibor wrzeszczy w swojej konserwie. Nauczycielka wykazuje się olbrzymią siłą, nieszczęśnik wije się zaś, aby ostatecznie paść na kolana. Przerażony Tibor podnosi się i próbuje uciec, wymachując rękoma, nic jednak nie widzi i wpada na ścianę. Uderzenie roznosi się hukami po klasie, Tibor się odbija, wydając z siebie rozdzierający krzyk.

– Na miłość boską, Tibor! Co ty wyprawiasz w tej rurze?

Chłopak coś mamrocze w odpowiedzi, ale nic nie rozumiemy. Nagle nauczycielka angielskiego woła:

– Ależ to jest stojak na parasole z pokoju nauczycielskiego!

Tibor kiwa potakująco metalową rurą.

– Czy możesz oddychać?

Gestem dłoni Tibor daje znać, że „jako tako”. Léo proponuje swoją pomoc:

– Proszę pani, jeśli pani chce, to mam narzędzie, którym można nawiercić otwór i wpuścić do środka trochę powietrza.

– To miłe, Léo, ale nie wtrącaj się do tej sprawy. Nie chcę, żeby James Bond operował Iron Mana na mojej lekcji. Później porozmawiamy o tym, czym kieruje się uczeń, przychodząc na lekcję w charakterze otwieracza do konserw.

– To nie jest otwieracz, proszę pani, to...

– Nieważne. Niech zajmą się tym zawodowcy. Léa, bądź tak miła i odprowadź kolegę do pielęgniarki.

Nie zobaczyliśmy już Tibora przez resztę dnia. Léa została z nim dłuższą chwilę. Z tego co na razie wiemy, wciąż nie udało się wydobyć go z potrzasku. Założę się, że skończy się na interwencji strażaków. Zastanawialiśmy się, czy nie wysłać mu krótkiej, wspierającej na duchu wiadomości, ale on przecież nie widzi swojego telefonu i tym bardziej nie zdoła odsłuchać naszego przekazu. Mam nadzieję, że nie planował dziś robić sobie zdjęcia do dokumentu tożsamości.

Tego dnia rano Léa jest nieobecna – poddaje się kolejnym badaniom w szpitalu. Wciąż nie rozumieją, dlaczego ma trudności z oddychaniem ani skąd się biorą nawracające zawroty głowy. Martwię się o nią. Za to Tibor wrócił. Ma opatrunki na czubku nosa, na uszach i z tyłu głowy – wszędzie, gdzie tarcie było największe. Vanessa przyjrzała się skaleczeniom z bliska, ale prawie zasłabła. Mówi, że ma otarcia do żywego mięsa. Podobna uwaga z samego rana potrafi spowodować, że żołądek się nam przewraca. Tibor nie wygląda zbyt dobrze. Musiano przeciąć stojak na parasole, żeby go uwolnić. Podchodzę do niego.

– Jak się czujesz?

– Moje rany zagoją się wcześniej niż дума.

Ośmielam się zadać mu pytanie, które nurtuje wszystkich:

– Tibor, jakim sposobem w tym utknąłeś? Mnie możesz powiedzieć. Wiesz, że potrafię dochować tajemnicy.

Odwraca wzrok.

– Może kiedyś o tym opowiem. Na razie jednak to dla mnie zbyt trudne. Z nas dwojga tylko ja przeżyłem. Nieszczęsny stojak na parasole był Bogu ducha winny. I zginął. Muszę nauczyć się z tym żyć.

To jakiś żart czy co? Zaraz zacznę opowiadać, że brali razem udział w wojnie w Zatoce Perskiej i byli jak bracia – on i „nieszczęsny stojak na parasole”. Facet naprawdę ma bzika. Czuję, że zaraz wybuchnę niepohamowanym śmiechem.

Zmieniam temat:

– Skserowałam ci notatki z lekcji, które opuściłeś.

Tibor ponownie się do mnie odwraca. Nie potrafię spojrzeć mu w oczy. Jego mikroskopijny bandaż wokół czubka nosa za bardzo przyciąga uwagę. Wygląda jak Pinokio tuż po wypowiedzeniu największego kłamstwa.

– Jesteś miła, Camille.

Dobrze widzi, że na niego patrzę, i pewnie się zastanawia, dlaczego cała się kulę.

– Wydajesz się przejęta.

Nic nie odpowiadam. To jakiś koszmar. Za chwilę wybuchnę mu śmiechem w twarz, a to go na pewno bardzo zasmuci. Jednocześnie byłoby to mniej niebezpieczne niż eksplodująca aorta, to bowiem właśnie mnie czeka, jeśli nadal będę powstrzymywać szaleńczy śmiech zwiększający ciśnienie krwi. Będziemy uroczo razem wyglądać – ja z krwią tryskającą z aorty i on z maleńkimi opatrunkami przypominającymi oznakowanie pasa startowego.

– Nie martw się – mówi Tibor, ujmując mnie za rękę. – To był tylko przedmiot. Przedmioty nie cierpią tak jak my.

To koniec. Z moich oczu płyną łzy. Znam pewną starą wariatkę, która powiedziałaaby, że stojak na parasole poszedł do rajy dla stojaków na parasole. Nagle w drugim końcu korytarza dostrzegam Laure i Dorianą. Jestem zgubiona. Ich złośliwe języki na pewno opowiedzą całej Ziemi, że widzieli, jak ze łzami w oczach trzymam czule Tibora za rękę, i ogłoszą oficjalnie,

że jestem pierwszą wariatką, która się z nim umówiła!

Przez całe przedpołudnie szukam sposobności porozmawiania z Manon, ale udaje mi się to dopiero na przerwie obiadowej. Kiedy wreszcie znajdujemy się same, od razu przechodzę do sedna:

- Jak się czujesz?
- Raz lepiej, raz gorzej. Powtarzam sobie, że włosy w końcu odrosną – to już coś.
- Twoi rodzice siedzą cicho?
- Na razie tak.

Moje bezpośrednie pytania wyraźnie ją zaskakują. Przygląda mi się podejrzliwie. Ciągnę dalej:

- Na pewno powiedzieli ci, że się nie rozwiodą, dopóki nie sprzedadzą domu?
- Zgadza się. Dlaczego pytasz?
- Myślisz, że dotrzymają słowa?
- Oznajmili to także mojemu bratu i całej rodzinie, zakładam więc, że tak będzie. Gdyby jedno z dwojga nalegało na zmianę ustaleń, drugie skorzystałoby z okazji, żeby rzucić na nie całą winę za katastrofę. Co ci chodzi po głowie? Znam to spojrzenie. Zwykle oznacza, że coś knujesz...

Nie mam czasu na wyjaśnienia. Przerywa nam nagła cisza, jaka zapada w holu, który jest przecież miejscem bardzo uczęszczanym. Urwał się panujący tutaj szum. Wszyscy spoglądają w stronę drzwi wejściowych. Wychylam się, żeby sprawdzić, co się dzieje, i dostrzegam pana Tonnerieux zmierzającego szybkim krokiem w towarzystwie dwóch żandarmów. Najwyraźniej kogoś szukają. Nigdy nie widziałam żandarmów w szkole, sądząc zaś po minach innych uczniów, nie jestem w tym odosobniona. Być może przyszli po Tibora albo – jeszcze lepiej – po dzikusa, który groził mi ostatnio na schodach. Léa mi nie uwierzy, jak jej opowiem.

Wszystkie spojrzenia są utkwione w trzech mężczyznach, którzy przemierzają hol. Pan Tonnerieux zadaje pytanie komuś, kto wskazuje mu drogę. Czuję ucisk w gardle. Znając moje szczęście, pewnie jakiś satelita zlokalizował nas na dachu i wszystkie skończymy w komisariacie albo mój ojciec został zabity podczas napadu. Zaczynam drżeć. Dyrektor i dwaj oficerowie się zbliżają. Na widok chłopców pan Tonnerieux wydaje z siebie okrzyk i rusza prosto w ich stronę. Żandarmi podążają krok w krok za nim. Idą prosto ku Axelowi. Pan Tonnerieux zatrzymuje się przed nim.

- Zapewne wiesz, co tu robią ci panowie?

Axel spuszcza głowę z niewzruszoną miną.

- Gdybyś stawiał się na ich wezwanie, nie przychodziliby aż tutaj. To bardzo kłopotliwa sytuacja zarówno dla placówki, jak i dla ciebie.

Jeden z żandarmów dodaje:

- Dwukrotnie przychodziliśmy do twojego domu, ale nikt tam nigdy nie otwiera.

Drugi rozkazuje:

- Pójdiesz z nami, bez gadania. Nie ma sensu komplikować sprawy.

Axel nie odzywa się ani słowem. Podnosi plecak i odchodzi w towarzystwie żandarmów, odprowadzany pełnymi niedowierzania spojrzeniami wszystkich zebranych w holu. Léo i Louis nawet nie drgnęli. Romain usiłował protestować, ale pan Tonnerieux natychmiast go

powstrzymał. Słyszę, jak za moimi plecami Laura komentuje z ironią:

– A więc jednak pan „bez skazy” nie był aż tak doskonały.

Chichocze. Chyba rozwalę jej łeb.

Nie muszę wam chyba opisywać atmosfery, jaka panowała przez resztę dnia. Wszyscy byli w szoku i zastanawiali się, co się stało. To okropne, ale byłam dość dumna z tego, że większość osób z mojej klasy podchodzi właśnie do mnie, żeby zapytać, dlaczego zgarnęli Axela. Nawet w równie przygnębiających okolicznościach cieszy mnie myśl, że ludzie postrzegają nas jako bliskich sobie. To znaczy głównie dziewczyny, ponieważ chłopcy wypytyują Léo i Louisa. Poza tym nie jestem pewna, czy ktoś podszedłby do mnie, gdyby Léa tutaj była. Tak czy inaczej na każdej przerwie usiłuję dodzwonić się do Axela, który nie odbiera. Wysłałam mu już trzy esemesy.

Léa także nie odbiera. Po lekcjach widzę, że Léo i Louis wychodzą razem ze szkoły. Ruszają prosto przed siebie z ponurymi minami. Doganiam ich.

– Macie jakieś wieści od Axela?

– Nie – odpowiada lakonicznie Léo.

Zazwyczaj jest bardziej rozmowny.

– Proszę was, chłopcy, powiedzcie mi, co się dzieje. Jestem pewna, że coś wiecie.

Nawet się nie zatrzymują. Nie zamierzam jednak się poddać. Wybiegam kilka kroków naprzód i zastępuję im drogę.

– Umieram z niepokoju. Axel zrobił coś złego?

Spojrzenie Louisa podejrzanie lśni. Czyżby płakał albo przynajmniej miał łzy w oczach? Léo wzdycha:

– Camille, na razie nie możemy o tym mówić. Axel nie ma jednak sobie nic do zarzucenia.

– Czyli wiecie, co się stało?

– Nie możemy nic mówić, obiecaliśmy. Axel jest w poważnych tarapatach.

Teraz chyba ja się rozplączę. Wiem, że Léo nie piśnie ani słowa. Nawet torturowany. Szpieg godny tej nazwy niczego nie powie. Ale Louis... On i Axel mieszkają w tej samej dzielnicy. Léo odwraca się do kolegi:

– Muszę już wracać. Zdzwonimy się później. Nie spóźnij się.

Louis kiwa głową i żegna się ze współnikiem. Zostaje z nim sam na sam.

– Proszę cię, Louis, nie zostawiaj mnie tak. Wiesz, ile Axel dla mnie znaczy. Wyobraź sobie tylko: jego zgarnęli, a Léa jest w szpitalu.

– Camille, mogę ci tylko powiedzieć, że Axel nie ma się czego wstydzić. Nie wiem nawet, jak mogli przyjąć i aresztować go tutaj, jak złodzieja, na oczach wszystkich.

– Czy możemy mu jakoś pomóc?

– Nic nie można zrobić. Zresztą obciążą go winą...

Louis urywa. Już powiedział za dużo. Odciągam go na bok.

– Mój ojciec pracował w ochronie ludności. Na pewno ma znajomości. Może mógłby się na coś przydać?

Czuję, że Louis się waha.

– Jeśli Axel się dowie, że ci powiedziałem, będzie miał mi za złe.

Gdyby to nie było nic poważnego, Louis powiedziałyby: „Zabiły mnie”. Ale mówi: „Będzie miał mi za złe”. To musi być coś ważnego.

- Będę milczała jak grób.
- Nic nie mów, nawet Léi.
- Obiecuję.
- To paskudna historia, ale Axel postąpił słusznie.
- Opowiadaj.

– Na osiedlu Axela mieszka pewien stary drań, który wszystkim stwarza problemy. Nieustannie. Nie chce sortować śmieci, przeszkadzają mu źle zaparkowane samochody i dzieciaki, które bawią się pod jego oknami. Tak było od zawsze. Zniszczył nam trzy piłki. Dwa lata temu starał się w merostwie o zmianę nazwy swojej ulicy na „aleję Adolfa Hitlera”, pod pretekstem, że ten był znanym człowiekiem. Uważał, że to niesprawiedliwe i niedemokratyczne, że żadna ulica we Francji nie nosi jego nazwiska. Ludzie go nie znoszą, ale obawiają się jego kolejnych numerów. Łajdak!

Dwa miesiące temu Axel znalazł jednego ze swoich sąsiadów, małego zapłakanego Murzynka, ukrytego w zaroślach. Dzieciak nie chciał iść do szkoły. Axel go uspokoił, wtedy maluch mu zdradził, że pan Mangeain – tak się nazywa ta kanalia – powiedział, że chłopiec jest czarny, ponieważ za mało stara się w szkole, i że nic w życiu nie osiągnie. W przeciwnym razie byłby biały. Dzieciak się załamał. Znasz Axela, poszedł do tego gburą i zrobił mu awanturę. A w zeszłym tygodniu wyrzył swastykę na drzwiach jego samochodu, a ten idiota złożył skargę.

Jestem wściekła, oburzona, zgorziona i... czuję ulgę, dowiadując się, że moja opinia na temat Axela nie musi być podana w wątpliwość. Przeciwnie. Mam ochotę stanąć w jego obronie. Chętnie udusiłabym tego drania Mangeain. W głowie powstają mi już tysiące planów zemsty. Louis kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Nie świruj, Camille. Nikomu o tym nie mów. To poważna sprawa. I nie próbuj nawet mieszać się do tego, Axel byłby wściekły, a ty miałabyś do czynienia ze mną.

Ostrzeżenie jest jasne i powstrzymuje moje fantazje. Sama myśl, że Axel mógłby mieć mi coś za złe, w pełni wystarcza, żebym się uspokoiła.

- Dziękuję, Louis. Axel pewnie się do ciebie odezwie.
- Idziemy z Léo do siedziby żandarmerii i spróbujemy się z nim zobaczyć.
- To mimo wszystko wstrętne, że go zamknęli.
- Takie jest prawo. Axel dobrze wiedział, co robi.
- Może i takie jest prawo, ale to niesprawiedliwe.

– Nie jesteśmy na lekcji filozofii, Camille. To prawdziwe życie i mamy problem. Musimy się postarać, żeby wyciągnąć stamtąd Axela bez szwanku.

– Dlaczego nic nie zrobiliście, kiedy żandarmi go zabierali?

– To nie był odpowiedni moment. Możesz jednak na nas liczyć – nie powiedzieliśmy ostatniego słowa.

Nie mam żadnych wieści ani od Léi, ani od Axela. Możecie sobie wyobrazić, w jakim jestem stanie. Po powrocie do domu nie mogłam skupić się na ćwiczeniach z matmy, cały czas wpatrywałam się w telefon. Nawet wkładając naczynia do zmywarki, nie spuszczałam go z oczu. Kłaczek chyba zrozumiał, że coś nie gra. Kiedy odrabiałam lekcje przy stole w salonie, wskoczył mi na kolana i grzecznie się tam ułożył. Od czasu do czasu spoglądał na mnie, a mnie się zdawało, że czytam w jego oczach: „Nie martw się, jestem tutaj”. Pewnie to sobie wmawiam, co nie zmienia faktu, że kociak zachowuje się dziś inaczej niż zwykle. Jak wiele potrafią wyczuć zwierzęta? Co rozumieją? Zoltan się nie zmienił. Przywitał się radośnie i poszedł za mną do szafy z ciastkami. Ze zgryzoty miałam ochotę coś przekąsić. Nie wiem czemu, ale sądziłam, że po sprzeczce sprzed kilku dni znajdę w niej ciastka, które będą mi bardziej odpowiadać. Wzdycham, odkrywając zawartość szafki. Olej palmowy, tłuszcz, czekolada z mleka w proszku, naleśniki przesycone cukrem, a wszystko to wśród opakowań systematycznie rozpruwanych przez mojego uroczego młodszego brata. Zamykam drzwiczki zde gustowana.

- Nie jesteś głodna? – pyta mama.
- Owszem, ale nie ma nic, na co miałabym ochotę.
- Wiesz, że te zakupy robi tato.
- Właśnie.

Mama siedzi przy stole i zamawia mrożonki. Siadam naprzeciw niej i pytam:

- Masz jakieś wieści o Léi od jej rodziców? Nie mogę się do niej dodzwonić.
- Nie, na razie nic nie wiem. Nagrałam wiadomość Élodie, ale jeszcze nie odpowiedziała.

Wiesz, przy tej liczbie badań, przez jakie Léa musi przejść, i biorąc pod uwagę opóźnienia, mogą wrócić bardzo późno.

Mama podnosi na mnie wzrok.

- Martwisz się?
- No pewnie!

Nie mam odwagi powiedzieć jej o tym, co się przytrafiło Axelowi. Później wyślę wiadomość do Louisa, może się dowiem, czy udało mu się z nim zobaczyć. Poproszę go, żeby go ode mnie ucałował. Gdzie on teraz jest? W więzieniu? Na przesłuchaniu? Nie mogę znieść myśli, że ktoś go o coś obwinia. Byłabym gotowa wziąć winę na siebie, żeby tylko wydostać go z tego koszmaru.

Lucas wychodzi ze swojego pokoju. Rusza prosto do szafki z ciastkami.

- Nie napychaj się teraz, niedługo kolacja.
- Bez obaw. Zawsze znajdę miejsce. Jeszcze nie wynaleziono ciastka, które ugasiłoby mój głód.

Poprawiam go:

- Które nasyciłoby twój głód. To pragnienie się gasi.
- A ty jesteś gęś!

Sięga po naleśnik, zwija go i pochłania na raz. Bierze kolejnego, macha nim przed nosem psa, kładąc mu się prosić. Zoltan wykonuje polecenie, śliniąc się.

– Dobry piesek, dobry piesek!

I oto już ścigają się wokół kanapy. Mój telefon wibruje. Rzucam się w jego stronę. Axel czy Léa?

Léa. Dziękuję mi za wiadomości. Właśnie wróciła, jest wykończona, dzwonił mi się później, a wtedy wszystko mi opowie. Mama mi się przygląda.

– Jakież wieści? – pyta.

– Léa wróciła do domu. Porozmawiamy po kolacji.

Mama się uśmiecha. Od razu czuję się lepiej. Jak daleko sięgam pamięcią, za każdym razem kiedy jestem zmartwiona, ale widzę uśmiech mamy, od razu poprawia mi się nastrój.

Rozmowa z Léą nie trwała długo. Wyczułam w jej głosie zmęczenie. Czeka na wyniki badań, ale zaplanowano już kolejne. Nie potrafiła mi dokładnie wyjaśnić jakie. Wydaje się nieco zagubiona. Opowiedziałam jej, co się przydarzyło Axelowi. Nie zareagowała tak, jak bym się spodziewała, biorąc po uwagę skalę wydarzenia, i zadała niewiele pytań. Pewnie jest za bardzo przejęta własnym zdrowiem. Być może żałuje także, że nie była w tamtej chwili przy Axelu. Nie podzieliłam się z nią tym, co wyjawiał mi Louis. Odczuwam z tego powodu niemal wyrzuty sumienia. Nie mam w zwyczaju zatajać niczego przed Léą. Czuję się tak, jakbym ją zdradzała. Po raz pierwszy.

Ptaki muszą wiedzieć coś, o czym my nie mamy pojęcia. Dziś rano, jeszcze przed pojawieniem się pierwszych promieni słońca, śpiewały już jak szalone, latając wokoło. Zapewne czują zbliżającą się wiosnę. Powietrze jest jeszcze zimne, ale już nie zimowe. Jadę rowerem w stronę domu Léi. Budynek w trakcie rozbiórki nie ma już dachu i fasady. Poszarpane podłogi urywają się w pustce, a stare schody o rozczłonkowanych stopniach i powyginanych poręczach prowadzą ku niebu. Kierownik budowy wciąż tu jest, tym razem jednak zauważam go po drugiej stronie ulicy – siedzi na blaszanej beczce. Ukrył twarz w dłoniach i chyba płacze. Zwalniam.

– Proszę pana, czy wszystko w porządku?

Nie odpowiada. Zsiadam z roweru.

– Jest pan ranny? Mam przyprowadzić jednego z pana robotników?

Mężczyzna rozchyła dłonie. Ku mojemu zaskoczeniu odkrywam mężczyznę znacznie starszego, niż mi się początkowo wydawało. Nosi okulary i rzeczywiście jest zapłakany.

– Dam sobie radę, dziecino – odpowiada słabym głosem. – Miło, że się zatrzymałaś, ale poradzę sobie.

Koparka wczepia się w fasadę z głośnym pomrukiem, wywołując upadek części ściany. Klękam, żeby znaleźć się na wysokości mężczyzny.

– Nie może pan tutaj zostać. Maszyny, kurz, spadający gruz – to niebezpieczne.

Mruży oczy, żeby uchwycić moje spojrzenie. Dostrzegam mieszaninę niedowierzania i zakłopotania. Podnosi oczy na budynek. Jest wzburzony.

– To mój dom! – mówi niemal porywczo.

Jego drżąca dłoń wyciąga się w stronę pięter. Zaczynam rozumieć.

– Mieszkał pan w tym budynku?

– W trzecim mieszkaniu od lewej. Niedługo minie pięćdziesiąt pięć lat. Moja żona i ja wprowadziliśmy się tutaj zaraz po ślubie.

Prostuje się.

– To dlatego od kilku tygodni widuję tutaj pana co rano?

– Przychodzę od czasu naszej eksmisji. Pewnego dnia o świcie pojawiła się policja z komornikiem i wypędzili mnie jak jakiegoś drania. Na szczęście mojej żony już nie było.

Boję się zapytać, gdzie zatem jest. Obawiam się odpowiedzi.

– Krzywdzi się pan, siedząc tutaj.

– Później pójde do żony, ale odwiedziny są dozwolone dopiero od dziesiątej.

Mężczyznę wstrząsa dreszcz. Spóźnię się do Léi, ale nie widzę możliwości zostawienia go tutaj.

– Gdzie pan teraz mieszka? Chyba nie wyrzucili pana na ulicę?

– Umieścili nas w ośrodku na północy miasta. Trzeba jechać autobusem. Nawet żeby kupić chleb i wędlinę, trzeba jechać autobusem. Nie mam odwagi powiedzieć o tym żonie. Jest przekonana, że wróci do domu. Ostatnią rzeczą, jaką mi powiedziała, kiedy zabierało ją

pogotowie, było: „Obiecuj mi, że wrócę tu, żeby umrzeć”.

Wskazuje mi konkretne miejsce w budynku. Ścianę, w którą wciąż jest wczepiony mały kominek. Nie ma już podłogi. Drzwi kołyszają się nad pustką, tapeta z motywem czerwonych splotów jest podarta.

– Pierwszy raz rozpaliliśmy ogień tuż po wprowadzeniu się. Tego samego wieczoru. Chcieliśmy to uczcić. Przyniosłem butelkę szampana, a Claudine przygotowała smaczny posiłek. Patrzyliśmy na tańczące płomienie, wreszcie byliśmy u siebie!

Kominek nie trzyma się już w pionie, zapewne wkrótce runie.

– Dwa dni przed tym, jak zaniemogła, Claudine jeszcze odkurzała gzyms. Popatrzcie tylko! Komornicy dali mi godzinę na zebranie naszych wspomnień. Na spakowanie życia do walizki...

– Nie może pan tutaj zostać. Proszę iść do szpitala. Nawet gdyby musiał pan czekać do dziesiątej w holu, będzie to mniej bolesne niż oglądanie tego widowiska.

– Chłopcy z budowy są mili. Znają mnie już. Widzę, że jest im przykro. Kiedy burzą z tej strony, przepraszają gestem. Wiem, że to ich praca. Nie mają wyboru. Zastanawiam się, czy Claudine zniesie tę wiadomość. I tak jest już słaba...

– Przepraszam pana, ale będę musiała już iść do liceum.

– Ruszaj więc, dziecko! Korzystaj z życia i nie zadręczaj się sprawami starszych ludzi. Dziękuję, że się przy mnie zatrzymałaś.

Nie mam ochoty go zostawiać, ale muszę. Mam wrażenie, że jeśli odejdę, zobaczę go jutro martwego, a wtedy przez resztę życia będę miała z tego powodu wyrzuty sumienia. Kiedy czytamy podobne historie w książkach, uważamy, że są ciężkie i przygnębiające. Nadają się na temat powieści Zoli. Spodobałyby mu się. Nędza i niesprawiedliwość w połączeniu z chorobą. Dorian z pewnością zrobiłby niezadowoloną minę i stwierdził, że to potwornie banalne i stanowi element życia. A jednak człowiek odbiera to inaczej, kiedy styka się z taką historią osobiście. Zanim wsiadłam na rower, uścisnęłam mocno dłonie staruszka. Nie chcę patrzeć mu w oczy, ponieważ na pewno się rozplączę i oboje skończymy w powieści Dickensa.

– Niech pan idzie do żony! Proszę zostać przy niej. Będzie pan musiał w końcu powiedzieć jej prawdę. Nie należy zachowywać tego dla siebie. Jeśli pan chce, zajrzę tutaj jutro rano.

– Masz inne rzeczy na głowie. Zapomnij o mnie.

– To nie będzie możliwe, proszę pana. Nie potrafię zapomnieć o tym, co mi pan powierzył. Do zobaczenia jutro!

Wsiadając na rower, rzuciłam ostatnie spojrzenie na kominek. Wyobrażam sobie tę parę stojącą naprzeciw płomieni, szczęśliwą. Przychodzi mi to bez trudu. Jutro nic już z tego wszystkiego nie zostanie. Ale starszy pan tutaj będzie, ja również tu będę. W każdym razie mam taką nadzieję.

Niektóre dni ciążą bardziej niż inne. Czasami tygodniami nic się nie dzieje, aż nagle, jak gdyby los albo bóg żartowniś chciał przetestować granice waszej wytrzymałości, dostaje wam się w głowę ze wszystkich stron. Nie mam zresztą pewności, czy to głowa jest w moim wypadku najbardziej wrażliwym celem. Za to serce...

Spotkanie z Léą cudownie na mnie zadziało. Padłyśmy sobie w ramiona, jak gdybyśmy nie widziały się od dwóch lat. Miałam łzy w oczach. Usłyszeć jej głos, patrzeć, jak się uśmiecha, dotykać jej włosów. Tuląc ją do siebie, zrozumiałam, jak bardzo się o nią niepokoiłam. W drodze do szkoły zachowywałyśmy się jak dwie wariatki. Jechałyśmy zygzakiem środkiem ulicy, wjeżdżałyśmy na chodniki jak dzieci. Léa goniła nawet z krzykiem gołębia. Szurnięta. Śmiałyśmy się ze wszystkiego i z byle czego.

W szkole czeka mnie kolejny szok: jest Axel! Natychmiast go zauważyłam, między Louistem a Léo, otoczonego uczniami z naszej klasy i kilkoma osobami spoza, głównie dziewczynami. Moim pierwszym odruchem było pobiec w jego stronę. Chyba byłabym nawet w stanie rzucić mu się na szyję, ale nie chciałam przesadzić, szczególnie przy ludziach, więc się nie ruszyłam. Wtedy Léa przejęła inicjatywę.

– Chodź, jest Axel!

I ruszyła naprzód tak, jak ja chciałam to uczynić, pocałowała go, jak ja powinnam była, a on podziękował jej swoim pięknym uśmiechem, którym chciałabym sama zostać obdarzona. Przez to, że za dużo myślę i nie potrafię zdobyć się na odwagę, inni mnie wyprzedzają i w rezultacie skończę sama. Pewnego dnia będę jak ten starszy pan, którego dziś poznałam: sama ze swoimi wspomnieniami i żalami, moje życie zaś rozsypie się w pył jak jego dom. I nagle, mimo że odzyskałam dwoje najlepszych przyjaciół – wolnych i żywych bardziej niż kiedykolwiek – zbiera mi się na płacz. Albo jestem szalona, albo przeklęta. Być może i to, i to. W każdym razie mam duży problem.

Dzień zaczynamy od dwóch godzin matematyki. Doskonała sposobność, żeby oderwać myśli, tym bardziej że pani Serben oddaje nam sprawdzian z zadaniami na poziomie maturalnym, który pisaliśmy w zeszłym tygodniu. Nauczycielka wpadła na okrutny pomysł, żeby rozdać kartki w rosnącej kolejności. Pierwsi wyniki otrzymują uczniowie z najgorszymi ocenami. Nie ma sensu oglądać amerykańskich seriali, żeby poczuć suspens. Przeżyjemy prawdziwy thriller w wersji 3D, z nami w rolach głównych. Producenci nie poskąpili na efekty – ponad połowa bohaterów nie wyjdzie z tego cało. Jedno jest pewne: Tibor zostanie wywołany ostatni, gdyż jak zawsze otrzyma najwięcej punktów. Zdjął już opatrunek z nosa, który jednak nie odzyskał jeszcze swojego normalnego wyglądu. Na czubku widnieje strupek pokryty maścią przyspieszającą zabliznianie się ran, co upodabnia go do czekoladowego minicupcake'a z bitą śmietaną. Przedstawiając to w ten sposób, można by uznać nos za niemal apetyczny, ale przysięgam, że wcale nie wygląda smacznie. Na dodatek ta mała miękka skorupka na jego pyszczku upodabnia go do ryjówki.

Pani Serben kładzie pierwszą kartkę i zaczyna się rzeź. Padają sprawdziany, a wraz z nimi

oceny. Pierwszy koszmar zapowiadający maturę. Nauczycielka na dodatek wykazuje się dużym taktem i ogłasza wyniki na głos. Seria porażek z upokorzeniem w prezencji. Zaczęło się od samego dna, z dwoma punktami na dwadzieścia, następnie wyniki idą nieco w górę. Teraz jesteśmy przy pięciu. Każdy liczy i dedukuje. Co, jeśli zostaną teraz wywołani i dostaną taką samą ocenę na maturze? Ta zabawa, przy udziale współczynników i marginesów bezpieczeństwa, sprawia, że wszyscy ćwiczymy rachunek pamięciowy wysokich lotów. Są wśród nas zawiedzeni, fataliści, protestujący, ci, którzy wykazując się wybitnym talentem, udają, że nic sobie z tego nie robią, i tacy, którzy naprawdę nic sobie z tego nie robią. Ja jeszcze dziś rano wyobrażałam sobie ocenę w okolicy dziesięciu. Dokładnie średnia. Żaden wyczyn, ale również nie katastrofa. Wystarczy, żeby przeżyć. Nauczyciele często mi powtarzają, że brakuje mi ambicji. Jesteśmy przy dziewięciu. Marie z ulgą przyjmuje dziewięć koma siedemdziesiąt pięć. Axel zdobył dla siebie jedenaście koma pięć. Pauline – dwanaście, podobnie jak Léo. Oceny wciąż się pną, nie mogę uwierzyć. Jesteśmy już przy trzynastu. Léa przyjmuje trzynaście i pół i niemal skacze z radości. Szepcze do mnie:

– Pokażesz im, moja droga!

Jej entuzjazm mnie wzrusza, ale mam pewne obawy. Jestem przekonana, że nauczycielka rozda wszystkie sprawdziany, na koniec jednak trafi na mój i, robiąc zaskoczoną minę, przeprosi, że nie umieściła go w odpowiednim miejscu, po czym podetknie mi pod nos sześć punktów. Pani Serben ma w rękach jeszcze tylko kilka kartek. Rusza w stronę sąsiedniego przejścia między ławkami, kładzie czternaście punktów na ławce Antoine'a i wraca w moją stronę. Piętnaście koma pięć! Dostałam piętnaście i pół! Nie wiem, czy będę płakać, krzyżeć, wymiotować czy też wykonam wszystkie te czynności naraz. Chyba jestem dziś nieco rozchwiana emocjonalnie. A jeszcze nie ma dziesiątej...

Na przerwie odszukuję Manon:

– Jak się rozwija sytuacja u ciebie w domu?

– Może być.

Wyczuwam jej podejrzliwość, ale muszę pójść na całość:

– Chciałam cię o coś zapytać. Musisz mi szczerze odpowiedzieć.

– Słucham.

– Czy naprawdę chcesz zostać tutaj do końca roku szkolnego?

– Bardzo by mi to odpowiadało.

– Jesteś gotowa na wszystko, żeby osiągnąć ten cel?

– Jeśli masz zamiar doradzić mi, żebym wyeliminowała rodziców, to już rozważałam tę możliwość, ale to jednak odpada. Wiem, jestem staroświecka, zwykle jednak szanuję obowiązujące zasady.

– Mam mniej zabójczą propozycję. Pomyślałam, że jeśli uda nam się uniemożliwić twoim rodzicom sprzedaż domu, to odniesiesz zwycięstwo.

– Dokończ swoją myśl.

– Wyobraźmy sobie, że za każdym razem kiedy ktoś przyjdzie oglądać dom, będzie wydarzać się coś, co przestraszy lub zniechęci potencjalnych nabywców.

Manon marszczy brwi.

– To bardzo miłe z twojej strony, Camille, ale po pierwsze, nie bardzo widzę, jak byśmy miały to zrealizować, po drugie, to chyba nie są twoje sprawy. Doceniam chęć pomocy, jesteś

dobłą przyjaciółką, wydaje mi się jednak, że ta kwestia dotyczy tylko mnie i mojej rodziny.

To się nazywa zostać usadzonym. Nie wiem, co powiedzieć. Bełkoczę:

– Przepraszam cię, masz rację. Przepraszam. Zapomnij o wszystkim.

Mam ochotę zniknąć, wyparować, zmienić się w małą myszkę i ukryć się w mojej norce. Niezły policzek. Totalny wstyd. Nie czułabym się bardziej zakłopotana, gdybym stała nago, wymalowana na czerwono, pośrodku skrzyżowania. Byłam głupia. Chyba tylko ja wierzę, że takie plany mogą zadziałać. Ludzie nie są tak głupi jak ja, i tym lepiej dla nich. Wielka chwila samotności. Nie zdołam już nigdy spojrzeć Manon w oczy.

Wycofuję się, nie bardzo wiedząc dokąd, ale muszę uciec. Unikam spojrzeń, mam wrażenie, że wszyscy już wiedzą o tym, co się przed chwilą wydarzyło. Wpadam na ludzi i nieustannie przepraszam. Nagle, nie wiem, jakim cudem, staje przede mną Axel.

– Dobrze się czujesz? Masz dziwną minę.

Mimo tego, co musiał znieść w ciągu ostatnich dni, i tak troszczy się o mnie. Miałyby wszelkie powody, żeby się uskarżać, a jednak zwraca uwagę na taką głupiutką gąskę jak ja. Podwójna dawka wstydu z przewagą depresji i tendencji do skulenia się w sobie. Spuszczam wzrok.

– Wiem, że Louis opowiedział ci o wszystkim.

Zaraz roztopię się na miejscu. Jeśli on również zarzuci mi, że mieszałam się w nie swoje sprawy – a miałyby do tego prawo – nie przeżyję tego. Nie dwa razy pod rząd, nie z jego ust. Delikatnym gestem unosi mi podbródek.

– I słusznie postąpił – dodaje. – Proszę cię tylko, żebyś o tym nikomu nie mówiła.

Ośmielam się na niego spojrzeć. Czuję jego ciepłe palce na swojej skórze. Jego zielone oczy, rzęsy, uśmiech. Dodaje:

– Dziękuję ci za wiadomości. Przeczytałem je dziś rano, kiedy oddali mi telefon.

– Pewnie dostałeś ich setki.

– Nie aż tyle, większość zaś miała za cel zdobycie newsa dnia. Wszyscy byli ciekawi, czy jestem dilerem, czy też może zbiegłym przestępcą. Znacznie mniej osób interesowało się tym, jak się miewam.

– Jak to się wszystko odbyło?

– Żandarmi zachowali się w porządku. Starali się załagodzić sprawę. Trzeba tutaj dodać, że znają tego zwierza, wiedzą, do czego jest zdolny. Zastosowali przepisy, ale bez entuzjazmu, na dodatek utrudnili mu trochę życie.

– Co będzie z tobą?

– Przekonali śmiecia do wycofania skargi, ale muszę zapłacić za zniszczenie samochodu. Facet stara się to w pełni wykorzystać. Sądząc po kwocie, jakiej się domaga, chyba chce sobie kupić nowy samochód.

– Koszmar.

– Wolę to niż założenie kartoteki.

– Twoi rodzice mają z czego zapłacić?

Axel zdaje się wahać, w końcu odpowiada:

– Jest tylko mama. I nie ma środków. Z trudem radzimy sobie we dwoje.

– Co zrobisz?

– Nie wiem. Żandarmi dali mi dwa tygodnie na znalezienie rozwiązania. Tymczasem zajmą

się tym draniem.

Teraz ja się waham, ale w końcu ryzykuję:

– Axel, mam trochę swoich pieniędzy. Niewiele tego, ale...

On kładzie delikatnie ręce na moich ramionach i schyla się, szukając mojego spojrzenia.

– Camille, to naprawdę miłe, ale nie. Znajdę rozwiązanie, dzięki któremu nie będę musiał kupować nowego samochodu jakiemuś draniowi za oszczędności ludzi, których kocham.

Co on właściwie powiedział – teraz, przed chwilą?

Nie wiem, czy powiedział to Jérôme Chevillard, ale Einstein, Chaplin i Aleksander Wielki zapisali to na różne sposoby. A jednak to Hyzio, Dyzio i Zyzio nauczyli mnie tego pierwsi: w życiu najlepsze może iść w parze z najgorszym. Choć nie jestem ani kaczką, ani sławą, ani martwa – potwierdzam to. Dziś rano mam spędzić dwie godziny z Bastienem nad zagadnieniem z edukacji obywatelskiej. Bastien często siedzi sam w ławce, ale nie z powodu swojego charakteru. Po prostu ma trudności ze zrozumieniem, że należy – nie licząc wyjątkowych ku temu przeszkód – brać codziennie prysznic. Bastien cuchnie do tego stopnia, że zyskał sobie przydomek skunksa. Niezbyt oryginalne, lecz doskonale dostosowane do tego, co czujemy, kiedy znajdujemy się w jego zasięgu. Wszystkie dziewczyny umierają ze śmiechu na myśl o udręce, jaką będę musiała znieść, z kolei Léa, rozbawiona, udaje, że mdleje z klamrą na nosie. Temat naszych rozważań brzmi: *Czy prawo gwarantuje dobro ogółu?* Każąc nam pracować w parach, nauczycielka chce nas nakłonić do dyskusji i konfrontacji argumentów. Godne pochwały, ale temat ten zasługuje na poświęcenie mu większej ilości czasu, biorąc zaś pod uwagę nasz poziom, może być potraktowany pobieżnie, jako streszczenie przyjętych z góry założeń. W podobnym stylu mieliśmy jeszcze lepsze zadania: „Zdefiniuj elementy mogące przekształcić niewinnego w ofiarę historii”. Spontanicznie miałam ochotę wkleić zdjęcie tej wariatki Inès, ale Marie mnie powstrzymała. Innym razem nauczycielka poprosiła, żebyśmy się zastanowili nad największymi zagrożeniami dla ludzkości – i tym razem miałam zamiar przedstawić szczegółowy portret mojego młodszego brata. Nikt się jednak nie zgodził. Oni naprawdę nie mają świadomości zagrożenia, jakie reprezentuje Lucas. Prawdę mówiąc, mam trudności z braniem tych pytań na poważnie. Są interesujące, ale tak bardzo wykraczają poza nasze umysły. Ten rodzaj tematów kojarzy mi się z dylematami, jakie człowiek roztrząsa, żeby się przestraszyć, i których nigdy nie jest w stanie rozwiązać: „Jesteś z matką i ojcem na pustyni. Oboje rodzice zostają ukąszeni przez kobrę, ty masz tylko jedną odtrutkę. Komu robisz zastrzyk?”. Inès z pewnością wybrałaby węża. Albo: „Wolałbyś stracić wzrok, słuch czy mowę?”. Szczerze, kto musi dokonywać podobnych wyborów? To pseudointelektualna spekulacja, podnieta dla borsuka, bieżnia dla pustej głowy. Nie służy absolutnie niczemu. Jest już wystarczająco dużo prawdziwych problemów do rozwiązywania na co dzień, po co więc gubić się w pozornie pompatycznych zagadnieniach, które nie mają żadnego sensu, oprócz tego, że tworzą iluzję refleksji. Na pewno dobrze jest rozmyślać o wielkich sprawach, spoglądać z dystansu, ale nawet gdybyśmy znaleźli celną myśl, nikt by nas nie wysłuchał, a już na pewno – chyba że ryzykując własne życie – nie mielibyśmy okazji jej urzeczywistnić. Mój ojciec mawia, że „problematyka” to określenie wynalezione niedawno, żeby nadać pompatyczności fałszywym problemom, które tak czy inaczej nie zostaną rozwiązane.

Czy prawo gwarantuje dobro ogółu? Odpowiedź powinna brzmieć „tak” – co do tego zgadzamy się z Bastienem – ale w pewnym momencie, między koncepcją a praktyką, coś musiało wymknąć się nam spod kontroli. Zaczynamy więc od poruszenia kwestii mnożenia się

praw, co szkodzi pierwotnej idei i ich należytemu stosowaniu, wspominamy również o interpretacji poszczególnych sytuacji i o bezstronności wymiaru sprawiedliwości. Nie mogąc znaleźć jedyne rozwiązanie, problematyka ta służy nam do uświadomienia sobie olbrzymiej przepaści, jaka dzieli to, czym prawo być powinno, i to, do czego się je wykorzystuje. Jeśli celem pedagogicznym całego przedsięwzięcia jest jeszcze większe odarcie z wiarygodności naszego świata i tych, którzy powinni nim zarządzać, to został on w pełni osiągnięty. Postawiłam kołnierz jak najwyżej, niczym maskę gazową, żeby zasłonić sobie nos, udając, że zrobiło mi się zimno. Bastien jest tak zadowolony, że ma kogoś przy sobie, że po prostu lepi się do mnie. Moje ubrania są już stracone. Kiedy wrócę do domu, będę musiała je spalić i wziąć odkażający prysznic. Co gorsza użył właśnie mojego długopisu z kolorowymi wkładami. Jestem zmuszona zakopać go pod ziemią, żeby uniknąć rozprzestrzeniania się zapachu. Jeśli za kilka tysięcy lat archeolodzy trafią na niego i go rozkręcą, znajdą wewnątrz liścik od Léi z życzeniami powodzenia. Porównuje mnie w nim do szympansa zamkniętego w inkaskim labiryncie. Powinno to zająć historyków i badaczy na dłuższą chwilę, szczególnie jeśli zapach Bastiena będzie jeszcze wyczuwalny.

Wydaje mi się, że zrozumieliście już, co miałam na myśli, mówiąc o najgorszym, ale pewnie się zastanawiacie, gdzie w tym poranku jest to „najlepsze”. Owszem – jest, i ze względu na ten rodzaj uczuć kocham moją bandę. Żeby pomóc Axelowi, wszyscy postanowili podjąć się drobnych prac i zebrać wymaganą kwotę. Ten rodzaj odruchów wzrusza mnie i przywraca wiarę w naturę ludzką. Oczywiście zawsze znajdzie się Dorian i jego potępiona dusza, Laura, która uzna, że zachowujemy się jak „harcerzyki” i że to „takie proletariackie”, ale my się zupełnie nimi nie przejmujemy.

Dzięki temu reszta dnia mija przyjemnie, Axel zaś wydaje się wzruszony tym gestem solidarności.

Wieczorem, wracając do domu, mijam budynek w rozbiórce. Starszego pana nie ma. Mam z całego serca nadzieję, że jest przy swojej żonie albo w ośrodku. Z piętra, na którym mieszkał, nic już nie zostało. Kominek, drzwi i stare tapety zostały zmiażdżone, znikły wśród sterty szczątków, która wznosi się w miejscu budowli. Chciałabym móc uwierzyć, że nie było go tutaj, kiedy dom legł w gruzach. Nie wiem, w jaki sposób jutro rano mogłabym mu poprawić nastrój. Nie wiem, czy prawo gwarantuje dobro ogółu. Nie wiem, czy Manon mi wybaczy. Nie wiem, jak mogę pomóc Axelowi. Nic nie wiem.

W klasie często to Quentin wpada na najbardziej oryginalne pomysły. W kwestii pomocy Axelowi także poszedł na całość. Sam jeden zbierze blisko dziesięć procent potrzebnej sumy. Przez pięć tygodni będzie prowadził animacje podczas urodzin w pobliskiej burgerowni. Oczywiście do kontaktów z dziećmi menedżer woli młode dziewczęta, ponieważ wykazują się większą cierpliwością i lepiej się prezentują przed rodzicami. Ucieszył się jednak, że udało mu się znaleźć zastępstwo za chorego pracownika, który przebiera się w strój Pana Bobra – firmowej maskotki. Praca jest dość dobrze płatna, zajmuje mu czas tylko w środy i soboty po południu, może także jeść, na co tylko ma ochotę. Jestem pewna, że jeśli opiszę tę pracę mojemu bratu, przestanie marzyć o karierze kierowcy rajdowego albo łowcy głów w Arizonie. Otrzymywanie wynagrodzenia za pajacowanie w stroju wielkiego pluszaka i napychanie się przed i po darmowymi hamburgerami byłyby w jego oczach najlepszą fuchą świata. Zapewne żeby zachować tę cudowną tajemnicę, nikt o sprawie nie rozmawia. Mimo to, kiedy wybija czternasta, kilkoro z nas przychodzi wesprzeć Quentina podczas jego pierwszego popisu.

Marie, Emma i ja sącymy spokojnie koktajle mleczne w głębi restauracji w oczekiwaniu na występ naszego kolegi. Pojawiają się pierwsze dzieci. Są urocze i niosą paczki z prezentami. Przyszły świętować urodziny niejakiego Chayana. Cóż za imię! Ludzie oglądają za dużo amerykańskich seriali. Mam nadzieję, że chłopiec zostanie surferem albo prywatnym detektywem na Hawajach, jeśli bowiem skończy jako inspektor podatkowy w podprefekturze, nie będzie mu łatwo nosić tego imienia. A może podczas każdej inspekcji będzie wyważał drzwi albo roztrzaskiwał okno, żeby następnie przetoczyć się wśród eksplozji. Mamy przyprowadzają małych gości. Często im się spieszy, niektóre zasypują zaś młode pracownice zaleceniami lub nawet groźbami. Inne matki wiszą na telefonach albo tak się spieszą, że zapominają pocałować dziecko na „do widzenia”. Są również takie, które tulą maluchy do siebie, jak gdyby miały ich już nigdy nie zobaczyć. Dzieciak próbuje się wyzwolić i pobiec na zjeżdżalnię, tymczasem matka rozpoczyna przeżywanie dramatycznej żałoby w związku z nieznośną półtoragodzinną nieobecnością. Jak by się zachowała moja matka? Zastanawiam się również, jakie będzie moje podejście, kiedy będę miała dzieci. Mam nadzieję nie spieszyć się za bardzo ani nie być zbyt zaborczą. Któż to jednak może wiedzieć? Za to chętnie powyglupiałabym się na zjeżdżalni razem z nimi.

Przybyły już wszystkie dzieci, a hostessy w czapczkach z daszkiem i w obcisłych podkoszulkach wykazują się fenomenalną energią, żeby odciągnąć gagatków od zabawy i usadzić wokół stołu. Żeby uspokoić maluchy, kładą przed każdym kolorowe paczuszki niespodzianki. Tutaj także można zaobserwować różne zachowania. Jedni, zblazowani, rozrywają papier i wyrzucają natychmiast kolorowanki i gadżety, inni działają metodycznie, z kolei jedna z dziewczynek siedzi przed swoją paczuszką niczym kura na filmie wojennym w wersji 3D. Tak więc Inès ma jednak młodszą siostrę... Kiedy trzy młode dziewczyny usiłują zmusić malców do śpiewu, wychodzi jedna wielka kłapa. Tylko dwoje z dwanaściorga dzieci karnie klaszcze rytmicznie w dłonie. Pozostałe robią, co chcą, jedno nawet koloruje

zapłakaną koleżankę. W obliczu wątpliwego sukcesu tych aktywności całkowicie pokonane hostessy decydują się użyć ciężkiej artylerii – zapowiadają pojawienie się Pana Bobra, który wykona swój słynny taniec. Wymieniamy się spojrzeniami. Oto chwila chwały naszego Quentina. Hostessy skoordynowanym ruchem wskazują służbowe drzwi, które służą również do wynoszenia kubłów ze śmieciami. Rozpoczynają odliczanie z maluchami, które mają z tym pewne trudności, aż nagle w całej restauracji rozlega się muzyka.

Powierzę wam pewien sekret: kiedy byłam małą, chodziłam na tego typu przyjęcia urodzinowe, wiem więc, dlaczego moje ciało i umysł jednoczą się, usiłując o nich zapomnieć. W moich wspomnieniach muzyka była skoczna i zabawna, ale było to w czasach, kiedy stukanie w nocnik uznawałam za muzykowanie i uważałam, że stara pani Cheulot jest śpiewaczką, ponieważ wydierała się w swoim ogrodzie. Patrząc wstecz, uświadamiam sobie, że te piosenki są okropne, i zastanawiam się, czy puszczają je dzieciom, ponieważ naprawdę są dla nich odpowiednie, czy też może prawa do emisji dobrej muzyki są zbyt drogie. Na dodatek wiem, że ta melodyjka zapadnie mi w pamięć i opuści ją dopiero za kilka dni, dokonawszy destrukcji symfonii, uroczych piosenek i niezliczonych przyśpiewek, uznawanych przecież za niezniszczalne.

Drzwi służbowe się otwierają i pojawia się Pan Bóbr. Jest olbrzymi, ma oczy jak piłki, czarny nos i czteropalczaste łapy. Muszę wykonać niemały wysiłek intelektualny, aby uświadomić sobie, że wewnątrz w ten sposób porusza się mój kolega. Nigdy już nie spojrzę na Quentina tak samo. Nie miałam pojęcia, że potrafi aż tak trząść zadkiem. Ciotka Margot ma rację: nie znamy naprawdę ludzi, szczególnie – jak to się mawia elegancko – kiedy chodzi o to, „co potrafią wyczyniać swoją pupą”. Dodam tylko, że to Marie zażartowała na temat płaskiego ogona Pana Bobra. Stwór podchodzi – skutek, jaki wywołuje wśród dzieci, jest natychmiastowy. Maluchy, które są już z nim obeznane, zaczynają odruchowo tańczyć w tym samym rytmie co pluszak, pozostałe przyglądają mu się z niedowierzaniem i fascynacją. Dwoje dzieci ucieka z wrzaskiem, z czego jedno wpada na szybę, której – oślepię paniką – nie zauważyło. Hostessa podnosi rannego malucha, tymczasem dwie inne stają obok Pana Bobra, który daje czadu.

Kiedy dziecko widzi taką postać, nie wie, że w środku jest człowiek. My dziś jesteśmy w innej sytuacji: nie tylko wiemy, że ktoś jest wewnątrz, ale także go znamy. Nie mam już pewności, że Quentin dostał fuchę stulecia. Co dwa roztańczone kroki pozdrawia dzieci, niektóre maluchy tulą się do niego. Ile spośród nich naśliniło na grube uda Pana Bobra? Niektóre dzieciaki go biją, z czego jeden musi być wyćwiczony w karate, uderza go bowiem nogą z półobrotu. Mam nadzieję, że Quentin założył ochraniacz. Nasz przyjaciel jest nowy w tym zawodzie, to jego pierwszy występ, i nie wie, że nie ma prawa odpychać dzieci wielkimi łapami Pana Bobra. Pan Bóbr jest przyjacielem dzieci i nie powinien rzucać pięcioletnimi brzdącami o uśmiechnięte śmietniki pełne tłustych i pustych opakowań.

Hostessy próbują go uspokoić i taniec trwa nadal. Podchodzi jakaś dziewczynka i wyciąga ramiona w stronę maskotki, chcąc ją uścisnąć. Pan Bóbr, pogodzony z naszym gatunkiem od niedawna, poddaje się dziecięcemu uniesieniu. Dziewczynka jest jednak ciężka, kostium również, Pan Bóbr nie jest zaś ekwilibrystą z pekińskiego cyrku.

Kiedy Pan Bóbr rozciągnął się jak długi, czas w restauracji się zatrzymał. Już jednak po chwili pierwsze dziecko ruszyło, żeby go wytarosić, pozostałe zaś podążyły za nim.

Opiekunki na próżno usiłowały odciągnąć maluchy, ale do tego potrzebny byłby wóz pancerny wyposażony w potężne sikawki z wodą i pociski z gazem łzawiącym. Wiedzieliśmy, że Pan Bóbr nie miał prawa wypowiedzieć ani słowa, żeby nie prysła magia, w umowie nie sprecyzowano jednak, że nie może również krzyczeć z bólu. Wśród dziecięcych krzyków, hałasu nieznośnej muzyki, która grała mimo trwającego linczu, i coraz surowszych poleceń opiekunek było słychać wzywającego pomoc Quentina. Zerwałyśmy się, żeby pomóc przyjacielowi, ale nie udało nam się odsunąć dzieci. Zdołałyśmy je tylko przytrzymać, podczas gdy hostessy wywlekały Pana Bobra na zaplecze, ciągnąc go za przednie łapy. Błagam, powiedzcie, że my nie byłyśmy takimi potworami!

Mamy obecnie dwóch załamanych w klasie: Tibora i Quentina. Sądząc po ich minach, mogliby walczyć w finale regionalnym, z dużymi szansami na zdobycie pucharu. Cóż z tego, że przyczyny przygnębienia są dla każdego inne, skoro niektóre symptomy są identyczne: smutna mina, strach przed muzyką, strach przed dziećmi i stojakami na parasole. Lekcja pana Rossiego kończy się za pięć minut. Nauczyciel rzuca w przestrzeń pytanie:

– Kto wie, w jaki sposób pod koniec lat sześćdziesiątych największy światowy producent pasty do zębów zwiększył sprzedaż i zyski o trzydzieści procent?

– Zrobił paście reklamę!

– Jego rozwiązanie tego nie wymagało i było znacznie mniej kosztowne.

– Przekonał ludzi do mycia zębów?

– Dobry pomysł, ale państwo i tak finansowało już kampanie propagujące dbałość o higienę jamy ustnej.

– Rozdawał swoje produkty w prezencie?

– Wcale niegłupie, ale to tylko zwiększyłoby koszty i zmniejszyło zyski.

– Podsunął pomysł, żeby myć zęby trzy razy dziennie?

– Słusznie, ale ten zamysł pojawił się dopiero w latach osiemdziesiątych.

– Proszę powiedzieć! – domaga się połowa klasy.

– Jak dobrze widzieć, że jesteście spragnieni wiedzy!

Pan Rossi rozkoszuje się chwilą, podkreśla efekt warkotem bębna:

– Po prostu zwiększył o jedną trzecią średnicę otworu w tubce. Wykonując ten sam gest, konsument nakładał trzydzieści procent więcej produktu na szczoteczkę i opakowania szybciej się opróżniały.

Wszyscy uśmiechają się i gratulują wyczynu. Rozlega się dzwonek. Pan Rossi podsumowuje:

– Zauważcie jednak, że ta błyskotliwa strategia przynosi zysk sprzedającym, dokonuje się on jednak kosztem kupujących. Akshan Palany powiedziała, że ten sprzedawca pasty zdradził swoją misję. Wykorzystuje tych, którym miał służyć. Niech ta mała anegdota posłuży wam za naukę – bądźcie zawsze czujni. Zastanawiajcie się, dlaczego przedsiębiorstwa albo ludzie postępują tak, a nie inaczej. Czy działają w swoim czy też w waszym interesie? A tak z innej beczki – nie zapomnijcie o przyjrzeniu się zasadom wymiany walut i towarów, w czwartek sprawdzian.

W chwili gdy zamierzam wyjść z klasy, nauczyciel mnie wzywa.

– Camille, podejdź, proszę.

Léa daje mi znak, że poczeka na korytarzu.

– Tak, panie Rossi?

– Słyszałaś pewnie o tej historii z myciem samochodów. Wielu uczniów z klasy podobno oddaje się tej czynności w dni targowe.

– Oni odpowiedzą panu na pewno lepiej niż ja.

– Nie na następujące pytanie: „Co się dzieje?”. Słyszemy, że rozmawiacie o drobnych zajęciach, które pozwolą wam na zgromadzenie pieniędzy. Chodzi o plan na wakacje?

– Wolelibyśmy, żeby tak było, ale to nie to. Zbieramy fundusze, żeby pomóc Axelowi, który ma kłopoty. Gdyby zechciał pan nie nagłaśniać tej sprawy.

– Słyszałem o historii z żandarmami. Piękna postawa z waszej strony.

– Zasłużył sobie na to.

– Ile osób bierze w tym udział?

– Dwanaście.

– Powodzenia. W ramach wsparcia dam swój samochód do umycia.

– Pilnujemy także dzieci. Antoine i Louis oferują utrzymanie ogrodów.

– Pora roku temu nie sprzyja.

– Tibor może również wyprowadzać psy. Rano i wieczorem.

– Nie wiem, czy powierzyłbym swojego psa Tiborowi.

– A co z opieką nad dziećmi?

– Z braku surowca nie jestem odpowiednim klientem.

Wraz z powrotem pogodnych dni kilkoro z nas wykorzystuje przerwy, żeby powygrzewać się w słońcu. Powrót światła dodaje wszystkim energii. Nie przestaję myśleć o starszym panu ze zburzonego budynku. Co rano, kiedy wyłaniam się z ulicy prowadzącej do dzielnicy dworcowej, mam nadzieję go zobaczyć. Nigdy jednak go tam nie ma, niepokoję się więc trochę. Myślałam o odszukaniu go za pośrednictwem jego hospitalizowanej żony, ale nie znam jej nazwiska, w recepcji szpitala powiedziano mi zaś, że sam adres nie wystarczy. Dwa dni temu poszłam nawet porozmawiać z robotnikami na budowie i zapytać, czy któryś z nich może widział go tu od czasu rozbiórki. Operator koparki powiedział mi:

– Nie, nikt go nie widział. A szkoda, ponieważ mamy dla niego niespodziankę. Udało nam się odzyskać obudowę jego kominka. Może by mu to sprawiło przyjemność? Znasz tego staruszka?

– Nie, tylko raz z nim rozmawiałam.

– Za trzy dni opuszczamy teren. Potem wchodzi tutaj ekipa od robót ziemnych. Jeśli mieszkasz w okolicy, masz większą szansę go spotkać. Przekażę ci jego relikwię.

– Jest ciężka?

Zaproponował, że przywiezie mi ją do domu. Co ja z tym zrobię? A jeśli nigdy już nie zobaczę starszego pana?

Tego wieczoru pilnujemy z Emmą dzieci. To najlepszy sposób, jaki znalazłyśmy, żeby wesprzeć akcję gromadzenia funduszy dla Axela. Byłam już babysitterką u sąsiadów, dwa lata temu. Emma również zajmuje się tym regularnie, ale dziś będzie inaczej. Będziemy pilnować dzieci szefowej jej mamy. Jest ich troje, w wieku dwóch, czterech i dziewięciu lat. Wczesnym wieczorem mama zawozi nas pod piękny dom położony na stoku, u stóp parku na wzgórzu. Nieprzypadkowo okolica ta jest nazywana dzielnicą bogaczy. Mieszczą się tutaj olbrzymie rezydencje z gigantycznymi ogrodami. Jako dziecko zostałam kiedyś zaproszona do jednej z tych rezydencji na urodziny koleżanki ze szkoły podstawowej. Ogród był tak duży, że się bałam, że się w nim zgubię. Byłam oszołomiona, ponieważ dziewczynka trzymała u siebie kucyka. Mogła go dosiadać i urządzić sobie przejażdżki, nie opuszczając ogrodu. Kiedy znalazłam się wewnątrz domu, zapytałam, dlaczego w dużym salonie nie ma aneksu kuchennego, służąca odpowiedziała mi wtedy, że to nie jest salon, tylko pokój mojej koleżanki. Po powrocie do domu miałam wrażenie, że mieszkam w szafie. Luksusowy dom, o którym mowa, musi być położony niedaleko tego, przed którym właśnie wysiadłyśmy z samochodu.

– Powodzenia, dziewczynki! Bądźcie miłe dla maluchów. Camille, kiedy rodzice wrócą, zadzwoń na komórkę taty – to on po was przyjedzie.

– Zgoda. Do zobaczenia, mamó! Miłego wieczoru.

Dzwonimy do drzwi. Ogrodzenie jest wzmocnione żywopłotem z bambusa. Nie sposób więc zajrzeć do środka. W oczekiwaniu na odpowiedź przed domofonem sprawdzamy nasze stroje. Emma szepcze:

– Musimy stanąć na wysokości zadania, w przeciwnym razie moja mama mogłaby mieć kłopoty.

– Wszystko będzie dobrze.

Rozlega się kliknięcie i brama się otwiera. Metaliczny głos zaprasza nas do środka. Nie sposób określić, kto przemówił: mężczyzna, kobieta czy przybysz z innej planety. „I zamknijcie za sobą”.

Ciąg reflektorów starannie rozlokowanych wśród roślinności odsłania przed nami alejkę wijącą się między idealnie uporządkowanymi klombami. Na końcu ścieżki biegnącej przez las wyłania się dom rodem z bajki, ze ścianami z muru pruskiego i dachem krytym strzechą, stojący wśród osłaniających go wysokich drzew.

– O cholera, co za chata! – gwizdże z podziwem Emma.

W drzwiach czeka na nas elegancka kobieta, być może nieco tylko młodsza od mojej mamy.

– Wejdźcie szybko, jest tak zimno...

Jest ubrana i wymalowana jak na galę. Jej mąż schodzi po schodach i mimochodem rzuca w naszą stronę „dobry wieczór”. Kobieta pokazuje nam kuchnię, salon i sypialnię na piętrze. Przedstawia nam dzieci. Są wykąpane i w piżamach, „opiekunka już się tym zajęła”. W ciągu kilku minut udziela nam instrukcji.

– Powinniśmy wrócić najpóźniej około pierwszej w nocy. Jakies pytania?

Kobieta i jej mąż odjeżdżają dużym samochodem. Kiedy za pojazdem zamyka się brama, ogarnia mnie osobliwe uczucie. Uświadamiam sobie, że jesteśmy oto odpowiedzialne za ten olbrzymi dom i troje dzieciaków. Dziwnie mi z tym. Nie mamy nad sobą żadnego autorytetu. Jeśli wybuchnie pożar, będziemy musiały zareagować. Jeśli pojawi się złodziej, to my będziemy musiały bronić maluchów. Nie ma nikogo, kto by nam mówił, co mamy robić.

Oczywiście biorę pod opiekę dwoje młodszych dzieci. Charlotte niewiele mówi, Nathan zaś próbuje biegać, ale wyraźnie brakuje mu jeszcze praktyki na schodach. Jestem zaskoczona, widząc, jak szybko zostałam zaakceptowana. Dzieci muszą być przyzwyczajone do opieki obcych. Emma nieco gorzej radzi sobie ze starszą dziewczynką, Sorayą, która na wstępie oświadcza:

– Musisz robić, co chcemy, inaczej powiem mamie.

Zwiedzam dom z najmłodszą w ramionach i chłopcem biegającym wszędzie i strzelającym z pistoletu laserowego. Mam wrażenie, że znów widzę Lucasa, kiedy był mały. Te same odgłosy symulujące strzały, ta sama mimika groźnego twardziela, zapewne podpatrzona na filmach. Nie wiem dlaczego, ale mam także skojarzenia z Kłaczkim, który bawi się w tygrysa przed gniazdkami elektrycznymi w ścianie.

Pomieszczenia są olbrzymie. Zadziwiające uczucie – takie szczegółowe odkrywanie jakiegoś miejsca i jakiejś rodziny, której wcale nie znamy. Lubię zgadywać, jak żyją ludzie, przyglądając się ich domowi. To, co wieszają na ścianach, sposób, w jaki upiększają przestrzeń, styl przedmiotów, zawartość lodówki – wszystko to mówi, jacy są. Przejęłam ten nawyk po ciotce Margot. Kiedyś, dawno temu, byliśmy na rodzinnym obiedzie u jednego z wujków i ciocia zabrała mnie do toalety. Nagle zatrzymała się przed jednym z pomieszczeń, do którego drzwi stały otworem, i oświadczyła:

– Popatrz tylko. Tyle złego gustu na tak małej przestrzeni. Wystarczy zobaczyć norę, żeby poznać, że mieszkają w niej borsuki.

Od tamtej pory nigdy nie przepuszczam okazji, żeby rozejrzeć się po ludzkich norkach. Widziałam ich już wiele: u Léi, u kolegów, u sąsiadów, u rodziny, i zawsze próbuję odczytać, co te miejsca mówią o żyjących tam ludziach. Zastanawiam się, jak wygląda miejsce, w którym mieszka Axel.

Ten dom jest imponujący, majestatyczny. Nic tutaj nie zaśmieca przestrzeni, wszystko leży na swoim miejscu. Powiedziałabym nawet, że każda rzecz stoi w takim miejscu, żeby było ją widać. Muszą podejmować wielu gości. Kanapa jest olbrzymia, stół w jadalni również. Na każdym z wystawionych zdjęć gospodarze są przedstawieni w oficjalnych okolicznościach, w otoczeniu dobrze ubranych i uśmiechniętych osób, albo w pozycjach, które ukazują ich w korzystnym świetle. Żadnych chwil uchwyconych w locie. Każdy przedmiot reprezentuje modne wzornictwo. Najbardziej mnie zadziwia, że na parterze nic nie wskazuje na to, że mieszkają tu dzieci. Jedyne wskazówki: trzy rysunki na lodówce. To wszystko. Jak pomyślę o bałaganie, jaki robimy z Lucasem w naszym bądź co bądź niewielkim domu, stwierdzam, że rodzice udostępniłi nam dużo miejsca.

Posiłek mija bez przeszkód. Dwoje maluchów grzecznie zjada gotowe, odgrzane dania. Bawię się z nimi, a oni wydają się mile zaskoczeni, podoba im się. Za pomocą plastikowego ludzika, którego Nathan przyniósł z pokoju, opowiadam im historię inwazji armii zielonego

groszku na nasz świat. Mała Charlotte nie łapie jeszcze wszystkiego, ale widok brata wybuchającego śmiechem z pełną buzią wprawia ją w radosny nastrój. Emma ma większe trudności ze starszą dziewczynką.

– Za gorące! – narzeka Soraya. – Ta, która nas zazwyczaj pilnuje, nie podaje gorącego jedzenia.

– Wypij trochę wody.

– Nie powinno się pić, jedząc, ponieważ to utrudnia trawienie.

Taka młoda, a już pełna wiedzy i dysponująca szerokim zakresem słownictwa – jakie to urocze. Za dwa lata będzie z pewnością cytowała Jérôme’a Chevillarda.

To dziwne, w jakim tempie ewoluuje uczucie, którym napawa mnie ten dom. Z początku byłam pod wrażeniem, ale teraz zaczynam czuć się nieswojo. Nie żeby miejsce było niezdrowe, ale brakuje mi mojego domu, moich punktów odniesienia, Zoltana, Kłaczka, a nawet Lucasa. Od małego na podstawie rzeczywistych sytuacji potrafię sobie wyobrażać rzeczy równie nieprawdopodobne, co ekstremalne. Na przykład teraz, niemal wbrew własnej woli, zaczynam sobie wyobrażać, że zostanę tutaj do końca życia, moja rodzina wyjedzie beze mnie na drugi kraniec Ziemi, a ci bogaci ludzie stworzą mi nowy dom. Natychmiast ogarnia mnie smutek. Tęsknię za bliskimi i moim małym domem. O tej porze Kłaczek pewnie bawi się ze swoim wielkim włochatym kumplem, Lucas wyleguje się przed telewizorem, ojciec siedzi przy komputerze, a mama wisi na telefonie i rozmawia z koleżankami.

Emma postanowiła pozwolić Sorayi włączyć telewizor. Dziewczynka najwyraźniej nie może uwierzyć własnemu szczęściu. Emma zrobiła to głównie po to, żeby mieć czas na wymianę esemesów z Arthurem. Między nimi trwa wielka miłość. W chwili kiedy wyruszam na górę z parą maluchów, dziewczyny wybierają film na DVD.

– Ten już widziałam. To dla dzidziusiów. Nie, na ten nie mam ochoty...

Powodzenia, Emmo!

Na górze sypialnie są w amfiladzie. To dość przyjemne. Wykładziny i ściany są utrzymane w jasnych odcieniach. W każdym kącie widać pluszowe maskotki o pięknym, nowym futerku, nie jak moje. Dzieci myją zęby w łazience. Charlotte potrzebuje pomocy. Nathan radzi sobie lepiej, trochę dlatego, że odwala chałturę, ale także jego uzębieniu daleko do ideału. Kiedy się uśmiecha, jego dziąsła przypominają mury warownego zamku po gwałtownym ataku: brakuje wielu blank.

– Przeczytasz mi bajkę? – prosi.

– Zgoda. Którą książkę lubisz?

Chłopiec biegnie do półki i przynosi mi album o kosmonautach uwięzionych na pełnej pułapek planecie.

– Jesteś pewien, że tę?

Sądząc po jego lśniącym spojrzeniu i energii, jaką wkłada w kiwanie głową, nie mam już co do tego wątpliwości. Sadowię dzieci między poduszkami i pluszakami i zaczynam czytać. Charlotte bawi się króliczkiem. Nie wiem, czy słucha, ale siedzi blisko nas. Nathan spija mi słowa z ust. Często zadaje pytania:

– Czy to boli, kiedy on umiera?

– Biorąc pod uwagę, że został zdeintegrowany przy użyciu lasera, sądzę, że tak.

– Czy znajdą złych, którzy zastawili pułapki?

– Zapewne w kolejnym tomie, ale w tym raczej nie.

– Chciałbym być z nimi na tej planecie.

Mówi tak, ponieważ siedzi sobie spokojnie w pięknym domu. Miałby inną minę, gdyby zobaczył, jak jego partner zostaje zmiażdżony przez statek kosmiczny niegodziwca, a międzygalaktyczny wirus o dziesięciu odnóżach usiłuje wcisnąć mu się do ust i wziąć w posiadanie jego ciało.

Charlotte zasnęła. Ścisła króliczka tak mocno, że gdyby był żywy, na pewno by się właśnie dusił. Dziewczynka przypomina mi Kłaczka. Urocza, delikatna, ufna, że nikt nie przyjdzie zmać jej snu. Po godzinie czytania oznajmiam Nathanowi, że już pora spać. Marudzi dla zasady, ale wkrótce wykonuje polecenie.

– Wrócisz? – pyta.

– Jeśli twoi rodzice mnie o to poproszą, czemu nie?

– Lubię, kiedy czytasz bajki.

– Dziękuję, to miłe. A teraz do spania!

Całuję go w czoło. Gaszę światła, z wyjątkiem lampki nocnej, i schodzę na dół.

Zastaję salon pogrążony w ciemnościach, rozświetlony jedynie blaskiem rzucanym przez telewizor, którego głos jest ściszony. Widok jest niepokojący. Emma jest zajęta telefonem, Soraya zaś ma wzrok utkwiony w ekran, a na jej twarzy maluje się wyraz przerażenia. Jakiś brutal wrywa właśnie częściowo rozłożone ramię zombie, który pożera kobietę.

– Emmo, co ona ogląda?

Nie podnosząc wzroku znad telefonu, moja koleżanka odpowiada:

– Wszystko już widziała. Nie mogłam jej do niczego przekonać. W torbie miałam DVD, które muszę oddać Benjaminowi, pomyślałam więc: „Dlaczego nie?”. Chyba ją wciągnęło.

– Widziałaś jej minę? Co to za film?

– *Zombie Apokalipsa*, jedynka albo dwójka. W każdym razie nie słyszałam jej od godziny.

Dziewczynka jest zahipnotyzowana sceną, w której żywy trup z wybrakowaną klatką piersiową próbuje zjeść nastolatkę. Nachyliłam się nad małą:

– Sorayo, w porządku?

Nie odpowiada. Przesuwam jej dłonią przed oczyma. Brak reakcji. Jest w stanie szoku.

– Emmo, jesteś naprawdę nienormalna, że pozwoliłaś jej to oglądać.

A ona wybucha śmiechem, odczytując wiadomość tekstową, którą właśnie otrzymała, i odpowiada:

– No co? Nie włączyłam jej najbardziej hardcore’owej części. Tej z telepatycznymi kanibalami. To byłoby chyba za dużo jak na dziecko w jej wieku...

Biorę Sorayę w ramiona i zauważam, że się zsiusiała.

– Emmo, odłóż ten telefon albo go wyrzuć! I wyłącz film. Mamy robotę.

Zombie połyka właśnie piaska należącego do małego chłopca, którego pożarł chwilę wcześniej. Dywan jest do wyrzucenia.

Niewiele spałam tej nocy, ale Soraya chyba jeszcze mniej. Nieszczęsne dziecko, przez najbliższe tygodnie będą jej się pewnie śniły koszmary, a za trzydzieści lat będzie musiała chodzić do psychiatry z powodu żywego trupa jedzącego psy.

Dzień zapowiada się wspaniale. Można by pomyśleć, że już zawitała wiosna. Od tygodnia nie widziałam starszego pana ze zburzonego budynku i muszę przyznać, że powoli tracę nadzieję. Ciekawi mnie, co się z nim stało, ale przygotowuję się psychicznie na to, że nigdy się tego nie dowiem. Nasza sąsiadka mówi, że trzeba umieć pogodzić się z tym, na co nie mamy żadnego wpływu. Być może ma rację. Nienawidzę rezygnować, ale co mogę zrobić innego?

Léa nie wygląda dziś dobrze. Śmieje się z głupot, które jej opowiadam, ale widzę, że robi to z wysiłkiem. Wczoraj wieczorem spotkała się z Axelem. Pracowali razem nad lekcjami, które opuścił.

- On cię o to poprosił?
 - Nie pamiętam, ale było genialnie.
- Czuję ucisk w gardle.
- Byłaś u niego w domu?
 - Nie, on przyszedł do mnie.

Jestem rozdarta między żalem do niego a przekonaniem siebie samej, że za dużo sobie wyobrażam.

W pracowni fizycznej Tibor usiadł w ławce przed nami. Z trudem trzyma się w pionie i kuleje.

- Co ci się stało? Znowu udawałeś kaskadera?
- To przez psy.
- Te, które wyprowadzasz na spacer?
- Tak. Niektóre są miłe, inne nie. Jeden ugryzł mnie w udo, drugi w pośladek.

Wiedząc doskonale, o czym mówi, współczuję mu szczerze.

– Wyprowadzam aż do ośmiu psów jednego wieczoru, a to dość skomplikowane zadanie. Często zwierzęta walczą między sobą, próby ich rozdzielenia bywają zaś ryzykowne. Z kolei te, z którymi chodzę pojedynczo, wyczuwają na mnie zapach innych psów, i to je ekscytuje. Co ja mogę na to poradzić? Nie mogę brać prysznicu i przebierać się między spacerami.

- Właściciele nie zdają sobie z tego sprawy?
- Pani od cocker-spaniela zauważyła, że jej psu brakuje kawałka ucha.

Léa przygląda mu się z rozczuleniem. Sprawia wrażenie, jakby bujała w obłokach. Na próżno się staram – nie zaznam spokoju, dopóki się nie dowiem, co właściwie robiła z Axelem.

Wieczorem zostajemy z Lucasem sami w domu. Nasi rodzice i rodzice Léi idą razem na kolację do miasta. Muszą o czymś porozmawiać. Po raz pierwszy używają tej wymówki. Od

razu budzi to we mnie niepokój. Mam nadzieję, że nie będą rozmawiać o rozwodzie albo, co gorsza, o narodzinach trzeciego dziecka! Lucas rzucił się w wir bezlitosnej walki z Zoltanem. Tarzając się po podłodze, dotarli aż do kuchni. Kłaczek się boi. Wskoczył na plan lekcji i przygląda im się z lękiem. Pies szczeka i udaje, że ucieka, żeby chwilę potem zawrócić. Buty ustawione starannie rzędem w przedpokoju zostały rozrzucone.

– Zapłacisz mi za to! – woła Lucas, rzucając się w pogoń za psem.

Ten macha ogonem i umyka. Kolejna runda. Wołam:

– Twoja kolej nakrywania do stołu!

Ostatecznie stwierdzam, że Nathan sprawiał wrażenie bardziej dojrzałego. Łapię Kłaczka i tulę go do siebie.

– Chodź, kolego. Wyrwę cię z tego piekła.

Około dwudziestej trzeciej rodziców nadal nie ma. Lucas zasnął w ubraniu na łóżku, razem z psem. Zoltan rozłożył się pośrodku, a mój brat skulił na krawędzi. Kiedy widzi się ich w tej pozycji, można się zastanawiać, kto tu jest panem, a kto zwierzęciem domowym.

Jak co wieczór, bawię się trochę z Kłaczkiem. Weszło nam to już w zwyczaj. Kiedy kończę naukę, przed położeniem się spać, drażnię go korkiem na sznurku. Uwielbiam patrzeć, jak drepcze niecierpliwie, gotowy do skoku, z rozszerzonymi źrenicami, na wpół ukryty za moim biurkiem. Uważa się za strasznego kocura. Nie spuszcza korka z oczu, podczas gdy ja poruszam sznurkiem, aż w końcu rzuca się na niego. Nabrał ostatnio precyzji. Za to jeśli najłżejszy odgłos przeszkodzi mu w ataku albo jeśli wydarzy się coś nieprzewidzianego, wtedy czmycha jak mały kociak, którym wciąż jeszcze jest. Uważam, że to słodkie, i przyznam, że często nadużywam tej sztuczki. Uwielbiam wydawać z siebie idiotyczne odgłosy, które go przerażają, w chwili kiedy rzuca się naprzód. Wiem, to wstrętne.

Słyszę sygnał mojego telefonu. Wiadomość od Emmy:

Zostawiłyśmy DVD w czytniku. Jeśli znajdą płytę, jesteście martwe.

Uśmiecham się i odpowiadam:

Nie ma problemu. Jeśli obejrzą film, nie przeżyją tego, a my nie będziemy miały świadków. Czego należało dowieść.

Bardzo śmieszne. Skoczę tam jutro pod pretekstem, że czegoś zapomniałam.

OK

Kłaczek zręcznie ukrył się za kablem od lampy. Wyobraża sobie, że go nie widać, i wpatruje się w tańczący korek z zamiarem odpłacenia mu się za okrutne czyny. W momencie kiedy wykonuje skok, mój telefon znów brzęczy. Robię gwałtowny gest, a przerażony kotek wycofuje się i zaplątuje w kabel. Lampa się przewraca. Udaje mi się pochwycić ją w ostatniej chwili, ale Kłaczek wczołguje się pod łóżko już bez śladu godności.

To wiadomość od Léi:

Jutro nie będzie mnie w szkole. Możesz przyjść po lekcjach na wzgórze? Musimy porozmawiać. Daj znać. Całusy.

Słyszę nadjeżdżający samochód rodziców. Gaszę szybko lampę i kładę się do łóżka. Wiadomość od Léi jest naprawdę dziwna. Nie czuje się na tyle dobrze, żeby przyjść do szkoły, ale chce wędrować po parku? O czym chce ze mną rozmawiać? Mam nadzieję, że nie zamierza zerwać naszego paktu dotyczącego Axela...

Jedną z rzeczy, jakie najbardziej cenię u Léi, jest to, że możemy spędzać razem czas, nie rozmawiając, a mimo wszystko jest nam dobrze. Uświadomiłam to sobie w zeszłym roku. Kiedy będąc młodym, jest się w towarzystwie przyjaciela, cały czas się rozmawia, bez przerwy zamęcza się kogoś, reaguje, śmieje, hałasuje. Boimy się, że jeśli przerwiemy, wszystko się zawali. Boimy się pustki – w pewnym sensie. Żeby ośmielić się milczeć, trzeba zaufać drugiej osobie. Trzeba się przekonać, że nie tylko to, co dajecie, skłania drugą osobę do pozostania, ale także to, kim jesteście. Tego pięknego dnia jednak wcale mi się nie podoba, że Léa i ja idziemy obok siebie bez słowa. Léa chciała się ze mną zobaczyć. Napisała, że musimy porozmawiać, ale nic nie mówi. Od wczoraj zastanawiam się i czekam.

Szłyśmy dobre dwadzieścia minut, żeby wspiąć się na wzgórze. Léa wydaje się w dobrej formie. Nie jest zbyt zdyszana. Do tej pory wymieniliśmy się tylko kilkoma błahostkami. Stoimy teraz u stóp ścieżki prowadzącej na Polanę Jeleni. Sądząc po suchych chwastach, cierniach i gałęziach blokujących przejście, tylko nieliczni zapuszczają się w ten zagajnik. To skrót, który pokazał nam Julien w czasach, kiedy nam towarzyszył. Nasze małe przejście, dzięki któremu możemy unikać uczęszczanych tras. Kiedy chodziłyśmy do przedszkola, polana wydawała nam się bardzo odległym miejscem. Czasami mam wrażenie, że świat się kurczy, w miarę jak ja rosnę. Z polaną łączy nas wiele wspomnień. Tam po raz pierwszy urządziliśmy sobie ze znajomymi biwak. Było genialnie. Wydaje mi się, że to było tak dawno... Byliśmy sami, bez rodziców. Przez pół nocy opowiadaliśmy sobie historie o potworach. Spałam w tym samym namiocie co Léa. Wtuliłyśmy się w siebie, ponieważ chłopcy szurali gałęziami po płótnie namiotu, udając, że atakują nas wampiry. Antoine posmarował się ketchupem i wmawiał nam, że jest ranny. Nawet nie wspomnę, jak oberwał od matki, kiedy ta zobaczyła, w jakim stanie są jego ubrania. Nigdy żaden zombie nie dostał takich cięgow. Uwielbiałam tutaj przychodzić i budować szałas. Lucas spaceruje tu czasami z Zoltanem i kolegami. Odkąd jesteśmy w liceum, rzadko bywamy na polanie, nie licząc oczywiście niektórych par.

Nadchodzi wiosna i pączki na gałęziach niemal już pękają. W miejscach, gdzie ścieżka jest wystarczająco szeroka, idziemy z Léą obok siebie. Od czasu do czasu ona uśmiecha się do mnie, ale nadal nic nie mówi. Kiedy dróżka się zwęża, pozwalam jej iść przodem, zachęcając do podjęcia inicjatywy zarówno w marszu, jak i w rozmowie.

Polana wygląda tak jak w moich wspomnieniach. Może tylko znów wydaje się nieco mniejsza. Otwiera się na południe spektakularnym widokiem obejmującym całe miasto. Na wprost panoramy ustawiono betonową ławkę. W ciągu weekendu miejsce to okupują rodzice z dziećmi, a wieczorami zakochani. W tygodniu o tej porze nie ma tutaj nikogo oprócz nas.

– Usiądziemy? – proponuje Léa.

– Jeśli chcesz.

Wymieniamy uśmiechy, ale wyczuwam jej zakłopotanie. Coraz bardziej obawiam się tego, co Léa chce mi oznajmić. Nie chcę, żebyśmy schodziły w dół z nadwyręzoną przyjaźnią. Gotowa jestem zrobić wszystko, żeby temu zapobiec. Pytanie jeszcze, jakiej przeszkodzie

będę musiała stawić czoło. Léa wzdycha.

Miasto rozciąga się u naszych stóp. Widać liceum, naszą dzielnicę, a nawet centrum handlowe, w którym pracuje mój tato i Pan Bóbr. Zabawne, jak zmieniają się nasze punkty odniesienia. Uświadamiam to sobie, nabierając dystansu. Z początku potrafiłam zlokalizować szkołę podstawową, piekarnię i sklep z zabawkami. Później do tej mapy dołączyły adresy kilku koleżanek i kolegów, burgerownia, kino i basen. Następnie sklepy z ubraniami, poczta, kolejne adresy znajomych. Teraz wszystko tutaj jest, przed moimi oczyma. W miarę jak rosłam, miasto także się powiększało, wzbogacało, różnicowało.

Léa patrzy prosto przed siebie. Zmuszam się, żeby pierwsza nie zacząć rozmowy. W końcu Léa się odzywa:

– Nie uważasz, że to, co się przydarzyło Axelowi, jest oburzające?

– Oczywiście. Świetnie jednak, że wszyscy starają się mu pomóc.

– To prawda, to jest piękne. On potrzebuje wsparcia...

Znów zapada cisza. Wiatr szeleści bezlistnymi gałęziami. Léa ciągnie dalej:

– Uważasz, że uda mu się zebrać potrzebną kwotę?

– Wszyscy robimy co tylko możemy. Jestem dobrej myśli.

Co ona próbuje mi powiedzieć? Do czego zmierza?

– Camille, od jak dawna się znamy?

– Dwanaście albo trzynaście lat...

– Wiesz, że nigdy nie miałam lepszej przyjaciółki od ciebie.

Teraz zaczynam się bać. Jest w ciąży z Axelem. Stąd mdłości i duszności.

– Traktuję cię jak siostrę, moja mama często zresztą mówi, że jesteś jej drugą córką.

Léa patrzy wprost przed siebie. Wydaje mi się, że po jej policzku spływa łza. Nie mam odwagi się odezwać.

– Jak się widzisz za dziesięć albo dwadzieścia lat? – pyta.

– Nie wiem... Skończę studia. Może wyjdę za mąż. Będę miała dzieci. Chyba nie wyjadę nigdzie daleko. Jedno jest pewne – mam nadzieję, że nadal będziemy się przyjaźnić i wciąż będziemy się równie często spotykać.

Léa odwraca głowę i spogląda mi w oczy.

– Rodzice nic ci nie powiedzieli?

– Nie. O czym mieliby mi mówić? Teraz już przestań, zaczynam się bać! Co chcesz mi powiedzieć?

Léa znów przenosi wzrok na miasto.

– Co byś zrobiła, gdyby zostało ci pół roku życia?

– Nie mam pojęcia! Co za głupie pytanie! Chcesz także wiedzieć, jaką książkę zabrałabym na bezludną wyspę?

Zaczynam się złościć, ale ona zachowuje zadziwiający spokój.

– Nie, to już wiem. Camille, miałam spotkanie z lekarzami. Odkryli, co mi dolega. To choroba serca. Bardzo rzadka.

Czuję się jak idiotka, gwałtownie zastopowana w mojej złości.

– To dobrze, że już wiedzą. Będą mogli cię szybko wyleczyć. Co mówią?

– Nie można nic zrobić, Camille. Moje serce bije z coraz większą trudnością. Męczy się, mówią, że twardnieje. Wszystko potoczy się bardzo szybko. Ponownie więc zadam ci to

pytanie, ponieważ będzie mi potrzebna twoja pomoc: co byś zrobiła, gdyby zostało ci sześć miesięcy życia?

Pamiętam doskonale pierwszy raz, kiedy spotkałyśmy się z Léą na tej samej ławce. Zachowałam w pamięci bardzo wyraźne wspomnienie tej chwili, ponieważ ogarnęło mnie wówczas nieznanne uczucie. Po raz pierwszy zobaczyłam wtedy miasto z tak wysoka. Widok szachownicych ulic, małych domów i maleńkich samochodów, które same się przemieszczały w lilipuciej scenerii, był niewiarygodny. Górując nad moim miastem, poczułam się nagle wszechmogąca. Nigdy później już to wrażenie nie wróciło. Za to bezsilności doświadczam regularnie i nie muszę w tym celu stać ani wysoko, ani daleko.

Tamto popołudnie spędziliśmy we czwórkę, chodziliśmy wtedy do pierwszej klasy szkoły podstawowej. Była piękna pogoda i świat leżał nam u stóp. Żeby poczuć się jeszcze więksi, stanęliśmy na ławce, dokładnie w miejscu, gdzie siedzimy dziś wieczorem. Być może w chropowatym betonie zachowały się jeszcze cząsteczki tego, kim wówczas byliśmy.

Mama Léi nam towarzyszyła. Narzekała i chciała, żebyśmy zeszli na ziemię, bała się bowiem, że spadniemy. Mimo to nikt jej nie posłuchał. Byliśmy zbyt zajęci kontemplowaniem naszego królestwa. To Léa wpadła na pomysł zabawy „kto pierwszy dotknie, tego własność”. Każde z nas zamykało jedno oko, żeby lepiej celować, i palcami dotykaliśmy w oddali tego, co chcielibyśmy sobie przywłaszczyć. Ja skierowałam palec wskazujący na sklep z zabawkami, piekarnię, skwer, całą moją ulicę i merostwo. Każdy ogłaszał swoje nowe zdobycze wśród radosnej wrzawy. Léa dotknęła czarnego samochodu, szkoły, swojej dzielnicy i sama nie wiem czego jeszcze. Maxime zdobył stadion, basen, warsztat swojego ojca i połowę budynków państwowych. Nicolas tak mocno mrugał oczyma, że stracił równowagę i spadł z ławki. Jediną rzeczą, jakiej dotknął swoją małą rączką, była stara, zaschnięta psia kupa. W tamtych czasach wszystko było proste. Nasze poważne problemy wcale takie nie były. Daleko nam do nich.

Wystarczyło nam jedno zdanie, żeby nagle wszystko się zmieniło. Znowu siedzimy na ławce. Mogłybyśmy stanąć na niej, a nawet tańczyć jak szalone, nikt by nie kazał nam zejść. Moja ulica już do mnie nie należy, piekarnia nie istnieje, a mimo to mam wrażenie, że między tymi dwoma momentami upłynęło tylko kilka uderzeń serca. Jakie było moje życie zaledwie pięć minut wcześniej? Jak postrzegałam świat, zanim Léa oznajmiła mi, że może umrzeć? Na próżno usiłuję się skupić, nie potrafię sobie tego przypomnieć. Koniec, kropka, uleciało na zawsze. Informacja o jej chorobie zmieniła mnie niczym fala, która zmywa dziecięcy rysunek z plaży.

Dorastałam w przekonaniu, że dorośli są starzy, a my jesteśmy najmłodsi. My z jednej strony, oni z drugiej. Po raz pierwszy wizja ta została podana w wątpliwość, kiedy już nie mnie poproszono o wejście pod stół, żeby rozdać kawałki ciasta migdałowego w Święto Trzech Króli. Moją rolę przejął Lucas. Jemu także trafiła się figurka. Byłam tak zdegustowana, że miałam ochotę uciec z domu. Nagle stałam się nie dość młoda, ale jeszcze nie stara – ot tak, pewnej niedzieli, bez uprzedzenia. Dwa lata później zobaczyłam tę samą minę u Lucasa, kiedy został zdetronizowany z tego wielce zaszczytnego stanowiska przez jednego z naszych małych

kuzynów. Ale i tak dostał figurkę. Cały czas mówi się nam o dorostaniu, o tym, co będziemy robili później. Powtarza się nam, że takie jest życie i trzeba iść naprzód. Nikt nie mówi o chwili, kiedy to wszystko się zatrzyma. Mimo to wszyscy wiemy, że śmierć w końcu zabierze i nas. Zostaliśmy uprzedzeni, powiedziano nam to, znaliśmy nawet ludzi, którzy zmarli. Nas to jednak nie dotyczy. W każdym razie tak nam się wydaje. To takie odległe, że nie chce nam się nawet o tym myśleć. Z trudem wyobrażamy sobie maturę...

Léa już nie płacze. Wbija wzrok w horyzont, za który powoli zachodzi słońce. Zapalają się latarnie, dzielnica po dzielnicę, niemal w tym samym czasie, jak gdyby miasto i jego ulice były tylko dekoracją kolejki elektrycznej, do której François podpiął diody. Przyglądam się Léi. Nie wiem, jak jej pomóc. Wspominałam wam o mojej wielokrotnie stwierdzonej bezsilności. Wariuję z tego powodu. O czym ona w tej sekundzie myśli? Ja mam wrażenie, że zaraz eksploduje mi głowa, ponieważ nie potrafię wbić sobie do niej tej zbyt ciężkiej nowiny. Nigdy nie sądziłam, że może mi zabraknąć któregoś z przyjaciół. A już na pewno nie Léi.

W drodze powrotnej ścieżka jest już pogrążona w ciemnościach i niepewnie stawiamy kroki. Zmierzch służy nam za pretekst, ale to niepokój sprawia, że się potykamy. Wydaje mi się, że chociaż jest zdyszana, Léa czuje się lepiej, jak gdyby podzielenie się diagnozą przyniosło jej ulgę.

Nie chciałam zostawiać jej samej w domu, nawet jeśli była tam jej rodzina. Zostałam na kolację. Élodie i Christophe rozmawiają o błahostkach, jak zwykle, ale na ich twarzach malują się inne emocje niż te, które usiłują wyrazić głosem. Mam ochotę zapytać o chorobę Léi, ale nie mam odwagi. Uczestniczę więc w odgrywaniu komedii. Rozmawiamy o zapiekance z cukinii, o naszych ulubionych filmach, o wybrykach Tibora, o sprawach bez znaczenia, które przestają być interesujące, kiedy zostaje nam tak mało czasu. W głębi duszy jestem przekonana, że lekarze się mylą. Jestem pewna, że Léa wyzdrowieje i niedługo będziemy wspominać ten wieczór jako okropny senny koszmar, z którego się wybudziłyśmy.

Zostałam z Léą do późna. Nie chciała zejść na dół i śpiewać. Nawet nie rozmawiałyśmy za wiele. Ale byłyśmy razem. Wypiłyśmy herbatę ziołową w kuchni, patrząc na siebie. Po raz pierwszy robiłyśmy coś takiego. Léa zażartowała, że tak się zachowują starzy ludzie. W normalnych warunkach ona albo ja dodałybyśmy, że komuś, kto ma niedługo umrzeć, wypada zachowywać się jak starzec. Wybuchłybyśmy śmiechem z beztroską typową dla osób, które czują się bezpieczne. Gdyby to dotyczyło kogoś innego, tak właśnie byśmy się zachowały. Ale nie tym razem. Léa zażyła lekarstwa i stwierdziłam, że było ich bardzo dużo.

Po północy była już bardzo zmęczona i chciała się położyć. Zastanawiałam się, czy nie zostać u niej na noc, stwierdziłam jednak, że lepiej wypocznie sama. W każdym razie nie chciałam się jej narzucać ani wczepiać się w nią, jak gdyby miała nie przeżyć tej nocy. Tato przyjechał po mnie samochodem. Widziałam, że przytula Christophe'a i Élodie, jak to się robi tylko w sylwestra. Élodie odwróciła głowę, żebyśmy z Léą nie mogły zobaczyć jej wzruszenia. Léa odprowadziła mnie do bramy. Mama zawołała za nią:

– Otul się, bo się zaziębisz!

– Jakie to ma znaczenie? – odparła Léa niemal bezgłośnie.

Kiedy miałyśmy się pożegnać, ścisnęła z całej siły moje dłonie. Staralam się nie wykonywać przesadnych gestów, żeby ta chwila wydała się jak najbardziej naturalna. Przecież ona wyzdrowieje, serce zacznie lepiej działać, to tylko trudna chwila to przetrwania. „Dopóki

jest życie, dopóty jest nadzieja”. Nie trzeba znać autora tego cytatu. W każdym znajdzie on swoje echo, z upływem lat coraz silniejsze.

Już na odchodnym Léa szepnęła:

– Nikomu o tym nie mów. Nie chcę, żeby wszyscy wiedzieli. Na razie niech to będzie jeszcze jedną naszą tajemnicą.

Zgodziłam się, nie uświadamiając sobie do końca, o co mnie prosi. Wsiadłam do samochodu. Léa zatrzęsnęła za mną drzwiami. Puściła do mnie oko i pomachała mi palcami, jak dzieci, które się żegnają. Kiedy ruszaliśmy, nadludzkim wysiłkiem woli powstrzymałam się od machania tak energicznie, jak na to miałam ochotę. Muszę pozostać powściągliwa. Patrzyłam na jej postać stojącą na chodniku w świetle latarni ulicznej, aż do chwili, kiedy samochód zakręcił na rogu ulicy. Nie wiem dlaczego, ale wyryłam sobie ten obraz w umyśle: Léa stoi, machając mi ręką na pożegnanie.

Po powrocie do domu nie miałam ochoty z nikim rozmawiać. Potrzebuję побыć sama, żeby zaprowadzić w głowie jako taki porządek, o ile to w ogóle możliwe. Mój umysł przypomina skrzynkę z petardami, w którą trafił piorun.

Życzyłam dobrej nocy rodzicom i od razu ukryłam się w swoim pokoju. Kłaczek spał już od dawna. Korek nie leżał na biurku, lecz w nogach łóżka. Pewnie bawił się nim sam. Patrząc, jak śpi, zastanawiałam się, czy zwierzęta nienależące do naszego gatunku wiedzą, że umrą.

Mama weszła na górę – zapewne chciała porozmawiać, ale nie miałam na to sił, kiedy więc zapukała cichutko, nie odezwałam się. Gdy uchyliła drzwi, udałam, że śpię. Czasami jest nam tak źle, że nie chcemy nawet widzieć ludzi, których kochamy najbardziej na świecie.

Leżąc w ciemnościach, prawie nie zmrużyłam oka. Kiedy docierała do mnie rzeczywistość, płakałam. Przez resztę czasu wmawiałam sobie różne rzeczy, wyobrażałam sobie kuracje medyczne, wizualizowałam nawet wielkie przyjęcie, jakie zorganizowano by z okazji wyzdrowienia Léi. Co dziwne, mimo późnej pory i zmęczenia jedynym miejscem, w jakim miałam ochotę się teraz znaleźć, była szkoła. Z Léą i resztą klasy, w samym centrum życia. Nieczęsto tak się cieszyłam z nadchodzącego świtu.

Tego dnia rano, podczas godziny pracy pozalekcyjnej, pani Labaume z biura kariery zgromadziła nas w pracowni informatycznej na teście, który ma nam pomóc w wyborze zawodu. Siedzimy parami i słuchamy programu.

– Wielu spośród was nie wie jeszcze, na jaki kierunek studiów się zdecyduje, a przecież zbliża się dzień, w którym będziecie musieli podjąć tę decyzję. Wejdźcie na stronę mojaprzyszlaprofesja.com i odpowiedzcie na krótką serię pytań. Program poda wam listę zawodów odpowiadających waszemu profilowi, w zależności od procentu zgodności.

W sali rozlega się stukanie klawiszy. Wszyscy wchodzą na stronę, która wreszcie wyjawia nam, do czego jesteśmy stworzeni. Zastanawiam się, co o tym sądzi Léa. Jak reaguje na wzmiankę na temat swojej przyszłości? Okrutny przypadek chce, że krótko po usłyszeniu diagnozy, która pozostawiła jej zaledwie kilka miesięcy życia, pyta się ją o to, czym będzie się zajmowała za kilka lat.

Źle mi z tym. Nasza tajemnica mi ciąży, szczególnie wobec osób mi bliskich. To, że jestem najlepszą przyjaciółką Léi, wiąże się z tym smutnym przywilejem, chociaż wolałabym nie być jedyną wtajemniczoną. Mimo to rozumiem jej wybór. Nie ma ochoty stawiać czoła reakjom każdego, kiedy ona sama nie wie jeszcze, co o tym myśleć. Jeśli o mnie chodzi, wciąż to do mnie w pełni nie dociera. Jakaś częśćka mnie – żeby nie powiedzieć: całe moje „ja” – nie wierzy. Mam blokadę. Być może tak działa mechanizm samoobronny mojego umysłu. Żeby nie oszaleć, próbuję wyprzeć to, z czym nie mogę się pogodzić i czego nie rozumiem. Mam wrażenie, że wczorajszy wieczór był snem, mglistym majakiem, który wciąż jeszcze czuję na skórze. Bardzo bym chciała, żeby tak właśnie było. Tak czy inaczej, jeśli skupię się obiektywnie na teraźniejszości, muszę przyznać: obie jesteśmy tu i teraz, a Léa żyje. Tylko to

mam siłę zobaczyć. Poprzestanę na tej efemerycznej prawdzie i nie będę myśleć o niczym innym. Otworzę oczy, ale nie będę wybiegać wzrokiem naprzód.

– Zaczynasz test? – pyta Léa.

Na początek trzeba odpowiedzieć na pytania, które zdefiniują mój profil.

Pytanie pierwsze: *Wolisz przemawiać przed stu osobową publicznością czy głaskać zwierzę?*

Czytam ponownie zdanie, żeby mieć pewność, że nie zwariowałam. Nie, wszystko się zgadza. Co to ma być za test? Żadnych innych wyborów? Czy nie można by robić tych dwóch rzeczy naraz – przemawiać do stu osób, głaszcząc jednocześnie zwierzę? Albo czy można głaskać kogoś, przemawiając do setki kotów? Wybieram stawienie czoła słuchaczom i zezwolenie zwierzęciu na podrapanie się samemu. Czyż to nie pech?

Pytanie drugie: *Możesz zarabiać dużą sumę pieniędzy w ciągu krótkiego czasu albo znacznie mniejszą, ale w ciągu całego życia. Którą możliwość wybierzesz?*

Stało się. Występuję w telewizji, w jednym z tych idiotycznych programów. Gdzie są kamery? Do diabła! Mam dziurawą skarpetkę, a trwa właśnie transmisja telewizyjna za pomocą telesatelity! Szczerze – jak mam odpowiedzieć na coś takiego? Tibor powiedziałby, że to błazenada, i miałby rację. Jeśli o mnie chodzi, podjęłam decyzję: żądam zarabiania małej fortuny co miesiąc, i to przez całe życie. Ciekawe, co wywnioskują z mojego profilu. Zakwalifikują mnie jako profesjonalnego gracza w pokera albo pracownicę poczty. Ponieważ trzeba odpowiedzieć, zagrajmy ostrożnie: zarabiać mniej, ale długo.

W sali niektórzy się śmieją, odkrywając pytanie. Pani Labaume poucza nas, a jej głos od razu wskakuje na wysokie rejestry:

– Chodzi o waszą przeszłość! Nie widzę w tym nic śmiesznego!

– To zrób sobie ten test! – rzuca Antoine, naśladując jej głos.

– Kto to powiedział? Kto?

Jej głos jest jeszcze bardziej piskliwy. Nalega:

– Kto sobie pozwolił na taką odzywkę?

Tym głosem, krzycząc tak głośno, mogłaby roztrzaskać kryształowy serwis i pozbawić nas dwóch punktów skali słuchu.

Pytanie trzecie: *Wolisz umyć kogoś nieznanego czy zająć się wystrojem domu?*

Stało się – przenieśliśmy się do innego wymiaru. Prawdziwy życiowy wybór. Byleby się tylko nie pomylić: zakaz przyklepiania tapety na nieznanym, podczas operacji zmiany pieluchy fotelowi w stylu Ludwika XV. Kim są geniusze, którzy wymyślili tę zabawę?

Brniemy do samego końca, ale wszystkie propozycje są na tym samym poziomie. *Wolałbyś być kaczką czy zjeść pokrywą studzienki ściekowej?* Tylko trochę przesadzam. Po wypełnieniu całego kwestionariusza wysyłam formularz i w ciągu niespełna dwóch sekund na ekranie wyświetla się lista zawodów z procentowym wyznacznikiem zgodności. Fascynujące. Wśród zawodów, które pasują do mnie w stu procentach, znajdują się florystka, instruktor żeglarstwa, pomoc pielęgniarska, nurek w skafandrze, hodowca bydła, doradca aktywizacji zawodowej, dyrektor kliniki i kierownik projektu w regionalnym parku przyrodniczym – pewnie chodzi o faceta, który nuci kołysanki świstakom w okresie hibernacji. Trzeba skończyć przynajmniej cztery lata studiów, żeby móc usypiać świstaki. Na pewno, zdarza się bowiem, że zanim zasną, zadają – jak dzieci – trudne pytania: „Ile jest gwiazd?”, „Skąd się bierze

wiatr?” albo „Dlaczego jest Bóg?”. Kierownik projektu powinien znać się na rzeczy, w przeciwnym razie świstaki wpadają w depresję i lądują u KPPPZPZF – Kierownika Projektu w Parku Przyrodniczym do spraw Zaburzeń Psychologicznych Zwierząt Futerkowych.

Lista zawodów ciągnie się w nieskończoność. Dziękuję bardzo, fantastyczna strono! Dzięki tobie wreszcie znalazłam swoją drogę na tym świecie, moi koledzy również, sądząc po radosnych uśmiechach, jakie rozjaśniają ich twarze. Kiedy tylko pomyślę, że poprzednio byliśmy tacy zagubieni! Ale ten czas minął! Wszystko się wyjaśnia. Nasza przyszłość jaśnieje blaskiem! Chciałabym przy okazji pogratulować gorąco wesołej drużynie perwersyjnych degeneratów, którzy opracowali to gówno!

Na sali raz po raz wybuchają szalone śmiechy, pani Labaume zaczyna zaś tracić panowanie nad sobą.

– Co za kicha! – krzyczy Antoine, przedrzeźniając ją głosem.

Korzystając z ogólnego zamieszania, dodaje:

– Ja chcę zostać striptizerką! Chcę zarabiać na życie, pokazując tyłek!

Wszyscy wybuchają śmiechem. Jeśli wierzyć temu cudownemu programowi, Romain zostanie handlarzem starzyzną albo podologiem. Clément – enologiem albo przewodnikiem górskim. Marie – wypychaczem zwierząt albo tancerką. Pauline – inspektorem pracy albo hostessą w biurze podróży. Prawdziwy festiwal. Jesteśmy w przedszkolu i bawimy się w różne zawody. Szkoda, że zniesiono karę śmierci, chętnie wybrałabym rolę kata ze źle naostrzonym toporem! Tymczasem jednak Léo zostanie prokuratorem, Axel – nabywcą w branży przemysłowej, a Tibor – mechanikiem pogotowia technicznego wind.

Pytanie: Znacie dzieci, które marzyły o tym, żeby zostać mechanikiem pogotowia technicznego wind, zarządzającym filią zakładu pogrzebowego albo księgowym w przedsiębiorstwie rybołówstwa rzeczno? Wyobrażacie sobie małą uroczą dziewczynkę z kucykami, która staje przed wami, cała w podskokach, i oznajmia prosto z mostu, że w przyszłości zostanie kierownikiem do spraw logistyki morskiej, syndykiem albo strażniczką na nocną zmianę w zakładzie karnym dla młodych dziewcząt? Mnie to przeraża. Poza tym nie rozumiemy połowy nazw. Co robi analityk sytuacyjny? Albo lokalny agent rozwoju? Choć jest prawdą, że dziś nie mówi się „zamiatacz”, tylko „konserwator powierzchni płaskich”. Nie używa się określenia „bezrobotny”, tylko „osoba bez zatrudnienia”. Zniknęli kloszardzi, za to jest coraz więcej bezdomnych. Nie mówi się również „ślepiec”, tylko „niewidomy”. Nie powinno się także nazywać kogoś „kretynem”, tylko „niemyślącym wysokiego szczebla”. Sztuka maskowania, odwracania uwagi. Upija się nas słowami, „koncepcjami”, „nowymi” ideami, ale nikt nie mówi o tym, co najważniejsze, o tym, co nas wszystkich dotyczy. Niektórzy stwierdzą pewnie, że to problematyczna kwestia. Ja sądzę, że to kwestia priorytetów. Szczerze mówiąc, jeśli ten ich żaloszny test miał nas rozśmieszyć, to im się udało. Co się zaś tyczy pomocy, trzeba będzie jednak popracować nad kilkoma szczegółami. I pomyśleć, że komuś płaci się za produkowanie tego typu „pomocy”.

Inès nie rozumie, dlaczego doradzono jej podjęcie pracy trenera w ośrodku jeździeckim. Może z powodu jej zębów i śmiechu? Dorian z dumą widzi się w roli prywatnego detektywa. Wiem, że nie ma głupich zawodów, ale jednak. W każdym razie, jeśli o niego chodzi, program sprawdził się dość dobrze, ponieważ wściubianie nosa w życie innych ludzi i podsycanie afer pasuje do niego jak ulał.

Léa śmiała się ze wszystkimi, starannie unikając wypełnienia testu. Żeby mieć zawód, trzeba żyć.

– Nie jesteś przynajmniej w kłopotach?

Panikuję. Za wszelką cenę muszę unikać spojrzenia Axela. Kiedy z uwagą szuka mojego wzroku, tak jak teraz, rumienię się, moje serce wariuje, a ja jestem przekonana, że jeśli zobaczy moje oczy, będzie w nich czytał jak z otwartej ulotki o wszystkich sekretach mojej duszy. Udamę, że patrzę gdzie indziej, i odpowiadam:

– Nie, wszystko w porządku. Po prostu źle spałam.

Wygląda na to, że zadowolili się tą odpowiedzią, i ciągnie:

– Zaplanowałaś coś na czwartek w południe?

– Nie, nic. Dlaczego?

– Zapraszam was na pizzę do Sergio. Do restauracji naprzeciwko targu.

– Z jakiej okazji?

– Dzięki wam prawie udało mi się zgromadzić kwotę potrzebną do spłacenia tego drania.

Trzeba to uczcić!

– Nie chcesz poczekać ze świętowaniem do zakończenia zbiórki?

– Zbliżają się wakacje, a nie ukrywam, że chciałbym zostawić tę całą sprawę za sobą.

Teraz albo nigdy.

– Léa również jest zaproszona?

– Tak jest, przyjdzie.

A więc zaprosił ją przede mną. W imię tego, co Léa musi znosić, próbuję przegnać narastającą zazdrość.

– Możesz na mnie liczyć. Dzięki za zaproszenie!

– *Cool!*

Axel oddala się z uśmiechem. Nie mogę się powstrzymać, żeby za nim nie patrzeć. Cholera, musiał zobaczyć moje oczy! Teraz wie, że na trzeciej stronie gazetki promocyjnej znajduje się oferta wielkiej przeceny serc drobiowych.

Szukam Léi. Znajduję ją z Pauline i Vanessą, śmieją się tak, że aż muszą się nawzajem podtrzymywać. Zaskakujący widok. Gdybym nie wiedziała, co dolega Léi, widząc ją tak żywą i wesołą, nigdy bym nie podejrzewała, z czym musi się borykać. Wspaniale udaje. Nie wiem, czy ją za to podziwiam, czy mnie to przeraża. Być może jakaś jej częśćka – żeby nie powiedzieć, że cała ona – nie chce uwierzyć w to, co jej grozi, i stara się korzystać z życia.

Szykuję się do wyjścia na dziedziniec szkolny, kiedy staje przede mną Manon. Włosy powoli jej odrastają, ale nadal mam trudności ze spojrzeniem jej w twarz, odkąd odtrąciła moją pomoc.

– Camille, masz chwilę?

Powinnam być może odmówić, tak bardzo się boję, że znowu mi się oberwie, ale wiecie, że nie bardzo umiem odmawiać. Manon ciągnie mnie na zewnątrz, wyraźnie szukając miejsca na uboczu. Nie śmiem nawet spytać o sytuację w jej domu. Ona jest równie zakłopotana jak ja.

– Ostatnio, kiedy mówiłaś o sprzedaży domu moich rodziców...

- Wiem, nie powinnam była.
- Daj spokój! Miałaś dobre zamiary.

Manon się waha, czy spojrzeć mi w oczy, i rzuca:

- Przemyślałam to, co mi powiedziałaś. Jak byś się do tego zabrała?
- Jak bym się do czego zabrała?
- Gdybyś miała uniemożliwić sprzedaż domu, co byś zrobiła?

Tym razem to ja się waham.

- Nie wiem, nie chcę...

– Camille, moi rodzice zachowują się jak dzieci. Są w trakcie robienia wielkiej demolki.

Rozmawiałam na ten temat z bratem, zgodził się ze mną. Skoro dom jest jedyną rzeczą, jaka trzyma ich razem, spróbujemy zniweczyć plany jego sprzedaży. Jak powinniśmy się do tego zabrać?

Nie potrafię ukryć wzruszenia. Wobec jej nalegającego spojrzenia ryzykuję:

– Najlepszym sposobem byłoby zniechęcenie kupujących. Czy to twoi rodzice będą pokazywać dom?

– Nie mają na to odwagi. Agencja nieruchomości przyjmuje nabywców w soboty rano, kiedy jedno z rodziców gra w golfa, a drugie jest w klubie sportowym.

– W tym być może tkwi nasza szansa.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Jesteś naprawdę gotowa w to wejść?

– Nie mamy wyboru, najbliższe prezentacje odbędą się w tę sobotę...

Dziś wieczorem w naszym domu uśmiechają się tylko figurki Playmobilu. To nasza pierwsza wspólna kolacja, odkąd dowiedzieliśmy się o stanie Léi. Lucas wygląda i zachowuje się tak, jakby był w szoku. Nie wie, co powiedzieć, i od ponad godziny nikomu nie naubliżał. Zoltan siedzi koło niego, czekając na jedzenie. Mimo to chciałabym wyjaśnić kilka kwestii.

– Od kiedy o tym wiecie?

Mama odpowiada:

– Élodie już kilka tygodni temu wspomniała, że problem jest naprawdę poważny, a ostatnio zaprosili nas z Christophe'em na wspólną kolację. Wtedy przedstawili wyniki badań serca.

– Dlaczego mi nie powiedzieliście?

Tato odpowiada:

– Przed ostateczną diagnozą nie było powodu, żeby cię martwić. Poza tym Léi bardzo zależało, żeby powiedzieć ci o tym osobiście.

– Czy wiecie dokładnie, co jej dolega?

– To się nazywa kardiomiopatia ograniczająca – wyjaśnia tato. – Ściany jej serca twardnieją nietypowo i przedwcześnie, utrudniając normalne pompowanie krwi i krążenie. Stąd brały się duszności, zawroty głowy i mdłości.

– Nie można tego wyleczyć?

Tato zerka na mamę i dopiero potem odpowiada:

– Przeszczep serca byłby jedynym rozwiązaniem, ale w jej wieku znalezienie zdrowego dawcy nie jest łatwe, poza tym jest jeszcze zbyt wcześnie, żeby stwierdzić, czy to by się w jej wypadku w ogóle sprawdziło. To rzadka choroba i niewiele na jej temat wiadomo. Tymczasem lekarze starają się spowolnić proces twardnienia.

– Lekarze nie znają tak naprawdę tej choroby, ale są pewni, że zostało jej tylko pół roku życia?

– Choroba została zidentyfikowana. Wszystko zależy teraz od tempa, w jakim będzie się rozwijać. Brakuje im porównania w grupie pacjentów w wieku Léi, ponieważ zwykle to świństwo objawia się u młodszych dzieci.

– I udaje się je wyleczyć? Wychodzą z tego?

Tato unika mojego spojrzenia.

– Rzadko. Serce w końcu się blokuje... W wypadku Léi za wcześnie jeszcze na stwierdzenie, co się wydarzy. Każdy przypadek jest specyficzny. Potrzebne będą dodatkowe badania, żeby określić dokładnie jej stan. Powinna jednak już teraz ograniczyć maksymalnie wysiłek fizyczny.

Moje dłonie się zaciskają. Czuję, jak wzbiera we mnie złość.

– Czyli nic się nie da zrobić! Nie można niczego wypróbować! Mamy czekać spokojnie, aż umrze!

– Nie mów tak – ciągnie tato. – Lekarze robią co tylko mogą. Zastosowali już dwie kuracje, które mają na celu spowolnienie rozwoju choroby.

– A jeśli nie zadziałają?

Brak odpowiedzi. Odkładałam widelec i niemal wbrew sobie krzyczę:

– Jak możesz być tak spokojny? Jak możesz mówić tak chłodno o tym, co się dzieje z Léą, jak gdyby wcale cię to nie obchodziło?

– Camille! – wtrąca się mama. – Proszę cię, ta sytuacja jest trudna dla wszystkich. Rozumiemy twoją złość, ale nic nie możemy na to poradzić. Élodie i Christophe również są naszymi przyjaciółmi i chcieli porozmawiać z twoim tatą o konkretnych aspektach rozwoju choroby.

– Co on może na ten temat wiedzieć? Jest odpowiedzialny za ochronę centrum handlowego! Mama piorunuje mnie wzrokiem. Lucas stwierdza:

– To było durne.

Tato spuszcza wzrok.

– Élodie zaproponowała – ciągnie mama – żebyś pojechała z nimi na ferie zimowe. Na narty. Léa nie będzie mogła jeździć, ale świeże powietrze powinno jej dobrze zrobić. Przyjaciele udostępnią im domek w pięknej miejscowości narciarskiej w Alpach.

– Zastanowię się.

Nie otworzyłam już ust do końca posiłku. Opróżniłam talerz i szybko odeszłam od stołu.

Chcę tylko jednego – ukryć się w moim pokoju i bawić z Kłaczkiem. Wcześniej jednak sprawdzę, co jest napisane w Internecie na temat tej choroby. Siadam przy biurku i wystukuję w wyszukiwarce „choroba serca”. Pojawiają się wyniki. Rozpoznaję nazwę, którą podał mi ojciec: kardiomiopatia ograniczająca. W różnych artykułach opisano charakterystyczne symptomy, ja zaś rozpoznaję wśród nich te, które miała Léa. Istnieje wiele postaci tej choroby, mówi się także o kuracjach mogących „uelastycznic” serce. Okropność! Kilkoma kliknięciami trafiam do świata, o którego istnieniu nie miałam do tej pory pojęcia. Ludzie opowiadają, rodzice rzucają pełne rozpaczyste apele o transplantację serca. Zdjęcia, na których dzieci uśmiechają się w szpitalnych ubrankach. Zamykam oczy.

Istnieje tyle światów na Ziemi. Wszystkie mają tę samą scenerię, ale inne scenariusze. Nikt nie zna historii innych ludzi, dopóki się nie okaże, że sam jest w nią zaangażowany. Uważam, że powinno się koniecznie wszczepić Léi nowe serce, w miarę lektury uświadamiam sobie jednak, że trzeba by znaleźć pasującego dawcę, a w jej wieku, nie licząc ofiar wypadków...

Młoda osoba musiałaby umrzeć, żeby inna mogła żyć. To straszne. A jeśli znajdzie się jedno serce, na które będzie czekać dwoje chorych? Przygniata mnie lawina trudnych możliwości. Obrazy tych dzieci uwieszonych nadziei zderzają się w mojej głowie. Usiłuję je przegonić, nie pozwolić im zawładnąć moim umysłem. Nie lubię zamykać uszu na cierpienie, ale tak trzeba. Nie będę miała siły, żeby sobie z nim poradzić. Chcę tylko, żeby Léa żyła.

Jest już po północy, kiedy w końcu wślizguję się do łóżka. Przed zgaszeniem światła rozglądam się po pokoju. Po raz kolejny bawię się w obserwatorkę swojego świata, ale tym razem – inaczej. Léa widnieje na zdjęciach, na pamiątkach wspólnie spędzonych chwil zachowały się jej odciski. Jej słowa towarzyszą mi nawet w dzienniczku, za pośrednictwem zabawnych komentarzy i rysunków. Przez krzesło jest nawet przerzucony jej sweter, ona również posadziła jedną z figurek przy stole w domku dla lalek. Widzę ją jeszcze, jak się śmieje, wkładając butelkę w dłoń figurki i mówiąc, że to alkoholik, który bije żonę. Léa jest wszędzie – w tym pomieszczeniu i w moim życiu. Czy trzeba czekać na śmierć, żeby zdać

sobie sprawę z miejsca, jakie zajmują w nas ludzie?

Skończyliśmy lekcje godzinę wcześniej, dzięki czemu możemy znaleźć się w restauracji jeszcze przed południowym tłumem. Dwanaście osób przy stole. Na naszej wieczerzy Pańskiej nie ma miejsca dla Judasza. Po raz pierwszy zebraliśmy się w komplecie przy wspólnym posiłku poza stołówką. Często marzyłam o tej magicznej chwili. To, że zawdzięczamy ją odrażającemu typowi, któremu nasz przyjaciel będzie musiał niesprawiedliwym zrzędzeniem losu zapłacić fortunę, jest dość paradoksalne. Trzeba jednak przyznać, że widok promieniejącego Axela zasiadającego u szczytu naszego stołu między Louistem i Léo to szczęście, które by nie nastąpiło, gdyby nie to nieszczęsne zdarzenie.

Léa i ja siedzimy naprzeciw siebie, w równej odległości od Axela. Między nim a nami usiedli jego dwaj najlepsi kumple. Nie wiem, czy wszyscy są równie wrażliwi na tego rodzaju detale, ale dla mnie to bardzo ważne. Nie wiem, kto powiedział „prawda tkwi w szczegółach”. Być może Jérôme Chevillard – i musiałabym się z nim zgodzić. Siedzę między Louistem i Tiborem, między siłą i szaleństwem, i dobrze się tam czuję.

Axel wstaje i dzwoni nożem o kieliszek, jak na filmach. Teoretycznie powinien teraz poprosić kogoś o rękę.

– Przyjaciele! – oznajmia, sam bawiąc się tym uroczystym tonem. – Zebraliśmy się tutaj, ponieważ pomogliście mi wydostać się z tarapatów. Byliście moimi aniołami stróżami. Dzięki wam zachowam cudowne wspomnienie tej historii, która zapowiadała się na najgorszą w moim życiu! Nazista będzie miał swój samochód, życzymy mu powodzenia, ale jestem pewien, że w końcu trafi na ścianę. Nie weźmie go ze sobą do raju.

Louis i Léo kiwają zgodnie głowami. Axel ciągnie:

– Wydaje mi się, że dzięki pieniądзом, które zarobiliście, będę miał z czego opłacić ten wspaniały obiad!

Antoine gwizdże. Romain protestuje ze śmiechem:

– To nie jest prawdziwe zaproszenie! Oszust!

– Wszystkim wam chcę podziękować z całego serca – ciągnie Axel. – Myliście samochody, sprzedawaliście ciastka, robiliście zakupy, daliście się zdeptać dzieciom, straszylście je, pokazując im „nieodpowiednie” filmy, rąbaliście drewno staruszkom, które usiłowały was bić, a nawet wyprowadzaliście psy i pozwalaliście się im gryźć. Jestem jednocześnie wzruszony i dumny. Nigdy nie zapomnę tego, co dla mnie zrobiliście. Mogą mi wmawiać, że świat jest okrutny, że ludzie to dranie, ale dzięki wam jestem pewien, że to nieprawda. Chętnie się zrewanżuję, wyłączając *baby-sitting*. Biorąc zaś pod uwagę to, co mi opowiadał Quentin, odmawiam także udawania Pana Bobra. Znamy się tak długo, mam nadzieję, że zestarzejemy się również razem, niezależnie od dróg, jakie obierzemy w przyszłym roku. Tymczasem do matury jeszcze się pomęczymy, ale przynajmniej wspólnie. Dziękuję bardzo, życzę smacznego i przypominam pijakom, że zaproszenie nie obejmuje napojów!

Brawa. Jestem szczęśliwa jak rzadko. Jestem wzruszona widokiem tych twarzy – przyjaciół będących częścią mojego życia, zgromadzonych przy tej pięknej okazji. Powstrzymuję łzy. Léa

uśmiecha się naprzeciw mnie, unosi kieliszek w kierunku Axela i wszyscy naśladują jej gest. Wydaje się zmęczona. Jej oczy lśnią i nie jestem w stanie powiedzieć, czy winę za to ponosi choroba czy też wzruszenie.

Louis otacza mnie swoim długim ramieniem i szepcze:

– Nie mieliśmy takich pewnych siebie min, kiedy gliniarze przyszli go zgarnąć.

Czuję jego ciepło. Dziwnie się czuję. Otula mnie coś miękkiego. Stukam się z nim kieliszkiem, później z Axelem i Léą. Dzwoni szkło. Jak każe zwyczaj, staram się uważnie przyjrzeć osobie, z którą się stukam. Jedenaście spojrzeń, jedenaście historii, jedenaście różnych uczuć, ale zawsze coś wyjątkowo silnego. Przy tej niezwykle rzadkiej okazji każdy pozwala drugiej osobie zajrzeć sobie głęboko w oczy, niczego nie ukrywając, nie pobieżnie, lecz ofiarowując otwarcie ufne, przyjacielskie i pełne sympatii spojrzenie. Antoine i Marie krzyżują między sobą ręce i piją. Sprawy nieco się psują, kiedy próbuję powitalnego koktajlu, który umożliwił nam tę piękną chwilę. Po raz kolejny najgorsze idzie w parze z najlepszym. Napój jest ohydny. Coś okropnego, co wypala wam florę bakteryjną w żołądku: jedna trzecia objętości płynu do szyb, jedna trzecia ropy i szczęśliwie odnaleziony składnik chemiczny, który zaginął gdzieś nauczycielowi w ubiegłym tygodniu. Wszyscy się krzywią, tylko Tibor pyta, czy może prosić o jeszcze jeden kieliszek...

Atmosfera się rozkręca. Dobrze nam tutaj. Marie przez dwie godziny wybierała swoją pizzę, wśród gradu narzekań, ponieważ wszyscy byli głodni. Ledwie postawione na stole, koszyki z chlebem zostały opróżnione przez chłopców. Malik robi różne mieszanki z przypraw, Romain próbuje wypić z buteleczki oliwę z papryką, a Pauline wczepia się w jego ramię, usiłując mu to uniemożliwić. Nie dba o to, czy wypije oliwę, po prostu chce się na nim uwiesić. On chyba o tym wie. Léo rzuca okruszkami w Marie, ona protestuje, ale robi zawiedzioną minę, kiedy ten przestaje. Wiem, że nigdy nie zapomnę tych chwil.

Po wypiciu aperitifów Tibor regularnie wybucha śmiechem, bez powodu. Zerka na komórkę. Dostał esemesa. Rzucam okiem ponad jego ramieniem. Przyjmuje zlecenie wyprowadzenia psa w ciągu weekendu.

– Nadal proponujesz spacer z psami? – dziwię się.

– I to jak! Zdarza mi się nawet pilnować ich znacznie dłużej. Odkryłem, że uwielbiam psy. Lubię z nimi przebywać. Rozumiem je. Wydaje mi się, że za mało robimy dla tych zwierząt, podczas gdy one robią tak wiele dla nas.

Ożywia się i przemawia z pasją:

– Wiele osób lubi je głaskać, kiedy mają na to ochotę, nie poświęca jednak czasu na spacer albo zabawę z nimi. Trochę jak rodzice, którzy chcą mieć dzieci, ale się nimi nie zajmują. I tu wkraczam ja. Zabieram psy do parku, pozwalam się wybiegać, bawię się z nimi, przeżywamy razem wyjątkowe chwile. Co wieczór istoty czyste, szczere, równie walnięte jak ja używają ze mną życia!

– Już cię nie gryzą?

– Jeśli unika się pewnych połączeń ras, jest znacznie lepiej. Musiałem się nauczyć. Zdradzę ci pewien sekret: żeby szybciej zapoznać się z nowymi psami, siusiam razem z nimi na latarnie uliczne. Sposób nie do zastąpienia.

Nigdy już nie spojrzę na Tibora w ten sam sposób.

– Tibor, w twoim interesie leży, żebyś nikomu o tym nie mówił, a już na pewno nie doradcy

zawodowemu.

– Masz rację, mógłby mi podkraść klientelę.

Śmieje się nerwowo bez żadnej przyczyny i dodaje:

– Widzisz, Camille, to doświadczenie odmieniło moje życie. Lubię nauki ścisłe, ale stwierdzam, że chętnie pracowałbym ze zwierzętami. Moje miejsce jest wśród nich. Nie zostanę weterynarzem, ponieważ nie chcę ich operować ani dawać im zastrzyków. Wolę coś bardziej pozytywnego. Zwierzęta są fajne. Psy – naprawdę sympatyczne. Ptaki również. Wyobrażasz sobie, jak by to było, gdyby udało mi się wytresować sikorkę, żeby śpiewała co godzinę, jak prawdziwa kukułka?

Niesamowity jest ten Tibor.

– Wiesz, mam w domu psa – mówię.

Wyciągam telefon i szukam w nim zdjęcia.

Na widok Zoltana Tibor woła:

– Cudowny! Przypomina wilka, ale łagodnego!

– Mam również kota. Nazywa się Kłaczek.

Pokazuję mu zdjęcie. Odkrywając małą futrzaną kulkę, która wyciąga łapkę w stronę obiektu, Tibor dosłownie się rozplęwa.

– Jaki słodki.

– Jeśli chcesz, możesz przyjść do mnie i pobawić się z nimi. Mam brata, który biega za piłkami i *frisbee*.

Podnoszę wzrok i widzę, że Léa przygląda nam się z uśmiechem.

– Oboje jesteście jednakowo zwariowani – stwierdza.

Tibor się rumieni, ja zaś wybucham śmiechem.

Posiłek szybko mija. Ledwie mamy czas posmakować szczęścia, a już nadchodzi pora powrotu na lekcje. Nie będzie nam łatwo, szczególnie że czekają nas dwie godziny przyrody. Przed wyjściem Tibor prosi o opakowanie na resztki, które zostały na naszych talerzach.

– To dla moich psów – mówi.

Na zewnątrz dziękuję Axelowi i dołączam do Léi. W drodze powrotnej do liceum idziemy obok siebie. Léa wydaje się wycieńczona. Biorę ją pod rękę.

– Jak się czujesz?

– Przydałyby mi się nowe baterie.

– W pewnej chwili myślałam, że wykorzystasz okazję i im powiesz.

– Zastanawiałam się nad tym, ale uznałam, że zepsułabym tylko atmosferę, a tego nie chciałam.

– Kiedy zamierzasz z nimi porozmawiać?

– Po wakacjach. Zresztą sądząc po tempie, w jakim to się rozwija, wkrótce się zorientują, że coś jest nie tak.

Nie odpowiadam.

– Camille?

– Tak?

– Wiesz, nie musisz wcale z nimi jechać na ferie. Zrozumiałabym. Na pewno masz ciekawsze rzeczy do roboty niż dotrzymywanie towarzystwa staruszce, która nie może już nawet biegać.

– Czasami naprawdę zachowujesz się jak głuptas.

Léo leży na wykładzinie w salonie. Nigdy nie widziałam go w tej pozycji. Wydaje się przez to jeszcze wyższy. Dziwne uczucie.

– Przesuń trochę nogę, dobrze?

Wykonuje polecenie.

– Tak?

– Lepiej, ale musisz sprawiać wrażenie, jakbyś padł w biegu.

Odwraca się, wyciąga ramię i układa się tak, jak gdyby został powalony na ziemię podczas skoku. Znad jego dzinsów wyłaniają się dwa imponujące mięśnie grzbietowe. A więc Marie miała rację. Nachyliłam się nad nim z kredą i zaczynam obrysowywać kontur ciała na podłodze. Sunę wzdłuż jego ramienia i szyi. Okrążam głowę. Pewnie jestem czerwona jak burak. Léo chichocze:

– Czego to człowiek nie musi robić...

– Nie ruszaj się, inaczej twój obrys będzie przypominał tancerza samby.

Ciągnę dalej linię: ramię, tors, miednica, noga, nieco w górę, druga noga, prawie już skończyłam, kiedy wpada Manon.

– Pospieszcie się! Jeśli nas tutaj nakryją, wszystko przepadnie!

– Rozciągnęłaś taśmę wokół ogrodzenia?

– To już załatwione, ale nie za bardzo mi się podoba. Poważnie, biało-czerwona taśma kojarzy się bardziej ze śmieciarką niż z miejscem zbrodni.

– Przykro mi, ale tylko to udało mi się zwędzić z placu budowy przy dworcu.

Léo wstaje.

– Mamy czas na zrobienie drugiego obrysu na schodach. Musimy także zaznaczyć kręgi na ścianie, jak gdyby technicy zdejmowali stamtąd odciski.

– Pospieszcie się! Mogą się zjawić w każdej chwili.

– Spokojnie, Manon! Damy radę.

Na schodach odchodzą jeszcze większe akrobacje. Staję okrakiem nad Léo leżącym na stopniach i obrysowuję jego sylwetkę.

Manon z niepokojem obserwuje ulicę zza firanki:

– Jesteście pewni, że odkurzacz wciągnie całą kredę?

– Bez obaw. Za to z umysłów gości te ślady nigdy nie znikną! – żartuje Léo.

Raz jeszcze obrysowuję jego nogi i się czerwienię.

– Ostatnim razem, kiedy znaleźliśmy się w podobnej sytuacji, kazałeś mi sobie wyobrazić, że wypełniam misję ratowania świata. A co tym razem?

– Że to główniany plan, który może uratować koleżankę.

Tym razem to ja dotykam jego pośladków.

– Jada! – woła Manon. – Samochód z agencji nieruchomości już parkuje. Ten nabywców jest tuż za nim. Cholera, gdybyście tylko zobaczyli tę brykę, najwyraźniej mogą sobie pozwolić na nasz dom! Nie podoba mi się to! Chodźcie, musimy się schować. Tempo!

Manon ciągnie nas w stronę szafy w garderobie jej rodziców. Podekscytowana otwiera drzwi, odgarnia wieszaki z sukienkami i garniturami, po czym daje nam znak, żebyśmy weszli do środka.

– Nie zmieścimy się tutaj we trójkę – zauważam.

– Trzeba będzie, nie ma większej szafy.

– A jeśli tu zajrzą i ją otworzą?

Léo bawi się sytuacją.

– To będzie koszmar ich życia!

Słychać zgrzyt klucza w drzwiach wejściowych. Wciskamy się do szafy. Stoję między Léo i Manon. Z dołu dobiegają nas przytłumione odgłosy. Mowa jest o „pięknych przestrzeniach”, „lokalu niewymagającym przeprowadzenia dużych prac remontowych”.

– Trzeba tylko popracować nad wystrojem, ponieważ ten jest nieudany, choć łatwo sobie wyobrazić, jaki może być ten dom, jeśli urządzi się go ze smakiem. – Sympatyczna ta panienka z agencji.

Odpowiada jej mężczyzna. Pyta, dlaczego na podłodze w salonie znajduje się obrys ciała. Kobieta wydaje z siebie cichy krzyk. Ta z agencji czy klientka?

Manon wzdycha.

– Jeśli zostaną dłużej niż dziesięć minut, udusimy się w tej szafie.

Ośmielam się odezwać:

– Być może nastąpi to jeszcze szybciej, ponieważ połączenie perfum twojej mamy z wodą toaletową twojego taty...

– Wiem, przykro mi.

Jestem dosłownie przyklepiona do Léo. Żeby zyskać trochę miejsca, Léo wyciągnął ramiona wzdłuż ściany i drzwi. Wystarczyłoby, żeby je złączył, a znalazłabym się w jego objęciach. Już mi się to kiedyś przytrafiło, ale chłopak miał co innego w głowie i źle się to skończyło. Czy Léo jest równie zakłopotany jak ja? Czy międzynarodowy szpieg jest tak skupiony na swojej misji, że nie myśli o tych rzeczach, nawet stojąc w podobnej pozie? Przydałby się tutaj dyplomowany doradca. Prawdę mówiąc, dobrze mi w jego ramionach.

Teraz głosy dobiegają ze schodów.

– Jeśli tutaj przyjdą, to... – szepczę.

Léo kładzie mi palec na ustach, przykazując milczenie. Kobięcy głos wykrzykuje:

– Popatrz, jeszcze jedno ciało na schodach! O mój Boże!

– Czy wie pani, dlaczego ten dom został wystawiony na sprzedaż? – pyta mężczyzna.

Agentka mamrocze:

– Z powodu separacji małżeńskiej, z tego co wiem, ale nie jestem pewna. W każdym razie chodzi o jakiś problem w rodzinie.

– Zapewne zabójstwo w afekcie – stwierdza mężczyzna. – Proszę spojrzeć, są nawet ślady na ścianach!

– Paul, nie czuję się dobrze. Nie zostanę tu ani minuty dłużej!

Głosy rozmówców się nasilają, po czym kroki się oddalają. Manon triumfuje po cichu:

– Yes! Tak jest, spadaj! To nasz dom.

Czuję oddech Léo na mojej szyi.

– W porządku? – pyta. – Nie zgniatam cię za bardzo?

Nasz twarze niemal się stykają. Dzieje się ze mną coś strasznego. Kiedy pomyślę, że Léo jest tuż przy mnie, ogarnia mnie zażenowanie, ale od czasu do czasu wyobrażam sobie na jego miejscu Axela, wtedy zaś czuję się bliska omdlenia.

Drzwi wejściowe się zatrząskują. Manon uwalnia nas z szafy i biegnie sprawdzić, czy trójka gości rzeczywiście opuszcza ogród.

– No i? Są w szoku?

– Klienci sprawiają wrażenie zdenerwowanych. Nie sądzę, żeby złożyli ofertę.

Nagle Manon kuli się gwałtownie pod oknem.

– Kobieta mnie zauważyła!

– Tym gorzej dla niej. Będzie myślała, że dom na dodatek jest nawiedzony przez duchy ludzi, którzy zostali tutaj zamordowani!

Przez połowę drogi spałam, przez resztę drzemałam. Kiedy wreszcie się wybudzam, samochód sunie przez górski krajobraz – wokół śnieg. Czuję się jak Kłaczek przed oknem. Jest pięknie. Przejeżdżamy przez ostatnią wioskę i zaczynamy wspinać się krętą drogą, aż w końcu docieramy do celu.

Nie wiem, kim są przyjaciele rodziców Léi, ale muszą być bogaci. Domek jest cudowny. Przestronny, stoi wśród śniegu i sosen. Zbudowany z bali, pełen załomów, okien o rzeźbionych okiennicach, balkonów i dużych kominów, wydaje się rodem z nordyckiej baśni. Wewnątrz, między podłogą z surowego kamienia i drewnianymi meblami w ciepłych odcieniach, człowiek czuje się jak w czasopiśmie dla miliarderów. Léa i ja zdejmujemy buty i biegniemy zwiedzać pomieszczenia, wydając okrzyki przy każdym otwarciu drzwi. Lubię odkrywać nowe miejsca. To jak rozpakowywać prezent.

Salon otwiera się serią okien na piękny sosnowy las, znad którego wylaniają się ośnieżone szczyty. Ta zagubiona sceneria ma w sobie coś uspokajającego. Élodie mówi, że miasteczko znajduje się zaledwie kilka minut drogi stąd, wystarczy pójść skrótem przez las.

Léa zmęczyła się podróżą. Idzie odpocząć na piętro, do naszego pokoju na poddaszu. Pomagam Christophe'owi i Élodie się urządzić. Julien z kolegą mają dojechać nazajutrz pociągiem i autobusem.

Układam zapasy w szafach, tymczasem Élodie wiesza kombinezony narciarskie w przedpokoju. Christophe poszedł po karnety narciarskie.

- Nie wyjeżdżacie zbyt często na narty – zauważa Élodie.
- Wolimy ocean. Rodzice poznali się w klubie żeglarskim.
- Nic nam o tym nie mówili! Morze także jest fajne. I cieplejsze.

Układam paczki ciastek na krańcu blatu kuchennego. Żadne nie wywołuje u mnie uczucia obrzydzenia. Niektóre nawet lubię.

Élodie wraca do kuchni.

- Zrobię sobie herbatę. Masz ochotę?
- Może później. Poczekam, aż Léa wstanie.

Czuję się nieswojo w górach, w tym nieznanym domu. Przebywanie sam na sam z Élodie także wydaje mi się dziwne. To się nigdy dawniej nie zdarzało. Czajnik gwiżdże. Élodie zalewa herbatę wrzątkiem i siada przy masywnym stole. Poddając się spokojowi miejsca, wzdycha i obejmuje dłońmi parującą filiżankę.

- Usiądź koło mnie – mówi.

Siadam posłusznie naprzeciw niej.

- Wiesz – zwierza mi się łagodnym głosem – mamy teraz trudny okres.
- Wyobrażam to sobie.

– Dziękuję, że przyjechałaś. Jesteś bardzo ważna dla Léi, myślę, że czułaby się znacznie gorzej, gdyby nie miała ciebie za przyjaciółkę.

W głowie kłębi mi się tyle pytań. Czy myśli, że Léa wyzdrowieje, czy boi się tak samo jak

ja, czy potrafi rozmawiać o tym z córką? Nie mam odwagi.

Odgłosy przy wejściu. Wrócił Christophe.

– Wziąłem karnety VIP dla wszystkich! – oznajmia. – Będziemy mieć używanie! Léa jeszcze śpi?

Élodie potakuje skinieniem głowy.

– Chcesz herbaty? Właśnie zaparzyłam.

– Dobry pomysł, rozgrzeję się.

– Nie mam pewności, czy Léa wykorzysta swój karnet – stwierdza Élodie. – Profesor Nguyen mówi, że powinna unikać wysiłku.

– Wolę, żeby go miała i z niego nie korzystała, niż go jej nie wykupić.

Całuje żonę. Ośmielam się wtrącić:

– Ja chyba również nie będę korzystać z mojego. Nie mam talentu do nart, wolę zostać z Léą.

Christophe uśmiecha się do mnie. Léa pojawia się u stóp schodów. Przeciąga się.

– Cześć wszystkim!

– Spałaś? – pyta ją mama.

– Jak kamień. Ale nie jesteśmy tu przecież po to, żeby spać!

Podchodzi do okna i podziwia widok.

– Jak tu cudownie. Camille, co powiesz na spacer do miasteczka?

Chociaż nie robimy właściwie nic, dni płyną szybko. Julien i jego kumpel spędzają dni, szalejąc na snowboardzie po czarnych trasach. Właściwie ich nie widzimy. Na śniadanie połykają dwie bagietki i kostkę masła na dwóch, jadą pod wyciąg, zjeżdżają i wyjeżdżają, wracają wieczorem, biorą prysznic, śpią – i tak w kółko. Élodie i Christophe rano jeżdżą na nartach, popołudniami zaś spacerują. Léa i ja kursujemy między stokami, żeby skorzystać ze słońca, dużym balkonem, gdzie wylegujemy się pod kocami i podziwiamy widoki, i tawerną w miasteczku, gdzie spotyka się młodzież ze stacji narciarskiej. Zdarza nam się także powtarzać materiał szkolny, ale bez większego entuzjazmu. Zawsze coś nas rozproszy, najczęściej rozmowa na tematy tak ważne jak włosy kręcące się z powodu wilgoci albo ubrania deformujące się w praniu. Żadne tam błażostki. Czasami jakiś drobiazg potrafi rozwinąć się w dyskusję na temat istoty szczęścia albo sensu życia.

Wczoraj spędziłyśmy sporą część dnia u stóp wyciągu. Przyszłyśmy, żeby dotrzymać towarzystwa Julienowi, ale Léa chciała usiąść na ławce przy wypożyczalni sprzętu. Przyglądałyśmy się ludziom, śmiałyśmy się z ich zachowań, czasami się wzruszałyśmy, przez co nie zauważyłyśmy, jak szybko upłynął nam czas. Koniec trasy narciarskiej to prawdziwe widowisko. Niezależnie od poziomu i tego, czy kończy czerwoną, niebieską czy zieloną trasę, każdy narciarz wyjeżdża w końcu na tę olbrzymią białą przestrzeń, tworząc zadziwiające kombinacje. Młodzi – szczególnie chłopcy – budząc postrach swoim ślizgiem, pędzą w kierunku orczyków albo wyciągów krzeselkowych. Szpakowaci narciarze protestują i się oburzają. Dzieci nie zważają ani na jednych, ani na drugich i prześlizgują się między nimi z fascynującą zręcznością. Nigdy nie mamy czasu się temu wszystkiemu przyjrzeć. Po raz kolejny – wszyscy z tej samej scenerii, ale każdy przeżywa swoją historię. Ciekawe, że najmłodsze dzieci mają w sobie grację i instynkt, które starsi najwyraźniej zatracili. Kiedy suną po nieprawdopodobnych trajektoriach, wydają nam się straceni na zbyt ciasnym zakręcie, mimo to udaje im się z niego wyjść. Już widzimy ich na ziemi z powodu źle ustawionej narty, a jednak udaje im się podnieść – triumfują nad prawami fizyki, które nas kosztowałyby nogę. Wybuchają śmiechem, kiedy każdy inny krzyczałby ze strachu. Kpią sobie ze wszystkiego, jeśli zaś już upadną, od razu wstają i ruszają dalej. Nawet najmłodszy potrafi wyprzedzić szpanujących młodych samców. Skąd u nich taki talent? Czy to połączenie beztraski i żądz, jakiej dodaje im ta cecha? Jaki mają przepis? Czy nie zniknie, jeśli pozna się wszystkie jego składniki? Być może, kiedy człowiek wie za dużo, nie próbuje już niczego. Léa sądzi, że warunkiem odwagi jest niewiedza. Zgadza się z nią, choć jeśli ośmielamy się na zbyt wiele, nie wiedząc odpowiednio dużo, również możemy doprowadzić do katastrofy.

Czerpiąc z wciąż odnawiającego się tłumu, szukałyśmy przykładów i kontrprzykładów dla naszych teorii. Mimo czasu, który temu poświęciłyśmy, nie objawiła nam się żadna oczywistość.

W miasteczku znajduje się jeszcze jedno miejsce, które bardzo lubię: tawerna. Inna atmosfera, inne widowisko. Można się tam poczuć jak w Bawarii – malowane boazerie,

kolekcje kufli i mieszanina zapachów *raclette* i grzańca. Mamy więc swoje zwyczaje – zawsze siadamy przy tym samym małym stoliku w sali na piętrze, skąd ma się widok na cały lokal. Paradoksalnie to właśnie wśród tego zgiełku i hałasu najlepiej nam się rozmawia. Zwierzymy się sobie bardziej niż w zaciszu domowym. Być może bez powagi, jaką nadaje cisza, to, co nas rozprasza, pomaga nam jednocześnie zapomnieć o znaczeniu wypowiedzianych słów.

Wczoraj Léi dosłownie odbiło na punkcie pewnego dwudziestoletniego narciarza. Zauważyła go, kiedy tylko się pojawił. Rzeczywiście piękny chłopak. Pod wieloma względami, począwszy od uśmiechu aż po sposób poruszania się, przypomina mi Axela.

Usiadł w dolnej sali z przyjaciółmi. Léa nie chciała wyjść, dopóki on sam nie opuścił tawerny. Kiedy wstał, rzuciła się jak szalona, żeby musiał jej przytrzymać drzwi. Podejrzewam, że chciała dziś tutaj przyjść o tej samej porze, ponieważ liczyła, że go znowu zobaczy. I rzeczywiście tu jest.

– Nie uważasz, że jest boski? – pyta z rozmarzeniem.

– Rzeczywiście, przystojniak. Ale może być jednocześnie nudziarzem. Wygląd to dla mnie nie wszystko.

– To jednak dobry początek, szczególnie jeśli ma się takie oczy...

Nie spuszczając z niego wzroku, pyta:

– Robiłaś to już?

– Co już robiłam?

– Nie udawaj spłoszonej, wiesz dobrze, o czym mówię.

Robię się na twarzy czerwona jak bluza Léi.

– Naprawdę myślisz, że mogłabym przeżyć coś takiego i ci o tym nie powiedzieć?

Waham się, ale jednak zadaję pytanie:

– A ty?

– Raz prawie to się stało. Rok temu, podczas wakacji w klubie.

– Nigdy mi o tym nie wspominałaś.

– Nie byłam z siebie dumna, gra zaś nie była warta świeczki. Trener sportowy. Byłabym tylko kolejnym trofeum na jego liście.

– Słusznie, że nie uległaś. Nie powinno się psuć takich chwil.

– To prawda. Ale zbliżająca się śmierć daje mi do myślenia. Chciałabyś umrzeć, nigdy się nie kochając?

Léa mówi to z zadziwiającą naturalnością, jak gdyby chodziło o tartę cytrynową albo przejażdżkę na karuzeli.

– Mówimy sobie, że mamy czas – ciągnie – że wszystko wydarzy się w odpowiednim momencie, kiedy nadejdzie właściwa chwila. Kiedy jednak zaczynasz odliczać czas do końca życia, zmieniasz sposób myślenia. Zmienia się perspektywa, a wobec naglącej konieczności pojawiają się nowe priorytety. Co naprawdę chciałabyś zrobić przed śmiercią?

– Nie mów takich rzeczy.

– Jestem realistką, Camille. W mojej sytuacji nie będę miała czasu na eksperymentowanie. Tak jak mrożonki, mam datę ważności do spożycia. Chętnie daruję sobie lęki związane ze studiami i z szukaniem pracy, zrezygnuję z diet odchudzających, z rozwodu, z liftingów i menopauzy, ale co do reszty, muszę się pospieszyć.

Wiem, że to prowokacja, która ma na celu zaklinalenie obaw. Mimo wszystko ośmielałam się zapytać:

– Nie boisz się śmierci?

– Oczywiście, że się boję! Choć nie uświadamiam sobie jeszcze, że ta krąży wokół mnie. Mam trudności z oddychaniem, męczę się po podniesieniu trzech kilogramów, ale na tym koniec. Śmierć wydaje mi się dość mglistą perspektywą. Prawdę mówiąc, traktuję ją jako swoistą granicę. Przed nią wszystko jest możliwe. Poza nią sprawy nieco się komplikują.

– Zastanawiałaś się nad tym, co chcesz zrobić...

Mój głos zanika, jak gdyby chciał mi oszczędzić wymówienia „zanim będzie za późno”.

– Cały czas o tym myślę. Zastanawiałam się, jakie miejsca chciałabym zwiedzić. Wyobrażałam sobie, że wsiałam do samolotu, który zawióźłby mnie w najsłynniejsze miejsca na Ziemi. Pożegnalne tournée z dedykacją dla piękna tego świata. Wodospady Niagary, wielkie piramidy, rajskie wyspy z palmami i turkusowymi wodami, śniegi Everestu, afrykańskie rezerwaty albo mur chiński. Myślałam także o tym, co chciałabym zrobić: polecieć lotnią nad Wielkim Kanionem, pływać z delfinami, szastać pieniędzmi w Las Vegas, zaśpiewać w telewizji! Co za idiotka ze mnie właściwie! Mam szalone pomysły, ale w gruncie rzeczy, jeśli naprawdę miałabym wybierać, wolałabym zostać z tymi, których kocham i których żal mi opuścić. Ciebie, Axela, moich przyjaciół, rodziców, Juliana. Gdybym miała wybierać między godziną spędzoną z wami a kolacją marzeń w najlepszej restauracji świata, ze wszystkimi gwiazdami kina, nie zawahałabym się. Prawdę mówiąc, nie obchodzą mnie wodospady Niagary ani Hollywood. Na pewno jest tam pięknie, ale to dobre miejsca dla tych, którzy dysponują czasem. Nie tego będzie mi brakowało. Rodzice proponowali mi podróże, ale nie dbam o nie. Skoro mam niedługo umrzeć, wolę zostać z wami i skupić się na uczuciach.

Do oczu napływają mi łzy. Ośmielałam się wziąć ją za rękę. Léa spogląda na mnie i dodaje:

– Rozmawiałam z rodzicami o szkole. Chyba nawet jeśli będę pracować ze wszystkich sił, to i tak nie zdam matury. Dostanę wielkie zero z życia i nie będę mogła podchodzić do egzaminu po raz drugi. Lekarze wspominali o domu opieki, ale ja nie chcę. Postanowiłam niczego nie zmieniać, iść do samego końca, uczyć się razem z wami. Chyba będę się mniej stresowała zadaniami, to jednak nie jest najważniejsze. Jesteście moim życiem i dopóki żyję, moje miejsce jest wśród was.

Jestem poruszona, niezdolna do wypowiedzenia choćby słowa, chociaż tak bardzo chciałabym jej powiedzieć, że się myli, wykrzyczeć, że wyzdrowieje. Léa patrzy na mnie intensywnie i dodaje:

– Biorąc pod uwagę to, co mnie spotyka, nie myślałaś, co ty byś zrobiła, gdyby zostało ci tylko kilka miesięcy życia? Uwierz mi, to dobry sposób, żeby się dowiedzieć, co się dla nas naprawdę liczy. Wiesz, Camille, dziwnie się czuję, kiedy uświadamiam sobie, że nigdy nie wyjdę za mąż, nigdy nie będę mogła przytulić swoich dzieci. Widzę tyle rzeczy, które każdy może zrobić, mnie zaś są one zabronione. To dziwne. Tworzymy sobie jakiś obraz życia. Na podstawie przykładów zaczerpniętych od innych, z książek, z filmów lub piosenek, wyobrażamy sobie, że nas to również kiedyś spotka. Wierzymy, że nadejdzie nasza kolej. Aż tu nagle ktoś ci oznajmia, że film się urwie, że dwie trzecie stron książki zostały wyrwane, że piosenka nie będzie miała kolejnej zwrotki. Ostatnie święta Bożego Narodzenia były moimi

ostatnimi świętami. Gdybym to wiedziała, bardziej bym wykorzystała te chwile. Teraz więc nie zamierzam już tracić ani minuty.

– Daj sobie nadzieję, że jednak przeżyjesz.

– Zasięgnęłam informacji, znając zaś ciebie, podejrzewam, że zrobiłaś to samo. Jediną możliwością jest przeszczep. Rozejrzyj się wokoło, popatrz na tych pełnych życia ludzi. Każdy z nich ma tylko jedno serce. Jak mogliby mi pomóc? Wszyscy są młodzi i beztroscy. Tym lepiej dla nich. Nie zdają sobie sprawy z własnego szczęścia. Jeszcze niedawno byłam jedną z nich. Nie wybiera się chwili, w której zmieniamy obóz. Nawet nie wiemy, że taki istnieje, zanim się w nim nie znajdziemy. Mój lekarz prowadzący był ze mną szczery. Na początek trzeba byłoby znaleźć dla mnie serce – i musiałyby się ono okazać odpowiednie. Następnie operacja musiałaby zakończyć się sukcesem, wreszcie przeszczep musiałby się przyjąć. Przypomnij sobie nasze zajęcia na temat zgodności tkankowej. Jaka jest szansa, że wylosuję cztery asy z jednego stosu składającego się z czterech kart? Jaką mam szansę, że wygram w lotto, kupując tylko jeden los? W tę grę przegram, Camille, ale będę grała tak długo, jak tylko to będzie możliwe. Zamiast czepiać się złudnej nadziei, wolę korzystać w pełni z tego, co mi zostało.

Ruchem podbródka Léa wskazuje przystojnego narciarza. Ma uroczy uśmiech i cudowne dołeczki w policzkach. Z każdego jego gestu emanują żywotność i chęć życia. To skarby, których wszyscy pożądamy. Léa budzi we mnie podziw. Jest spokojna, „pragmatyczna”, jak powiedziałby nasz nauczyciel fizyki. Jak ona może mieć w sobie tyle spokoju? Narciarz płaci rachunek i wstaje. Podobnie jak poprzedniego dnia Léa rzuca się naprzód.

– Jeśli przytrzyma mi drzwi, zagadam do niego – rzuca mi w biegu. – Chcę wiedzieć, jak ma na imię! Jutro mogłybyśmy się czegoś z nim napić! Wyobrażasz to sobie? Zostawiam ci jego dwóch kolegów!

Śmieje się. Jest piękna. Jest wprost cudowna. Ma energię tych, którzy wiedzą, ile warte jest życie.

Miał na imię Justin, ale już nigdy później go nie zobaczyłyśmy. Kiedy wróciłyśmy do domu, do rodziców Léi zadzwonił profesor Nguyen. Najnowsze wyniki analiz okazały się „znacznie” gorsze, niż przewidywano, dlatego zalecił powrót i wzmocnienie kuracji. Opuściliśmy piękną chatkę w górach niczym złodzieje.

Nazajutrz Léa została przyjęta do szpitala. Natychmiast pobrano od niej mnóstwo próbek do badań, aby ustalić dawki leków, jakie będzie teraz otrzymywała w zastrzykach. Odtąd zawsze będzie musiała mieć przy sobie strzykawkę gotową do użycia w wypadku krańcowego wycieńczenia lub ciężkiej zadyszki. Cóż to będzie za stres! Jeśli to mnie przyjdzie robić jej ten zastrzyk, na pewno zemdleję, upadając zaś, roztrzaskam sobie czaszkę i będą dwa trupy.

Jeszcze poprzedniego dnia siedziałyśmy sobie w przytulnej tawernie, przyglądając się przystojnym chłopcom, a dziś jesteśmy tutaj – ona blada, na łóżku, z zakazem wstawania, ja zaś u jej wezgłowia. Wiem, że nikt nie przyniesie nam gorącej czekolady i żaden uroczy narciarz nie stanie nagle w drzwiach. W pośpiechu nie zdążyłam nawet wstąpić do mojego domu. Nie ma mowy, żeby zostawić Léę samą. Wygłupiam się jak mogę, żeby ją rozśmieszyć, ale sceneria jest deprymująca – nie mam łatwego zadania. Tutaj Léa nie zachowuje się równie pragmatycznie wobec swojej choroby. Jesteśmy w szpitalu trzy godziny, a ona zdążyła rozplakać się już cztery razy.

Do sali wchodzi pielęgniarka, popychając wózek ze sprzętem.

– Będziesz musiała mnie zostawić sam na sam z pacjentką.

Léa wczepia się w moje ramię i szepcze:

– Uprzedź naszą paczkę. Najpierw Axela, później Léo i Tibora. Potem tych, których lubimy.

Przez hol nieustannie przepływają fale wchodzących i wychodzących ludzi. Niektórzy trzymają w ramionach noworodki, inni popychają wózki inwalidzkie, wielu porusza się o kulach, jeszcze inni są tutaj tylko w charakterze odwiedzających, afiszując radosne lub zgaszone twarze, w zależności od motywu, który sprowadził ich w te mury. Przy każdym otwarciu się automatycznych drzwi uderza mnie powiew zimnego powietrza z zewnątrz. Żeby wykonać niezbędne telefony, siadam w kącie holu, w pobliżu okna i kaloryfera, jak w liceum. Podczas każdej rozmowy, chociaż mówię o poważnej chorobie serca, unikając wdawania się w szczegóły dotyczące perspektyw, reakcją jest niedowierzanie i przygnębienie. Vanessa i Pauline płakały. Axel zapytał, czy może przyjść. Tibor również. Staram się nie poddawać emocjom, które ich ogarniają. Próbuję nie rozmawiać z żadnym z nich zbyt długo, kończę rozmowę pod pretekstem, że mam jeszcze długą listę osób do powiadomienia. Czasami, między dwoma telefonami, muszę chwilę odetchnąć.

Informuję właśnie Marie, kiedy niespodziewanie w szpitalnym holu pojawia się moja mama. Idzie tak szybkim krokiem, z energią tak różną od tej, jaką emanuje na co dzień, że z początku jej nie rozpoznaję. Dziwnie się czuję, postrzegając tę kobietę jako obcą osobę, a następnie uświadamiając sobie, że to właśnie ona dała mi życie. Zbyt szybko zmierza w stronę recepcji, żeby mnie zauważyć.

– Mamo!

Odwraca głowę i zmienia kierunek, ruszając prosto na mnie. Bierze mnie w objęcia, jak gdybym to ja miała powód, żeby znajdować się w szpitalu.

– Moja kochana...

Czyta w moich oczach.

– Jak się czuje Léa?

– Zanim tutaj wylądowała, miała się całkiem nieźle... W kółko robią jej badania. Pokój dwieście siedemnaście, drugie piętro.

– Dajesz radę?

– Staram się jej pomóc. Właśnie informuję naszych znajomych...

– To trudne, wiem. Ale dobrze, że ty się tym zajmujesz.

Całuje mnie.

– Wyglądasz na zmęczoną. Jest tu gdzieś Élodie?

– Z Christophe'em, mają spotkanie z lekarzem.

– Spróbuję się z nimi zobaczyć.

Oddała się. Teraz, w tym holu, kiedy nasi bliscy już wiedzą, wszystko wydaje się bardziej przynębiające. Nie jestem z tego dumna, ale prawdę mówiąc, wolałam czas, kiedy tylko ja wiedziałam o chorobie Léi. Teraz wszyscy będą o nią dbać, każdy zechce okazywać jej przywiązanie, na które oczywiście w pełni zasługuje, nawet jeśli więc zrobię, co tylko będzie w mojej mocy, i tak wyda się to banalne.

O dwudziestej drugiej pielęgniarki łagodnie popchnęły mnie w stronę drzwi wyjściowych. Mój tato wstąpił, żeby pomówić z Christophe'em i odwieźć mnie do domu. Długo rozmawiali, stojąc w głębi korytarza. Dołączyła do nich Élodie. Oboje słuchali mojego taty. Słowa do mnie nie docierały, ale widząc jego twarz, wyprostowaną postać i precyzyjne gesty, miałam wrażenie, że odzyskałam go takim, jakim był, zanim zmienił pracę.

W domu czekał na mnie Lucas, żeby życzyć mi dobrej nocy. Wzruszył mnie tym.

– Kłaczek za tobą tęsknił – powiedział, uciekając spojrzeniem, zażenowany rozmową, która sprawia, że można by go posądzić o czułość. – Wszędzie cię szukał, miaucząc. Próbowałem się z nim bawić, ale chyba nie potrafię się do tego odpowiednio zabrać. Wczoraj prawie pozbawiłem go przytomności, rzucając do niego frisbee...

Na widok mojego kota przeżywam prawdziwy wstrząs. Wyjechałam tylko na kilka dni, a on się tak bardzo zmienił. Wydaje się większy, grzeczniejszy, ale na szczęście jest równie uroczy.

– Zobaczysz, co teraz potrafi! – cieszy się Lucas. – Wskakuje na półkę z płytami DVD. Zoltana doprowadza to do szału. Kot siada na szczycie i przygląda mu się spokojnie ze swojej fortecy nie do zdobycia. Widziałem także, jak wspina się na brzozę w ogrodzie, wysoko ponad najniższe gałęzie! I już zerka na wiśnię...

Nawet gdy was nie ma, świat nadal się kręci.

Idę do swojego pokoju, a Kłaczek drepcze za mną. W chwili kiedy już mam wejść do środka, wyprzedza mnie i siada przed biurkiem. Uporczywie wpatruje się w blat.

– Chcesz swój korek?

Odpowiada miauknięciem. Jestem taka szczęśliwa, że ma jeszcze ochotę na zabawę. Nie wszystko się zmieniło. Tak bardzo boję się stracić tych, których kocham. Zwykła myśl o oddaleniu się od nich wydaje mi się nie do zniesienia.

Korek odbija się od dywanu i Kłaczek oddaje się radośnie zabawie. Zyskał na szybkości i precyzji. Chyba to muszą mieć na myśli nasi rodzice, kiedy mówią, że rośniemy w oczach.

W szkole nowina o chorobie Léi rozeszła się piorunem. To główny temat tegorocznego powrotu z ferii. Nawet ci, którzy nie znają jej z imienia, wiedzą, co jej grozi. Są również tacy, którzy twierdzą, że ma raka, że już umarła w straszliwych cierpieniach, że straciła wszystkie włosy, inni, jeszcze gorzej doinformowani, twierdzą, że lekarze amputowali jej obie nogi, żeby powstrzymać tajemniczą galopującą gangrenę. Na szczycie tej piramidy pogłosek siedzą Dorian i ta przekłeta Laura, którzy bagatelizują i lekceważą temat – jak każdą rzecz, która sprawia, że nie znajdują się w centrum uwagi.

Léa czuje się lepiej. Lekarze nie pozwalają jej wrócić do szkoły, dopóki nie zostanie określona odpowiednia dawka lekarstwa, ale przynajmniej odzyskała już kolory. Trzeba przyznać, że jest pod dobrą opieką i unika wszelkiego wysiłku fizycznego, nie licząc wybuchów szalonego śmiechu z powodu pielęgniarki, która traktuje ją, jakby miała dwa lata. „Nie zjadła jogurciku? Nieładnie. Grzeczne dziewczynki jedzą cały jogurcik”. Całe popołudnie ją naśladowałam. Świetnie się bawiłyśmy.

Axel odwiedził ją pierwszy. Przyniósł kwiaty. Nigdy nie widziałam, żeby obdarowywał kogokolwiek kwiatami. Nie chcę nawet o tym myśleć. Rozumiem, dlaczego to robi, choć w pewien sposób mnie to rani. Ale rozumiem. Ale mnie to rani. To działa również w drugą stronę. Czuję się zraniona, że daje jej kwiaty, ale to rozumiem. I tak bez końca. Léo i Tibor również się pojawili. Na odchodnym Léo powiedział, że jestem aniołem stróżem Léi, i życzył mi powodzenia. Aż drgnęłam ze wzruszenia. Nigdy mi się coś takiego nie przytrafiło. Gdyby mnie zaraz potem poprosił o rękę, zgodziłabym się. Pauline, Marie, Vanessa i Antoine też przyszli. Niektórzy do mnie dzwonili. Robię bowiem za centralę dla tych, którzy nie mogą się dodzwonić do Léi. Jestem już prawdziwą profesjonalistką: „Przekażę jej, że dzwoniłaś, będzie jej bardzo miło. Nie martw się. Nie, jutro między piętnastą a szesnastą ma już dwoje gości. Czy możesz spróbować o siedemnastej, ale muszę cię uprzedzić, że będzie już wtedy zmęczona”. Jeśli nie uda mi się zostać nurkiem, zawsze mogę podjąć pracę asystentki.

Nie wiem, czy to reakcja na to, co przeżyłam w ciągu ostatnich kilku dni, czy też to, że Léa nie pojawia się w szkole, ale dziś jestem w naprawdę kiepskim nastroju. Myśl, że znajdę się w sali lekcyjnej bez niej obok siebie, strasznie mnie przygnębia. Pierwsza godzina to zajęcia z przyrody. Siedziałam sama w ławce. Wszyscy pozostali byli w parach – słyszałam ich śmiechy, czułam ich wzajemne porozumienie. Ja znalazłam się sama obok pustego krzesła, wyobrażając sobie po kolei różne rzeczy, że Léa już nie żyje, że nigdy nie wróci albo że tylko jej amputowane nogi będą mogły uczyć na lekcje, ponieważ reszta ciała za bardzo zaraża.

Podobna izolacja zdarzyła mi się może ze trzy razy, odkąd chodzę do szkoły. Na drugiej lekcji dosiadł się do mnie Antoine. Moje oblicze musiało się rozświetlić jak rozżarzony węgiel, na który wlewa się dziesięć litrów benzyny. Byłabym skłonna pocałować go z wdzięczności. Gdyby tuż potem poprosił mnie o rękę, zgodziłabym się. Wiem, co sobie myślicie, ale proszę, nie oceniajcie mnie. Nie jestem frywolna, najwyżej wrażliwa.

– Musi ci być ciężko – powiedział Antoine – dotrzymam ci więc towarzystwa, dopóki Léa

nie wróci. Jesteście obie trochę tak jak ja i Malik. Brakowałoby mi tego drania, gdyby wylądował w szpitalu.

Odwracam się i widzę Malika, który uśmiecha się do mnie, pokazując jednocześnie obsceniczny gest kumpłowi. Doświadczenie nauczyło mnie, że to prawdziwe świadectwo uczuć między chłopakami.

Antoine wyciąga zeszyt i piórnik. Nigdy nie siedzieliśmy obok siebie. Spoglądamy po sobie. W jego oczach błyszczą iskierki.

– Gdybyśmy siedzieli w samochodzie – mówi – znajdowałbym się na fotelu śmierci. Biorąc jednak pod uwagę, co spotyka Léę, nie jest to zbyt dobry dowcip.

Przestraszona kręcę głową.

– Masz rację – przeprasza. – To żalosne. Jednocześnie myślmę pozytywnie: jeśli Léa nie wróci od razu, a ja będę siedział obok ciebie podczas sprawdzianów, to moja średnia z matmy na pewno się poprawi.

Dziś po lekcjach Louis pierwszy wybiera się do Léi. Axel nie może jej odwiedzić tego dnia, ja zaś pójdę później, muszę najpierw zrobić kopie notatek z lekcji, które opuściła. Pewnie nawet nie spojrzy na mnie, ale chcę to zrobić, przecież ma prawo być na bieżąco.

Po powrocie do domu znów byłam świadkiem czegoś niewiarygodnego. Już na sam dźwięk śmiechu Lucasa mogłam zacząć podejrzewać najgorsze. Zdjęłam czym prędzej buty i jeszcze przed ucałowaniem mamy popędziłam sprawdzić, co za głupota mogła wywołać w nim taką radość. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłam, przekraczając próg salonu, był Kłaczek, cały rozczochrany, wykonujący salto do tyłu i ruszający dalej w szaleńczym pędzie. Przebiegł jak wariat po kanapie i zderzył się ze ścianą na schodach. Stało się – mój kretyński brat naćpał mojego kota.

– Czym nakarmiłeś Kłaczka?

– Niczym. Patrz – to laser. Jest gotowy na wszystko, żeby tylko dopaść czerwony punkcik.

Mała świetlista plamka przesuwa się obok moich nóg, a Kłaczek podąża za nią, z wytrzeszczonymi ślepiami kota psychopaty. Lucas przesuwa plamkę na moje udo. Kłaczek, zachwycony widokiem wreszcie nieruchomego celu, drepcze w miejscu, bierze rozbieg i niczym gepard, który ma w planach pożarcie antylopy, rzuca się naprzód. Jego pazurki bez trudu przebijają się przez moje dzinsy i zatapiają w skórze. Krzyczę. Lucas się zaśmiewa. Mama złości się z kuchni:

– Lucas, jeśli nie przestaniesz, zlikwiduję tego kota!

To ohydne. Nieszczęsny kot nie jest niczemu winien. Trzeba zlikwidować Lucasa i jego laser.

– Myślisz, że to zadziała równie dobrze jak numer z morderstwem?

– Zobacz tylko, co przyniosłam w tej torbie...

Manon otwiera plastikowe opakowanie, ze środka wydobywa kolejne i jeszcze jedno.

– Masz tam uran czy bałaś się, że coś ucieknie?

Dostrzegając zawartość, rzuca wszystko i cofa się, wydając z siebie okrzyk przerażenia. Dobrze, że to się nie roztrzaskało.

– To odrażające! Skąd wzięłaś te okropności?

– Ze śmietnika szkolnego laboratorium. Nie ma szans, żeby coś uciekło.

Manon jest zdegustowana. Kręci głową, żeby przepędzić wizję tego, co zobaczyła. Zamykam torbę i wręczam jej małe hermetyczne pudełko.

– Pomóż mi porozmieszczać śmierdzące kule. Muszą być wszędzie. Schowamy je także w krzewach przy wejściu, dzięki temu klienci szybko wczują się w nastrój. Mówisz, że poprzednia agencja zrezygnowała?

– Tak, teraz dom pokazuje ktoś inny. Tamta agentka szalała. Oznajmiła mojemu ojcu, że nikt nie zechce kupić domu, w którym popełniono morderstwo. Tato niczego nie zrozumiał, zezłościł się i zrezygnował z jej usług. Na szczęście nie uwierzył w jej opowieści. Mój brat był genialny. Kiedy rodzice powiedzieli mu, co im nawygadywała ta kobieta, stwierdził tylko: „Są gotowi na wszystko, byleby tylko nie musieć robić tego, co do nich należy”.

Rozbijam pierwszą fiolkę i wlewam płyn do pustego opakowania po jogurcie. Odór zgnilizny szybko daje o sobie znać.

– Naprawdę przyprawia o mdłości – stwierdza Manon. – Kilka lat temu mój kuzyn bawił się tymi świństwami. Wszędzie je rozkładał.

– Postaw ten kubeczek za telewizorem.

W ciągu kilku minut dom jest naszpikowany pojemniczkami z cuchnącą cieczą. Wkrótce oddychanie staje się niemożliwe. Zakładam gumowe rękawice...

Przy wejściu do piwnicy, a także pod szafką w przedpokoju i pod zlewem układam ostrożnie zdechłe myszy, jakie zostały po sekcji, w taki sposób, żeby ich pyszczki nieco wystawały. Manon przygląda mi się, powstrzymując mdłości.

– Trzeba będzie później wszystko dezynfekować – narzeka.

Z ulicy dobiega odgłos silnika. Manon wygląda dyskretnie przez okno.

– Jada! Chodźmy na górę. Znasz drogę.

– Tak tutaj cuchnie, że niemal z przyjemnością zamknę się w szafie z zapachem perfum twoich rodziców.

Chowamy się we dwie w garderobie. Mamy więcej miejsca, niż kiedy był z nami Léo, ale jest mniej zabawnie.

Głosy przy wejściu. Tym razem oprowadza mężczyzna. Kiedy tylko klienci przestępują próg domu, słychać okrzyki:

– To niedopuszczalne! – oburza się drugi głos męski.

Nagle rozlega się przenikliwy, rozdzierający kobiecy krzyk.

Myszko numer jeden, spoczywaj w pokoju. Brawo, nie umarłaś na próżno!

Nawet nie weszli. Usłyszeliśmy gwałtownie zamykające się drzwi. Manon odczekała kilka sekund, licząc szeptem do pięciu, po czym rzuciła się do okna, żeby zobaczyć, jak niedoszli nabywcy odjeżdżają. Tym razem zachowała się profesjonalnie i zadbała, żeby nikt jej nie zobaczył.

– Genialnie. Sądzę, że ta agencja również podziękuje za współpracę. Muszę zadzwonić do brata i mu o tym opowiedzieć.

– Wcześniej pozbieraj myszy i przewietrz. Mam nadzieję, że smród zniknie do czasu powrotu twoich rodziców.

Tego jeszcze w szkole nie było. Dziś rano powitano nas jak największe gwiazdy filmowe. Léa wróciła. Przywiozła nas jej mama. Nie przeszliśmy jeszcze nawet trzech metrów, a już usłyszeliśmy wesołe nawoływania.

W holu toruję jej drogę niczym ochroniarz. Usiłujemy dostać się do naszego zakątka. Ci, którzy słyszeli o jej problemie, zauważają jej przybycie i informują tych, którzy jej nie znają. Tłum przyciąga tłum. Jak w królewskim pochodzie, kroczymy wśród zebranych, Léa zaś wita się z niektórymi na chybił trafił, uśmiechając się z niedowierzaniem. Słysząc komentarze: „Czyli jednak zmartwychwstała”, „Odrośły jej włosy”, „Przeczep sztucznych, bionicznych nóg doskonale się przyjął”. Takie cuda sprzyjają zamieszaniu.

Nasza klasa instynktownie tworzy swoistą ludzką tarczę wokół Léi, strefę bezpieczeństwa, która ma na celu przede wszystkim zachowanie dla nas przywileju odzyskania jej i wysłuchania opowieści o męczarniach, które przeszła. Axel w obronnej pozycji stoi tuż za nią. Wszyscy zasypują ją pytaniami, śmieją się, zameczają ją. Daję się ponieść ogólnemu dobremu nastrojowi chwili i udaję mi się uwierzyć, że koszmar się skończył, że choroba została pokonana, że wszystko jest jak dawniej. Nasze życie i nic poza tym.

Pojawienie się Léi ożywia naszą paczkę, ale nie tylko. Nawet te osoby z klasy, które nie są jej specjalnie bliskie, zdają się korzystać z dobrodziejstwa jej obecności. Każdy przecież lubi historie, które dobrze się kończą. Przez to pierwsza godzina lekcji minęła wśród ogólnego rozprężenia.

– Cieszę się, że wróciłaś, Léa – przywitała ją pani Holm. – Jak się czujesz?

– Lepiej, dziękuję pani.

– Podczas twojej nieobecności, czy to z niepokoju, czy też ogarnięci wiosennym nastrojem, twoi koledzy byli bardzo roztrzępani.

Wyjmuje plik kartek z torby i wyciąga je w naszą stronę.

– To po prostu „nitonisio”! – wybucha nagle złością.

„Nitonisio” w języku pani Holm oznacza „ani to zrobione, ani to do zrobienia”. Ma kilka powiedzonek w tym stylu, bardzo wymownych. Zawsze uważałam, że „nitonisio” jest zbyt urocze, żeby używać go do określania niepowodzeń. Przypomina raczej nazwę słodkiego zwierzątko, jakiejś myszki laboratoryjnej – ale jeszcze żywej – która ukrywa się w zaroślach i popiskuje sobie cicho z zadowolenia. Do słownika proponuję następującą definicję: *Nitonisio* – rzeczownik rodzaju nijakiego, niewielkich rozmiarów ssak z rodziny gryzoni, który po zapadnięciu zmroku śpiewa, daje się głaskać grzecznym dzieciom po miękkim brzuszku i rozmnaża się za kaloryferami w połowie września.

„Nitonisio” to jednak co innego, a pani Holm ani trochę nie wygląda na zadowoloną. Podsumowuje wyniki niezapowiedzianej kartkówki na temat odruchów ludzkiego ciała.

– Kiedy proszę was o zacytowanie przykładów nietypowych odruchów, śmiem mieć nadzieję, że zaczerpniecie je z zajęć, nie zaś z głupot usłyszanych nie wiadomo gdzie. Czasami mam wątpliwości, czy naprawdę jesteście w klasie maturalnej! A zatem! Nie, Julien, kiedy

ktoś uderza cię młoteczką tuż pod kolanem, odruchem nie jest przyłożenie tej osobie. Nie, Hugo, ślinienie się na widok pięknej dziewczyny nie jest odruchem. I, na miłość boską, Inès, sztywny „kureczek” u wisielców burzową porą nie jest spowodowany odruchem, skoro oni już nie żyją! Poza tym chłopcy nie mają „kureczków”, tylko penisy!

Sądząc po jej wrzaskach, zapewne wszyscy w budynku wiedzą już, co mają chłopcy. Mimo żalonych ocen jesteśmy bardzo zadowoleni.

Podczas posiłku w południe uwaga wszystkich kieruje się na Lée, i jest to w pełni zrozumiałe. Ponieważ każdy stara się o nią zadbać, idę po dzienniczek, którego zapomniałam w sali matematycznej. Wychodząc ze stołówki, wpadam na Evę czającą się za drzwiami. Pilnuje kogoś z ukrycia. To bardzo bezpośrednia dziewczyna, dlatego podobne zachowanie zupełnie mi do niej nie pasuje.

– Co robisz? Szpiegujesz?

– Nie pokazuj się, bo mnie nakryją!

Gwałtownym ruchem wciąga mnie za siebie.

– Masz z kimś problem?

– Na razie nie, ale spodziewam się najgorszego.

Wskazuje mi stół, przy którym chłopak i dziewczyna, zapewne z pierwszej klasy liceum, jedzą razem obiad.

– Przecież to twoja siostra.

– Właśnie, a ten mały playboy, który robi do niej maślane oczy, próbował już przespać się z ośmioma dziewczynami od początku roku szkolnego. Z tego co rozumiałam, udało mu się osiągnąć cel z dwiema, które wciąż jeszcze nie doszły po tym zdarzeniu do siebie. Nie chcę, żeby ostrzył sobie zęby i całą resztę na Lolę.

Istotnie, nie trzeba długo im się przyglądać, żeby stwierdzić, że chłopak robi co może. Gestykułuje, porusza ramionami, rzuca słodkie spojrzenia Loli i ją rozśmiesza. Właśnie tak zachowują się gołębie w okresie godowym. Brakuje mu tylko piór. Trzeba przyznać, że jak na młodzika z pierwszej klasy jest dobry w te klocki. W tej dziedzinie także szybko się zmieniamy. Dwa lata później chłopcy są już bardziej sprytni, znacznie „subtelniejsi” w swoich próbach uwodzenia – ale wciąż jeszcze długa droga dzieli ich od elegancji. Zachowanie tego młodego samca rozśmieszyłoby każdą dziewczynę z klasy maturalnej, a jednak ten tani spektakl wydaje się świetnie działać na młodszą siostrę Evy. Jak my wszystkie, ona także nauczy się w końcu rozpoznawać i unikać tego rodzaju opętańców, ale na razie, jeśli ten młody człowiek jest rzeczywiście do tego stopnia napalony, rozumiem niepokój mojej koleżanki.

– Spójrz! Udaje takiego słodziaka – mamrocze Eva. – Gdybym była facetem, przyłożyłabym mu w tę jego śliczną buzię.

– Próbowалаś ostrzec siostrę?

– A od kiedy oczarowana dziewczyna słucha czyichś rad? Chodź, wstają, musimy się stąd zwinąć.

Zostawiam Evę na czatach i ruszam w stronę sali matematycznej. Po wrzawie panującej w holu spokój opustoszałych korytarzy napawa mnie lękiem. Światła wyłączyły się automatycznie, a wśród ciszy, zamiast tradycyjnego odgłosu kawalkady, moje kroki odbijają się niepokojącym echem. Nie chciałabym spotkać się tu oko w oko z brutalem, który groził mi ostatnio, i którego widuję z daleka od czasu do czasu. Czym prędzej wbiegam po schodach,

przede wszystkim jednak staram się nie myśleć o tym, że cienie rzucone przez balustrady rysują na ścianach olbrzymie zęby. Doskonała dekoracja do horroru, który mógłby wywołać traumę u małej Sorayi, kiedy już pozbędzie się fobii zombie zjadających psy. Docieram wreszcie do sali B 209 i wchodzę do środka.

Kiedy tylko popycham drzwi, z moich ust wyrywa się krzyk. Chyba nigdy tak nie wrzeszczałam. Solidnie się już „przedprzestraszyłam” w ciemnych korytarzach, ale to, co teraz widzę, mrozi mi krew w żyłach.

Tibor stoi na krześle, które z kolei jest ustawione na biurku. Z wysokości tej konstrukcji zanurza ręce w podwieszonym suficie. Przestraszył się tak samo jak ja, moje pojawienie się niemal zaś spowodowało jego upadek.

– Tibor, co ty wyprawiasz? Prawie umarłam ze strachu.

On drży.

– Napędziłaś mi stracha...

– Co kombinujesz przy suficie?

– Wszystko ci wyjaśnię. Musisz mi jednak przyrzec, że nikomu nie powiesz. Nigdy. W przeciwnym razie...

Zeskakuje z krzesła i podchodzi do mnie. Nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się jakiś obcy. Czuję się nieswojo. Cofam się, wkrótce jednak znajduję się unieruchomiona przy ścianie. Naprawdę lubię tego chłopca, nie chciałabym, żeby był zamieszany w jakąś podejrzaną sprawę.

– Camille, wiesz, że lubię zwierzęta i nienawidzę marnotrawstwa.

Potakuję skinieniem głowy tak szybko jak tylko mogę, zastanawiając się jednocześnie, co zaraz usłyszę. Wyobrażam sobie, że doda teraz: „Dlatego uwielbiam pożerać ludzkie mięso. Ha, ha, ha!”, po czym posieka mnie maczetą. Albo powie: „Cóż, handluję narkotykami, które ukrywam w suficie, żeby mieć z czego opłacić kryjówki!”.

Stoi przede mną. Już nie drży, ja wciąż jednak dygoczę. Wreszcie mówi zdławionym głosem:

– Trochę mi wstyd, ale myślę, że mnie zrozumiesz. Całe szczęście, że to ty mnie nakryłaś. Od dwóch tygodni zbieram pozostawione na tacach w stołówce jedzenie, żeby dokarmiać bezdomne zwierzęta, którymi się opiekuję. Nie mogę patrzeć na wszystkie te marnujące się produkty, kiedy małe stworzenia głodują.

Wewnętrzne westchnienie ulgi. Jest wariatem, ale tylko jego głos będzie dziś zduszony.

– Co robiłaś w podwieszonym suficie?

– To moja spiżarnia. Nie mogę wynosić łupów każdego popołudnia, chowam je więc na górze. Chcesz zobaczyć?

Wskakuje na biurko, wspina się na krzesło i wyciąga z kryjówki trzy plastikowe reklamówki. Kawałki sera, ciastek, chleba, kilka jogurtów – wszystko zapakowane.

– Twoje psy jadają jogurty?

– Pilnuję małego chihuahua o imieniu Octavio, który za nimi przepada. Szczególnie za tymi o smaku brzoskwińowym z kawałkami owoców.

– Czyli wieczorami zabierasz to, co udało ci się zgromadzić?

– Kiedy już wszyscy sobie pójdą. Czasami jest to niemożliwe, ponieważ pojawiają się sprzątaczkę.

Tibor wkłada z powrotem żywność do kryjówki i zasuwa płytkę. Kiedy wszystko jest już na swoim miejscu, przeciera krzesło i biurko rękawem.

– Nikomu o tym nie mów, obiecujesz?

– Mam usta zamknięte na kłódkę.

Bez ostrzeżenia bierze mnie w ramiona.

– Dziękuję, Camille.

Najgorsze by było, gdyby w tej chwili pojawili się Dorian i Laura. Ale bóg żartowniś, który steruje losami naszego świata, musi akurat być zajęty gdzie indziej. Nikt nas nie zaskoczył. Staliśmy tak przez chwilę przytuleni do siebie. Krzyknęliśmy tylko ze strachu, podskakując jak rażone piorunem szynszyle, kiedy rozległ się dzwonek na lekcję.

Pan Rossi ma rację – jesteśmy tylko zwierzętami. Z jednej strony dręczy nas stres związany ze zbliżającymi się wielkimi krokami egzaminami, dręczą nas także życiowe pułapki, o których informuje się nas co godzinę, skandaliczne i przygnębiające wiadomości, dramaty w naszym otoczeniu – rozwody, choroby, Dorian i Laura, ostatnio nazwani dżumą i cholera – nie wspominając już o głodzie i wojnach, jeśli spojrzysz się nieco szerzej. Powinniśmy być spięci jak świnki morskie przywiązane do maski bolidu Formuły 1 pędzącego dwieście pięćdziesiąt kilometrów na godzinę przy wejściu w ostry zakręt. Powinniśmy cierpieć na bezsenność, nie móc się śmiać, stracić wszelką nadzieję. A jednak wystarczy, żeby zrobiła się taka pogoda jak dziś, żeby to wszystko przestało mieć znaczenie.

Nadejście pogodnych dni w pełni wystarcza, żebyśmy o wszystkim zapomnieli, żeby unicestwić wszelkie napięcia i wynieść nas do rangi istot radośnie beztroskich i szczęśliwych. Przy pięknej pogodzie, po tak długim okresie szarugi, po skórze rozchodzi się przyjemny dreszczyk, a świnka morska może tańczyć na masce wypadającego z zakrętu bolidu. Pan Rossi twierdzi, śmiejąc się, że na wiosnę nasz mózg topnieje pod wpływem hormonów i nie ma sposobu, żeby utrzymać nas w ryzach. Ostrzega nas również, że drapieżniki cenią sobie ten okres, gdyż zwierzyzna jest wtedy najmniej czujna. Podoba mi się ta teoria – przypomina, że pierwotnie wakacje to uwolnienie dzieci ze szkoły, żeby mogły pomagać rodzicom w sianokosach. Piękne dni były wówczas najbardziej aktywnym okresem. To nadal sprawdza się w wypadku zwierząt. Kiedy tylko wyjdzie słońce, ptaki zaczynają krzątać się przy budowie gniazd, bobry naprawiają swoje żeremia, niedźwiedzie zaś spędzają co najmniej tydzień na opróżnianiu sobie jelit. W naszym wypadku jest odwrotnie. Obecnie czas, w którym moglibyśmy najwięcej zdziałać, jest okresem nieróbstwa. Większość z nas latem wyłącza się objaja. Rezultat: „Gdy przychodzi zima, śniegi, zawieruchy – biedaczki – gorzko płaczą”. Jestem pewna, że macie świadomość, że nie jest to cytat z Jérôme’a Chevillarda.

W serii „jesteśmy tylko zabawkami natury” pani Holm opowiadała nam o kaczkach, których intensywność zachowań seksualnych zależy od światła. W miarę jak wzrasta nasłonecznienie, jądra samca zwiększają objętość, skłaniając kaczki do łączenia się w pary. Co prowadzi do tego cudownego powiedzenia: „Światło na śniadanie, będzie niezłe kwakanie”.

Jérôme Chevillard nie ująłby tego lepiej. Kto ośmielił się umieścić ten napis przy wejściu do muzeum albo na początku książki? Nie wiem dlaczego, ale ta historia z rosnącymi jądrami przywodzi mi na myśl Don Juana młodszej siostry Evy. W jakim stanie chłopak będzie po takim dniu? Myślę również ze wzruszeniem o kaczkach. Ofiary światła. Biedaczyska! Co się dzieje, kiedy robi im się zdjęcia przy użyciu flesza?

Rano jadę na rowerze tylko do domu Léi – nie ma mowy, żeby ona jechała do szkoły, pedałowując. Dalej wiezie nas samochodem jej mama. Na miejscu budynku przy dworcu zieje teraz wielka dziura w ziemi – w głębi krzątają się małe ludziki na przedziwnych maszynach, których zastosowania nigdy nie zrozumieję. Nie widziałam starszego pana. Codziennie o nim myślę.

W domu także widać skutki nadchodzącej wiosny. Zoltan jest jeszcze bardziej podekscytowany niż zazwyczaj. Kłaczek chce teraz wychodzić na zewnątrz i zauważyłam, że coraz bardziej oddala się od domu. Sąsiedzi mówili, że go widzieli, a mieszkają trzy ogrody dalej. Niepokoję się. Boję się, że trafi na zaczepnego psa, na starego kocura o obszarpanych uszach albo wpadnie w pułapkę sadysty wrogo nastawionego do zwierząt.

Często, kiedy już odrobie lekcje, wychodzę na taras i wołam go. Rzadko wraca. Zoltan zrozumiał, że jeśli wychodzę na zewnątrz bez kurtki, to czynię tak, żeby przywołać jego kumpla. Towarzyszy mi więc i siada grzecznie w oczekiwaniu. Rozgląda się, gotów zgotować kociakowi radosne powitanie. Nie w tym jednak objawia się największa zmiana w życiu Kłaczka.

W zeszłym tygodniu zrobił coś przedziwnego. Było już późno. Uczyłam się w swoim pokoju i otworzyłam okno, żeby przewietrzyć pomieszczenie. Kot siedział na rogu biurka i ze spokojem wykonywał toaletę. Nagle, jak gdyby otrzymał rozkaz za pośrednictwem pilota sterującego jego głową, przeskoczył na komodę przy oknie. Wystawił wąsiki na zewnątrz, postawił łapę na parapecie i zanim zdążyłam cokolwiek zrobić, wyskoczył na wiśnię, której gałęzie dotykają fasady. W panice poderwałam się z krzesła, wołając go po imieniu. On zaś spokojnie przesuwał się po gałęzi. Odwrócił głowę w moją stronę i mogę wam przysiąc, że chociaż to tylko kot, w jego spojrzeniu było widać dumę z udanego wyczynu. „I co, jesteś pod wrażeniem?” – zdawał się pytać. Ruszywszy po chwili na dalsze zwiedzanie drzewa, dodał: „Ja jestem z siebie raczej zadowolony, oceniłbym się na pięć z plusem”. Cóż, Kłaczek jest młody, chodzi do szkoły podstawowej, nie zna się jeszcze na punktacji w skali do dwudziestu.

Boję się, że spadnie. Pobiełam jak szalona do ogrodu. Postawiłam na nogi cały dom. Asekurowałam go z dołu, gotowa złapać, gdyby stracił równowagę. Cholerny mały geniusz. Pan Kula Futra nie spieszył się z powrotem na ziemię. Byłam trochę zła, ale w głębi duszy również dumna. Od tamtej pory staram się nie otwierać okna. W czasie kiedy odrabiam lekcje, Kłaczek siedzi z nosem przyklejonym do szyby.

Jest jeszcze jeden prognostyk wiosny, fascynujący i tajemniczy, a jest nim twarz mojego brata. Nie wiem, czy to skutek wpływu pięknej pogody na jego jądra, ale oblicze Lucasa, coraz mniej pucułowate, jest usiane ślicznymi krostami, które – jak w zaczarowanym ogrodzie – wykluwają się każdego dnia. Aż chce się rzygać. Ropne fajerwerki. Najwyższy stopień upokorzenia: mama zabroniła mu kłaść głowę na poduszkach i dotykać nią tapet. Zaproponowałam, że owinę mu ją papierem toaletowym, ale nikt nie chce mieć w domu mumii. Nawet Zoltan wykazuje się mniejszym zapałem, gdy chodzi o lizanie go po twarzy. Biedny Lucas źle znosi tę sytuację. Widzę, jak się zachowuje przed lustrem w łazience. Kiedy staram się go pocieszyć, mówiąc: „Nie martw się, znikną. Wszyscy przez to przechodziliśmy”, odpowiada: „Spadaj, czarownico, bo cię przytulę”. Gdyby nie kolor, można by go porównać z przepięknym angielskim trawnikiem, któremu krety postanowiły przetrzepać skórę.

Ostatnio, kiedy przyglądałam się jego twarzy usianej cudami matki natury, wydało mi się, że krosty na czole układają się w słowo. Tak, tak – przysięgam! Jak w tych grach, w których łączy się punkty liniami. Przysięgam, że przez chwilę wydało mi się, że widzę słowo „gogol” albo „neuneu”. Gdyby się dobrze zastanowić, czoło może pełnić funkcję tablicy informacyjnej, na którą ciało wysyła światu wiadomości za pośrednictwem pryszczycy. Czyż się nie mówi: „Czy mam to wypisane na czole?”. W tym wypadku tak właśnie jest. W świetle tego odkrycia,

które zrewolucjonizuje nasze spojrzenie na nastoletnią młodzież, wiele rzeczy się wyjaśni. Pamiętam doskonale, że najwięcej pryszczy ze wszystkich dziewczyn miała Laura, która w tamtym okresie nie znajdowała się jeszcze w rękach Doriana. Kiedy teraz o tym myślę, wydaje mi się, że na jej czole, które wyglądało jak pole bitwy po bombardowaniu, można było wyraźnie przeczytać „wredna suka”. Mówię wam, że znaki są wszędzie. Trzeba tylko umieć je czytać.

Zauważam wszystko, co zmienia się wokół mnie, z wyjątkiem tego, co mnie dotyczy. Lucas rośnie, Kłaczek również. Obaj wystawiają czubek języka, kiedy myślą. Lucas nie macha już nogami pod krzesłem, ponieważ są za długie. Wychodzi z kolegami. Czy moi rodzice odczuwają w stosunku do nas te same niepokoje, które ja mam w stosunku do mojego kota? Czy z podobną troską patrzą, jak wypuszczamy się coraz dalej w świat? Gdy się tak dobrze zastanowię, to nie chcę, żeby Kłaczek się oddalał – z dwóch powodów: po pierwsze, lepiej od niego znam czyhające niebezpieczeństwa tego świata. Wiem, co mu grozi. Po drugie, egoistycznie po prostu czuję się lepiej, kiedy jest przy mnie. Tak bardzo o niego dbałam, karmiłam, zabawiałam, że zajął w moim życiu ważne miejsce. Każda z jego nieobecności pozostawia we mnie pustkę. Chyba podobnie jest w wypadku rodziców młodych ludzi, jakimi jesteśmy my. Tato, mamó, obiecuję, że nie wyskoczę przez okno na drzewo. Zwłaszcza że Lucas już próbował zeskoczyć z garażu na samochód.

Jest późno. Przed chwilą podsłuchiłam rozmowę moich rodziców. Ojciec się dziwił, że ostatnio zdaje się mniej przejmować stanem Léi. Był niemal oburzony, że od czasu powrotu do liceum wszyscy starają się unikać rozmowy o jej chorobie, jak gdyby przestała istnieć. Jego argumenty wydały mi się tak celne, że poczułam wyrzuty sumienia. Mama odpowiedziała mu stanowczo, przypominając, że kiedy sami byli młodszy – znali się zaledwie od kilku tygodni – jeden z ich kolegów z klubu zabił się na skuterze. Nigdy mi o tym nie mówili. Wywołało to ogromny szok, kilka dni później przypadły jednak urodziny jednego z ich przyjaciół. Ojciec stanął wtedy po stronie tych, którzy nie chcieli odwołać imprezy, ponieważ: „W obliczu śmierci nie można wyrzekać się życia”. Zdaniem mamy atmosfera urodzinowa była dość specyficzna, ale dzięki temu wszystkim łatwiej przyszło poradzenie sobie z tragedią. Później wspomniała o czymś, co bardzo głęboko mnie naznaczyło. Starszy człowiek, który prowadził bar w lokalu, gdzie odbywała się impreza, powiedział coś, czego mama nigdy nie zapomniała: „Żyjemy, umieramy, ludzie płaczą, później jednak się zastanawiają, co by tu zjeść”. Mimo że opowiada to po latach, mama wydaje się bardzo wzruszona. Nawiązując do nas, powiedziała tacie: „Pozwól im wierzyć, że wszystko gra. Niech zapomną o tym horrorze na tak długo, jak to będzie możliwe”.

Wróciłam do swojego pokoju na palcach. Kłaczek stał przy oknie. Zbliżyłam się do niego. Pogłaskałam go.

– Masz ochotę na spacer, kolego?

Miauknął. Otworzyłam okno. Popatrzył na mnie, zaskoczony moją uległością, i skoczył szybko, żebym nie zdążyła zmienić zdania. Znalazłszy się na gałęzi, odwrócił się. Przysięgam, że chociaż to tylko kot, jego oczy mówiły „dziękuję”.

„Niech zapomną o tym horrorze na tak długo, jak to będzie możliwe” – powiedziała mama. Trwało to tylko dwa tygodnie.

Léa jest zwolniona z zajęć wychowania fizycznego. Na każdej lekcji zostaje poza linią autu, na świeżym powietrzu, często z Tiborem w roli sędziego, który gwizdże kiedy bądz.

Tego dnia panuje swobodna atmosfera. Po lekcjach część naszej grupy planowała nawet przejść się do centrum handlowego. Ja nie. Nie mam ochoty iść z nimi, ponieważ na samą myśl, że uchwyci mnie sześćdziesiąt pięć kamer przemysłowych ojca, włosy jeżą mi się na głowie. Axel również się wykręcił, ponieważ miał coś innego do roboty. Graliśmy w siatkówkę. Inès dwukrotnie złapała się już w siatkę, jak motyl. Kątem oka widziałam, jak Léa i Tibor się śmieją. Być może to właśnie ten śmiech ją wyczerpał. Rozpoczynaliśmy drugi mecz, kiedy Léa skuliła się i zaczęła łapać gwałtownie powietrze. Spadła z ławki. Tibor natychmiast wezwał pomoc.

Axel w trzech susach znalazł się przy niej. Nauczyciel chwilę później.

– Odsuńcie się – mówi. – Pozwólcie jej oddychać. Léo, odezwij się!

Ona otwiera oczy, krzywiąc się z bólu. Wygląda, jakby się dusiła. Rzucam się w stronę jej plecaka, wołając:

– Trzeba jej zrobić zastrzyk!

Pan Taribaud układa ją ostrożnie w bezpiecznej pozycji. Jest bardzo spokojny, w przeciwieństwie do mnie.

Nachylam się nad przyjaciółką i szepczę jej do ucha:

– Oddychaj, kobieto! Znajdę strzykawkę i od razu lepiej się poczujesz.

Wyciągam opakowanie. Nauczyciel pyta:

– Umiesz robić zastrzyki?

Kręcę przecząco głową. Wyjmuje mi ostrożnie strzykawkę z dłoni.

– Zajmę się tym.

Zapoznaje się z krótką instrukcją ze szpitala, zdejmując zatyczkę z igły.

Cała klasa zgromadziła się wokół nas. Jest tak cicho, że wszyscy słyszą krótki oddech Léi. Tibor trzyma ją za jedną rękę, Axel za drugą.

W trakcie robienia zastrzyku nauczyciel woła do Louisa:

– Biegnij do sekretariatu i poproś, żeby wezwali pogotowie!

Léa się dusi. Jej skóra nabiera barwy, jakiej nigdy jeszcze nie widziałam i która wcale mi się nie podoba. Jej spojrzenie ucieka, oczy się wywracają. Nie mogę się teraz rozpłakać. „Pozwól im wierzyć, że wszystko gra” – powiedziała mama. A teraz, co robimy? Przed oczami stają mi najgorsze wizje. Być może Léa nie opuści żywa tego boiska. Być może to był ostatni dzień, jaki spędziłyśmy razem. Czuję, że zaraz się rozkleję. Axel kładzie mi dłoń na ramieniu. Wymieniamy spojrzenia nad leżącym ciałem Léi. On jest równie przejęty jak ja, ale znajduje w sobie siłę i się opanowuje. Dodaje mi odwagi, biorę się więc w garść.

Léą wstrząsają gwałtowne konwulsje. Przez klasę przechodzi przepęlniony paniką szmer.

– Wszystko dobrze – uspokaja nauczyciel. – W ulotce napisano, że to pierwszy widoczny skutek zastrzyku. Lekarstwo zaczyna działać.

Ja, która zawsze traktowałam go jak klauna z balonikami, stwierdzam, że ma łeb nie od parady.

Pomoc przybyła bardzo szybko. Mój dziadek zawsze powtarzał, że w najgorszym dramacie zawsze jest coś zabawnego. Miał rację. Kiedy pojawiło się pogotowie, ratownicy, zapewne z przyzwyczajenia, rzucili się na Tibora, który uciekał przez boisko do piłki nożnej, wrzeszcząc:

– Nic mi nie jest, nic mi nie jest! To nie ja! Dajcie mi spokój!

Ratownicy nie pozwolili mi towarzyszyć Léi. Odjechała sama. Uważam, że to okropne. Wciąż jeszcze nie oddychała normalnie, nawet po podaniu tlenu. Kiedy drzwi czerwonego samochodu zamknęły się za noszami, wybuchłam płaczem.

Już samo to, że do pokoju nauczycielskiego zostają wezwani przedstawiciele klasy, nie wróży nic dobrego, ale polecenie, że mam się tam stawić razem z nimi, jest czymś niespotykanym. Wiem, że nie powinnam była tak potraktować Doriana na lekcji chemii, sam się jednak prosił. Poza tym odkąd Léa jest w szpitalu, jestem cała roztrzęsiona. Reszta klasy nie jest zresztą w lepszej formie i nauczyciele twierdzą, że nie można z nami wytrzymać. Porządnie nam się oberwie.

Kiedy stajemy z Marie i Antoine'em przed pokojem nauczycielskim, mamy się nietęgo. Bierzymy głęboki wdech i rzucaamy się na głęboką wodę. Ostatnia wymiana spojrzeń i ruszamy prosto w paszczę lwa. Antoine puka. Pierwsza zła wiadomość: odzywa się tubalny głos pana Tonnerieux. Skoro sam dyrektor uznał za stosowne się pofatygować, będzie rzeź. Otwieramy drzwi i wchodzimy gęsiego, jak kaczkki na jarmarcznej strzelnicy.

Druga zła wiadomość: wszyscy nauczyciele są obecni. To już nie zwykłe zebranie w sprawie zachowania, ale prawdziwe kolegium dyscyplinarne.

– Siadajcie, mamy mało czasu – rzuca dyrektor.

Pani Serben, pan Rossi, pani Holm, a nawet panie i panowie Shelley, Gerfion, Alvares i Taribaud są tutaj. A ja, głupia, nie wzięłam nawet ze sobą notatnika, żeby sprawiać wrażenie poważnej uczennicy. Pozwolimy się tutaj zetrzeć na miazgę.

– Mamy z waszą klasą problem – atakuje pan Tonnerieux. – Będziemy musieli zareagować.

Antoine włączył tryb „uczeń idealny” i potakuje ulegle. Marie i ja działamy raczej w trybie „zając oślepiiony reflektorami”, gotowe dać się posiekać i wrzucić do potrawki.

– Od kilku tygodni – ciągnie dyrektor – wasze wyniki się pogarszają. Nawet u dobrych uczniów.

Pozostali nauczyciele potakują jednogłośnie.

– Wasze zachowanie również... się skomplikowało – dodaje powściągliwie.

Wymiana ironicznych spojrzeń wśród nauczycieli. Dostanie nam się dożywocie w wariacie z torturami.

– Uważamy, że pogorszenie wyników jest w dużej mierze związane z tym, co odczuwacie w związku ze stanem zdrowia Léi i jej hospitalizacją. Wielu spośród was w tej klasie jest z nią mocno związanych, mamy tego świadomość. Zbliżają się jednak egzaminy i jeśli tak dalej pójdzie, możecie ich nie zdać. Nawet gdy jakimś cudem się wybronicie, nasza życzliwość nie uratuje ocen, które już są wpisane do waszych akt. Może się to niekorzystnie odbić na wynikach zapisów na studia. Zostaliśmy skonfrontowani z wyjątkową sytuacją. Wierzcie, że rozumiemy wasze przywiązanie do Léi. Nie chcemy, aby tragedia, jaka ją spotkała, pociągnęła całą klasę ku porażce, dlatego chcieliśmy z wami porozmawiać.

Zaskoczenie naszej trójki. A więc nie wezwali nas po to, żeby dokonać egzekucji, tylko z zamiarem udzielenia nam wsparcia?

Głos zabiera pan Rossi:

– Czujemy wyraźnie, że większość z was głęboko przeżywa to, co spotkało Léę. Masowo

odwiedzacie ją w szpitalu, martwicie się o nią. Robicie to kosztem nauki i celów, których nie powinniście tracić z oczu. Jakkolwiek by się to wydawało trudne, prosimy was, dla waszego dobra, żebyście skupili się na nauce. Znajdujecie się w punkcie zwrotnym waszego życia i to, co przytrafia się jednemu z was, nie może odwieść was od powodów, dla których się tutaj znajdujecie. Pomożemy wam, ale sytuację będzie można poprawić tylko wtedy, gdy wykażecie się motywacją. Dlatego liczymy na was, przedstawicieli klasy, i na ciebie Camille, jako osobę bliską Léi, żeby przekazać tę informację waszym koleżankom i kolegom.

Pani Serben dodaje:

– Mamy duże opóźnienia w programie. Za niespełna cztery miesiące czekają was egzaminy, a ta historia całkowicie wytrąca was z równowagi. Musicie wziąć się w garść!

Strach zmienia się u mnie w złość. Jestem oburzona. Proszę nas, ni mniej, ni więcej, żebyśmy odsunęli Léę na bok, zapomnieli o niej i uczyli się do matury. Czy oni zdają sobie sprawę z tego, co czujemy? Czy mają nas za zaprogramowane maszyny o wyznaczonych celach, pozbawione serc?

– Nie macie nic do powiedzenia? – dziwi się pani Holm.

– Niełatwo będzie nam zapomnieć o Léi – wyrzucam z siebie jednym tchem. – Jeszcze nie umarła, a może nawet przeżyje. Wiemy, że zbliżają się egzaminy, ale szczerze mówiąc...

Słowa wydostały się ze mnie, zanim zdążyłam pomyśleć. Pani Shelley wzdycha głośno:

– Byłam przekonana, że tak zareagują. Cóż za brak dojrzałości! Niezdolni do spojrzenia dalej niż czubek ich nosa. Ja nie zamierzam komplikować sobie egzystencji, pomagając ludziom, którzy wcale tego nie chcą. Życie samo się nimi zajmie.

– Lise! – protestuje pan Tonnerieux. – Proszę, uniknijmy tego rodzaju schematów.

Wszystko dzieje się za szybko. Dyrektor zwraca się do nauczycielki angielskiego po imieniu i bierze nas w obronę? Nauczycielka angielskiego ma imię?

Następnie dyrektor zwraca się do mnie:

– Camille, nie chodzi o to, żeby zapomnieć o Léi. Chodzi o to, żeby nie porzucić wszystkiego innego, ponieważ jesteście bardzo blisko celu. Nie wiemy, co z nią będzie, i mimo tego, co możesz sądzić, jej los jest nam bliski. W przyszłym roku jednak każde z was będzie już podążało własną drogą życiową...

– Proszę wybaczyć, ale nie wiemy, czy w przyszłym roku Léa nie będzie szła przez życie razem z nami...

– Całym sercem chcemy wierzyć, że Léa wyzdrowieje. Ale niezależnie od tego, jaka będzie jej przyszłość, na waszą z pewnością padnie cień, jeśli natychmiast nie zareagujecie. Jesteśmy w stałym kontakcie z jej rodzicami. Wiemy już, że nie będzie mogła kontynuować normalnego toku nauki przez najbliższych kilka miesięcy. Nie wiemy nawet, czy będzie mogła wrócić do liceum w ciągu najbliższych tygodni, co oczywiście byłoby korzystne dla jej samopoczucia. Jej rodzice starają się, żeby mogła wrócić do domu, to już byłby doskonały początek.

– Wiem to wszystko, widuję się z nią codziennie, a nasze rodziny się przyjaźnią.

– Wiemy również – wtrąca pan Rossi – że każde z jej zniknięć i każde pojawienie się ma na was bardzo duży wpływ. Chcemy wam pomóc przetrwać te chwile i nie zrujnować sobie przyszłości. Nie walczymy przeciwko Léi – walczymy o was. Byłoby świetnie, gdyby choć raz policjanci i złodzieje mogli się dogadać, ponieważ mamy do czynienia z ogniem i nie chcemy, żeby pożar wszystko zniszczył...

Argument przemawia do mnie. Uspokajam się. Pan Tonnerieux ciągnie:

– Pan Rossi zgłosił się na ochotnika, żeby przeprowadzić waszą klasę przez ten trudny okres. Ze względu na jego plan zajęć jest bardziej dyspozycyjny niż pani Serben, wasza wychowawczyni. Będziemy dokonywać podsumowania przynajmniej raz w tygodniu. Mamy świadomość, że próba ta wymaga od was wysiłku, ale również od całego grona pedagogicznego. Razem spróbujemy sprawić, żeby dramat nie zmienił się w katastrofę.

Hugo i Vanessa wpadli z wizytą do Léi. Chociaż ona stara się tego nie okazywać, widzę, że brakuje jej energii. Kiedy tylko goście wyszli z pokoju, opadła na łóżko wyczerpana. Bezbarwnym głosem stwierdziła:

– A więc nauczyciele zorganizowali wam grupę wsparcia, żebyście poradzili sobie z moją nieobecnością?

– Tak, jesteś prawdziwą traumą dla naszej klasy. Wiesz, kiedy będziesz mogła wrócić do domu?

– Nie przed upływem tygodnia. Rodzice musieli zamówić specjalny sprzęt do mierzenia oddechu, ciśnienia i sama nie wiem czego jeszcze. Muszę przejść szkolenie z jego obsługi, poza tym co dwa dni będzie przychodziła do mnie pielęgniarka.

– Opieka godna gwiazdy...

– Chętnie bym z niej zrezygnowała, tym bardziej że mama wykorzystuje teraz cały swój urlop. Swoją drogą nie zgadniesz, kto do mnie niedawno dzwonił...

– Powiedz.

– Dyrektor *himself*. Pytał, jak się czuję, był supermiły i powiedział, że na pewno mnie odwiedzi. Zapytał również, czy nie przeszkadzałoby mi, gdyby pani Serben tu zajrzała.

– Każe ci pisać niezapowiedzianą kartkówkę!

– Nawet w szpitalu nie można mieć spokoju! To dziwne, ale muszę przyznać, że klasówek także mi brakuje. Wyobrażasz sobie, do czego to doszło?

– Jesteś spragniona sprawdzianów? Biedactwo, zaczynam się poważnie niepokoić.

– Ależ ja się nudzę... Telewizja dobra na trzy minuty. Książki są w porządku, nie potrafię się jednak długo na nich skupić, jeśli zaś chodzi o czasopisma, to kiedy przeczytasz jedno – przeczytałaś już wszystkie. Czekam więc na wasze odwiedziny i rozmyślam... Dlaczego nie miałam tyle wolnego czasu w zeszłym roku? Mogłabym wyuczyć się lektur z francuskiego!

– Nawet kilkumiesięczna hospitalizacja nie wystarczyłaby do przeczytania *Ojca Goriot*.

– Masz rację. *Bel-Ami* albo trzydziestopięciolitrowa lewatywa? Wybieram lewatywę!

– Co ty powiesz? Faszerują nas „wartościami” i „odpowiedzialnością”, a bez skrupułów zmuszają nas do czytania historii tego śmiecia!

– Chyba żeby nam pokazać, że tacy istnieją – śmieje się Léa.

– A potem się dziwią, że podchodzimy do książek z nieufnością...

– Pamiętam, jak dostałaś ochrzan od nauczycielki francuskiego, ponieważ ośmieliłaś się powiedzieć, że *Antygona* jest tak wulgarnie prowokująca jak najgorsze reality show, tyle że bez muzyki w czołówce.

Śmiejemy się właśnie w najlepsze, kiedy pojawia się pielęgniarka, która traktuje Léę jak małe dziecko. Spogląda na nas z lekkim niezadowoleniem, wieszta tabliczkę w nogach łóżka i mówi:

– Jeśli się zmęczysz, zabronię wizyt.

Léa odpowiada:

– Nie słyszała pani, że lepiej się leczy pacjentów, poprawiając im samopoczucie, niż robiąc zastrzyki? To zakład karny czy szpital?

Nigdy nie byłam świadkiem takiego u niej zacięcia.

Pielęgniarka zdążyła jeszcze dodać przed wyjściem:

– Lepiej się uspokójcie, ponieważ zaraz przyjdzie doktor Langeais, a ma akurat zły dzień...

Drzwi się zamykają.

– Zastanawiam się, dlaczego Langeais w ogóle został lekarzem – komentuje Léa. – Sprawia wrażenie, jak gdyby nie lubił ludzi. Patrzy na wszystkich spod oka, ma poczucie władzy nad życiem i śmiercią każdego z nas – nieszczęsnych, kłębiących się istot. Nienawidzę go, na dodatek mam wrażenie, że zupełnie nie zna się na tym, co robi. To nawet nie on mnie prowadzi...

Otwierają się drzwi, w których staje napuszony mężczyzna w nieskazitelnym białym kitlu. Z kieszonki wystaje mu czarne luksusowe pióro. Odpowiada dokładnie opisowi Léi. Nie zaszczyca mnie nawet spojrzeniem, mówi:

– Proszę poczekać na korytarzu.

Następnie sięga po akta Léi, również na nią nie patrząc, i zaczyna:

– A więc co nam mówią najnowsze wyniki?

Ruszam w stronę wyjścia, Léa puszcza zaś do mnie oko, po czym robi minę cierpięcicy. Przesadza, czka i się dławi. Chyba się wygłupia, ale robi to tak dobrze, że przypomina mi się nieprzyjemne zdarzenie na boisku. Na twarzy lekarza pretensjonalność ustępuje miejsca panice. Żegnaj, idealna prezencjo! Bez śladu godności rzuca się na dzwonek, żeby wezwać pielęgniarki. Nawet nie zajmuje się chorą. Ma w sobie znacznie mniej profesjonalizmu niż nasz nauczyciel wychowania fizycznego. Nie zwraca uwagi na Léę, zbyt zajęty szukaniem sposobu na jak najszybsze pozbycie się niewygodnej pacjentki.

– Proszę się uspokoić – powtarza tylko. – Proszę głęboko oddychać.

Brawo za celną radę!

Zdenerwowany przedłużającym się brakiem reakcji ze strony personelu wychodzi na korytarz.

– Potrzebujemy tu pomocy! Natychmiast!

Trzy pielęgniarki pojawiają się w okamgnieniu. Nie zadają sobie nawet trudu, żeby zapytać, co się dzieje, zapewne przyzwyczajone, że nie mogą na niego liczyć.

Zachowanie Léi jest już w pełni normalne. Jestem w szoku. Układa dłonie w megafon i oznajmia:

– Koniec alarmu próbnego, to były ćwiczenia! Powtarzam, to były ćwiczenia. Doktor Langeais jest proszony o natychmiastowe udanie się do biura inspektora w celu rewizji procedur alarmowych. W wypadku problemu zajmujemy się nie DZWONKIEM, tylko CHORYM.

Pielęgniarki śmieją się półgębkiem i karcą Léę dla zasady. Lekarz, jeszcze sztywniejszy niż na początku, udrapowany dyplomami i wysokim mniemaniem o sobie, wychodzi bez słowa. Léa zwija się ze śmiechu i kaszle.

Gdyby pewnego dnia ktoś mi powiedział, że zobaczę u niej przejawy takiej śmiałości i bezczelności w stosunku do ludzi, których nauczono nas szanować, nie uwierzyłabym. Nigdy jej takiej nie widziałam. Najwyraźniej czyta w moich oczach.

– Wiesz, Camille, jeśli mam kopnąć w kalendarz za dwa miesiące, nie mogę marnować czasu z ludźmi, którzy udają, że ci pomagają, naprawdę zaś posługują się tobą, żeby nadać sobie znaczenia. Ten typ nie powinien być lekarzem. Na pewno jest inteligentny, ale zapomniał, że pracuje z istotami ludzkimi. Powinien był zostać weterynarzem, a i tego nie jestem pewna. Na szczęście nie wszyscy są tacy jak on. Zobaczysz, doktor Nguyen jest genialny.

Wyciąga do mnie rękę. Już mam ją uścisnąć, kiedy zaskakuje nas czyjś głos.

– Nie przeszkadzam wam, dziewczyny?

W drzwiach stoi Axel. Zapominając o zmęczeniu, Léa wybucha szczerą radością i wyciąga ku niemu ramiona. Znów zaniemówiłam. Wydaje się bardziej szczęśliwa na jego widok, niż kiedy ja przychodzę. Axel podchodzi do niej bez wahania i ją obejmuje.

Nie wiem, czy potraficie sobie wyobrazić to, co się we mnie dzieje. Gdybym była oceanem, szalałby na mnie sztorm stulecia, po którym nastąpiłoby trzęsienie ziemi o sile dziesięciu punktów. Gdybym była doświadczeniem, byłabym podziemnym wybuchem jądrowym. Gdybym była najpiękniejszym kwiatem, zwiędłabym w ciągu ułamka sekundy.

Czy nie całują się w usta dlatego, że tu jestem, czy dlatego, że zazwyczaj tego nie robią? Czy są przyjaciółmi, czy chodzi o coś innego? Mimo całej sympatii, jaką odczuwam w stosunku do Léi, jestem bliska zezłosczenia się na nią. Dlaczego o niczym mi nie mówi?

Axel stoi nadal u wezglowia jej łóżka.

– Co słychać?

– Wciąż żyję, a to już coś. Zostaniesz chwilę?

– Nie mogę, muszę wracać. Chciałem się tylko przywitać.

– Miło z twojej strony.

Gdybyście mogli zobaczyć, w jaki sposób ona na niego patrzy, zrozumielibyście mnie. Axel zwraca się do mnie:

– Camille, zamierzasz niedługo już iść?

Wyrzuca mnie za drzwi czy co? Czy będzie to dzień, w którym dwoje moich bliskich przyjaciół mnie zdradzi? Czy idylliczny obrazek, jaki tworzą razem, zapadnie mi w pamięć jako najbardziej dramatyczna wizja mojego życia? Nie jestem już nawet w stanie wydobyć z siebie głosu.

– Ja... nie wiem – bełkoczę.

– Bo jeśli będziesz się już zbierać, pójdę z tobą.

Gdybym była zegarem, zaczęłabym się kręcić w drugą stronę. Gdybym była deszczem, wróciłabym do chmury. Gdybym była zwiędłym kwiatem, zakwitłabym jak nigdy.

Nie wiem, czy wszyscy tak mają, ale czasami odnoszę wrażenie, że jestem nadaktywnie reagującą substancją chemiczną. Najdrobniejsza cząsteczka emocji, jaka zostaje skierowana w moją stronę, może mnie zniszczyć, ożywić, zmienić, strawić lub sprawić, że będę zawsze lśniła. Teoretycznie nie ma takiej materii w naszym wszechświecie, a jednak ja istnieję. Należy mi się wielka jedynka z chemii.

Świeże powietrze dobrze mi robi. Prawdę mówiąc, nie wiem, czy to naprawdę zasługa powietrza czy tego, że idę obok Axela. Nie pamiętam, żebyśmy kiedykolwiek znaleźli się razem sam na sam w innym miejscu niż szkoła. Tutaj, na tej banalnej ulicy, sytuacja ma w sobie coś nowego. Gdybyśmy byli mali, opowiadalibyśmy sobie, że jesteśmy jak dorośli w prawdziwym życiu. Odczuwalibyśmy lekki dreszczyk wolności, który towarzyszy pierwszym samodzielnym eskapadom. Nikt już nie trzyma nas za rękę, nie pomaga bezpiecznie przejść przez ulicę. To już za nami. Nikt jednak nie trzyma mnie za rękę dla przyjemności wspólnego marszu. To jeszcze przed nami. Mam nadzieję, że i ten dzień w końcu nadejdzie.

Spoglądam na rękę Axela, która kołysze się w rytmie jego kroków. Co mnie powstrzymuje przed pochwyceniem jej? Dlaczego nie miałabym prawa spleść moich palców z jego palcami? Jak by zareagował? Kiedy porównuję to, co Léa ośmiela się robić, z tym, czego ja nie robię, stwierdzam, że mam przed sobą długą drogę. Co ona uczyniłaby na moim miejscu?

Axel zdaje się również delektować tym wiosennym późnym popołudniem. Idzie, zadzierając od czasu do czasu nos, jak młody węszący pies. Mieszka w pobliżu szpitala. Nie wiem dokładnie gdzie, ale na pewno w tej okolicy. Na najbliższym rogu ulicy powie mi, że tutaj nasze drogi się rozchodzą. Już z wyprzedzeniem nienawidzę tej chwili. Ponieważ nie wiem, na którym skrzyżowaniu skreśli, obawiam się każdego przecięcia ulic. Przed każdym przejściem dla pieszych moje serce ściska się i szykuje się na najgorsze. Obserwuję każdy jego najdrobniejszy gest zapowiadający zmianę kierunku. Wsłuchuję się w jego oddech, żeby wyczuć słowa oznajmiające mi jego odejście. Jeśli stawia stopę na jezdni, żeby przejść razem ze mną, moje serce daje susa z radości na drugą stronę ulicy. Axel nie zdaje sobie z tego sprawy, ale idzie obok wybuchu jądrowego, który odradza się cudownym sposobem na każdym skrzyżowaniu. O czym on myśli? O kim? Może o Léi...

Docieramy do zbiegu dwóch ulic. Axel zerka na mnie i chce coś powiedzieć. Między chwilą, w której zauważyłam ruch jego warg, a tą, w której dźwięk jego głosu dotarł do moich uszu, musiało upłynąć kilka dziesiątych sekundy. Mimo to zdołałam wyobrazić sobie, że chce mnie odprowadzić do domu. Zdażyłam pomarzyć, że mówi o tym, jak dobrze mu było w moim towarzystwie. Miałam również czas spojrzeć w jego tak piękne w tym świetle oczy. Zdażyłam nawet usłyszeć, jak mi wyjaśnia, że Léa jest dla niego tylko koleżanką i że od dawna wie o pakcie, jaki zawarliśmy w związku z jego osobą.

– Muszę cię tutaj zostawić. Mieszkam niedaleko. Chętnie bym cię odprowadził, ale jestem już spóźniony.

Nie mogę zemdleć dlatego, że brał pod uwagę odprowadzenie mnie, ani stracić twarzy, ponieważ mimo wszystko zamierza mnie opuścić.

– Nie szkodzi. Także się zresztą spieszę. Muszę wpaść do Copyshopu, żeby skserować notatki z lekcji dla Léi, zanim zamkną.

Jak mogłam wyskoczyć z takim tekstem? Dlaczego nie mam odwagi powiedzieć, co czuję? Dlaczego ukrywam się za idiotycznymi pretekstami i nie powiem mu, że jest mi źle, ponieważ

odchodzi, i że Copyshop zamykają o dwudziestej drugiej? A gdybym tak wybuchła płaczem? A gdybym zaczęła błagać go na kolanach? A gdybym wyciągnęła z torebki broń i wzięła go jako zakładnika, nie prosząc nigdy o okup?

Axel zdaje się wahać. Co mi tam, wiem, że mam przynajmniej prawo do cmoknięcia w policzek na pożegnanie. Liczę na nie. To absolutne minimum. Może mnie nie obejmie, ale poczuję przynajmniej ciepło jego policzka. Dlaczego on tak na mnie patrzy, dlaczego wygląda, jakby usiłował mi coś powiedzieć?

– Jeśli zyskasz przez to na czasie, możesz wpaść do mnie. Zeskanuję twoje notatki, wydrukujemy je i nie będziesz musiała iść do centrum. Wiem, że twój sklep zamykają o dwudziestej drugiej, ale mieszkam naprawdę blisko i na pewno będzie milej.

Cały światowy zapas energii jądrowej właśnie eksplodował pod ziemią.

Dokonuje się we mnie coś dziwnego. Od lat usiłuję wyobrazić sobie miejsce, w którym mieszka Axel z rodziną, w miarę jednak, jak się do niego zbliżamy, wszystkie zbudowane przeze mnie dekoracje wylatują w powietrze wobec odsłaniającej się rzeczywistości. Serce wali mi jak młotem, moje zmysły są pobudzone. On stawia wielkie kroki, ja muszę zrobić ich w tym samym czasie dwukrotnie więcej, żeby za nim nadążyć.

Osiedle, na którym stoi jego blok, jest stare, ale schludne. Łatwo zauważyć, że zrobiono tutaj wszystko, żeby podkreślić walory tego, co jeszcze się jakoś trzyma. Dzieci grają w piłkę na alejce prowadzącej w stronę parkingu. Mijamy dwa budynki. Axel wskazuje ten po lewej.

– Na drugim piętrze, tam, gdzie jest balkon z rowerem terenowym, to mieszkanie Louisa.

Następnie dyskretnie wskazuje lśniący niebieski samochód z na wpół rozpakowanym odświeżaczem powietrza zwisającym ze wstecznego lusterka. Axel nachyla się do mnie i szepcze:

– To samochód tego ludzkiego śmiecia, w którego sfinansowaniu uczestniczyłaś...

Puszcza do mnie oko.

Axel oprowadza mnie właśnie po swoim świecie. Wchodzę do jego wszechświata. Wystarczy zrobić kilka kroków i nagle wszystko się zmienia. To bez wątpienia jedna z tych chwil bez znaczenia dla całego świata oprócz osoby, która o tym marzyła, jeden z momentów, których nigdy się nie zapomina. Pierwszy raz, który ma sens. Te bawiące się dzieci, kobieta z wózkiem, forsycje o jaskrawożółtych kwiatach, a nawet samochód nazisty tworzą jedną z najbardziej przełomowych chwil w moim życiu. Nigdy więcej nie będę się zastanawiała, gdzie mieszka Axel. Nie będę musiała sobie tego wyobrażać, marzyć o tym, domyślać się. Wystarczy, że będę wspominać.

Axel wystukuje kod wejścia na klatkę schodową i wchodzimy na górę. Nasze kroki odbijają się echem na schodach z odnowionego marmuru. Trzecie piętro. Axel wyciąga klucze z kieszeni. Wstrzymuję oddech.

Ledwie weszliśmy do środka, kiedy naprzeciw nam wyszła kobieta.

– Spóźnił się pan! Wie pan przecież, jak mi to komplikuje życie!

Czy to jego matka? Jak taka bezkształtna kobieta mogła dać życie równie pięknemu chłopcu? I dlaczego zwraca się do niego per „pan”?

– Wiem, pani Balmé. Przepraszam, byłem w szpitalu u koleżanki.

Kobieta sięga po swoje rzeczy i mija mnie, obrzucając spojrzeniem od stóp do głów.

– Najwyraźniej koleżanka czuje się już lepiej.

– To inna koleżanka, pani Balmé.

– Ma pan sporo tych koleżanek... Powie pan matce, że wyrobiłam o kwadrans więcej.

– Zanotowane, nie ma sprawy. Miłego wieczoru.

– Do widzenia.

Axel zamyka za nią drzwi i opiera się o nie. Wydycha głośno powietrze, co ma być wyrazem zniechęcenia. Tymczasem ja nie tracę ani chwili. Już przeczesuję wzrokiem

wszystko, co znajduje się w przedpokoju. Szafka, na której stoi zużyty atlas gmin regionu, klucze w miseczce, kalendarz z samoprzylepnymi karteczkami, listy. Chciałabym mieć czas, żeby wszystko przeczytać, ale ruch w głębi korytarza zwraca moją uwagę.

W życiu Axela jest jednak kobieta. Musi mieć jakieś dziewięć lub dziesięć lat i właśnie biegnie w jego stronę.

– Wróciłeś! – woła.

Rzuca mu się w ramiona. On łapie ją w locie, podnosi aż do lampy zwisającej z sufitu. Tuli ją do siebie z całej siły. Przez chwilę pewien obraz z mojej przeszłości nakłada się na teraźniejszość: ja w objęciach taty. Dziewczynka zamyka oczy i obejmuje go. Wszyscy trafiają w ramiona Axela oprócz mnie. Zastanawiam się, co się dzieje, kiedy wychodzi na zakupy i spotyka po kolei swoje sąsiadki...

– Camille, przedstawiam ci Océane, moją małą siostrzyczkę. Océane, przedstawiam ci moją bardzo dobrą przyjaciółkę, Camille.

„Bardzo dobrą przyjaciółkę”. Co by powiedział, gdyby chodziło o Lée? I dlaczego nawet jeśli z nią chodzi, nie powiedział o mnie: „Przedstawiam ci moją najlepszą przyjaciółkę”? Jeśli się pobiorą, kiedy już przestanę ich śledzić zapłakana w parku, będę świadkiem na ich ślubie.

Dziewczynka przygląda mi się uważnie. Ma takie same oczy jak jej starszy brat. Nie odstawiając jej na podłogę, Axel rzuca buty i rusza w głąb mieszkania. Idę w jego ślady i przyglądam się wszystkiemu, co znajduje się w zasięgu mojego wzroku. Mieszkanie nie jest duże, ale pełne przedmiotów.

Océane opowiada:

– Wiesz, dostałam dzisiaj ocenę „A” z wypracowania. Pani pochwaliła mnie przed całą klasą.

– Świetnie. Czuję także, że jadłaś czekoladę, chociaż ci nie wolno. Jest wtorek, myszko, a możesz ją jeść tylko w środy i w niedziele.

Odstawia małą, która robi minę pełną skruchy. Axel wyjaśnia jej:

– Mam coś do zrobienia z Camille. Pójdziemy do mojego pokoju. To nie potrwa długo, potem się tobą zajmę. Wyjątkowo możesz pooglądać telewizję, jeśli chcesz.

Océane robi nadąsaną minę:

– Ostatnim razem mówiłeś to samo przy innej pani, i to zajęło dwa odcinki *Przyjaciółek na całe życie*.

Kim jest ta inna pani? I jak długo trwa odcinek *Przyjaciółek na całe życie*?

Axel daje mi znak, żebym poszła za nim. Mijamy kuchnię, troje zamkniętych drzwi i docieramy do jego pokoju. Moje oczy są niczym kamery, które rejestrują każdy szczegół. Polecenie wydane mojemu mózgowi jest bardzo jasne: nagrywaj wszystko, posortujemy później.

Jego pokój jest mniejszy od mojego. Axel pospiesznie zamyka otwartą szafę. Za późno: na szczycie stosu ubrań zauważyłam koszulkę, w której na pewno wygląda, jakby miał ramiona rozgrywającego w futbolu amerykańskim. Poniżej leżały chyba jego spodnie. Łóżko jest pościelone. Żadnych pluszaków. Na półce duża ciężarówka z klocków Lego. A więc tutaj wypoczywa. Niewiele rzeczy na ścianach, nie licząc kilku zdjęć samochodów i dużego plakatu ze zdjęciem dzikiego krajobrazu.

– Piękne. Gdzie to?

– Na Islandii.

– Byłeś tam?

– Za drogo, za daleko. Może kiedyś. Daj mi te notatki do zeskanowania.

Na biurku, między komputerem a podręcznikami, zauważam dwa zdjęcia, jedyne w pokoju. Na jednym widnieje Axel w otoczeniu Louisa, Léo i innych chłopców, których nie znam. Zdjęcie zrobiono zapewne latem, sądząc po niebieskim kolorze nieba, prawdopodobnie w zeszłym roku, ponieważ niewiele się zmienili. Nie wiem jednak gdzie, wielu z nich trzyma bowiem wiosła. Na drugim zdjęciu Axel stoi między mną i Léą. To było na urodzinach Malika. Obok ramki stoi kubek, który dałam mu w prezencie. Moje serce znów zaczyna łomotać... Dopóki po drugiej stronie nie dostrzegam wspaniałego pióra, które kupiła dla niego Léa.

– Usiądź na moim łóżku, kiedy będę skanował. To nie potrwa długo.

Nie dbam o to, czy to potrwa długo. Niech skanowanie jednej strony trwa sobie nawet kilka godzin. Przy szafie stoją buty, w których Axel tak szybko biega. Na półce ustawiono puchary za osiągnięcia sportowe.

– Nigdy nie czytasz powieści?

– Nie bardzo mam na to czas. Matka wraca późno. Ma dwie połówki etatu w miejscach dość oddalonych od siebie, często więc zajmuję się Océane. Trzeba żonglować. Kobieta, którą widziałas, pomaga nam, ale czasami wystawia nas do wiatru, dlatego muszę sobie radzić sam.

– A twój ojciec?

Axel nie odpowiada od razu.

– Odszedł, kiedy mama była w ciąży z Océane. Już ponad dziesięć lat temu. Zostawił nam długi i wersalkę.

Co mnie naszło, żeby zadać to pytanie? Po co wtrącam się w nie swoje sprawy? Dlaczego nie zapytałam go raczej, kim jest ta druga „pani”, którą zabrał do pokoju i której wizyta trwała dwa odcinki?

– Przykro mi.

– W rezultacie, chociaż nie zawsze jest to oczywiste, bez niego radzimy sobie lepiej. Jedyne prawdziwym wspomnieniem związanym z ojcem jest lanie, jakie mi spuścił, kiedy miałem siedem lat, za to, że wygarnąłem mu, co myślę.

Skanuje notatki, kartkę po kartce. Zajmuje się mną. Prawdę mówiąc, zajmuje się również Léą, ponieważ kopie są przeznaczone dla niej. Kim więc tak naprawdę się zajmuje? Nie dbam o to, to ja jestem tutaj z nim i patrzę na niego. Podziwiam go, kiedy sięga po kolejne kartki, podziwiam, kiedy opuszcza pokrywę skanera, podziwiam, kiedy poklepuje drukarkę, w której toner znów kaprysi. Ależ ze mnie wariatka! Mam ochotę go zabajerować, że nie skopiowałam również notatek z poprzedniego dnia, żeby przeciągnąć spotkanie, ale to byłoby głupie.

Tutaj, w jego pokoju, mogę ocenić wysiłek, jaki wkłada w to, żeby być tym, kim jest. Podejrzewam, że nie jest mu łatwo, biorąc pod uwagę czas, jaki musi poświęcać siostrze i matce. Teraz lepiej rozumiem to jego oderwanie od płytkich wartości typowych dla osób w naszym wieku. Nie umniejsza to jego wartości w moich oczach – wprost przeciwnie. Jeszcze tylko dwie kartki do skanowania. To straszne. Odliczanie. Mój umysł zaczyna

pracować na pełnych obrotach. Musi mnie pocałować, zanim zeskanuje ostatnią stronę. Muszę mu powiedzieć o moich uczuciach, zanim wydrukuje się ostatnia linijka. Mam ochotę przeżyć z nim całe życie w ciągu najbliższych trzech sekund. To niemożliwe. To boli. To miłe. Jeśli na tym polega bycie żywym, rozumiem, że można się tym zmęczyć.

Nie jest łatwo wyobrazić sobie tatę jako młodszego brata. Kiedy widzę ciocię Margot obok mojego ojca, trudno mi sobie uzmysłwić, że byli kiedyś jak Lucas i ja. Czy go karmiła, kiedy był niemowlęciem? Czy widziała, jak zaklinowuje się pośladkami w toalecie i woła o pomoc? Czy rysował paskudne psy przypominające pchły, żeby następnie wręczyć jej rysunek z wyrazami całej swojej miłości?

W tej samej rodzinie ludzie mogą być różni. Margot i jej mąż tworzą parę, która w niczym nie przypomina związku moich rodziców. Zawsze to czułam, ale od niedawna rozumiem, dlaczego tak jest. Są bardziej otwarci, wolni. Rozmawiają o wszystkim, wychodzą, podróżują. Nie mają dzieci. Przez to ciocia Margot zawsze była dla nas supermiłą. Rozpieszcza nas, a kiedy byłam mała, bawiłam się z nią godzinami, jak gdyby była moją koleżanką.

Posiłek mija w dobrej atmosferze, ale trochę się przedłuża. Nie licząc chwili, kiedy Margot opowiada, jak to zjeżdżali kiedyś z tatą po poręczy schodów u dziadków. Po wielu opanowanych kursach ojciec zaczął udawać kowboja i puścił się w dół, wywijając kapeluszem z brązowego filcu. Kiedy zjechał z impetem wprost na szklaną kulę zdobiącą koniec balustrady, wydał z siebie wrzask rażonej prądem uchatki i mało brakowało, a nigdy nie miałby dzieci. Używając określenia Margot, „podeszły mu do oczu i miał przez to dziwne spojrzenie”. Straciłam apetyt. Lucas wybucha śmiechem, jak gdyby pozbawiało to dramatyzmu fakt, że przytrafiło mu się to samo w zeszłym tygodniu podczas akrobacji na rowerze.

Nie licząc tego zdarzenia, czekam tylko, aż będę mogła usiąść z Margot i porozmawiać. Kiedy byłam mała, miałyśmy swój rytuał, zgodnie z którym po poobiedniej kawie ciocia przychodziła do mojego pokoju. Pokazywałam jej, co zmieniło się od ostatniej wizyty, opowiadałam o moich sprawach i dyskutowałyśmy godzinami. Teraz, kiedy czas na to pozwala, wychodzimy na spacer albo siadamy w ogrodzie. Dla mnie Margot jest jednocześnie starszą siostrą i babcią – jeśli dowie się kiedykolwiek, że traktuję ją jak babcię, zabije mnie. Podoba mi się jej wizja życia i jej szczerość. Nigdy nie udaje.

Już przy przystawce Margot zauważyła Lucasa, jak przekazuje pod stołem Zoltanowi to, czego sam nie chce jeść. Nic jednak nie powiedziała.

Obie z mamą doskonale się rozumieją. Marc, mąż cioci, również tworzy udany tandem z moim tatą. Kiedy Margot robi jakąś uwagę młodszemu bratu – naprawdę nie umiem się przyzwyczaić do tej myśli – tato odgryza się tak, jak gdyby miał siedem lat. Każe jej pilnować własnego nosa i przypomina, że przecież nie jest jego matką. Gdyby jego głos był choć odrobinę cieńszy, a słowa zostały wypowiedziane mniej wyrażnie, można by przysiąc, że to Lucas się odezwał. Ciocia Margot to jedyna osoba na Ziemi, która jest w stanie sprawić, że tato będzie bełkotał. Nie możemy jednak o tym rozmawiać. A ciocia Margot nie chce, żeby nazywać ją ciocią. Po prostu Margot.

Czekałam godzinami, zanim udało nam się wreszcie wyjść na zewnątrz, pod drzewko wiśni. Promienie słońca sączyły się przez młode listowie, kreśląc na ziemi różne kształty. Léo dostrzegłby w nich z pewnością wspaniałą kamuflaż. Mélissa widziałaby tutaj same serca,

z kolei Inès usiłowałaby zamieść cienie, żeby było czysto. Każdy widzi, co chce. Na drugim końcu trawnika Kłaczek spaceruje pod żywopłotem. Znow ma się za wielkiego tygrysa ze stepów. Słodziak.

– Masz uroczego kotka. Twoja mama mówiła mi, jak się nim zajęłaś. Jestem z ciebie dumna.

– Uwielbiam go.

– Marc nie chce mieć zwierząt. Mówi, że to uziemiłoby nas w domu.

Zmieniając ton, dodaje:

– Twoi rodzice mówili mi również o tym, co spotyka twoją przyjaciółkę. Nieczęsto ją widywałam, ale dobrze ją kojarzę. Straszna historia. Jak ona to znosi?

– To zależy od dni. Czasami się trzyma, czasami zaś jest jej trudniej...

– A ty?

– Powtarzam sobie, że w końcu znajdzie się jakiś sposób. Inaczej to byłoby zbyt niesprawiedliwe.

– Rozpoznaję tutaj twój idealizm, ale sprawiedliwość nie ma nic wspólnego z tym, co się dzieje na tym świecie. Im szybciej to zrozumiesz, tym mniej będziesz cierpieć. Wydaje mi się, że sprawiedliwość i szczęście to dwie koncepcje, które nasz gatunek wymyślił, żeby wytłumaczyć sobie to, nad czym nie panuje. To trochę pomaga usprawiedliwiać, niczego jednak nie zmienia. Lepiej zawsze jest działać, niż wierzyć.

Zauważam mamę, która patrzy na nas przez okno. Muszę koniecznie porozmawiać z Margot o tym, co czuję, zanim pojawi się mama. Rzucam się na głęboką wodę.

– Byłaś już kiedyś zakochana?

– Oto bezpośrednio przejście do tematu. Znając twoją powściągliwość, sprawa musi być nagląca. Przystojny ten chłopak?

– Nie wiem...

– Poznałaś go przez Internet?

– Bez obaw. Wolę prawdziwe życie.

– Uspokoiłaś mnie. Czy przynajmniej jest dla ciebie miły? To minimum, jakiego trzeba żądać od mężczyzny.

– Jest dla mnie bardzo miły, podobnie jednak jak dla wszystkich innych.

– Nie próbuj go zmusić do tego, żeby był miły tylko dla ciebie. Mógłby zechcieć się przez to oddalić.

– Nic między nami nie ma. On nawet nie wie, co do niego czuję.

– Zastanawiasz się więc nad sobą?

– Tak, bardzo dużo.

– Zastanawiasz się, po prostu jesteś napalona czy to coś poważnego?

– Można to do tego sprowadzić.

Wymieniamy spojrzenia. Margot się uśmiecha:

– I tutaj, młoda panno, zastanawiasz się pewnie, czy twoja stara ciotka wie, co to znaczy być napalonym?

Nie mam odwagi na nią spojrzeć. Nie mam odwagi tego słuchać.

– Zdarzyło mi się to tylko raz, ale byłam od ciebie starsza. Podróż służbowa, facet przystojny jak młody bóg, który wywarł na mnie niesamowite wrażenie. Nigdy już potem się

nie widzieliśmy, oszczędzę ci także szczegółów, ponieważ doskonale pamiętam, co czułam, kiedy „starzy” opowiadali o bezeceństwach zarezerwowanych tylko dla młodych. Dla mnie to stare dzieje. Następnym razem napalona to będę w krematorium.

Cisza. Z przeciwległego krańca ogrodu Kłaczek patrzy na nią okrągłymi oczyma. Chyba usłyszał, co mówi, i zrozumiał. Czasami koty mnie przerażają.

– Czy Marc wie?

– To było jeszcze, zanim go poznałam, ale w końcu i tak mu powiedziałam. Kiedy spotkałam Marka, miałam już za sobą wielu innych mężczyzn i, wierz mi, zadawałam sobie mnóstwo pytań. Tak jak ty, jak my wszystkie. Taki już nasz los. Kiedy jednak spotkałam Marka, nie zastanawiałam się już, z kim zbuduję „idealnie szczęśliwy związek”. Szukałam kogoś, z kim po prostu będzie można mieszkać. Rozpacz uczy cię pragmatyzmu. On był chyba na tym samym etapie co ja. Okazał się miły. Rozpoczęliśmy coś, co zapowiadało się na sympatyczną przyjaźń, okraszoną od czasu do czasu przyjemnościami fizycznymi, aż daliśmy się oboje zaskoczyć. Być może dlatego, że niczego się już nie spodziewaliśmy, doceniliśmy to, co zostało nam dane, dziś zaś jestem z nim szczęśliwsza, niż gdybym poślubiła wszystkich facetów, o których fantazjowałam.

– Skąd wiadomo, że jest się zakochanym?

– Gdybym tylko znała odpowiedź... To się czuje, to się wie. Znam cię jako osobę, która wciąż się zastanawia, obserwuje, podaje w wątpliwość. Ty i twój ojciec jesteście ulepieni z tej samej gliny w tym względzie. Ciągłe zadajecie sobie pytania. Ja chyba też. We wszystko wątpimy. Być może ze strachu. Nie jestem na najlepszej pozycji, żeby ci doradzać, ale jednego jestem pewna: kiedy się zakochałam – nie miałam co do tego wątpliwości. Dlaczego nie powiesz temu chłopcu, co do niego czujesz?

– To skomplikowane. Léa również go kocha.

– Biedna ty moja! Niełatwa sytuacja. A on?

– On ma do niej słabość.

– Musisz być tego pewna. Nasze uczucia są skarbem ofiarowanym nam przez życie. Chron je, jeśli to możliwe, nie krzywdząc innych.

– Dlatego właśnie się zastanawiam, czy naprawdę go kocham, czy też, jak wszystkie dziewczyny, pociąga mnie przystojny chłopak. Jaka jest różnica między pociąganiem fizycznym a prawdziwą miłością?

– Camille! Sypiamy ze sobą, ponieważ mamy ochotę. Kochamy, ponieważ nie mamy wyboru.

Pani Holm jeszcze nie przyszła. Théo biega za Inès po sali lekcyjnej z czaszką, którą porwał z biurka nauczycielki. Kłapie szczęką eksponatu, wyjąc straszliwym głosem:

– Inès, Inès! Jestem głową wisielca z wielkim siusiakiem! Będę cię nawiedzać podczas każdej burzy! Mieszkam w twoich majteczkach!

Inès jest bardzo zdenerwowana:

– Przestań, przestań! Nie wierzę w duchy!

– Ale wierzysz w wielkie siusiaki, mam nadzieję? Bo...

Wchodzi pani Holm i Inès woła:

– Proszę pani! Théo kłapie paszczą nieboszczyka, żeby mnie przestraszyć!

– Ile wy macie lat? – złości się nauczycielka.

Zaczynamy lekcję. Pani Holm opowiada nam dziś o różnych częściach mózgu – o korze mózgowej, mózdzku i pozostałych płatach – a także o połączeniach z systemem nerwowym. Mówi szybko, rysuje na tablicy schematy, zasypuje nas informacjami. Pokazuje nam na plastikowej czaszce, gdzie znajdują się poszczególne obszary.

Po zakończeniu wyliczania odkłada czaszkę na wyłożone płytkami biurko i milczy przez chwilę. Ta zmiana rytmu odbiega od zwyczajowego zachowania. Zwykle nauczyciele przerywają swój wywód, ponieważ się duszą albo my za bardzo hałasujemy, ale w tym wypadku chodzi o coś innego. Pani Holm sprawia wrażenie zaniepokojonej, jak gdyby sama się nad czymś zastanawiała. Kiedy podnosi ku nam głowę, ma inny wyraz twarzy i odmieniony głos.

– Korzystając z tematu naszych dzisiejszych zajęć, chciałabym powiedzieć wam o czymś, co wykracza poza założenia programowe, ale może okazać się dla was przydatne. Być może słyszeliście już o ludziach, którzy w następstwie wypadku lub traumy rozwijają w sobie niezwykle zdolności w pewnych dziedzinach. Media nagłośniły sprawę tego Amerykanina, który uległ wypadkowi motocyklowemu i został wirtuozem fortepianu, choć nigdy wcześniej nie dotknął nawet klawiatury. Znamy również autystów dokonujących w głowie obliczeń, z jakimi trudności mają nawet najwięksi naukowcy korzystający z kalkulatorów. Wiecie także, że ślepi rozwijają w sobie nadzwyczajny zmysł słuchu. Nawet jeśli wiemy, że poszczególnym obszarom mózgu odpowiadają różne funkcje, nasza wiedza wciąż jest podawana w wątpliwość ze względu na dokonywane co dzień odkrycia. Jedno tylko jest pewne: nasz mózg podlega nieustannym modyfikacjom, dostosowując się do zadań, które mamy wypełnić, lub przeszkód, jakie musimy pokonać zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Wiele ofiar wypadków potrafiło rozwiązywać zadania i zagadki logiczne, które wcześniej nie leżały w sferze ich możliwości. Sposób, w jaki nasz mózg, nasz umysł, pozwala nam pokonywać przeszkody, jest fascynujący. Nawet najbardziej traumatyczne zdarzenia mogą sprzyjać jego rozwojowi. Napisano doskonałe artykuły na ten temat w publikacjach naukowych dostępnych w bibliotece. Opowiadam wam o tym zapewne niezręcznie, gdyż nieczęsto mamy okazję wyjść poza ramy zajęć i programu. Chcę wam jednak powiedzieć, że to, o czym tutaj mówimy, was

również dotyczy. Moje lekcje nie są tylko zbiorem informacji, których macie być wyłącznie widzami. Nauka o ciele człowieka nie służy jedynie do zdobywania ocen na egzaminie. Chodzi w niej również o lepsze zrozumienie naszego życia, co w tym akurat momencie jest wam bardzo potrzebne. To o was jest mowa, o waszej budowie, o waszym życiu. Nawet jeśli choroba nie dotknęła osobiście was, jedna z waszych koleżanek właśnie się z nią boryka. Ci, którzy jej w tym towarzyszą, zauważyli już być może, że jej umysł ewoluuje. Dokonuje reorganizacji priorytetów, żeby stawić czoło zdarzeniu losowemu, które ją spotkało. Nie traktuję Léi jako przedmiotu badań, z całą pewnością nie. Prawdą jest jednak, że każdy z was, proporcjonalnie do swojego zaangażowania, również stawia czoło temu, co jej się przytrafiło. Wasze myślenie się zmienia. Zmienia się wizja świata i życia. Mózg przyswaja sobie jej historię i będzie brał ją pod uwagę we wszystkich późniejszych rozważaniach. Być może jesteście mniej beztroscy, bardziej świadomi granic życia i jego kruchości. Każdy znajdzie pasujące do niego przykłady i się zastanowi, co ta sytuacja zmieniła w jego egzystencji. Nie zapominajcie, że wasze młode umysły jeszcze się kształtują, odkrywają. Każdego dnia wasz mózg – nawet twój, Théo – produkuje neurony i tworzy nowe połączenia, w zależności od doświadczeń albo otrzymanych informacji. Nie lekceważcie potęgi cudownego narzędzia, które ukrywa się pod waszymi włosami. Dostosujecie się do tego, co was spotyka. Musicie. Dzięki temu nasz gatunek przetrwał tysiąclecia, rozwijając się lepiej niż jakiegokolwiek inne zwierzę na tej planecie. Samo to, że możemy ze sobą dziś rozmawiać na ten temat, stanowi niesamowite osiągnięcie – przygotowywane od pokoleń kosztem dostosowywania się i pokonywania trudności. To, że możecie obecnie przeżywać wzruszenia i szaleństwa, jest wynikiem postępu, jaki się dokonał w ciągu epok. Nie wiem, czy wyraziłam się dostatecznie jasno. Zależało mi jednak na tym, żeby wam to powiedzieć. Obawiam się, że będziemy potrzebowali odwagi, żeby stawić czoło przyszłości, i nie mówię tutaj o próbnej maturze, która czeka was w przyszłym tygodniu. Jestem z wami.

– Jeszcze dwa lata temu moje serce biło osiemdziesiąt do stu razy na minutę. Teraz liczba uderzeń spadła do pięćdziesięciu. Czuję się jak stary zegar, który zwalnia z każdym dniem.

– Poprawi ci się.

– Znajduję się już oficjalnie na liście oczekujących na przeszczep serca. Posłuchaj tylko: istnieją współczynniki pierwszeństwa. Wyobrażasz to sobie? Mówiono mi o maluchach, które są w bardziej beznadziejnym stanie niż ja. Utrzymuje się je przy życiu, dzień po dniu, z nadzieją, że nazajutrz wreszcie pojawi się odpowiedni organ. Istna męka dla tych szkrabów i ich rodziców. Na pewno są tacy, którzy na tym zarabiają. Trzeba by takich zabijać. Straszne. W mojej kategorii kolejka jest krótka. Zrozumiałam, że jest jedna Hiszpanka, jeden Anglik, jeden Włoch i jeszcze jeden Francuz. Osobliwa wizja Europy. Ponieważ jednak właściwie nie ma dawców, ostatecznie wszyscy tak samo panikujemy.

– Trzymaj się! Będzie dobrze. Spójrz – wróciłaś do domu, a to już prawdziwy postęp.

Rodzice Léi zrobili wszystko, żeby nie wynaturzyć jej pokoju, ale pomieszczenie i tak wygląda teraz jak tajna baza superbohatera. Wokół łóżka ustawionego pośrodku sypialni stoją rzędem urządzenia z ekranami, przyciskami, światełkami i kartami rejestrującymi wszystko. Pluszowe zabawki zostały przeniesione na szczyt szafy, komodę z miniaturowymi perfum odsunięto w kąt.

Léa przygląda się wystrojowi pokoju.

– Myślałam, że już nigdy tutaj nie wrócę.

– Zwariowałaś!

Jej choroba to istny paradoks. Kiedy leży albo siedzi, wygląda jak okaz zdrowia. Wykonuje normalne gesty i można pomyśleć, że gdyby tylko chciała, mogłaby wstać i pobiec, jak każdy inny młody człowiek w jej wieku. Najmniejszy wysiłek sprawia jednak, że serce przestaje nadążać, Léa zaczyna spowalniać, jak zabawka, w której wyczerpują się baterie. Dlatego Léa musi dokładnie oceniać, na jaki wysiłek fizyczny może sobie pozwolić. Kilka miesięcy temu jeździła jeszcze na rowerze. Kilka tygodni temu wspięliśmy się na wzgórze. Mam nadzieję, że ta paskudna choroba w końcu się ustabilizuje, ponieważ jak tak dalej pójdzie, niedługo Léa nie będzie miała nawet prawa do swoich czterech godzin „normalnej” aktywności w ciągu dnia. Podnosi się z łóżka.

– Wiesz, na co mam ochotę?

– Na lody z kawałkami karmelu?

– Nawet nie. Chcę zejść do przyziemia i śpiewać na całe gardło.

– Czy to rozsądne?

– Co mi tam! Tak dawno tego nie robiłam.

Może nie posunę się do stwierdzenia, że Léa zbiega po schodach, ale mam wrażenie, że jest w dobrej formie. Oto jesteśmy już na dole, szczęśliwie jak zawsze tutaj. Każę jej usiąść, sama zaś ustawiam sprzęt, tak jak ona robiła to zazwyczaj. Wybieram utwór:

– *You're Nobody...?*

– Doskonale.

W jej spojrzeniu dostrzegam iskierki. Przy pierwszych akordach pianina Léa zaczyna śpiewać. Wstaje, a ja na nią patrzę. Trafia od razu we właściwy ton, jej głos jest melodyjny, dobrze postawiony. Oddech ma słabszy niż zazwyczaj, ale głos zachował piękną barwę. W tej piwnicy bez okna czujemy się jak w studiu nagrań – ja przy konsoli, Léa zaś tworzy jeden z najpiękniejszych albumów tego roku.

Dyskretnie obniżam głośność wieży, żeby muzyka nie wzięła góry nad jej cichszym niż zazwyczaj głosem. Ona naprawdę ma talent. Od tyłu omiata ją rząd punktów świetlnych. Przypomina gwiazdę. Nie tyle za sprawą wyglądu, ile bardziej tego, czym emanuje. Posiada dar przeżywania i wyrażania emocji. Léa to maszyna do odczuwania. Dzięki temu zapewne jesteśmy ze sobą tak blisko. Sprawia, że słowa nabierają znaczenia. Tekst piosenki mógłby być jej autorstwa. Mówi o kochaniu, o byciu kochaną. Mówi, że tylko miłość, jaką darzą nas inni, nadaje nam wartość. Nieważne, w jakim języku i w jakiej kulturze, to sprawdza się we wszystkich krajach świata. Dla każdego życia. Te proste słowa oddziałują na mnie z wielką siłą. Przenika mnie do głębi ich prawdziwość. Nie cytat, nie maksyma czy aforyzm, ale uczucie. Tylko wybitne utwory wspaniale zinterpretowane wywołują ten skutek. Uważam za niesprawiedliwe, że Léi grozi niebezpieczeństwo ze strony serca, które ma przecież tak wielkie. Crescendo piosenki zmusza ją do podniesienia głosu. Léa zdobywa się na wysiłek. Czuję, że cierpi, ale nie chcę dołączyć do niej ze swoim śpiewem, jak to czasami robiłam. Pomyślałaby, że się wtrącam, ponieważ ona nie daje rady, to zaś zabolowałyby ją jeszcze bardziej. Musi dokończyć ten bieg sama, w polu nut i emocji. Piosenka trwa zaledwie trzy minuty, ale wydaje się trwać i trwać, niczym próba. Léa daje z siebie wszystko i udaje jej się dotrzeć do końca, chociaż traci już głos. Nie mogę pogodzić się z myślą, że jestem jej jedyną słuchaczką. Uważam, że takim talentem powinna dzielić się z innymi. Bliscy muszą ją usłyszeć. Może powinnam ją nagrać, zanim przestanie móc śpiewać. Odrzucam tę myśl gwałtownie, kiedy tylko pojawia się w mojej głowie. Jestem wzburzona. Zachowuję się jak ludzie, którzy uwieczniają babcię na zdjęciach, powtarzając sobie, że być może widzą ją po raz ostatni. To szarpanina, profanacja nadziei. Trzeba wierzyć w przeszłość. Trzeba walczyć.

Léa osuwa się na fotel.

– No więc? Nie wyszłam z wprawy.

– Mając taki dar, nie sposób wyjść z wprawy.

Léa uśmiecha się i zmienia temat:

– Ależ chce mi się pić. Wracamy na górę?

Wyłaniając się z piwnicy, staję oko w oko z mężczyzną i odruchowo robię krok do tyłu.

– W końcu mnie przekonasz, że naprawdę jestem potworem...

Potrzebuję kilku chwil, żeby uzmysłowić sobie sytuację, tak dalece jego obecność tutaj nie pasuje: pan Rossi stoi w korytarzu z mamą Léi. Mimowolnie wyrywa mi się pytanie:

– Co pan tu robi?

– Pan Rossi przyszedł zaplanować wizyty Léi w liceum – wyjaśnia Élodie.

– Ona tam wróci?

– Mamy taką nadzieję. Z początku na kilka dni, od czasu do czasu.

Z piwnicy wychodzi teraz Léa. Pan Rossi podaje jej rękę.

– Dobry wieczór, Léo.

– Dobry wieczór panu. Miło mi pana widzieć.

– Dziękuję. Nawzajem. Miałem już wychodzić. Sądziłem, że odpoczywasz. Cieszę się, że jest z tobą przyjaciółka i że się dobrze bawicie.

– Mam nadzieję, że nie zmęczyłyście się za bardzo w piwnicy. Za kwadrans robimy badanie podsumowujące – wtrąca Élodie.

– Nawet z dala od szkoły nie unikniesz oceniania... – żartuje pan Rossi.

Léa śmieje się nerwowo. Spoglądam na zegarek:

– Już późno, muszę wracać. Mama pewnie już na mnie czeka.

– Ja także będę się zbierał – oznajmia pan Rossi. – Jeśli chcesz, odwiozę cię.

Po raz pierwszy wsiadam do samochodu nauczyciela. Również po raz pierwszy widzę, żeby jeden z moich nauczycieli robił coś innego niż przemawianie przed tablicą. Niczego nie wyjaśnia, niczego nie wygłasza. Wykonuje drobne, nic nieznaczące czynności, jak w towarzystwie bliskiej osoby. Przytrzymuje mi drzwi, ja przepraszam, że przechodzę przed nim, podziwiamy piękny czerwony zachód słońca, on sprawdza, czy zapięłam pas. Mój tato robi to samo. Pewnie wszyscy ojcowie to robią. Kiedy pan Rossi ruszył, automatycznie włączyła się jedna ze stacji radiowych z muzyką rozrywkową. Czym prędzej wyłączył radio, ale zdążyłam rozpoznać stację. Ciekawa jestem, czy zdarza mu się śpiewać ulubione piosenki, jak nam.

Jego samochód jest mały, ale nieskazitelny. Nie do końca rodzinny. Na fotelu pasażera leżała rakieta tenisowa, pan Rossi przełożył ją na tylne siedzenie, żebym mogła usiąść. Są tam również kartony z książkami. Żadnego odświeżacza powietrza, żadnej rozprutej paczki chipsów, śmiesznej naklejki na tylnej szybie. Funkcjonalny pojazd, pozbawiony jakiegokolwiek elementu, który mógłby coś więcej powiedzieć na temat właściciela.

Pan Rossi prowadzi tak, jak mówi – łagodnie, ale precyzyjnie, podtrzymując rozmowę:

– Myślę, że powrót do liceum będzie dla Léi dobrodziejstwem, mimo zmęczenia, jakie spowoduje.

– Na pewno. Trzeba będzie tylko mieć na nią cały czas oko, żeby nie dopadł jej taki kryzys jak ostatnio.

– Trzeba będzie mieć oko także na was. Dlatego właśnie usiłujemy wszystko zaplanować. Pan Tonnerieux i pozostali koledzy zgadzają się na jej powrót, ale nie zniecka. Musimy nad wami panować.

– Mógłby pan uniemożliwić jej powrót do szkoły?

– Z punktu widzenia przepisów ten rok szkolny jest dla niej stracony, będzie zmuszona powtarzać klasę. Myślimy więc o was i o tym, jak jej nieregularna obecność wpłynie na wasze przygotowania do egzaminów. Na końcu tej ulicy skręcam w lewo, zgadza się?

– Możemy pojechać na skróty, wystarczy odbić na najbliższych światłach.

Pan Rossi włącza kierunkowskaz. Ośmielam się zapytać:

– Myśli pan, że Léa z tego wyjdzie?

– Pytasz, czy wyzdrowieje?

– Przynajmniej czy przeżyje.

Po raz pierwszy zadaję to pytanie wprost. Wszyscy dorośli, których mogłabym zapytać, są zbyt mocno zaangażowani emocjonalnie w sprawę i samo moje pytanie przywołuje na myśl najgorsze.

– Nie jestem kompetentny do udzielenia odpowiedzi. Mam nadzieję, że tak.

– Ale w głębi duszy musi mieć pan jakieś zdanie. Jak pan czuje?

– Rozumiem twoją potrzebę dodania sobie otuchy – nawet przy pomocy kogoś tak potwornego jak ja! – ale nie chcę ci dawać ani fałszywych nadziei, ani budzić niepotrzebnego

lęku.

– Pan nigdy się nie boi?

Rzuca mi zaskoczone spojrzenie:

– Nigdy się nie boję? Żartujesz? Boję się cały czas. Mogę cię zapewnić, że wszyscy tak mają, nie licząc kretynów – a i to nie zawsze.

Wpatruję się w niego zdziwiona. Za jego profilem defilują lśniąca światła miasta.

– Sprawia pan wrażenie bardzo pewnego siebie. Nigdy nie używa pan niewłaściwych słów, udziela pan trafnych odpowiedzi. Trudno dostrzec tutaj jakąkolwiek wątpliwość.

– Kiedy uczę, mówię o rzeczach, z którymi mam do czynienia od lat, które ktoś inny podał już w wątpliwość i nad którymi zdążyłem się zastanowić. Poza tym rozmawiamy o teoriach ekonomicznych. Przyglądamy się pobieżnie liczbom, myślom, w jednym zdaniu przeskakujemy z jednego końca świata na drugi. To nie jest rzeczywistość. Życie nie ma w sobie nic z teorii. Jeśli w ćwiczeniu z ekonomii podasz błędny wynik, najwyżej otrzymasz mniej punktów. W życiu – może się to skończyć czyjąś śmiercią.

– Przy następnym znaku STOP trzeba skręcić w prawo i to już będzie moja ulica.

Odkrycie, że pan Rossi się boi, a na dodatek przyznaje się do tego z taką naturalnością, porusza mnie do głębi.

– Naprawdę myśli pan, że wszyscy dorośli się boją?

– Oczywiście.

– Nawet pani Serben... Ona nie może się bać.

– Dominique? Powierzę ci pewien sekret: kiedy była młodą nauczycielką, wymiotowała niemal przed każdą lekcją. Bała się uczniów. Bała się, że będzie oceniana – jej wygląd, wszystko. Bała się, że nie zdoła ich niczego nauczyć.

– Dajemy jej popalić?

– Wy nie. To ona daje sobie popalić. Brakuje jej wiary we własne możliwości. Na szczęście dziś jest już lepiej. Połowa nauczycieli idzie do pracy ze ściśniętym żołądkiem, ale chęć wykonywania zawodu jest silniejsza niż lęk, przynajmniej dla tych obdarzonych powołaniem, rzucają się więc w paszczę lwa.

To, że pan Rossi użył tego wyrażenia, wstrząsa mną. My mówimy dokładnie to samo, kiedy musimy udać się do pokoju nauczycielskiego. Pan Rossi zauważa moje zdziwienie:

– Wydajesz się zaskoczona.

Zmieniam temat i wskazuję naszą bramę.

– Jesteśmy na miejscu. To tutaj.

Zatrzymuje się.

– Wiesz, Camille. Niezależnie od tego, co przyniesie nam przyszłość, będziecie musieli nie tylko nauczyć się do egzaminów, ale także nauczyć się życia. Mam szczerą nadzieję, że próba was ominie, choć śliczna bańka niewinności, która was otacza, może łatwo się rozprysnąć.

Jego słowa poruszają mnie do głębi. W pełni go rozumiem. Kiedy już mam wysiąść z samochodu, ogarnia mnie wątpliwość, czy powinnam podać mu rękę, czy po prostu podziękować i wysiąść.

– Panie Rossi? – Mam jeszcze jedno pytanie.

– Tak?

– Czego najbardziej się pan boi?

– Boję się tylko dwóch rzeczy, Camille: tego, co zagraża Léi, i tego, co może was spotkać.
Cała reszta jest nieprzewidywalna.

– Co zagraża Léi? Co może nas spotkać?

– Śmierć i utrata nadziei.

Jeśli chcecie mieć wiarygodnego świadka pięknej pogody, która zagościła u nas na dobre, wystarczy, że przyjrzyście się sposobowi ubierania się Vanessy. Dobrze wyrażają to popularne przysłowia: „Gdy Vanessa w kozuchu przybieży, śnieg długo poleży” albo: „Vanessa półnaga lata, znakiem to wiosny dla świata”. Dziś nasza piękność zmieniła garderobę „przejściową-przygotowaną-na-niespodzianki” na „odkryjcie-moje-cudowne-ciało-przez-modne-ciuchy”. To prawda, że jest ładna i nie umyka to uwadze żadnego z chłopców. Niech jeszcze padnie na nią promień słońca, a kaczkom znowu się oberwie. Biedne stworzenia.

W klasie panuje przyjemna atmosfera. Odkąd wszyscy chętni mogą odwiedzać Léę, lepiej znosimy jej nieobecność w szkole. Kserujemy jej notatki, rozmawiamy o niej, nawet panie ze stołówek pytają, co u niej słyhać. Jest z nami. Jakby po prostu wyjechała w podróż.

Dzień zapowiadał się normalnie aż do lekcji fizyki. Kilka minut przed jej końcem pojawił pan Tonnerieux.

– Przyszedłem wam oznajmić, że w porozumieniu z rodzicami Léi i lekarzami będzie ona przychodzić do szkoły w czwartki i piątki. Prosimy was wtedy o jak największą czujność.

Z głębi klasy dobiega głośne westchnienie.

– Jakiś problem? – pyta pan Alvares, nauczyciel fizyki.

Wszystkie spojrzenia kierują się na wydawcę tej reakcji: Doriana. Pan Tonnerieux nie rezygnuje:

– Powrót koleżanki nie sprawia panu przyjemności, panie Flaneck?

Duża presja. Nawet Laura wydaje się zażenowana. On jednak ma czelność odpowiedzieć:

– Przykro mi z powodu tego, co spotkało Léę, ale czy jesteśmy zmuszeni rozmawiać o tym cały czas i dostosowywać się do niej? Życie toczy się dalej, a kwestia jej zdrowia i tak dość już nas absorbuje. Jak gdyby nic poza tym się nie liczyło...

Co za bufon! Dzień, w którym przyłożył mu w gębę, zbliża się wielkimi krokami. Być może właśnie nadszedł. W klasie można wyczuć oburzenie. Dorian nie cieszył się niczyją sympatią, ale właśnie udało mu się ściągnąć na siebie zbiorową wrogość.

Pan Tonnerieux nie odpowiada od razu.

– Chłopcze! Uczęszczasz do placówki, którą kieruję, i mimo wysokiego mniemania, jakie masz o sobie, to ja ustalę obowiązujące tu reguły. Nie będę nawet usiłował ci tłumaczyć, dlaczego twoja uwaga była nieakceptowalna. Jeśli nie jesteś zadowolony z naszych decyzji, poskarż się rodzicom, którzy poproszą mnie o spotkanie. Być może wytoczą mi nawet proces, jak to już uczynili w poprzedniej placówce, która zresztą cię relegowała, stąd twoja obecność tutaj. W zakres naszych obowiązków wchodzi również przyjmowanie tych, którzy borykają się z problemami. Ty do nich należysz. W odróżnieniu jednak od Léi – sam jesteś za nie odpowiedzialny.

Dzwonek na przerwę kładzie kres tyradzie. Pan Tonnerieux wychodzi. Pan Alvares dyktuje nam listę ćwiczeń do wykonania i wszyscy zbierają swoje rzeczy. Tym razem nie zamierzam się powstrzymać i powiem temu draniowi Dorianowi, co o nim myślę. On też z pewnością

wyczuł, że wielu spośród nas jest wściekłych, czym prędzej się więc zmył.

W korytarzu, którym potok uczniów zmierza w stronę głównego holu na przerwę, dostrzegam Louisa, Axela i Léo pogrążonych w ożywionej rozmowie. Kiedy podchodzę bliżej, uświadamiam sobie, że tak naprawdę przyparli Doriana do muru i są właśnie w trakcie wyłuszczenia mu swoich racji. Zatrzymuję się kilka kroków dalej i obserwuję scenę. Louis jest wyraźnie wściekły.

– Masz nas za głupków, naiwniaków. Gardzisz nami. Oceniasz. Szpanujesz. Ale co ty niby jesteś wart? Jakim prawem uważasz się za kogoś lepszego od nas? Miarka się przebrała. Wyjaśnię ci coś, co nawet taki dupek jak ty powinien być w stanie zrozumieć: istnieją dwa typy miłych ludzi, tacy, którzy nimi są, ponieważ nie mają możliwości być źli, i tacy, którzy podjęli decyzję, że będą mili. Myślisz, że skoro jesteśmy mili, to nie będziemy w stanie rozwalić ci łba? Naprawdę chcesz się o tym przekonać? Kiedy ktoś jest tak rąbnięty jak ty i zachowuje się tak jak ty wobec innych, musi być albo bardzo silny i genialny, albo bardzo głupi. Uważasz się za lepszego, ponieważ nikt ci jeszcze nie przyłożył? Powiem ci coś w sekrecie, Flaneck: mylisz się. Nie oberwałś jeszcze dlatego, że wszyscy wokół ciebie są od ciebie miłsi i warci więcej niż ty. Dziś posunąłeś się za daleko i tym razem ci nie odpuścimy.

– Jestem skłonny przyznać, że trochę przegiąłem. Przepraszam.

Chłopcy spoglądają po sobie rozbawieni. Léo stwierdza z ironią:

– Słyszycie to, chłopcy? Dorian Flaneck „jest skłonny przyznać” i prosi o wybaczenie. Ja chyba śnię! Możesz nam to powtórzyć? Nagramy i wrzucimy do sieci.

Dorian wygląda, jak gdyby mu ulżyło, ale Léo przekreśla jego nadzieje:

– Żartujesz sobie, kolego? Nie ma tak łatwo. Kiedy dotrzesz do końca korytarza, będziesz przekonany, że po raz kolejny wzięłeś nad nami górę i wystrychnąłeś nas na dudka. A więc nie. Damy ci lekcję, którą popamiętasz. Panowie, wzywam do zgłaszania karnych projektów. Jakież pomysły?

Wszystko potoczyło się bardzo szybko. Axel, Louis i Léo naprawdę napędzili mi strachu. Byli w takim stanie, że trudno było ich poznać. Najstraszniejszy był lodowaty spokój, z jakim działali. Teraz już rozumiem wyjaśnienie Louisa na temat miłych, którzy nie mają możliwości być źli, i tych, którzy w pełni mogą sobie na to pozwolić, ale starają się tego za wszelką cenę unikać. Wydawało mi się, że dobrze znam tych trzech chłopców, odkryłam jednak ich inne twarze, o które nigdy bym ich nie podejrzewała. Nic nie robi większego wrażenia niż szczerą złość uroczych ludzi.

Zaciągnęli Doriana do toalety. Jak szmacianą lalkę. Poszłam za nimi, ponieważ się bałam, że go zmasakrują. Nie widziałam wszystkiego, ale większość słyszałam. Ten imbecyl tak się bał, że nawet się nie wyrywał. Nie krzyczał. Nie próbował się postawić. Zresztą cóż on mógł? Wiem od dawna, że wygrywają najbardziej przekonani do swojej racji, w tym wypadku zaś – również najsilniejsi. Dorian nie ma z nimi żadnych szans. Musiało mu się całe życie przed oczami przewinać. Został gwałtownie wytracony ze świata, w którym uważał się za jednego z władców, i wrzucony w rzeczywistość, gdzie zdeptano wiele jego przekonań. Axel, Louis i Léo działali stanowczo i precyzyjnie, zgrani i niebezpiecznie skuteczni.

Spisali się doskonale – całe zdarzenie odbyło się bez świadków. Nikt nie był w stanie powiedzieć, jakim sposobem Dorian znalazł się pośrodku holu, przywiązany do krzesła, w samych majtkach, dokładnie w porze, kiedy wszyscy schodzą do stołówki. Na jego nagim torsie widniał nakreślony markerem napis:

Kłaniajcie się z pokorą! Wszystko widziałem, zrozumiałem i osiągnąłem sukces. Jestem od was lepszy, nawet w gaciach! Żadna dziewczyna nie potrafi mi się oprzeć, nawet chłopcy mają prawo ulec pokusie. Jestem Dorian Flaneck i kiedy zostanę Bogiem, będziecie mogli mówić, że dostąpiliście zaszczytu zobaczenia mnie naprawdę.

Każdy się śmieje, a kiedy mówię „każdy”, mogłabym równie dobrze powiedzieć „tłum”, ponieważ o tej porze przetacza się tędy całe liceum. Dziewczyny krążą wokół niego, czytając tekst na głos. Nabijają się z niego i jego pstrokatych majtek. Chłopcy nie krążą wokół – rzecz to ogólnie znana, faceci nie czytają – ograniczając się do drwiących uśmiechów. Wielu robi zdjęcia i nagrywa filmiki, które za kilka minut trafiają do sieci. Zrobiłam zdjęcie całej sceny, żeby pokazać Léi. Dorian nigdy nie pozbędzie się tych setek zdjęć, które rozprzestrzeniają się jak świerzb. Ta sprawa będzie ciągnęła się za nim długo, być może przez całe życie. Zawsze się zastanawiam, co myślą albo czują ludzie, ale zupełnie nie dbam o to, co odczuwa Dorian. Tak często poniżał, ranił, dotykał do żywego i doprowadzał do łez tyle osób, że teraz nadeszła jego kolej. Zawsze zresztą miałam ochotę mu przyłożyć.

Całe liceum defiluje przed atrakcją dnia, każdy dorzuca swój komentarz. Dorian powinien być zadowolony, spełnia się jego marzenie: mówi się tylko o nim! Stał się prawdziwą gwiazdą! Dyżurni zajęci są w stołówce, oczywiście nikt ich nie powiadomił. Zgodnie z instrukcjami Léo nasza klasa przechodzi w szyku rozproszonym, jakby przypadkiem, żeby podziwiać Dorianą, unikając wszelkich zachowań, które mogłyby nas zdradzić. Wisienką na

torcie jest dramat szekspirowski odegrany przez Laure, która odkrywa swojego „wspaniałego przyjaciela” w tak niekorzystnej pozycji. Jest po prostu załamana. Czyżby rozczarowała ją jego słabawa muskulatura, czy przykro jej z jego powodu? Nigdy się tego nie dowiemy.

To było straszne. Zawahała się może ułamek sekundy, zanim postanowiła przejść obok, udając, że niczego nie zauważyła. Wspaniały przykład lojalności. Cudowna wielkoduszność połączona z poruszającym współczuciem... Trzeba przyznać, że oboje w stopniu mistrzowskim opanowali sztukę niedostrzegania ludzi, kiedy jest im to akurat na rękę. Nie mam pojęcia, czy „wspaniała przyjaźń” przetrwa to porzucenie. Oboje czegoś się uczą: często tchórzostwo jest dostarczane pod ten sam adres co głupota i nieżyczliwość.

Moglibyśmy niemal przyzwyczaić się do tego widoku, wyłączając jednak Tibora. Wyłonił się niczym diabeł z głębi korytarza, pędząc jak wariat, z nożyczkami w ręce. Nikt nie zdążył go powstrzymać, a ci, którzy byliby w stanie to zrobić, nie drgnęli nawet, żeby się nie zdemaskować. Od razu zaczęłam się zastanawiać, co takiego zamierza uciąć. Więzy krępujące Doriana? Niemożliwe. Znając zasady Tibora, powinien być wściekły na tego drania za jego wypowiedź na temat Léi. Obciąć mu włosy? Czemu nie... Nie mogę się doczekać rezultatu. Może trenuje strzyżenie psów, które wyprowadza?

Tibor runął na Doriana niczym kondor na wyluskaną krewetkę. Bez wahania rozciął oba brzegi jego majtek i zerwał je jednym gwałtownym ruchem. Dziewczyny zamknęły oczy, żeby nie widzieć, chłopcy zaś zrobili dziwną minę z innego powodu. Pani Holm nazywa to „współczuciem genitalnym”, bardzo popularnym wśród samców gatunku ludzkiego, którzy spinają się na widok jednego spośród nich, lub nawet zwierzęcia, któremu zostaje wymierzony cios w krocze. Można tylko mieć nadzieję, że Tibor nie urwał mu niczego, szarpiąc jak psychopata. W przeciwnym razie trzeba będzie przeczesać dokładnie cały hol w celu odnalezienia brakującego elementu i podjąć próbę przyszywania go. Tak czy inaczej nie ja włożę go do lodu. Zresztą przy odrobinie szczęścia Inès zdąży wcześniej na niego nadeprnąć.

Dorian ma straszną minę, na wpół przerażoną, na wpół rozbawioną. Przypomina surykatkę po lobotomii wpatrzoną w finał pokazu fajerwerków. Dorian, niczym *Myśliciel* Rodina, siedzi teraz nago na krześle. Tibor zniknął równie szybko, jak się pojawił, dzierżąc pstrokate trofeum niczym flagę. Nasze życie nie byłoby równie piękne bez niego.

Po południu Dorian nie pojawił się w szkole. Nie wiadomo nawet, kto go uwolnił. Gdyby pojawili się żandarmi i nas wypytywali, opracowaliśmy oficjalną wersję: na Doriana porwała się młodzież spoza naszej placówki. Musiało chodzić o przemysł bielizny męskiej. Podobno niektóre plemiona rumuńskie są gotowe zapłacić każdą sumę za kolorowe gacie, na których widok wymiękają nawet kameleony. Historia z przemysłem nie jest oczywiście wpisana w wersję oficjalną. Nie jesteśmy przecież zupełnymi debilami.

W ciągu kolejnych lekcji uczniowie przesyłają sobie zdjęcia i regularnie wybuchają śmiechem. Nawet ja mam łzy w oczach na widok zdjęcia, na którym Tibor przebiega obok Doriana tak szybko, że jego postać jest rozmyta. Przyglądając się pozostałym zdjęciom, zauważyłam, że tuż pod tekstem nabazgranym na ciele Doriana Axel narysował dziwny symbol. Zaczęłam się zastanawiać, dlaczego to zrobił i co on oznacza. Znak kabalistyczny? Ślad hańby tajnego bractwa, którego Axel byłby szefem? Powiększając maksymalnie fragment fotografii, zobaczyłam w końcu, że jest to mały rysunek składający się z dwóch liter „DL”. Nie chodzi o inicjały Axela ani żadnego z jego współników. Nie przestałam o tym myśleć przez

resztę dnia. Sprawdziałam nawet różne przekleństwa i wydaje mi się to najbardziej prawdopodobnym tropem.

Wieczorem, kiedy opowiedziałam Léi o tym, co się wydarzyło, była niepokieszona, że ją to ominęło. Była także bardzo wzruszona reakcją chłopców na afront, jakiego padła ofiarą. Rozumiem ją. Gdyby ktoś zareagował równie spektakularnie w mojej obronie, byłabym bardzo dumna. Wdzięczna do końca życia. Nie wiem jednak, czy jestem dziewczyną, dla której ktoś miałby dawać upust złości, ryzykując tak wiele. Nie wiem nawet, czy ktokolwiek stanąłby w mojej obronie.

Zastanawialiśmy się z Léą nad znaczeniem liter „DL”, nie udało nam się jednak rozgryźć sekretu. Musiałam wrócić do domu, gdzie późnym wieczorem, w samotności, znalazłam odpowiedź. Pani Holm ma rację: nasz mózg czyni cuda. Szuka jak gdyby nigdy nic, podczas gdy my zajmujemy się naszymi sprawami, a kiedy przestajemy o tym myśleć, podsuwa nam odpowiedź. Przed chwilą pojęłam, gotowa już kłaść się spać. Mój umysł się rozjaśnił. To przecież oczywiste. Rezultat: zupełnie przestało mi się chcieć spać. „DL” znaczy „Dla Léi”. Jestem tego pewna. Axel zadedykował jej swoją zemstę, jak gdyby składał ofiarę ukochanej.

To odkrycie bulwersuje mnie do żywego. Pokazuje bez cienia wątpliwości, co Axel czuje do Léi. Ciocia Margot powiedziałaaby zapewne, że oto mam swoją odpowiedź. Z pewnością nie jestem osobą, dla której Axel dokonałby tego czynu. Czuję rozpacz, ale kogo mogę potępiać? Léa nie jest winna, że jest tym, kim jest, rozumiem również Axela. Dramaty bez winnego są najgorsze. Nie ma nikogo, komu można by mieć za złe. Szczęście i sprawiedliwość nie wchodzą tutaj w grę. Tak już jest, po prostu. Niezgnębiona otchłań, czarniejsza niż noc, otwiera się we mnie i wciąga w głąb. Ból ściska pierś. Tak samo jak moją najlepszą przyjaciółkę. Obie jesteśmy ofiarami własnych serc, które powinny bić i utrzymywać nas przy życiu, tymczasem niosą cierpienie i mogą nas zabić. W obliczu tej prawdy nie może już być mowy o kłamstwie. I nagle wszystko się zmienia. Jestem zagubiona, dryfuję, pozbawiona jakichkolwiek punktów odniesienia. Tracę grunt pod stopami. Pojawia się jednak coś silniejszego niż moje cierpienie. Skoro nie mogę pokonać losu, pomogę mu. Dwie litery nabazgrane na ciele idioty skłaniają mnie do podjęcia najtrudniejszej decyzji w życiu. Moja najlepsza przyjaciółka być może umrze, ale zanim to nastąpi, ofiaruję jej najpiękniejszą przygodę miłosną, choćby i z chłopcem, którego zawsze kochałam.

Wykorzystuję jedną z rzadkich okazji, kiedy ta, której szukam, stoi akurat sama, i zagaduję:

– Vanesso, mogę ci zadać osobiste pytanie?

– Oczywiście, moja Camille.

Biorę ją pod rękę, żeby mi nie uciekła.

– Co zrobić, żeby chłopak zakochał się do szaleństwa w dziewczynie?

Wyraz jej twarzy zmienia się radykalnie. Wybrała ustawienie „public-relations-najlepsze-przyjaciółki”, ja zaś ją zdestabilizowałam. Pytanie okazało się zbyt bezpośrednie. Vanessa rozgląda się wokoło i odpowiada mi ściszym głosem:

– Równie dobrze mogłabyś mnie spytać o wygrywające numery w lotto na przyszły tydzień. Chyba miałabym większe szanse podać właściwą odpowiedź...

– Ja nie żartuję, Vanesso. Naprawdę muszę to wiedzieć.

– Camille, ja także mówię poważnie. Gdybym wiedziała, powiedziałabym ci, ale szczerze mówiąc...

– Przecież masz wszystkich chłopców u swoich stóp.

– Żartujesz sobie? Skoro chcesz rozmawiać na poważnie, porozmawiamy poważnie. Patrzysz na to ze swojej pozycji, ale rzeczywistość jest nieco inna.

– Ci wszyscy faceci, którzy się za tobą uganiają, nie są przecież iluzją optyczną.

– Są fatamorganą. Uważają, że jestem ładna, chcieliby mieć taką dziewczynę jak ja i sobie z nią poswawolić, ale nic poza tym. Pociąga ich mój wygląd, nie patrzą jednak głębiej. Wiem, że ty do nich nie należysz, ale większość dziewczyn jest o mnie zazdrosna, traktują mnie jak łowczynię mężczyzn. Stanowię konkurencję, którą trzeba za wszelką cenę wyeliminować, w przeciwnym razie będę im podkradać facetów. To nieprawda. W najlepszym razie staram się zarządzać popytem, ale – wierz mi – niełatwe to zadanie.

W głębi duszy uważam, że Vanessa robi jednak wszystko, żeby chłopcy się za nią uganiali, jest więc sobie sama trochę winna. Wystarczy spojrzeć na jej kusą koszulkę podkreślającą piersi kalifornijskiej surferki...

– Powierzę ci pewien sekret, Camille. Do ładnych dziewcząt lgną kretyni. Przekonałam się o tym. Przyciągamy ich jak magnes. Łapiemy w sieci tych, którzy myślą od pasa w dół, marzą o czerwonym samochodzie sportowym i postrzegają kobiety jako trofea własnej chwały. Ci są w naszym zasięgu. A jest ich mnóstwo! Tak bardzo mi dali w kość, że rozważałam nawet oszpecenie się. Chciałam przestać myć włosy, kupować ciuchy na targu. Przysięgam! Ale czy ty przestałabyś myśleć dlatego, że świat jest stworzony dla wariatów? Czy mam sobie strzelić w stopę i zepsuć to, co zauważają buzujący hormonami chłopcy, czy tego chcę czy też nie? Pan Rossi ma rację: możemy postrzegać się jak ofiary albo nauczyć się wykorzystywać to, co mamy. Na razie staram się więc być ładna i śmiać się z głupich żartów, które słyszę, ale tak naprawdę wcale mi to nie odpowiada. Powiem ci coś jeszcze: mężczyźni wolą takie dziewczyny jak ty.

Zdziwienie.

– Czyli jakie?
– Chcesz usłyszeć prawdę?
– Proszę, powiedz.
– Dziewczyna taka jak ty nie jest ani bardzo ładna, ani bardzo brzydka, co daje mężczyznom czas, żeby zauważyć, co ma w głowie i w sercu. Jeśli jesteś za ładna: patrzą na twoje piersi i pośladki. Za brzydka: nie chcą na nic patrzeć i przechodzą do kolejnej. To straszne, ale taka jest prawda.

– Przecież wszyscy wiedzą, że jesteś inteligentna i zabawna!
– Jasne. Czasopism dla mężczyzn nie wypełnia się inteligencją i humorem. Gdybyś wiedziała, ilu facetów usiłowało mnie pocałować, zanim się dowiedzieli, jak mam na imię...

Jestem oszołomiona. Zawsze się nam wydaje, że nasza sytuacja jest najgorsza. Jesteśmy przekonani, że to my jesteśmy najbardziej nieszczęśliwi, że inni radzą sobie lepiej. Wyobrażałam sobie, że Vanessa ma takie łatwe życie. Kiedy wymieniamy się punktami widzenia, nawet jeśli to nie rozwiązuje sprawy, pozwala ją zrelatywizować. Vanessa ciągnie dalej:

– Jesteś zakochana w facecie i chciałabyś, żeby cię zauważył?
– Nie ja. Chodzi o przyjaciółkę.
– Podobną do ciebie?
– Trochę ładniejszą. Nie znasz jej. Nie chodzi do liceum.
– A on?
– Miły. Żaden tam szpaner. Dojrzałszy niż przeciętna. Przystojny.
– Kręcą się wokół niego inne dziewczyny?
– Kilka, tak.
– To przechłapanie. Na pewno uruchomił już selekcję.
– On nie jestem typem „selekcjonera”.
– Musi więc być gejem.
– Nie sądzę.
– Camille, czy nigdy się nie zastanawiałaś, dlaczego kapitan drużyny futbolu amerykańskiego zawsze chodzi z pierwszą cheerleaderką?

– Uwierz mi, zadaję sobie wiele pytań, ale do tego jeszcze nie dotarłam...
– Chodzą ze sobą, ponieważ nie mają wyboru. Cały świat ich ku sobie popycha. Najsilniejszy z najładniejszą. Są ofiarami projekcji innych ludzi, którzy upychają nas w małych przegródkach. Jesteś ładna, na pewno jesteś głupia. Nosisz okulary – jesteś intelektualistką. Niewiele osób sięga głębiej niż pozory. Dwoje sportowców musi stworzyć parę. Dwoje szalonych naukowców nieuchronnie się do siebie zbliży...

– Twoja wizja jest straszna!
– Może, ale jest realistyczna. Rozejrzyj się wokoło. Pomyśl o twoich rodzicach, sąsiadach, rodzinie. Spróbuj znaleźć kontrprzykład. Widziałaś już dziewczynę Louisa?

Czuję ucisk w gardle.
– Nie.
– Jest Metyską, jak on, i jest tak samo wysoka. Poznali się, biegając po lesie. A przecież, zapewniam cię, robiłam co mogłam, żeby mu udowodnić, że nie jestem głupią gęsią. Chciałabym...

Vanessa ma oko na Louisa? Louis ma dziewczynę? Porządek mojego małego wszechświata został właśnie zburzony.

– Nauczyłam się jednej rzeczy, Camille – ciągnie Vanessa. – Problemy zakuwają nas w okowy, ale także zbliżają do siebie. Układamy sobie życie z tymi, którzy rozumieją nasze troski. Jeśli o mnie chodzi, każdy jest przekonany, że nie mam żadnych problemów, ponieważ zgodnie z obowiązującymi kryteriami jestem „na topie”. Moim przeznaczeniem jest playboy w stylu Benjamina, ale ja go nie chcę. Mam ochotę na coś innego niż okładkowy związek z ekspertem od żelu do włosów. Stwierdzam więc, że skończę sama, a kiedy już się zestarzeję, zwiotczeję, być może jakiś facet popatrzy na coś innego niż moje pośladki.

– Przykro mi z powodu tego, co mówisz, Vanesso. Ponieważ mnie także się wydaje, że skończę sama, i cieszyłam się myślą, że przynajmniej takie dziewczyny jak ty mogą sobie poradzić.

Vanessa zbliża swoje czoło do mojego:

– Jesteś porządną dziewczyną, Camille. I chłopcy, którzy są tego warci, czują to. Ty nigdy nie będziesz sama.

Padamy sobie w objęcia. W chwili kiedy postanowiłam poświęcić moją jedyną miłość mojej jedynej przyjaciółce, te słowa głęboko mnie poruszają. Mam dość bycia poruszaną, wstrząsaną, bulwersowaną. Mam już dość. Chciałabym jej o wszystkim opowiedzieć, zapłakać nad swoim losem z nadzieją, że mnie zrozumie, ale się powstrzymuję. Ona musi radzić sobie z własnymi sprawami. Najważniejsze, żeby każdy z nas spotkał na swojej samotnej drodze inne zagubione istoty i mógł ogrzać się chwilę w ich objęciach. W ciągu pięciu minut spędzonych z Vanessą nauczyłam się więcej niż przez całe lata czytania kącika porad psychologa w czasopismach. Wciąż jednak nie wiem, jak przekonać Axela, żeby określił ostatecznie swój stosunek do Léi.

Léa jest dziś w szkole. Na pierwszej lekcji siedziałyśmy obok siebie, ale na drugiej, pod pretekstem, że mam do odrobienia zadanie z Marie, postarałam się o to, żeby znalazła się w ławce z Axelem. Nie kazała się prosić.

Pan Rossi sprawia wrażenie uradowanego, że Léa jest wśród nas. Krąży po klasie, żartuje. Przepęlnia go energia, jakiej od dawna u niego nie widzieliśmy.

Dorian siedzi w pierwszej ławce – on na jednym krańcu, Laura na drugim. Jesteśmy wprost zdruzgotani widokiem końca tej wzruszającej przyjaźni. Chlip. Ta ohydna ropucha podjęła próbę znalezienia sobie nowego współnika w osobie Lany. Jego popularność spadła jednak właściwie do zera i Lana odesłała go, używając modnego powiedzenia: „W moim świecie nawet nie istniejesz. Jesteś fraktalem kwantowym!”. Nikt nie lubi być wyzywany od fraktali kwantowych i, nie licząc tej nieudanej próby przełamania ostracyzmu, nasz tchórz stara się nie rzucać nikomu w oczy. Od czasu do czasu któryś z chłopaków wykonuje w jego stronę „przyjacielski” gest z uśmiechem drapieżcy, który sprawia, że Dorian jeszcze bardziej kuli się w sobie. Cudownie. Uwielbiam przestraszonych gburów.

Coś się zmieniło w zachowaniu Léi. Jeśli chodzi o jej stosunek do mnie, nie mogę narzekać. Jest pełna ciepła, wydaje mi się ponadto, że jeszcze bardziej się do siebie zbliżyłyśmy. W stosunku do innych osób, łącznie z nauczycielami, zachowuje się jednak inaczej. Mam wrażenie, że mówi to, co myśli, bez żadnych zahamowań. Potrafi wyskoczyć z niesamowitymi tekstami. Nie jest ani wulgarna, ani agresywna, ale werbalizuje to, co inni starają się jednak zachować dla siebie.

„Schudłaś, zrobiłaś się bardzo sexy”. To było do Manon. „Jeśli złapie pan tych, którzy zajęli się Dorianem, wskażę ich jako beneficjentów mojej polisy na życie. Powinno niedługo dać się ją spieniężyć...” To było do pana Tonnerieux. Udała się także do nauczyciela wychowania fizycznego, pana Taribaud, żeby mu podziękować. Wręczyła mu butelkę wina z wysokiej półki: „Ma większą zawartość niż strzykawka, z której zrobił mi pan zastrzyk, ale nie jest powiedziane, że pana uratuje!”. Pocałowała go w policzek.

Czuję, że jest oderwana od tematu matury i zajęć. Uczy się tylko tego, co ją bawi lub interesuje. Wygląda na to, że filozofia przemawia do niej najsilniej – potrafi dyskutować z nauczycielem tak, jakby znajdowali się w klasie tylko we dwoje. Léa nie mówi o tekstach ani o prądach myśli, ale zadaje mu pytania na temat prawdziwego życia. Wyraziła również jasno swoje zdanie na temat Freuda: „Chory psychicznie zboczeniec i maniak, któremu zidiociali próżniacy ofiarowali godną pożalowania mównicę”. Wspomniała ponadto o Ludwigu Wittgensteinie, którego *Traktat logiczno-filozoficzny* przeczytała i oceniła jako „ogólnikowy i czczy”, tak samo jak jego autor dwadzieścia lat po skończeniu swojego dzieła. Zaskakuje mnie. Przemawia w sposób, o który jeszcze kilka miesięcy temu bym jej nie podejrzewała. Jest stanowcza, bezkompromisowa i – co robi na mnie największe wrażenie – wolna. Nie nudzimy się. Wszystko wydaje się u niej wzmożone. Jej zalety stają się cudowne, wady zaś nabierają grozy. Sprawy materialne zdają się już jej nie dotyczyć. Ogranicza się do

obserwowania ludzi i reagowania. Interesują ją tylko uczucia, zarówno te mroczne, jak i te pełne blasku. Gdyby się tak dobrze zastanowić, zauważyłam to samo u starszych osób. Niechętnie to mówię, ale mam wrażenie, że Léa dystansuje się od tego, co dzieje się w naszej grupie.

Nigdy nie zostawiamy jej samej. Nosimy jej plecak. Mimo naszej opieki już przed południem Léa zaczyna mieć trudności z oddychaniem. Spędza przerwę oparta o Axela, który uważa za swój obowiązek jej pomagać.

Jej obecność sprawia, że posiłek w stołówce przeradza się w prawdziwe przyjęcie. Słysząc tylko nas. Wyjątkowo Axel został w szkole. To on przynosi jej tacę. Rozochoceni chłopcy, dla żartu, usiłują połykać jogurty, z kolei Tibor się zadławił, wpychając sobie sześć mielonych kotletów do ust. Płakaliśmy ze śmiechu. Jego twarz przybierała po kolei wszystkie kolory tęczy, dopóki Léo nie usunął siłą tego, co zapychało mu gardło. Jeszcze chwila, a musielibyśmy wzywać naszych przyjaciół z pogotowia albo agenta specjalnego, który wykonałby na nim tracheotomię za pomocą długopisu.

Dwa rzędy za nami dostrzegam siostrę Evy i jej adoratora, który uczeplił się jej jak rzep psiego ogona. Trzymają się za ręce. Będę musiała porozmawiać z chłopakami. Powinni napędzić mu stracha.

Po dojściu do siebie Tibor oznajmia:

– Aby uczcić powrót Léi, musimy zrobić coś szalonego. Coś, co wszyscy zapamiętają!

Sądząc po jego podekscytowanym obliczu, wystarczy, żeby powiedział: „Ocalę was!”, a ucieklibyśmy wszyscy ogarnięci nieopisaną paniką. W jego oczach pojawia się nagły błysk, który dobrze znamy i który może wyrządzić wiele szkód. Tibor wyjaśnia:

– Słyszałem o facecie, który zjadł samolot. Zajęło mu to cztery lata: obracanie go w pył, kawałek po kawałku. Coś takiego może zmienić wasze życie...

Na pewno zmienia także przewód pokarmowy i odbył. Wyczuwamy, że temat ten fascynuje Tibora. Najgorsze, że pozostali chłopcy również wykazują zainteresowanie.

– Wyobrażacie sobie tylko? – ciągnie Tibor. – Zezreć samolot? Może to trochę za wiele jak dla nas, ale gdybyśmy się wszyscy przyłożyli, może moglibyśmy zjeść rower? Rewelacja. Zapisalibyśmy się w historii jako banda kumpli, która schrupała górala. Czujecie to?

Oczywiście można tym zadać szyku na wizytówce: Tibor Lanski, doktor nauk matematycznych, absolwent Harvardu, pożeracz kierownicy i szczeń hamulcowych. Albo: Léo Dervel, tajny agent, kryptonim: „Opona”. Albo, czemu nie: Axel Malet, nurek, mechanik wind, znany również jako amator kół zębatach. Chłopcy wyglądają na zafascynowanych, choć dziewczyny biorą ich za nawiedzonych. Léo proponuje:

– Moglibyśmy zjeść również spluwę!

Louis chce zjeść piłkę. To straszne. Jak gdyby ten świat nie cierpiał już dostatecznie z powodu naszego niedorzecznego apetytu. Skończy się na tym, że zjedzą korek Kłaczka. Liczą właśnie, ile sproszkowanego żelaza musiałyby zjeść każde z nas, żeby pochłonąć samochód, biurko nauczyciela albo hydrant uliczny. Mam ochotę zaproponować, żeby zjedli zepsuta pralkę starej sąsiadki, inaugurując tym samym nowy rodzaj recyklingu. Znajdziemy się w księdze rekordów, ale w sekcji „poważnie upośledzeni”. Po dwóch godzinach gadaniny chłopcy doszli do wniosku, że aby uczcić powrót Léi i zrobić coś niezapomnianego, zjedzą skarpetkę. Imponujące. Oczywiście jest mniejsza niż samolot i krócej lata. Chłopcy są jednak

dumni tak, jak tylko oni to potrafią, gdy są przekonani, że dokonują niezwykłego wyczynu, szczególnie kiedy urasta on do rangi symbolu w oczach całego świata, pełnego podziwu dla ich szlachetności. Mowa w końcu o zjedzeniu skarpetki. Léa się zaśmiewa, uwieszona na Tiborze, któremu dziękuje za ten wspaniały pomysł.

– Skarpetka musi być nowa – komentuje Léo. – Nie tknę noszonej.

Przeczytajcie raz jeszcze tę wypowiedź, a zrozumiecie, na czym polega wyższość rodzaju ludzkiego.

Louis dodaje:

– Weźmy najlepiej skarpetkę w rozmiarze trzydzieści sześć, ponieważ jeśli zabierzemy się za jedną z moich, będziemy mieć osiem rozmiarów więcej do przełknięcia.

Mamy przed sobą, panie i panowie, doskonały przykład jednego z mechanizmów rządzących naszym światem: oto jak mężczyźni potrafią przekuć idiotyczny pomysł na nowy cel ich życia.

Na popołudniową lekcję języka angielskiego celowo przyszedłam jedna z ostatnich, żeby zobaczyć, czy Léa usiądzie z Axelem, czy też poczeka na mnie. Kiedy stanęłam w progu klasy – wiem, że to infantylne – serce biło mi szybciej. Weszłam do środka, jednocześnie zniecierpliwiona i zaniepokojona czekającą na mnie odpowiedzią. Jakbym otwierała kopertę z ważnymi wynikami egzaminu.

Zastałam ich siedzących razem, tuż przed Tiborem i Léo. Znalazłam sobie miejsce z tyłu, obok Inès. Odczuwałam smutek i wstyd. Smutek, ponieważ mimo tego, co sobie poprzysięgłam, wolałabym, żeby Léa na mnie czekała. Powinnam być zadowolona, mój plan zbliżenia ich do siebie zaczyna działać. A jednak, chociaż moje nadzieje się spełniają, cierpię z tego powodu. Przeczytajcie ponownie poprzednie zdanie, a zrozumiecie, na czym polega słabość rodzaju ludzkiego.

Siadając obok Inès, która wita mnie szczerym uśmiechem, czuję wstyd – w końcu wciąż się z niej nabijam, a przecież w tej chwili jestem jej nieskończenie wdzięczna za udzielone mi schronienie. Jestem skłonna rozpłakać się z wdzięczności. Prawdą pozostaje, że kiedy Inès słucha wykładu, jej usta otwierają się niczym kosz do koszykówki i niełatwo jest się powstrzymać przed wrzuceniem czegoś do środka. Choćby małego kawałeczka gumy, bardzo proszę. Na moim miejscu zrobilibyście to samo.

– Léa jest jakaś inna, nie uważasz?

To pierwsza uwaga, jaką wypowiada pan Rossi w poniedziałek, na naszym cotygodniowym spotkaniu podsumowującym postępy klasy. Marie i Antoine wysłali mnie na nie samą.

– Gdybyśmy byli chorzy, na pewno także byśmy się zmienili. Léa twierdzi, że powinna przeżywać każdy dzień, jak gdyby miał być tym ostatnim.

– Piękna zasada, która pociąga jednak za sobą pewne ryzyko. Istotnie możemy przeżywać każdy dzień tak, jak gdyby był naszym ostatnim, ale powinniśmy być ostrożni: czasami nadchodzi jednak kolejny dzień, trzeba wówczas wziąć na siebie odpowiedzialność za to, co zrobiło się poprzedniego dnia...

– Uważa pan, że Léa posuwa się za daleko?

– Nie, jeszcze nie. Nie chciałbym jednak, żeby jej wolność za bardzo was zainspirowała. Wam nikt by nie wybaczył.

– Klasa wymyka się spod kontroli?

– Niezupełnie. Muszę nawet przyznać, że macie w sobie coraz więcej powagi. Nawet Dorian się uspokoił, ale chyba wicie dlaczego.

– Rzeczywiście, nie przepadamy za nim. Co nie znaczy – szczerze – że pochwalamy to, co mu zgotowała ta hołota.

Jestem pewnie czerwona jak burak. Jeśli pan Rossi będzie się we mnie jeszcze tak wpatrywał choćby kilka sekund dłużej, spłonę.

– „Szczerze”? – powtarza.

– Naprawdę, to nie było miłe.

– Camille, znasz „Cluedo”? To gra towarzyska, w którą często grałem w młodości. Wasze pokolenie zapewne nie korzysta już z tego rodzaju rozrywek, z pionków i kart... Myślę, że również wolelibyśmy gry wideo, gdyby wtedy istniały, ale w tamtych czasach oświetlaliśmy pomieszczenia świeczką, kąpaliśmy się raz na rok w rzece i nie wychodziliśmy z domu po zapadnięciu zmroku ze strachu przed diabelskimi duchami.

Muszę mieć dziwny wyraz twarzy, ponieważ pan Rossi szybko wyjaśnia:

– Żartuję. Ludwik XVI nie miał już głowy, kiedy się urodziłem – został ścięty chyba jakieś dwa tygodnie wcześniej. Byłem także dumnym posiadaczem jednego z pierwszych pilotów do zmieniania kanałów w telewizorze. Był to długi kij, którym można było wciskać przyciski na czarno-białym odbiorniku, siedząc w fotelu ojca. W tamtych czasach przeskakiwanie z kanału na kanał nie trwało długo, nadawano bowiem tylko dwa programy.

Co on wygaduje? Próbuje zamącić mi w głowie. Zaraz dam się wkręcić. Poprosi, żebyśmy zagrali w ani „tak”, ani „to Axel rozebrał tego kretyna i zabazgrał go pisakiem”. Powie „dzień dobry”, ja odpowiem „dzień dobry”, później zapyta, jak się miewam, a wtedy ja, jak ta głupia, odpowiem mu: „to Axel porysował tego chama” i wszyscy skończymy w pace.

– Wracając do „Cluedo”. To gra, w której każdy z uczestników musi odgadnąć, kto popełnił morderstwo, w którym z pomieszczeń posiadłości i przy użyciu jakiej broni. Rozwiązania

brzmiały na przykład: zabił pułkownik Musztarda, w bibliotece, przy użyciu świecznika.

– Nie mam pewności, czy dobrze rozumiem.

– Wkrótce zrozumiesz. Jeśli chodzi o to, co się przytrafiło Dorianowi, odpowiedź mogłaby brzmieć: to Axel, Louis i Léo, w toalecie, przy użyciu pisaka i grubej taśmy klejącej.

Moja twarz z czerwonej przeobraziła się w mlecznobiałą z prędkością światła. Policzki mi płoną. Jestem pierwszą istotą ludzką, która przekroczyła podskórnie barierę dźwięku. Pan Rossi przygląda mi się z osobliwym uśmiechem:

– Czy wygrałem?

– Nie wiem. Powiedział pan, że trzeba określić broń, a nie wymienił pan krzesła...

– Na tym etapie, na jakim się znajdujemy, Camille, nie chcę, żebyś używała słowa „szczerze”, jeśli jest ono niedostosowane do sytuacji. Nie spotykamy się po to, żeby opowiadać sobie brednie ani bawić się w zebranie, żeby wszyscy lepiej się poczuli. Marie i Antoine wymigują się od spotkań, lądujemy więc tutaj sami. Zgadzam się na to, ale nie jestem głupi. Stoisz w pierwszym szeregu znajomych Léi i masz dobry kontakt z kolegami, wnioskuję z tego, że nasze spotkania są potrzebne. Żeby jednak zabieg ten miał szansę okazać się w pełni skuteczny, powinniśmy sobie ufać.

– Wyda pan chłopców dyrektorowi?

– Nicolas, przepraszam, pan Tonnerieux i ja wiemy o wszystkim od dnia przygody Dorian. Będziesz zaskoczona, ale my także mamy dostęp do Internetu i, wyobraź sobie, potrafimy z niego korzystać! Wasze pokolenie ma nieznośny zwyczaj – uważacie, że nie mamy pojęcia, jak używać naszych wynalazków. A że wrzucacie wszystko i byle co do serwisów społecznościowych... Na dodatek pani Serben zauważyła Tibora biegnącego z czymś, co później okazało się majtkami Flanecka. Przedziwny chłopak...

– Kiedy więc dyrektor nas przesłuchiwał, wyszliśmy na...

– ...dzieciaki kryjące swoich przyjaciół za pomocą scenariusza, który – podobnie jak ubiegłotygodniowy sprawdzian – wiele by zyskał, gdyby został lepiej przygotowany. Szczerze, jeśli ktoś mówi o „hołocie”, która zapisuje bezbłędnie tekst składający się z więcej niż dwóch słów, wierzysz w to? Jeśli na dodatek weźmiesz pod uwagę, że „atak” nastąpił tuż po tym, jak Dorian zachował się w żaloszny sposób w stosunku do waszej chorej koleżanki, jakie hipotezy byś rozważała?

– Dlaczego nie zostaliśmy ukarani?

– Oficjalnie dlatego, że nie mieliśmy dowodów, mimo analizy eksperta grafologicznego, którego zażądali rodzice Dorian. Ale tak między tobą a mną, nie niepokoiliśmy was, ponieważ chłopak sam się o to prosił.

– Jesteśmy żaloszni.

– Jesteście młodzi. Nie wiecie wszystkiego. Dobrze się składa, w szkole jesteście po to, żeby się uczyć. Przypomnijcie sobie słowa indyjskiego ekonomisty: zawsze zadawajcie sobie pytanie, na czym polega wasza misja.

– Dziękuję bardzo. Czy przeprosi pan dyrektora w naszym imieniu?

– Jeśli jesteście tak dorośli, jak myślicie, możecie zrobić to osobiście. I proszę, od tej pory nie traktuj mnie już jak gliniarza. Nie jesteś złodziejką.

Ledwie zebrano ze stołu po kolacji, a Lucas już ruszył w stronę kanapy, na której rozsiadł się przed telewizorem, żeby obejrzeć amerykański serial z podłożonymi wybuchami śmiechu. Zoltan i Kłaczek są przy nim i również oglądają. Wszyscy mają ten dziwny uśmiech, który pozwala sądzić, że śmiechy wydobywają się z ich ust, chociaż są nieruchomi jak posągi. Przerazające. Od kilku tygodni Kłaczek spędza coraz więcej czasu z Lucasem, ale nie mam mu tego za złe. Poświęcając swój czas Léi, mam mniej okazji do zabawy z nim.

– Powiedz mi, Lucas, wciąż masz ten laser, którym drażnisz Kłaczka?

Odpowiada mi, nie spuszczać wzroku z ekranu:

– No pewnie! Niezła jatka. Twój kot dostaje hysterii, sroki są przerażone. Totalna broń!

– Mógłbyś mi go pożyczyć na kilka dni?

– Po co? Nie nadaje się do depilacji, wariatko.

– Proszę.

– Zgoda, ale przez tydzień nakrywasz za mnie do stołu.

– Trzy dni.

– Pięć.

– Cztery.

– Sprzedane. Ale zmienisz baterie.

– To oszustwo w biały dzień!

– Życie to jedno wielkie oszustwo, moja droga!

Wraca mama i zdejmuje kurtkę w przedpokoju. Zoltan jest tak skupiony na serialu, że nawet nie szczechnął. Czyżby naprawdę interesowało go to, co bohater ugotuje dla swojej dziewczyny?

Mama kładzie torebkę na stole kuchennym, całuje mnie i pyta:

– Jak ci minął dzień?

– Niezapowiedziany sprawdzian z fizyki. Raczej dobrze mi poszło, oprócz ostatniego zadania, ale było warte tylko trzy punkty. Nauczyciel powiedział, że nie skończyliśmy jeszcze programu, trzeba już jednak zacząć powtarzać materiał. A tobie?

– Nie zdążyłam nawet zrobić zakupów. Wracam od Élodie. Wciąż żadnych wieści w sprawie przeszczepu, ale mam wrażenie, że się przyzwyczajają. Christophe także stara się być bardziej dyspozycyjny i spędzać więcej czasu z Léą.

– Léa jest w dobrej formie?

– Nie widziałam jej. Wyszła z kolegą.

Muszę mieć minę przygłupa, któremu radar zrobił zdjęcie za przekroczenie dozwolonej prędkości. Próbuje zadać pytanie jak najbardziej naturalnym głosem:

– Ach tak. Super! Wiesz z kim?

– Élodie mi mówiła, ale zapomniałam.

Zawsze ten sam problem z rodzicami: z wiekiem tracą pamięć.

– Dobrze, że prowadzi życie tak normalne, jak to tylko możliwe – ciągnie mama – i że jest

w nim miejsce dla chłopców.

Muszę koniecznie zapamiętać to zdanie i powtórzyć je mojemu psychiatrze, kiedy już poddam się terapii jako trzydziestoletnia stara panna. To by wyjaśniało wiele w sprawie mojego rozpaczliwego stanu.

Słyszę skrzypienie bramy od garażu. Teraz wrócił tato. Wychodzi z przyziemia. Podchodzi, żeby pocałować Lucasa, mamę i mnie.

– Dopiero co wróciłam – przeprasza mama. – Daj mi trzy minuty, to odgrzeję jedzenie.

– Nie fatyguj się. Nie jestem głodny. Camille, czy mógłbym zamienić z tobą dwa słowa?

Zaskoczona rzucam mamie pytające spojrzenie, żeby sprawdzić, czy wie, o co chodzi. Ona jednak robi jednoznaczny minę: nie ma zielonego pojęcia. Idę za ojcem do jego gabinetu. Daje mi znak, żebym usiadła na krześle, i zamyka drzwi, po czym również zasiada. Jego zachowanie jest dość niezwykle. Zazwyczaj tato zachowuje sobie tego rodzaju *tête-à-tête* na, jak to sam nazywa, „wykłady moralizatorskie”. Dziś jednak nie sprawia wrażenia zezłoszczonego.

– Muszę z tobą porozmawiać o Léi.

– Coś nowego?

– Rozmawiałem z jej lekarzami i z Christophe’em. Jesteśmy świadomi korzystnego wpływu, jaki miał na nią powrót do szkoły.

– To oczywiste.

– Dla jej zdrowia stanowi to jednak obciążenie.

– Bardzo na nią uważamy.

– Nie wy jesteście przyczyną. Zadzwoiłem tu i tam, pytałem moich dawnych kolegów, czy mogliby nam pomóc. Dzięki różnym znajomościom udało mi się porozmawiać z pewnym profesorem, który ma pod swoją opieką pacjentkę w podobnym wieku co Léa. Twierdzi on, że najważniejszą rzeczą jest dbanie o wytrzymałość serca, narażając je na jak najmniejszy wysiłek. To podstawowa sprawa. Innymi słowy Léa powinna odpoczywać, najlepiej leżąc, gdyż to, co poprawia jej nastrój, może jednocześnie skrócić jej życie.

– A jeśli uda się zrobić jej przeszczep?

– W obliczu katastrofy należy postawić się w najgorszej konfiguracji z możliwych, żeby móc jak najlepiej uprzedzać wydarzenia. Jeśli znajdzie się serce, tym lepiej, ale na razie hipoteza ta nie należy do najbardziej prawdopodobnych, tymczasem Léa musi przetrwać.

– Dlaczego trzeba przewidywać najgorsze?

– Ponieważ tylko będąc przygotowani, mamy szansę wyjść cało z opresji. Ci, którzy liczą na cud, rzadko odnoszą zwycięstwo. Tymczasem naszym celem jest sprawić, aby Léa miała po swojej stronie jak najwięcej sprzyjających okoliczności. Inaczej mówiąc, możemy porównać Léę z samolotem o niemal pustym baku, który leci nad oceanem. Musimy odciąć wszystko, co czerpie z niej niepotrzebnie energię, żeby mogła utrzymywać się w powietrzu i mieć nadzieję, że dotrze do brzegu, zanim...

– Zrozumiałam. Nie potrzebuję metafor dla pięciolatek. Tymczasem jednak wszyscy uważają, że powrót do szkoły dobrze jej zrobił. Ona sama powiedziała mi, że jest jej to potrzebne. Wszystko, czego ona chce, niezależnie od tego, czy przeżyje czy nie, to spędzać czas z przyjaciółmi i rodziną.

– Nie wątpię, ale czasami należy podejmować nieprzyjemne decyzje, które pozwolą ocalić przyszłość.

– Skoro jej lekarze mówią, że może chodzić do szkoły, dlaczego ty miałbyś twierdzić inaczej?

– Ponieważ wiem...

– Nic nie możesz dla niej zrobić! Gdyby kradła w sklepach, wtedy owszem, to leżałoby w twojej gestii, ale tutaj...

– Camille, wiem, że nie podoba ci się moja profesja, ale – tak jak poprzednia – jest ona potrzebna. Zresztą tak już jest.

– I proszę, ty decydujesz, a my musimy się podporządkować! Zawsze to samo. To jednak nie tobie grożą w szkole, ponieważ twój ojciec znowu zamknął jakiegoś kretyna, który zwinął DVD należące do posiadającego miliony konsorcjum! To także nie ty znajdujesz w domu ohydne ciastka, gdyż twój ojciec nie jest w stanie zrobić zakupów, mając na uwadze własną córkę!

Jego wzrok ciemnieje. Trudno, jeśli oberwie mi się kazanie, nie żałuję, że wyrzuciłam z siebie to, co leżało mi na sercu.

– Camille, jeśli chodzi o ciastka, wystarczy, że poprosisz swoich kolegów, żeby kradli co innego, ponieważ żeby oszczędzić im kłopotów, płacę za nie i przynoszę do domu. Co zaś do tego albo tych, którzy ci grozili, wskaż mi ich, a zajmę się tą sprawą.

Mama otwiera drzwi:

– Co się z wami dzieje? Wasze krzyki słychać aż w piwnicy. Nie sądzicie, że mamy poważniejsze problemy? Oboje jesteście zestresowani. Wszyscy jesteśmy zestresowani, ale nie doprowadzajmy dodatkowo do przepychanek, kiedy powinniśmy trzymać się razem.

Ojciec wstaje i wychodzi z pokoju.

– Wiem, że to trudne, Camille – mówi mama z wyrzutem – ale nie tylko dla ciebie.

– On chce uniemożliwić Léi chodzenie do liceum! To jedyne, co poprawia jej nastrój.

– Ojciec próbuje znaleźć najlepsze dla niej rozwiązanie. Zawsze tak działał w stosunku do każdego z nas. Zawsze usiłuje robić co tylko może i jak najlepiej.

– Dlatego pewnie został mianowany szefem ochrony w centrum handlowym.

Mamę zalewa fala irytacji. Zdecydowanym gestem zatrzaskuje drzwi i staje przede mną.

– Posłuchaj, Camille! Skończmy raz na zawsze z tą sprawą. Po raz drugi w życiu złamię słowo dane twojemu ojcu i mam nadzieję, że to rozwiąże problem. Twój ojciec miał możliwość awansu, otrzymania doskonałej posady, która z pewnością by mu odpowiadała. Bylibyśmy jednak zmuszeni się przeprowadzić. Następnie musielibyśmy przeprowadzać się co dwa lata. Dla waszej równowagi oraz waszej i mojej wygody wolał odmówić i złożyć wypowiedzenie w pracy, którą uwielbiał, i podjąć się takiej, która chroni nasze życie rodzinne. Nie chciał, żebyśmy o tym dyskutowali, żebyście nie czuli się winni, ale ostatnio posuwasz się za daleko. Pozwól mi sobie powiedzieć, że nawet w tej żalostnej pracy, która tak cię zawstydzą, ojciec nie odstąpił od żadnej ze swoich zasad. A jeśli nie smakują ci ciastka, wiesz, gdzie są pieniądze, masz także nogi i działające serce. Możesz sama iść na zakupy.

Odwróciła się na pięcie i wyszła. Zostałam sama. Nie miałam nawet siły się rozplakać.

W południe mam się spotkać z panem Rossim na naszym cotygodniowym podsumowaniu. Odbywa się ono już po raz czwarty i muszę przyznać, że może go nie wyczekuję, ale cieszę się, że na nie idę. Spodobały mi się te spotkania. Na dodatek dziś zależy mi na oderwaniu się myślami. Marie i Antoine przyzwyczaili się już, że chodzę na nie sama. Za każdym razem jest ciekawie. Zajmujemy miejsca w jednym z niewielkich pomieszczeń przylegających do pokoju nauczycielskiego. To, co mamy do powiedzenia na temat zarządzania atmosferą panującą w klasie, jest często oczywiste. Całe podsumowanie mogłoby zająć raptem kilka minut. Uczniowie są przyzwyczajeni, że widują Léę tylko dwa razy w tygodniu, wpadli już w rytm. Ogólnie rzecz biorąc, nasze oceny się poprawiają, motywacja względem zbliżającego się egzaminu również jest coraz lepsza. Pomyślałam nawet, że moglibyśmy darować sobie te spotkania z panem Rossim, w gruncie rzeczy jednak nie chcę tego. Dlaczego? Zapewne dlatego, że po „bieżących sprawach” będziemy dyskutować także na inne tematy. W końcu w naszym wieku nie ma się do czynienia z wieloma dorosłymi, z którymi można porozmawiać bez ogródek, szczerze. Przy panu Rossim nie muszę udawać. On chyba mnie nie ocenia. Wymieniamy poglądy. Trochę jak na lekcji, ale tutaj mogę sama wybierać temat. Czasami to on sprowadza rozmowę na konkretny tor. Jestem zaskoczona, kiedy zadaje mi pytania. Przestałam używać słowa „szczerze”, kiedy jest ono nie na miejscu. Pan Rossi używa z kolei potocznych słów, które nie pasują do nauczyciela, ale do zwykłego człowieka już tak. Ostatnio, opowiadając o nowej fryzurze sekretarki – coś między łajnem rozdmuchanym przez silnik odrzutowca a termitierą – powiedział: „Poracha”. Może się to wydać dziwne, ale w miarę naszych spotkań dochodzę do wniosku, że gdybyśmy byli w tym samym wieku, z pewnością byśmy się zaprzyjaźnili. Podoba mi się jego sposób postrzegania życia. Nigdy nie waha się powiedzieć, co myśli, nie jest sztywniakiem.

Podczas naszego drugiego zebrania ośmieliłam się zadać mu pierwsze osobiste pytanie. Byliśmy w dobrych humorach, zadowoleni, że w klasie sytuacja się poprawia. Nie wiem, dlaczego właśnie to pytanie przyszło mi do głowy:

- Pamięta pan dzień, w którym po raz pierwszy spróbował pan kawy?
- Oczywiście. Byłem niewiele młodszy od ciebie i wydała mi się ohydna.
- Czyli nie jestem jedyna... Dlaczego więc pan ją pije?
- Dlaczego? Dobre pytanie...

Zastanawia się.

– Jeślibym powiedział, że ze względu na smak, skłamałbym. Jeśli powiem, że z powodu wpływu na zdrowie albo oddech, byłbym kretynem.

Nagle chyba właściwa odpowiedź przychodzi mu do głowy.

– Wiem, dlaczego piję kawę! Zapraszając koleżankę na kawę, miałem możliwość znaleźć się z nią sam na sam po raz pierwszy. Rok później poprosiłem ją o rękę. Przy kawie spotykam się z kolegami. Zmuszam się również do picia tego napoju o wątpliwych walorach smakowych, żeby mieć prawo do brania udziału w zgromadzeniach przy automacie do kawy –

ważnym miejscu spotkań towarzyskich naszej cywilizacji! Prawdę mówiąc, piję kawę, żeby przebywać w towarzystwie innych, żeby nie być sam.

– Czy trzeba pić to coś, żeby nie być samotnym?

– Na pewno istnieją inne sposoby. Skoro już o to pytasz... Dochodzę do wniosku, że kawa stanowi pewien kod, który tworzy i wzmacnia relacje międzyludzkie. Jest jedną z tych rzeczy, które nie mają zbyt dużego sensu same w sobie, mimo to nas do siebie zbliżają. A ciebie co zbliża do przyjaciół?

Myślę.

– Vanessa twierdzi, że zbliżają nas problemy i lęki. Czy można je uznać za kod?

– My, dorośli, sądzymy, że łączą was piosenki, gry albo moda. Zapewne uważamy was za bardziej powierzchownych, niż w rzeczywistości jesteście.

– Kiedy jednak był pan w naszym wieku...

– O niektórych rzeczach się zapomina, wiesz, i czasami jest to raczej korzystne.

– Lęki są jeszcze gorsze niż kawa, jeśli chodzi o zbliżanie się – żartuję.

– Wydaje mi się, że nie ma złych sposobów, żeby zbliżyć się do drugiego człowieka. Trzeba mieć jeszcze odwagę zwierzyć się z tego, czego się lękamy.

Spodobała mi się ta rozmowa. Życie wydaje się później mniej straszne, czujemy się mniej samotni.

Dzień w szkole bez Léi. Axel nie sprawia wrażenia, jak gdyby mu jej jakoś wyjątkowo brakowało. Nie ma ku temu powodu, skoro może się z nią spotykać po lekcjach. Czy zaprosił ją do siebie do domu na czas trwania dwóch odcinków *Przyjaciółek na całe życie*? Sprawdziłam w sieci – odpowiada to sześćdziesięciu minutom. Można zrobić mnóstwo rzeczy w czasie, który przypomina cyfrę diabła.

Przed lekcją matematyki Manon podeszła do mnie.

– Masz pomysł na najbliższą wizytę agenta nieruchomości? W tę sobotę mamy do czynienia z poważnym klientem. Może nawet z dwoma potencjalnymi nabywcami. Z tego co zrozumiałam, chcą dokonać szybkiego zakupu w okolicy ze względu na przeniesienie służbowe. Dzielnica im się podoba i słyszałam, jak ojciec mówił, że transakcja właściwie jest w kieszeni.

– Szczerze, nie miałam za bardzo czasu o tym pomyśleć. Rozważałam coś z baryłkami pełnymi substancji radioaktywnych, ale nie wiem, gdzie takie znaleźć.

– Błagam cię, nie zostawiaj mnie z tym samej!

– Obiecuję, że się zastanowię.

Przez dwie godziny pani Serben pomaga nam przygotowywać fiszki do powtórek materiału, myślami jestem jednak gdzie indziej. Za dużo wydarzeń, za dużo uczuć, lęków i niepokojów. Jeśli mój ojciec ma rację, stan Léi jest poważny.

Zaraz po lekcjach ruszam w stronę Axela.

– Zostajesz dziś w szkole na obiad?

– Mama jest z siostrą, chyba więc tak.

– Nie miałbyś nic przeciwko, żebyśmy zjedli razem?

– Dlaczego miałbym mieć coś przeciwko? Spotkajmy się tam gdzie zawsze.

– Tym razem chciałabym, żebyśmy byli tylko we dwoje.

Axel spogląda na mnie podejrzliwie. Taką minę muszą robić chłopcy, kiedy nas nie rozumieją. Jak miś panda przed automatem biletowym.

– Jak chcesz. Ty i ja w południe. Nie ma sprawy.

– Cieszę się! Dziękuję.

– Świetnie, że się cieszysz.

Zapewne używają tego zdania, kiedy nie mają pojęcia, czego się człowiek po nich spodziewa... Albo kiedy wiedzą aż nazbyt dobrze.

Jak co dzień Eva pilnuje młodszej siostry, która znów je obiad ze swoim buzującym od hormonów podrywaczem.

– Ta historia niszczy ci życie.

– Wolę, żeby mi niszczyła, niż żebym miała odzyskać moją Lolę z sercem w kawałkach i wielkim brzuchem.

– Przyniosłam ci coś, co może pomóc.

Eva unosi brew na widok przedmiotu przypominającego długopis.

– Léo, sam o tym nie wiedząc, podsunął mi tę myśl. Twierdzi, że żaden facet nie może usiedzieć spokojnie, kiedy widzi wycelowaną w siebie laserową wiązkę.

– Jak to działa?

– Celujesz, naciskasz tutaj i wtedy pojawia się świetlisty czerwony punkcik.

– Jak na filmach o mordercach?

– Właśnie, i dlatego faceci wymiękają. Są przekonani, że oberwą kulkę. A mówi się, że to dziewczyny mają wybujałą wyobraźnię. Spróbujmy od razu.

Dyskretnie namierzam cel, po czym wciskam przycisk. Po ramieniu Don Juana przesuwa się śliczny czerwony punkt. Chłopak gwałtownie podskakuje. Wyłączam światelko. On próbuje sprawdzić, skąd się to wzięło, ale nas nie zauważa. Rozgląda się wokoło, po czym znów skupia się na Loli. Powtarzam operację. Ta sama reakcja, tym razem jednak do zaskoczenia dołącza uczucie niepokoju. A więc za pierwszym razem nie był to przypadek. Został namierzony! Ma niezłego cykora. Nie przypomina już playboya w tańcu godowym, tylko zléknionego smarkacza.

– Genialna sprawa! – zaśmiewa się Eva. – Zepsuję mu życie!

– Uważaj, to należy do mojego brata. I nie celuj w oczy, może spalić siatkówkę.

Eva zabiera mi przedmiot z rąk z nieukrywaną przyjemnością i próbuje swoich sił. Celuje, naciska przycisk na chwilę i puszcza.

– Doskonale! Mam tę żabę na linii strzału!

Zadowolona, widząc Evę równie szczęśliwą, ruszam w stronę wejścia do stołówki i stawiam się punktualnie na spotkanie z Axelem.

Jest dokładnie dwunasta czterdzieści pięć, ale Axela nie ma. Czekam. Nie będę wam mówić, w jakim jestem stanie. To moje pierwsze *rendez-vous* i nawet nie przyszedł z własnego powodu. Wariatka! Przez chwilę myślę, że jeśli Léa wyjdzie cało z opresji, naprawdę będę królową naiwniaczek. Popchnę ich nawzajem w swoje ramiona, nie zostawiając sobie najmniejszej szansy. Takie myślenie jest okropne. Mam ochotę wymierzyć sobie policzek.

Axel pojawia się spóźniony cztery minuty. Zdążyłam już sobie wyobrazić, że nie żyje, że o mnie zapomniał, że Dorian porwał go z pomocą gburą, który mi kiedyś groził. Zdążyłam pomyśleć, że przestał się do mnie odzywać, ponieważ nie znosi, kiedy ktoś prosi go o wspólne zjedzenie posiłku we dwoje, że pojechał na porodówkę po dziecko, które spłodził z Léą w tajemnicy, i że żyje w związku z Louisem.

W chwili, w której go dostrzegam, wszystko to przestaje się liczyć. Idiotyczne rozważania natychmiast ulatują. Pomyśleć, cóż to za strata energii.

Kilka metrów za nim idą Léo i Louis, jego wierni porucznicy, starając się trzymać na odpowiednią odległość. Axel musiał im wyjaśnić, że chodzi o spotkanie *tête-à-tête*.

Stajemy w kolejce i rozmawiamy o najbardziej banalnych sprawach z możliwych. Nie chcę poruszać poważnego tematu, zanim nie usiądziemy twarzą w twarz. Dziwne uczucie. Znam Axela od dawna i nigdy nie miałam problemu z rozmawianiem z nim, ze zwierzaniem się mu. A tutaj nagle kręcę i peryfrazuję, mój umysł pracuje nad unikaniem dwuznacznych określeń. Dlaczego jest tak inaczej? Chodzi o stawkę? Ponieważ to, co chcę mu powiedzieć, dotyczy dwojga moich najlepszych przyjaciół? Dziwne. Rozmowa toczy się tak jak to w sprawach

sercowych – wszystko wydaje się bardziej dotkliwie i bardziej ryzykowne. Liczy się każde słowo. Każda cisza również. Każdy oddech. Każda intonacja. Każde spojrzenie. Najlżejsze drżenie i najdrobniejszy gest. Ręce mówią, ciało mówi, każda cząstka nas samych wtrąca się do rozmowy. Chciałabym, żeby wszystkie zamilkły, żeby musiała panować tylko nad słowami. Druga strona zachowuje się podobnie. Przypatrujemy się sobie, badamy siebie nawzajem. Zmysły są postawione w stan gotowości, jak gdyby nie istniał żaden ważniejszy temat. Mam trudności z zapanowaniem nad własnymi reakcjami, zachowuję się jak przygłup.

Kiedy wreszcie docieramy do lady, Axel wcale nie oferuje, że poniesie moją tacę. Dlaczego miałby to robić? W końcu dobrze się czuję. Przy przystawkach sięga po talerz z połówkami jajek w majonezie i potrząsa nim. Zachwycona, że wreszcie trafia się obojętny temat do rozmowy, pytam:

– Co robisz?

– Potrząsam jajkami, żeby sprawdzić, czy nie są zbyt miękkie.

Co on wygaduje? Gra słów. Przekaz. Axel jest chyba tak samo czerwony, jak ja jestem zakłopotana. Zupełnie zidiocieliśmy czy co? Czy nie będziemy już mogli nic sobie powiedzieć bez doszukiwania się niedomówień? Przy czarownicy wręczającej jabłka – choć zaproponował mi, żebym wzięła jedno dla siebie – nie wspominał nic o schrupaniu go.

Wreszcie zajmujemy miejsca. Léo i Louis siedzą cztery rzędy za nami, ale widzę wyraźnie, że tajny agent nas szpieguje. Na pewno się zastanawiają, dlaczego poprosiłam o to spotkanie przy obiedzie, i jestem pewna, że kiedy tylko skończymy, Axel pójdzie im wszystko opowiedzieć. Skupmy się jednak. Jaki jest cel mojej misji?

Biorę się w garść:

– Usiłowałam się wczoraj do ciebie dodzwonić, ale nie odebrałeś.

– Wyszedłem. Czego chciałaś?

– Och, nic takiego, poradziłam sobie. Miałam pytanie dotyczące zadania domowego. Jak się miewa twoja siostra?

– Jest w formie, dziękuję. Ty masz chyba brata.

– Tak, młodszego. Lucasa. Bardzo miły. Pod wieloma względami jesteście do siebie podobni.

Ależ ze mnie gapa! Młodemu mężczyźnie, którego mam przed sobą, na pewno nie spodoba się porównywanie go z dzieciakiem. Zaraz się spalę. Muszę zmienić temat w sposób, który nie będzie nasuwał podejrzeń.

– Jak oceniasz ostatnio Léę?

Właśnie to pytanie chciałam zadać, ale on mnie uprzedził.

– Jest zmęczona, ale szczęśliwa.

– Również tak uważam. – Axel się uśmiecha. – Szczególnie od kilku ostatnich dni.

Dlaczego mówi to z uśmiechem? Nie podoba mi się to. To znaczy, cieszę się, że między nimi dobrze się układa, wolałabym jednak, żeby nie skakali na siebie, zanim dam sygnał.

– Wydaje mi się, że jesteś jedynym chłopakiem, z którym Léa tyle rozmawia.

– Wy także jesteście ze sobą blisko.

Brawo za unik, ale ja mimo wszystko nie odpuszczę.

– Léa zasługuje na szczęście.

Axel nagle poważnieje.

– Myślisz, że zdąży?

– Nie czas się tutaj liczy. Ważne, jak go wykorzystujemy.

– Czyje to?

Nie rozumiem. On jednak nalega:

– Ten cytat, kto to powiedział?

– Nie wiem. Taka jest prawda. Jeszcze prawdziwsza w wypadku Léi. Ona nie ma czasu do stracenia. Wiem również, że bardzo jej na tobie zależy.

Axel wbija we mnie wzrok.

– Ona ci to powiedziała?

– Wielokrotnie.

Axel zabiera się za jedzenie, ale mam wrażenie, że chce przede wszystkim zyskać na czasie. Kiedy ma pełne usta i patrzy w talerz, może się zastanawiać. Przerwa w rozgrywce.

Nie daję mu wytchnienia:

– W jej sytuacji trzeba naprawdę mieć zaufanie do drugiej osoby, żeby mówić i robić to, na co się ma ochotę. A ona chyba właśnie to czuje w stosunku do ciebie.

– Serio?

– Trzeba wyciągnąć do niej rękę, gdyby nie mogła zdobyć się na odwagę.

Axel marszczy brwi i wraca do jedzenia. Przykłada się do tej czynności z takim namaszczeniem, że wygląda to podejrzanie. Gulasz wołowy jest tylko pretekstem.

– Każde z nas ma swoją rolę do odegrania u boku Léi – szepczę. – Twoje miejsce jest jeszcze ważniejsze.

– Możesz na mnie liczyć. Zrobię co w mojej mocy...

Nie powiedzieliśmy sobie poza tym już nic ważnego. On musiał iść się uczyć matematyki z Antoine'em, ja zaś miałam spotkać się z Marie w sprawie pomysłu na akcję w domu Manon. Kiedy rozstawaliśmy się w holu, Axel sprawiał wrażenie wzburzonego. Może udało mi się go przekonać, że powinien popracować nad głębszą, bardziej intymną relacją z Léą. Powiedział tylko: „Do zobaczenia później!” i odszedł.

Stałam i patrzyłam za nim. Miałam nadzieję, że się odwróci, że spojrzy na mnie choć raz. Liczyłam na ten znak. Nadawałam mu tyle możliwych znaczeń. Jeśli na mnie spojrzy, będzie to oznaczało, że lubi moje towarzystwo. Jeśli będzie mnie szukał wzrokiem, to znaczy, że uważa mnie za dobrą osobę i że będziemy się przyjaźnić do końca życia, cokolwiek się wydarzy. To już byłoby niemało. Mogłabym nadal się z nim widywać, rozmawiać z nim, mieć poczucie, że stanowi część mojego życia. Jestem przekonana, że kiedy dwie osoby się rozstają, ta, która odwróci się ostatnia, kocha bardziej. Nie spuściłam go z oczu. Nie odwrócił się ani razu.

Musiałam się niemal specjalnie umawiać, żeby zobaczyć się z Léą. Od pewnego czasu jej rozkład dnia przypomina kalendarz gwiazdy, a ja już się nim nie zajmuję... Diwa trzyma wszystkich na dystans dzięki swojej osobistej sekretarce.

W ciągu dnia, kiedy jesteśmy w szkole, Léa zasiada w swoim domowym ogrodzie zimowym i czyta książki, oczekując na popołudniowe wizyty. Z zebranych przeze mnie informacji wynika, że wychodzi niemal codziennie, ale nie w moim towarzystwie. Tymczasem spędza wiele godzin w swoim nowym buduarze. Duży fotel z salonu został przeniesiony do oranżerii. Na stoliku do kawy leżą książki wielkich filozofów, a także wspomnienia wybitnych kobiet, z licznymi zakładkami w każdej, i notatki.

Dziś rolety werandy były opuszczone do połowy, co miało chronić przed bezpośrednim działaniem promieni słonecznych. Ze swojego zacisznego miejsca, otoczona szybami eleganckiej konstrukcji, Léa widzi tylko zieleń ogrodu, kwitnące krzewy i ptaki, których nieustający balet ożywia drzewa i zarośla.

Mimo wyostrzonych rysów Léa wygląda dość dobrze. Obejmuje mnie, kiedy całuję ją w policzek.

– Wybacz, jestem wykończona – mówi. – Pielęgniarka dopiero co wyszła. Jej zdaniem wyniki są poprawne, nic poza tym. Wciąż szklanka jest do połowy pełna albo do połowy pusta... À propos szklanki, napijesz się czegoś?

– Nie, dziękuję.

Zajmuję miejsce w mniejszym fotelu stojącym tyłem do okna. Wykładam na stół kopie notatek z ostatnich lekcji. Léa dziękuje za nie odruchowo, nie zerknąwszy nawet na nie.

– Jak poszedł test z fizyki?

– Nie był oczywisty. Nikt nie triumfował.

– Axel mi mówił, że było duże zadanie na temat prądu.

– Za sześć punktów. Zobaczymy. Istnieje obawa, że jeśli zastosują się do mojego rozwiązania, laboratorium pójdzie z dymem...

Léa odrzuca głowę na oparcie fotela i zamyka oczy. Myślę o tym, co ojciec mówił mi na temat oszczędzania jej energii.

– Kontrolujesz swój puls?

– Średnio czterdzieści sześć w ciągu ostatnich czterech dni. Szалу nie ma.

– Masz unikać zmęczenia.

– Nic innego nie robię. Przechodzę z łóżka na fotel. Jak stara babcia. Zobacz, ile czytam dla zabicia czasu.

Wskazuje książki. Podnoszę jedną z nich, żeby zorientować się w zestawie lektur.

– Niewesołe. Dlaczego nie przeczytasz czegoś lżejszego?

– Nie mam ochoty. Potrzebuję prawd, nie bajek. Prawdę mówiąc, próbuję przyswajać sobie tematy podstawowe.

– Znajdujesz je w tych książkach?

– Każdy z tych autorów myślał nad życiem, nad światem, nad naszą kondycją, nad możliwościami. Niektórzy z nich to tylko prowokatorzy, inni słuchają własnych myśli. Część myślała tylko o Bogu, co zresztą ich nie ocaliło. Garstka spośród nich była wizjonerami, ale ich słowa zostały w końcu zagłuszone przez historię. Większość zadaje sobie pytania, na które nie sędzę, żeby kiedykolwiek udało się znaleźć odpowiedzi.

– Dlaczego więc tracisz czas na czytanie ich książek?

– Ponieważ odkryłam wśród nich pewną kategorię, która jest fascynująca. Na mój gust największymi myślicielami są ci, którzy przeżyli poważny wstrząs, zostali zmuszeni do zastanowienia się nad sobą i zaczęli rozmyślać. *Próby* Montaigne'a nabierają niezwyklej mocy, jeśli się wie, jak bardzo tęsknił za La Boétiem. Niektórzy byli przekonani o swojej zgubie i dlatego pisali to, co naprawdę myśleli. Ci są niesamowici. Skazani na śmierć, kryminaliści i monarchowie, chorzy, ocaleni – ludzie, których życie zostało złamane. Oni pozostawiają świadectwa o niezrównanej sile. Nie mówią już o Bogu, mówią o życiu. Nie mają nic do stracenia, nie kłamią, mogą sobie pozwolić na luksus prawdy. Musisz przeczytać ostatni list Marii Stuart, napisany tuż przed egzekucją. Zostawiają kilka stron lub całe rozdziały dla swoich dzieci i małżonków. Nieubarwiona spuścizna życia, bezkompromisowe spojrzenie na doświadczenie, które im już nie będzie służyć, ale które mimo to próbują przekazać dalej. Może na tym polega nasza szlachetność: na próbie bycia przydatnym, nawet jeśli sami nie będziemy z tego czerpać żadnych korzyści.

Jej dłoń muska książki, jak gdyby głaskała skarb.

– Czytając je, patrzę na życie pod innym kątem. Rozumiem rodziców, brata, moje szanse, to, ile dla mnie znaczysz, i to, co mnie spotkało.

– Rozumiesz jak prawdziwy mędrzec, Léo, ale nie jesteś jeszcze u kresu życia. Wyjdiesz z tego. Nie możesz się poddawać.

– Nie ja o tym decyduję. Czuję to. Jeśli mi się uda, przynajmniej będę wiedziała, że nie można marnować czasu, że trzeba patrzeć rzeczywistości w oczy i w centrum uwagi mieć zawsze to, co czyni nas ludźmi. Nie będę już brała na poważnie wszystkich tych błahostek, którymi się nas karmi. Nie ma mowy, żebym kiedykolwiek pomyliła się w kwestii tego, co się naprawdę liczy. Dochodzę do wniosku, że ta choroba jest dla mnie szansą. Pozwala mi myśleć i czuć, jak nigdy do tej pory tego nie robiłam. Jeśli umrę, przynajmniej przeżyję w ciągu kilku miesięcy więcej, niż kiedykolwiek byłoby mi to dane.

Uśmiecham się do niej. Jest o wiele silniejsza i ma głębsze przemyślenia niż ja.

– Nauczysz mnie?

– Czego mam cię nauczyć?

– Tych prawd, które znajdujesz na kartach książek i w życiu.

– One już są w tobie, Camille! W przeciwnym razie nie byłobyśmy sobie tak bliskie.

Léa prostuje się z wysiłkiem i nachyla ku mnie:

– Muszę ci powiedzieć o czymś, co ma dla mnie ogromne znaczenie i co właśnie przeżywam. Jestem zakochana, Camille. Tylko tobie mogę o tym powiedzieć. To uczucie mnie zmienia.

Jej słowa na temat tego, co się w życiu liczy, otworzyły drogę prosto do mojego serca, na koniec zaś podłożyły w nim bombę. Léa ciągnie dalej:

– Nigdy wcześniej tego nie czułam. On jest cudowny i wiem, że ty również go cenisz.

Bomba została odbezpieczona. Nie dam rady wysłuchać dalszego ciągu. Nie mogę. Chciałam, żeby to się wydarzyło, i lubię myśleć, że sama podjęłam decyzję, ale nie mam siły pogodzić się z jej skutkami.

– Léo, proszę! Nic mi nie mów – przerywam jej.

– Nie chcesz wiedzieć? Myślałam, że dzielimy się wszystkim...

Wpadam jej w słowo, ale nie mogę ryzykować, że usłyszę coś więcej.

– Widzę, że jesteś szczęśliwa, i to mi wystarcza. Z całego serca życzę ci szczęścia, na zawsze. Jesteś moją przyjaciółką...

Wytrąciłam ją z toku zwierzeń. Odmawiam przyjęcia sekretu i cudownego prezentu, jaki chciała mi podarować, ale nie mam wyboru.

Chciałabym zmienić temat. Przysięgam, że dałabym cokolwiek, aby mieć tę moc. Wiem jednak, że to niemożliwe. Nie dziś, nie teraz. Wstaję i całuję ją w czoło, obejmując jej głowę rękami.

Wyszłam, nie żegnając się nawet z Élodie. Kiedy tylko zamknęła się za mną furka, do oczu napłynęły mi łzy. Płaczę, stojąc na ulicy. Mam ku temu tyle powodów ile liter w alfabecie.

Jest mi bardzo źle i czuję się osaczona. Jeśli wyjaśnię Léi, dlaczego nie mam ochoty wysłuchiwać historii o niej i Axelu, w najlepszym wypadku zasmuci się i jej szczęście zostanie przyćmione. Tego bym nie chciała. W najgorszym razie – oddalimy się od siebie. Tego zaś jeszcze bardziej bym sobie nie życzyła.

Odkąd wróciłam do domu, nie potrafię myśleć o niczym innym. Po kolacji wysłałam jej esemesa, którego układałam przez kilka godzin. Bardzo źle mi z myślą, że muszę okłamywać Léę, ale nie widzę innego rozwiązania.

Przepraszam za moją reakcję, ale przeżywam właśnie pewną historię i sprawy nie najlepiej się układają :(((To dlatego nic Ci nie mówiłam.

Czekałam na jej odpowiedź minuta po minucie, sekunda po sekundzie, interpretując każdy odgłos jako sygnał mojego telefonu. Nawet mruczenie Kłaczka kazało mi się rzucić ku aparatowi.

Nie jestem w stanie robić nic poza czekaniem. Matematyka musi poczekać, na ekonomii będę improwizować. Mechanicznym ruchem drapię po szyi kota.

Znając moją zdolność do nakręcania się, wkrótce zaczęłam sobie wyobrażać, czym byłoby moje życie, gdybym została pozbawiona wszystkiego, co dzielę z Léą. Jak wyglądałaby moja egzystencja? Pierwsza odpowiedź, jaka się narzuca, brzmi: „Byłaby znacznie brzydsza”. Léa jest częścią niemal wszystkich moich najpiękniejszych wspomnień. Odcięcie się od niej rzuciłoby ciemną zasłonę na najświętszą część mojego życia. To straszne, ale uświadamiam sobie, że jakaś częśćka mnie samej należy do Léi. Pan Rossi powiedziałby, że Léa jest akcjonariuszką mojej osoby! Nagle postrzegam się inaczej. Jestem Anonimowym Przedsiębiorstwem, w którym moi bliscy mają udziały. Anonimowa – to do mnie pasuje. Chciałabym mieć jeszcze Ograniczoną Odpowiedzialność! Rodzice również są akcjonariuszami, wszyscy przyjaciele dzielą się moją nędzną wartością. Ciocia Margot również ma kilka akcji i – o zgrozo! – właśnie sobie uświadomiłam, że w radzie administracyjnej zasiada szaleniec w osobie Lucasa! Jeśli dodam do tego kociaka, nie mam szans wejść na giełdę. Chciałabym, żeby ktoś taki jak Axel zgłosił Oficjalną Ofertę Kupna.

Fakt należenia do tych, których się kocha, nie przeraża mnie. Ani trochę. To jednak, że jeden z moich akcjonariuszy, nawet mniejszościowy, mógłby opuścić radę administracyjną, napawa mnie lękiem. Nie chcę skończyć w rękach jakiegoś funduszu emerytalnego, który rozszarpie mnie na kawałki. Które przedsiębiorstwo może poprawnie funkcjonować w sytuacji konfliktu z zarządem?

Dwie godziny i siedemnaście minut później Léa przysłała wiadomość zwrotną:

*Nie ma sprawy. Opowiemy sobie o wszystkim, kiedy będziesz chciała. Powodzenia. Cmok!
PS Kim jest Twój facet? Niedobra konspiratorko! :)*

Jej odpowiedź wydaje mi się nieco za swobodna w stosunku do mojego odczucia na temat całego zajścia. Może za bardzo się niepokoję, nadaję rzeczom zbyt duże znaczenie. Tym lepiej, jeśli ona tak to odbiera. Całe szczęście, że odpisała, w przeciwnym razie nie byłabym

w stanie zasnąć. Kilka jej słów zdjęło ze mnie olbrzymi ciężar. Czuję ulgę w klatce piersiowej. Już jednak zaciska się na niej inna obręcz – mój problem wcale się nie rozwiązał. Co ja jej powiem, kiedy już skończę zyskiwać na czasie moim tanim kłamstwem? Ciocia Margot mówi, że kłamanie przypomina wznoszenie muru wokół siebie. Im jest on wyższy i grubszy, tym trudniej wydostać się zza niego, nie odnosząc ran. Gratulacje, Camille, położyłaś właśnie pierwszy kamień pod swoją celę.

Rozmawiałam z panem Rossim o płytach winylowych, o imprezach w jego czasach i o tym, czego zabraniali mu rodzice, na co zaś mu pozwalali. Zabawnie było porównywać. On mówi, że z zaskoczeniem stwierdza, że w gruncie rzeczy niewiele się zmieniło. Mimo ewolucji rytmów i sprzętu, jakie dana epoka przekazuje nam do dyspozycji, zachowujemy się podobnie. To daje do myślenia.

Z drugiej strony ucieszyłam się na wieść, że podziela nasze zdanie na temat dzieł panny Mauretta i uważa, że są ohydne. Pośmialiśmy się. Biednej kobiecie musiały płonąć uszy. W pewnym momencie przyszła mi ochota, żeby mu opowiedzieć o wesołym włamaniu do jej domu, ale w porę zrezygnowałam. Pan Rossi jest sympatyczny, pozostaje jednak nauczycielem – dorosłym.

Nasza rozmowa może teraz zejść na nieco trudniejszy temat, ponieważ właśnie odkryłam coś, co mnie gryzie. Wahałam się do ostatniej chwili, czy mu o tym powiedzieć, ale chcę mieć czyste sumienie.

– Panie Rossi, czy mogę zadać panu pytanie? Chodzi o pana zajęcia.

– Nie chcesz poruszyć tej kwestii w klasie?

– Wolałabym najpierw omówić to między nami, ponieważ mam wrażenie, że coś jest nie tak...

Wydaje się zdziwiony.

– Powiedz zatem.

– Pamięta pan Akshana Palany'ego, indyjskiego ekonomistę, o którym opowiadał nam pan w zeszłym półroczu?

– Oczywiście.

– Jego teoria na temat misji każdego z nas zmieniła mój sposób postrzegania różnych spraw i wiem, że nie jestem jedyną osobą w tej sytuacji.

– Tym lepiej, ponieważ jego prace są naprawdę pasjonujące.

– Właśnie. Chciałam się dowiedzieć czegoś więcej na jego temat i zaczęłam szukać. Ku mojemu zaskoczeniu niczego nie znalazłam. Jeśli dobrze rozejrzeć się w sieci, trafimy tylko na muzyka grającego na cytrze, który nosi to samo nazwisko. Nic poza tym. Jakim sposobem ekspert i twórca tak świetnej teorii, którego prace – sam pan to powiedział – budzą zainteresowanie coraz szerszego grona osób, nie został nigdzie opisany? Nie sposób znaleźć choćby jednego odniesienia do którejś z jego książek, żadnego artykułu, nic.

Pan Rossi pociera dłonie i chucha na nie.

– Nie wiem, czy zauważyłaś, ale każdą lekcję kończę tym samym zdaniem...

– „Jeśli macie pytania, jestem do dyspozycji”.

– Nauczam od dwudziestu lat, Camille. To odpowiada ponad stu sześćdziesięciu klasom takim jak twoja. Blisko pięciu tysiącom uczniów. Możesz mi wierzyć albo nie, ale nikt nigdy nie podszedł zadać mi choćby jednego pytania. Ani razu. Można się zniechęcić do własnej profesji. Czy wynika to z braku zainteresowania tematem? Z lęku przed nauczycielem?

Z odrzucenia dorosłego? Nie mam pojęcia. Mimo to mam wam wiele do przekazania. Studiowałem przez siedem lat i poświęcam mnóstwo czasu na słuchanie i czytanie, żeby być na bieżąco z tym, co dotyczy mojej dyscypliny.

– Przepraszam, ale jaki ma to związek z Akshanem Palanym?

– Zaraz do niego dojdę, pozwól mi skończyć, proszę. Uczyłem już od ponad roku, kiedy uświadomiłem sobie pewną ważną rzecz: ludzie uważniej słuchają, kiedy przemawia do nich znana osoba. Można mówić o konieczności ograniczenia produkcji odpadków, żeby chronić naszą planetę, ale każdy i tak zostaje przy swoich zwyczajach, nie licząc osób, które już wcześniej były do tego przekonane. Jeśli jednak powie to aktorka albo sportowiec, ludzie zaczynają się zmieniać. Większość z nich nie robi czegoś „ponieważ”, ale „podobnie jak”. Ludzie nie słuchają idei. Słuchają za to osób, w których się rozpoznają albo z którymi czują więź. Zapewne dlatego, że jesteśmy uczuciowymi stworzeniami, chętniej podążamy za ludźmi niż za ideami. Specjaliści od reklamy dobrze to zrozumieli, mówi się przecież o liderach opinii...

– Nie prosiłam pana o wykład...

– Nie uczę cię teraz, Camille! Próbuję ci coś przekazać. Dochodzę do odpowiedzi, na którą czekasz. Chciałem, żebyście mnie słuchali, chciałem was przekonać, dlatego szukałem wśród znanych ekspertów kogoś, kto podzielałby moje przekonania. Żaden nie wyraził syntezy, jakiej potrzebowałem, nie mogłem również włożyć ważnych teorii ekonomicznych w usta piłkarza albo aktora... Stworzyłem więc swoistego idealnego ekonomistę, którego teorię dopieszczam z roku na rok. Zapożyczyłem nazwisko od Akshana Palany'ego, który istotnie gra na cytrze. Doskonale zresztą.

Czuję się załamana. Oszukana, wystrychnięta na dudka.

– Jesteś rozczarowana? Pogodzę się z myślą, że masz mi to za złe. Sama jednak powiedziałaś, że teoria Akshana Palany'ego zmienia twój sposób postrzegania różnych rzeczy, prawda?

– To prawda, ale...

– Czy zwróciłibyście aż taką uwagę na te słowa, ty i twoi koledzy, gdybym przyznał, że chodzi o moje przemyślenia? Czy usłyszeliście mnie, gdybym się wam zwierzył, że to ja, maluczki nauczyciel ekonomii, miałem tę wizję? Moje doświadczenie dowodzi, że nie. Skłamałem, żeby być skuteczny. Zrobiłbym to ponownie, ponieważ przyznałaś, że teorie Akshana Palany'ego skłoniły cię do przemyśleń. Marzę, aby ludzie mogli wreszcie usłyszeć i ocenić te myśli, ale większość potrzebuje poręczyciela w postaci osoby wiarygodnej, żeby w ogóle ich wysłuchać.

W mojej głowie się gotuje. Myślę o wnioskach, do jakich doszłam na temat cytatów, którymi zarzuca się nas z każdej strony. To, co powiedział pan Rossi, zmierza w tym samym kierunku. Ma rację. To straszne, ale ma rację. Często słowa są brane mniej poważnie niż nazwisko, które je wypowiedziało.

– Jesteś pierwszą osobą, która zadaje mi pytania, Camille. I mam nadzieję, że moja szczerą odpowiedź pomoże ci przewyciężyć rozczarowanie. Tym razem to ja jestem złodziejem, ty zaś jesteś policjantką.

Spoglądam mu prosto w oczy. Już się go nie boję. Rozumiem go. Z wyjątkiem jednej rzeczy.

– Dłaczego pan to robi, panie Rossi?

– Dlaczego wymyśliłem eksperta?

– Nie. Dlaczego podejmuje pan tak duże ryzyko? W jakim celu wymyślił pan Akshana Palany'ego? Dlaczego odwiedza pan Léę? Dlaczego pomaga pan naszej klasie kosztem swojego prywatnego życia? Dlaczego daje pan z siebie tyle uczniom, którzy nigdy się panu nie odwdzięczą?

Tym razem nie skąpiliśmy środków. To z pewnością nasza najpiękniejsza akcja. Istna superprodukcja. Skoro potencjalni kupcy są zachwyceni położeniem dzielnicy, trzeba będzie obrzydzić im panującą tutaj atmosferę. Zaczynamy już na skrzyżowaniu, gdzie odziany w łachmany Tibor żebrze otoczony psami, których nie szczotkował od trzech dni. Posmarowaliśmy mu twarz sadzą. Siedzi rozczochrany u stóp drzewa na rogu ulicy, z walkietalkie ukrytym w rękawie brudnego, za dużego i podartego płaszcza. Ulica Manon jest jednokierunkowa, Tibor pierwszy więc zauważy nadjeżdżające samochody i nas powiadomi. Léo mówi, że Tibor jest naszą wysuniętą placówką. Początkowo, obdarzony nadmierną i nieco odjechaną wyobraźnią, Tibor zaplanował, że zmagazynuje w ustach makaron i uda, że wymiotuje w chwili, kiedy kupujący będą obok niego przejeżdżać, ale poprosiliśmy go o zaniechanie tego planu.

Kawałek dalej ustawiliśmy Antoine'a i Louisa, ubranych jak najgorsza hołota, w czapkach z daszkiem przekreślonym do tyłu i workowatych spodniach typu *baggy* odsłaniających pośladki. Wyćwiczyli się nawet w gestykulowaniu podczas mówienia. Bez głosu ich spektakl również jest wymowny. Antoine zawiesił sobie na szyi ważące tony złote łańcuchy. Wygląda jak raper. Dzięki tym przekąskom nasi przeciwnicy, kiedy dotrą pod dom, będą zapewne mieć już osobliwe zdanie na temat naszej dzielnicy i zepsuty apetyt. Opony i rozprute worki ze śmieciami na trawniku rodziców Manon na pewno nie poprawią sytuacji. Gwoździem programu jest sam dom. Na lampę nad wejściem nałożyliśmy śliczną czerwoną osłonkę. Wewnątrz Madame Manon czeka na klientów... Eva, Pauline i ja jesteśmy gotowe ich podjąć pod czujnym spojrzeniem naszego słynnego – nie mniej czarującego – sutenera Léo. Scenariusz jest mojego autorstwa. Długo pracowałyśmy nad kostiumami. Jeśli chodzi o makijaż w stylu „zdzira”, przekroczyłyśmy granice tego, co kiedykolwiek zrealizowano na Ziemi. Przypominamy zestaw próbek sklepu z farbami albo ostatnią rozpaczliwą próbę stymulacji daltonistów. W kwestii stroju można by pomyśleć, że to wielki wieczór. W koronkowym gorsecie uwydatniającym piersi i wcięcie w talii Eva przypomina dziewczynę z saloonu. Naprawdę niezłe ciało. Pauline ma na sobie czerwoną jedwabną suknię z rozcięciem z boku, której odcięła jedno ramięczko. Zastanawiamy się wszystkie, skąd coś takiego wytrzasnęła i jak udaje jej się utrzymać to na ciele bez użycia gwoździ tapicerskich. Manon ma na sobie seksowne bikini i pareo. Ja założyłam marszczoną minispódniczkę w stylu *pom-pom girl* i krótki, odsłaniający pępek top, który podkreśla moje kształty. Na pewno nikt nie będzie patrzył na rozmiar mojej koszulki...

Léo ubrał się w koszulkę na ramięczkach, eksponując mięśnie i dwudniowy zarost, z kącika ust zwisa mu niedopałek cygara.

Podczas przymiarek płakaliśmy ze śmiechu. Bawiliśmy się jak dzieci wybierające się na bal kostiumowy, z tą różnicą, że żaden maluch nie idzie na zabawę ubrany jak my. Rodzice padliby na nasz widok!

Manon ćwiczy dla żartu akcent burdelmamy i klaszcze w dłonie:

– Panienci, nie śmiejemy się! Skupmy się na własnej postaci!
– Spokojnie, moje kurczątko – żartuje Léo. – Jest tutaj tylko jeden szef i jestem nim ja.
– Jak będziesz się awanturował, wezwę kolegów rastamanów i kloszarda, a wtedy ty i twoja śliczna buźka popływacie sobie w rzece pod mostem...

Niewiele brakuje, żebyśmy zapomnieli, po co tu jesteśmy. Najbardziej zaskakujące jest to, że Eva nie kazała się długo prosić, żeby się tak ubrać. Podejrzewam nawet, że czekała na taką okazję od dawna.

Léo muska mnie delikatnie:

– Wiesz, że jesteś śliczniutka?

– Nie całuję się z palaczami...

Walkie-talkie leżące na komodzie zaczyna trzeszczeć.

– Samochód się zbliża, samochód się zbliża!

Po czym daje się słyszeć odrażający odgłos. Léo łapie za odbiornik:

– Tibor, mówiliśmy ci, żebyś nie wymiotował!

Odgłos się powtarza i kloszard z na wpół pełnymi ustami odpowiada:

– Fałszywy alarm. Pojazd zaparkował przed innym domem. Tak, piesku, wyliż mi twarz...

Pauline ćwiczy przed lustrem chodzenie na obcasach.

– Rzadko zakładam tak wysokie – wyjaśnia. – Widzieliście, jaką pupę mi to rysuje? Nie powinnam się rozłożyć przed naszymi gośćmi, to by wyglądało niepoważnie.

Manon próbuje zaprowadzić choćby pozory porządku.

– Wszyscy zrozumieli? Kiedy się pojawią, traktujemy ich jak klientów. Léo, ty trzymasz się na uboczu, ręce trzymasz na biodrach. Eva, ty staniesz na górze schodów i nie będziesz się odzywać. Twoje nogi będą mówiły za ciebie. Pauline i Camille, wy stoicie obok mnie i zachowujecie się superuwodzicielsko.

Superuwodzicielsko. To cała ja. Nowy gatunek superbohaterki zwalczającej przestępczość stringami. To niewiele głępsze niż facet przebrany za nietoperza... Miasto mogłoby spać spokojnie, gdyby Superuwodzicielka czuwała, marznąc, na szczycie budynku. Żeby ją wezwać, wystarczyłoby wybrać 95C na dowolnym telefonie...

Léo wyciąga aparat fotograficzny. Pozujemy w grupie i pojedynczo. Léo robi także zdjęcie sobie w lustrze, w otoczeniu nas wszystkich. Wyglądamy jak prawdziwe dziwki, ale on twierdzi, że jesteśmy seksowne.

– Zrobię jeszcze zdjęcia chłopakom! – rzuca, wychodząc.

– Pospiesz się – denerwuje się Manon. – Już prawie ta godzina!

Kiedy przechodzi obok mnie, szepczę do niej:

– Wyluzuj, wszystko będzie dobrze.

– Wolę nie myśleć o tym, co właśnie robimy. Mniej bym się bała, gdyby mój brat mógł tutaj być. Wszystko razem to jakieś wariactwo, w każdym razie pomysł świetny. Zdziwiłabym się, gdyby kupili...

– Nigdy nie wiadomo. Może chcą mieszkać w niechlujnym burdelu w kiepskiej dzielnicy.

– Dziękuję, Camille. Dziękuję za twoje pomysły. I nie wiem, gdzie wyszperałaś tę koszulkę, ale wyglądasz w niej bombowo.

– Zwędziłam ją młodszemu bratu. Na nim inaczej wygląda...

Wybuchamy śmiechem. Wystarczyła jedna okazja do wcielenia się w rolę prostytutki,

a odkryłam swoją prawdziwą naturę. Czyż życie nie jest piękne?

Léo wraca biegiem:

– Antoine i Louis zachowują się naprawdę niewiarygodnie. Twoi goście nie powinni już zwlekać, ponieważ sąsiedzi zaczynają im się przyglądać. Wiecie, co robi ten wariat Tibor? „Doładowuje” sobie usta – używam jego własnego określenia – garścią makaronu z sosem z reklamówki. Nie wiem, co tam wsadził, ale wygląda to po prostu odrażająco. Na dodatek dzieli się tym z psem.

Walkie-talkie znów trzeszczy:

– Zbliżają się dwa pojazdy, powtarzam, zbliżają się dwa pojazdy! Logo agencji nieruchomości rozpoznane. To oni, czerwony alarm!

Odgłos wymiotującego Tibora przerywa zdanie. Odgłos ten, wyemitowany przez słaby odbiornik i pozbawiony obrazu, sprawia, że robi mi się niedobrze.

– Wszyscy na miejsca! – panikuje Manon. – Eva, biegnij na górę i eksponuj nogi.

– Nie ma sprawy.

– Léo, stań przy kredensie. Nie, proszę, odstaw butelkę aperitif, tego nie ma w scenariuszu.

– Będzie wyglądało prawdziwiej.

I oto na dodatek łyka sobie z gwinta.

– Dzięki temu, kiedy się do nich zbliżę, będę śmierdział alkoholem na trzy metry, mogę się również zataczać.

Ja i Pauline stajemy po obu stronach Manon, która jest w pogotowiu przy drzwiach. Przez zasłony rzeczywiście dostrzegamy dwa samochody parkujące przed domem. Trzaskanie drzwi, zbliżające się sylwetki. Cel w polu widzenia. Manon jest bliska omdlenia. Kiedy tylko klienci postawią nogę na stopniach, będą mieli prawo do wielkiego show!

Wszyscy wstrzymują oddech. Słyszą głosy, później kroki. Manon otwiera szeroko drzwi i zaczyna:

– *Welcome!* Witajcie w pałacu rozkoszy! Nasze hostessy...

Przerywa gwałtownie.

– Manon? – pyta kobieta w dresie.

– Tato? Mamo? Co wy tutaj robicie?

Razem z Pauline już się nie uśmiechamy, ale wciąż jesteśmy ubrane jak dziwki. Ogarnia nas coś więcej niż wstyd. Na tym poziomie należałoby wymyślić inne słowo i skorygować wszelkie standardy. Wiele dałabym za to, żeby znaleźć się teraz na miejscu Evy, na szczycie schodów. Gdybym była nią, uciekłabym do szafy, którą znamy już całkiem dobrze.

Mężczyzna w stroju do gry w golfa, który musi być ojcem Manon, szerokim gestem wskazuje na trawnik i pyta:

– Co to ma być? Te opony, te śmieci?

Na parapecie zauważa strzykawkę, którą położył tam Léo, „żeby było bardziej realistycznie”.

Matka robi krok w głąb przedpokoju. Staje jak wryta na widok Léo, z butelką w dłoni i rozpiętym do połowy rozporkiem. Cóż za dbałość o szczegóły, Léo...

– Manon, czy możesz nam wyjaśnić? – pyta, odrywając każdą sylabę.

Nie znam matki Manon, ale jestem pewna, że na co dzień nie mówi w ten sposób. W przeciwnym razie nie mogłaby jej śpiewać kołysanki, nie byłaby w stanie przeczytać bajki

o króliczku, a ludzie na ulicy uciekaliby na sam dźwięk jej „dzień dobry”. Teraz jednak mama Manon mówi jak idiota.

Towarzyszący jej goście są bardzo zakłopotani. Usiłują się nie rozglądać, ale to niczego nie zmienia. Kobieta chyba właśnie zauważyła prezerwatywy starannie rozwieszane na rododendronach...

– Wyjdźcie z naszego domu. Natychmiast! – złości się ojciec.

W takich sytuacjach zdajemy sobie sprawę, że chociaż uważamy się za dorosłych, wciąż jesteśmy dziećmi. Wykonujemy posłusznie polecenie, z obawy, że nam się oberwie. Ojciec Manon wrywa butelkę z rąk Léo.

Stajemy pośrodku trawnika. Antoine i Louis zauważyli, że sprawy nie potoczyły się zgodnie z planem. Podchodzą do nas.

Niczym dzikie zwierzę, mama Manon krąży wokół naszej grupki. Na pewno rozszarpie jedno z nas na kawałki. Właśnie decyduje które. W końcu zatrzymuje się przed własną córką:

– Co ci strzeliło do głowy? Tak się zabawiasz? Używasz domu do robienia tych... odrażających rzeczy?

– To nie tak, mamo.

– Więc jak?

Mam wrażenie, że dzikie zwierzę zaraz wybuchnie płaczem. Odwraca się do Léo:

– A ten skąd się tutaj wziął? Chociaż właściwie mam to gdzieś. Jeśli jednak się okaże, że zrobił pan z mojej córki narkomankę, zabiję pana!

– Mamo, to jest Léo – wtrąca się Manon. – Chłopak, który złamał sobie rękę na moich urodzinach w drugiej klasie i którego odwoziłaś ze mną na lotnisko, kiedy leciałam do Anglii w zeszłym roku.

Matka cofa się przerażona.

– Mój Boże! Co za upadek! Pana rodzice muszą być załamani. Na dodatek śmierdzi od pana starą gorzałą...

– To nie jest stara gorzała – poprawia ojciec – tylko moja trzydziestoletnia whisky.

Tym razem w matce coś pęka i wybuchają płaczem, mamrocze coś w stylu „moja mała córeczka już nie istnieje” i miętosi dres.

Ojciec przechodzi do ataku:

– Od jak dawna trwa ta wasza zabawa?

– Odkąd chcecie sprzedać dom.

– Co ty wygadujesz? Za chwilę się okaże, że to nasza wina!

Znam dobrze Manon i widzę, że podkręca atmosferę. Jej ojciec również.

– Zapewniamy ci najlepsze wykształcenie, dajemy ci wolność, a ty co z nią robisz?

Manon wydaje z siebie okrzyk. Powinnam raczej powiedzieć wrzask. Jeśli jacyś sąsiedzi nie zdali sobie jeszcze sprawy z tego, co się tutaj dzieje, teraz już na pewno zostali powiadomieni.

– Zgłupieiliście czy co?! – wybuchają. – Naprawdę uważacie, że się puszczam z koleżankami? Naprawdę myślicie, że wasze stroje są mniej wulgarne od naszych?

Ojciec spogląda na swoje śliczne spodnie w stylu lat trzydziestych, matka zaś zerka na fioletową bluzę.

Manon poszła na całość, obawiam się najgorszego.

– Nie chcę, żebyście sprzedawali ten dom. Nie chcę, żebyście się rozwodzili! Nie chcę, żeby ci durnie go kupili! – dodaje, wskazując gości. – Nie wiecie nawet, dlaczego chcecie się rozwieść! Nie tylko wy macie jakieś zdanie na nasz temat! Ja też mam swoją opinię o was! Wciąż traktujecie nas jak dzieci, ale my już dorośliśmy. Gdybym widziała, że jesteście razem nieszczęśliwi albo gdybyście się bili, zrozumiałabym, ale nie ma nic, co by usprawiedliwiało wasze zachowanie, oprócz niedojrzałości! Takich ludzi jak wy jest pełno na szkolnym podwórku. Jediną różnicę stanowi karta kredytowa i zmarszczki! Kłóćcie się o programy telewizyjne, ty chcesz jeść mięso, a ty napychasz się warzywami. A potem się mówi, że to nasza wina! Dzieciaki! To wcale nie tej drugiej osoby już nie kochacie, tylko siebie samych i swojego nędznego życia. Zmieńcie się więc i nie przewracajcie do góry nogami naszego życia. Co z wami będzie? Ty z twoją dobrą pensją i „szlachetnymi winami” będziesz podrywał młode panienki? Jak długo to potrwa? Zastanawiałeś się nad tym? Będę musiała znosić twoje podboje, kiedy będziemy się widywać? A ty wróciłaś do sportu, żeby podrywać takich chłopaków jak Léo? Naprawdę postradaliście rozum. Dlatego że wasze życie ogranicza się do mistrzostw Europy i wyprzedaży, chcecie się go pozbyć. Zróbcie coś! Żeby odwieść was od tych głupot, obcięłam nawet włosy, ale uspokoiście się tylko na dwa dni. Dziś więc z tymi, którzy pomagają mi wytrwać, jestem zmuszona odgrywać takie sceny, żeby odwieść was od popełnienia głupoty! A moi koledzy opiekują się mną lepiej niż wy!

Ostatnie słowa wyrzuciła z siebie jak korek z butelki. Zrzuciła wszystko, co jej leżało na sercu. Teraz ona jest dziką bestią. Przynajmniej nas nie pożre, ponieważ jesteśmy po jej stronie.

– Czy twój brat wie? – pyta ojciec.

Manon wskazuje piękny klon rosnący w rogu ogrodu.

– Miał tu udawać ćpuna. Okazało się jednak, że ma akurat poprawę sprawdzianu.

Manon zaczyna płakać. Mam ochotę ją przytulić i tym razem nie pozwolę nikomu się uprzedzić. Wiadomą rzeczą jest, że ladacznice pocieszają się nawzajem.

Léo zapina rozporek. Ojciec odwraca się do kupców i oświadcza:

– Bardzo mi przykro. Nasz dom nie jest już na sprzedaż. Prosiłbym, żeby nas państwo teraz zostawili.

Matka podchodzi do córki.

– Dlaczego nic nam wcześniej nie powiedziałaś?

– Kiedy próbowałam, odesłałaś mnie na drzewo. W ogóle nas nie słuchacie!

Walkie-talkie trzeszczy wewnątrz domu. Stoimy kilka metrów od odbiornika, ale i tak wyraźnie słyszymy głos Tibora:

– Musimy spadać, jadą żandarmi! Szybko, uciekajcie! A wy zostawcie w spokoju mojego psa!

Głos zanika, a jego miejsce zajmuje uliczny zgiełk. Tupot kroków, krzyki, szczekanie. Tibor przebiega pędem przed żywopłotem. Właściwie nie mieliśmy pojęcia, że tak szybko biega! Goni go trzech żandarmów. Tibor wrzeszczy:

– Nie jestem prawdziwym kloszardem! To nie były prawdziwe rzygi! Sami spróbujcie!

– Stać! Policja!

– Zostawcie mnie w spokoju!

Tragedia wydarzyła się w chwili, kiedy najmniej się jej spodziewano. W czwartkowy poranek przygotowaliśmy w klasie kalendarz powtórek materiału z matematyki z panią Serben, uświadomiwszy sobie nagle, że do egzaminów zostało nam zaledwie kilka tygodni. O maturze mówi się nam od małego. Tym razem to się dzieje naprawdę. Powoli ogarnia nas panika. Posadziłam obok siebie Marie, z którą pracuję w parze przez okres powtórek. Léa usadowiła się kilka rzędów dalej, obok Axela, ale nie miałam z tym nic wspólnego. To nie ja wybrałam Marie do mojej ekipy. Oczywiście gdyby to było możliwe, wolałabym być z moją najlepszą przyjaciółką, trudno było jednak uwierzyć, że będzie uczyć się równie intensywnie, nauczyciele zdecydowali więc za mnie. Z bólem się z tym pogodziłam, ale istotnie, rozsądniej jest pracować z kimś, kto nie będzie powtarzał roku. Marie niemal przeproszała, że zajmuje miejsce Léi. Właśnie wtedy to się stało.

Sufit się otworzył, a na nauczycielkę runął potop jedzenia, wśród huku godnego końca świata. Jogurty, kawałki sera, chleb, owoce w torebkach – było tam czym wyżywić połowę liceum. Kilka jogurtów eksplodowało. Inès krzyknęła. Na szczęście w panią Serben nie trafiło nic brudzącego, ale i tak miała kawałek białego sera we włosach i cząstki ementalera na dekolcie. Pełny szok. Później jednak przyszła pora pytań. Gdyby moi koledzy byli psami, z pewnością przechyliliby głowy na bok, jak to robi Zoltan, kiedy czegoś nie rozumie. Wyobrażacie to sobie? Trzydzieści młodych osób z przechylonymi na bok głowami na widok sera, który spadł z nieba.

Czas się zatrzymał. Odwracam się do Tibora, który natychmiast wstaje. Wiem, co zrobi – przyzna się. Muszę go powstrzymać. Instynktownie ruszam w jego stronę, łapię go za kołnierz i szepczę do ucha:

– Cicho bądź! Nic nie mów. Nie przyznawaj się.

Sadzam go siłą, on zaś daje sobą pokierować. Wracam na miejsce odprowadzona niedowierzającymi spojrzeniami całej klasy, która zastanawia się, w co pogrywamy.

– Co to ma być? – zaczyna pani Serben, rozpoznając naturę i ilość tego, co spadło z sufitu.

Brak odpowiedzi. Léa rzuca najpierw mnie, później Tiborowi porozumiewawcze spojrzenie.

Nie puścić pary z ust. Naśladować reakcje innych. Wszystkiemu zaprzeczać. Tibor najwyraźniej postanowił mnie posłuchać i siedzi nieruchomo z wyrazem twarzy, który równie dobrze może ujść za zaskoczenie. Mam wrażenie, że jedyną rzeczą, jaka wprawiała go w zdumienie, jest to, że się na niego rzuciłam. Poza tym, jeśli ktoś nie zdejmie odcisków palców z opakowań, nie ma szans, żeby udowodniono mu winę.

Rozlega się dzwonek na przerwę. Pani Serben przygląda nam się podejrzliwie i stwierdza na koniec:

– Trzeba przyznać, że dzieją się tutaj dziwne rzeczy. Te biedne sprzątaczkі znowu będą miały pełne ręce roboty.

Spontanicznie oferuję, że sama posprzątam. Tibor również podnosi rękę. Dołącza do nas

Axel, zaraz potem Léa.

– Nie, Léa, możesz z nami zostać, ale musisz unikać wysiłku.

Léa przyjmuje argument Axela, Marie bierze od niej plecak i zabiera do klasy, w której ma się odbyć następna lekcja. Axel ją uspokaja:

– Nie martw się, to nam nie zajmie dużo czasu.

Po czym zwraca się do nas:

– Pójdę po worki na śmieci.

Kiedy zostajemy sami, mówię do Tibora, zgarniając jedzenie w jeden stos:

– Nie wynosiłeś stopniowo zapasów?

– Ostatnio nie mam do tego głowy. Co za głupol ze mnie!

– Nie gryź się. Dobrze sobie radzimy. Nie ma rannych. Nie ma winnego. Wystarczy wstawić panele na miejsce. Przy odrobinie szczęścia uda się nawet odzyskać żarcie.

– Całe szczęście, że zmusiłaś mnie do milczenia. Dziękuję, Camille.

Axel wraca biegiem:

– Będą potrzebne trzy worki.

Kiedy już zaprowadziliśmy jako taki porządek, Tibor pyta:

– Czy nie macie nic przeciwko, żeby skończyć beze mnie? Muszę się z kimś spotkać.

Axel nie widzi problemu. W końcu i tak miło ze strony Tibora, że zechciał posprzątać po głupim dowcipie, za który nie ponosi winy. Ja zaś, znając jego poczucie obowiązku, zastanawiam się, co mogło go skłonić do zostawienia nas samych. Zostaję sam na sam z Axelem.

– Zostawimy worki tutaj. Tibor chce je zabrać.

– Jak chcesz.

Spogląda na mnie z uśmiechem i stwierdza:

– I znowu zostajemy we dwoje, żeby dokończyć robotę.

Napotykam jego spojrzenie. Nie chcąc dopuścić, żeby ogarnęło mnie zakłopotanie, czym prędzej odpowiadam:

– Normalna sprawa, jesteśmy przyjaciółmi.

– Wiesz, zastanawiałem się nad tym, co mówiłaś na temat Léi, i chyba masz rację.

– Tym lepiej.

Mam wrażenie, że Axel słyszy zupełnie inną odpowiedź, ale nie mam nic do powiedzenia na ten temat. Prawdę mówiąc, nie chodzi o to, że nie ma nic do powiedzenia, jeśli jednak się odezwę, on poczuje się w obowiązku opowiedzieć mi wszystko, a to mi się zupełnie nie uśmiecha.

Już mamy wychodzić, kiedy Axel się odwraca, niemal zastępując mi drogę.

– Dziwna jesteś ostatnio – mówi. – Gdybyś miała jakiś problem, powiedziałaśby mi, co?

– Oczywiście.

– Chodzisz z kimś?

Odwracam wzrok. Nie przewidziałam, że Léa mu o wszystkim opowie. Pierwsza ściana mojej celi jest właśnie na ukończeniu. I jest nie do przebycia.

Od kilku dni, chociaż jestem z tego powodu bardzo nieszczęśliwa, staram się unikać Léi i Axela. Tak jest lepiej dla nich i dla mnie. Celowo się usuwam, żeby im nie przeszkadzać. Dodatkowo oszczędzam sobie cierpień. Oni zdają się nie zauważać ani mojego zdystansowania, ani mojego kiepskiego nastroju. Ja, gdyby ktoś mi bliski wycofał się albo nagle mniej się angażował, od razu bym to zauważyła. Pewnie kładą moją nieobecność na karb powtórek do matury. Prawdą jest również, że spędzam sporo czasu z Marie. Widuję się także z Léo, który jest dla mnie bardzo miły.

Axela nie było dziś przed południem w szkole, Léa zaś nawet nie odpisała na moje ostatnie wiadomości. Wyobrażam sobie, że mają co innego do roboty niż zajmowanie się koleżanką, i mogę ich zrozumieć. Gdyby mój związek z Axelem był możliwy, nic innego by się nie liczyło – jestem tego pewna.

Cieszę się, że wracam do domu. Spieszę się jak wycieńczony podróżnik zmierzający do swojego azylu. Tam przynajmniej nie panuje zamęt. Mam potrzebę czuć się bezpiecznie, z dala od ruchomych piasków życia. Zaplanowałam już popołudnie: zredaguję dwie syntetyzujące wiedzę fiszki z chemii – jedną na każdy rozdział, zostanie mi więc do zrobienia jeszcze piętnaście. Następnie pobawię się z Kłaczkiem przy muzyce. Chciałabym także porozmawiać z ojcem, ale nigdy nie jesteśmy sami. Szczerze mówiąc, nie szukam za bardzo okazji, ponieważ wciąż brakuje mi odwagi, żeby go przeprosić. Na pewno jest na mnie wściekły, a ja nie mogę mieć mu tego za złe. Kiedy przypominam sobie to, co mu wygarnęłam... Jeśli sobie nie poradzę, chyba wezwę na pomoc ciocię Margot.

Zdejmuję plecak w przedpokoju i wzdycham. Lucas zbiega po schodach. Ma na sobie T-shirt, który ostatnio od niego pożyczyłam...

– Mamo! Co zrobiłaś, piorąc moją koszulkę? Zobacz, jest cała powyciągana! Ale kiszka!

Staje w wejściu do kuchni i wskazuje dwa zniekształcenia, których jego mięśnie klatki piersiowej nie są jeszcze w stanie wypełnić... Mama odpowiada:

– Posłuchaj, synku! Jeśli uważasz, że pralka niszczy twoje ubrania, możesz je prać sam. Jesteś już dość duży.

Jestem zaskoczona nietypowo oschłym tonem matki. Wchodzę do kuchni, żeby ją pocałować, ale ku mojemu zaskoczeniu zastaję ją siedzącą naprzeciw taty. Zazwyczaj tato wraca trzy godziny później.

– Dzień dobry! Wcześniej jesteś w domu.

Całuję ich. Lekkie zakłopotanie wobec taty. Rodzice sprawiają wrażenie spiętych.

– Jakiś problem?

Mama nie odpowiada i spogląda na ojca. Już to nieraz widziałam. Mama pozwala mi przejąć dowodzenie nad operacją. Ojciec zwraca się do mnie:

– Usiądź. To nie będzie łatwe...

– Co się dzieje?

– Léa źle się poczuła dziś w południe. Trafiała do szpitala na intensywną terapię. Na razie

jej stan jest stabilny.

Moje ręce drżą.

– Jak do tego doszło?

– Léa była w ogrodzie. Kiedy przyszła pora na pomiar ciśnienia, Élodie się zaniepokoiła, ponieważ nigdzie jej nie widziała. Znalazła ją nieprzytomną w pobliżu letniej altany. Natychmiast wezwała pomoc.

– A zastrzyk na nagłe wypadki?

– Kiedy Élodie go zrobiła, stan Léi był już zbyt poważny. Trzeba było ją umieścić pod respiratorem. Lekarze wspomagają serce na wszelkie możliwe sposoby.

– Widziałaś ją?

– Christophe zadzwonił do mnie do pracy. Popędziłam do szpitala, ale oprócz rodziców nikogo na razie nie wpuszczają.

– Coś mówiła?

– Nie odzyskała przytomności.

Spoglądam na tatę, potem na mamę. Tato bierze mnie za rękę.

– Camille, tym razem to poważna sprawa. Będziemy cię potrzebować.

– Co ja mogę zrobić?

– Musisz być gotowa, jeśli Léa się obudzi. I być gotowa, jeśli się nie obudzi. Żadne z tych dwóch rozwiązań nie będzie łatwe.

Mama kładzie mi dłoń na ramieniu. Wstaję.

– Przepraszam...

Z kuchni wychodzę, ale już w korytarzu puszczam się biegiem w kierunku schodów, żeby ukryć się w moim pokoju. Nic nie widzę przez łzy, które napłynęły mi do oczu. Rzucam się na łóżko. Jakie były ostatnie słowa, które Léa do mnie wypowiedziała? Powraca wspomnienie jej postaci machającej do mnie z chodnika w świetle latarni ulicznej. Słyszę również jej śmiech i docinki na temat „skomplikowanej historii miłosnej”. Widzę jej oczy. Potrafię opisać falowanie włosów. Podnoszę się i sięgam po zdjęcie nas obu w przebraniu treserek dzikich zwierząt w cyrku, z Axelem i Léo w roli tygrysów.

Nagle wyczuwam obok siebie czyjąś obecność. Tato byłby skłonny przyjść, założę się jednak, że to mama. Odwracam się. To Lucas. Niezdarnie trzyma w objęciach Kłaczka.

– Masz! Pomyślałem, że będziesz chciała mieć go przy sobie.

Kładzie kota na łóżku, ale zwierzę, miaucząc, szybko zmyka, żeby powęszyć za biurkiem. Lucas siada obok mnie. W normalnych warunkach podobne wtargnięcie na moje prywatne terytorium zostałoby uznane za prowokację, za działanie wojenne i – zgodnie z międzynarodowymi traktatami określającymi nasze relacje – powinnam, złorzecząc, zacząć rzucać w niego wszystkim, co mi wpadnie pod rękę. Teraz jednak nie mówię nic. Co gorsza on opiera głowę na moim ramieniu. To czerwony alarm, wszystkie światła mrugają, ale nie pojawia się żadna elitarna jednostka. Nie licząc całusa w policzek w sylwestra – ponieważ rodzicom na tym zależy – nasz ostatni kontakt fizyczny musiał nastąpić dwa lata temu, kiedy Lucas ześlizgnął się z brzegu basenu i wpadł na mnie.

– Pamiętasz, jak umarł Piorunator?

– Piorunator był tylko chomikiem, nie Léą.

– Léa nie umarła, dziewczyno! Chcę ci po prostu powiedzieć, że tamtego wieczoru, kiedy

płakałem w łóżku, weszłaś do mojego pokoju i powiedziałaś coś, co mi bardzo pomogło.

– Cóż takiego mogłam ci powiedzieć?

– Że gdybyś miała taką moc, zmieniłabyś się w chomika, żeby zastąpić Piorunatora, ponieważ wiedziałaś, ile on dla mnie znaczył.

– Częściej bawiłeś się z nim niż ze mną.

– Był bardziej miękki.

– Gryzł i wszędzie robił kupy.

– To prawda, ale to był mój Piorunator. Kiedy więc mi to powiedziałaś, coś zrozumiałem: ten, kto umiera, zabiera ze sobą część osób, które go kochają, i ci, którzy zostają, muszą pilnować, żeby wszystko nie odeszło.

– Léa jeszcze nie umarła.

– Nie rób zatem takiej miny.

Otoczyłam go ramieniem i wytarłamsiłam za włosy. Uśmiechnął się. Istne science fiction. Nie rozległ się krzyk, nic nie przeleciało w powietrzu, nie nazwał mnie czarownicą, ja zaś nie usiłowałam wrzucić go do zsypu na brudną bieliznę, jak wtedy kiedy miał trzy lata. Cuda się zdarzają nawet w nieszczęśliwe dni.

Tato mnie uprzedził: mogę doznać szoku. Trudno. Od tak dawna już czekam na pozwolenie widzenia się z Léą. Wczoraj odzyskała przytomność, ale wciąż leży na oddziale intensywnej terapii. Mój tato, Christophe i Élodie rozmawiają z profesorem Nguyenem. W tym czasie ja mam prawo przywitać się z Léą.

Dziś rano powinnyśmy być obie w szkole, ale oto idę mdłym korytarzem, ślizgając się w ochraniaczach na buty, eskortowana przez pielęgniarkę, która najwyraźniej uważa, że marnuję jej czas. Dochodzimy do holu prowadzącego do trzech sal wyposażonych w przeszklone ściany. W każdym pomieszczeniu można dostrzec leżące ciała, są one jednak otoczone taką masą sprzętu, że nie potrafię stwierdzić, które z nich należy do mojej przyjaciółki.

Pielęgniarka zatrzymuje się przy wejściu do pierwszej sali po prawej stronie.

– Dziesięć minut. Masz dziesięć minut. Potem muszę wracać.

Wchodzę do pomieszczenia. Gorąco. Wypełnia je szum aparatury pomiarowej. Léa leży z zamkniętymi oczyma, podłączona rurkami i kablami do przeróżnych urządzeń. Na twarzy ma maskę tlenową. Z trudem ją rozpoznaję. Jej piękne włosy, teraz nierozczesane, oblepiają jej czoło. Gdyby pikanie elektrokardiogramu nie rozlegało się regularnie, mogłabym pomyśleć, że nie żyje.

Przyglądam się jej. Mam dziesięć minut, żeby o wszystkim jej powiedzieć, ale na razie Léa śpi. A jednak muszę z nią porozmawiać. To bardzo ważne. Chcę przekazać jej całą moją energię i nadzieję. Kocham ją – ona musi o tym wiedzieć. Nigdy nie będę miała drugiej takiej siostry jak ona na tej Ziemi. Chcę być świadkiem na jej ślubie z Axelem, chcę być matką chrestną szóstki ich dzieci, chcę wszystkiego, czego chce ona, ale pod jednym warunkiem: że uczepli się życia ze wszystkich sił.

Wciąż nie ma żadnego serca do przeszczepu, ale pogorszenie stanu zdrowia wywindowało ją o jedno miejsce w górę na liście oczekujących. To straszne.

Już minęły dwie minuty. Widzę, że pielęgniarka obserwuje mnie zza szyby i odlicza sekundy. Czuję się jak w rozmównicy w Alcatraz.

Pochyliłam się i szepczę:

– Léa, tu Camille. Słyszysz mnie?

Otwiera oczy. Uśmiecha się.

– Jak się czujesz? – pytam.

– Cieszę się, że cię widzę.

Nie wiem, od czego zacząć.

– Napędziłaś nam niezłego stracha...

– Nie zorientowałam się, co się dzieje.

– Muszę z tobą porozmawiać, to ważne.

Mój tato, Christophe i jakiś lekarz w białym kitlu dołączyli do pielęgniarki po drugiej stronie szyby. Tyle rzeczy do powiedzenia w tak krótkim czasie...

– Léa, chcę, żebyś wiedziała...

Chwyta mnie za rękę i przerywa:

– Potrzebuję cię, Camille! Tylko ciebie mogę o to poprosić. Nie rób takiej miny, nie chodzi o moją ostatnią wolę.

– Co tylko zechcesz!

– Musisz porozmawiać z Tiborem. Musisz mu powiedzieć, że nie zasłałam przez niego.

– Z Tiborem?

– To z nim się umówiłam potajemnie w ogrodzie.

– Dlaczego umówiłaś się potajemnie z Tiborem?

Léa przygląda mi się zdziwiona. Wydaje się rozbawiona.

– To najmilszy i najczulszy chłopak, jakiego znam. Będzie się niepokoił i obwiniał. A tego bym nie chciała.

– A Axel?

– Co Axel?

– Nie jesteście razem?

– Nie. Mówię ci o Tiborze, nie o Axelu.

Nagle Léa wytrzeszcza szeroko oczy i powstrzymuje krzyk. Właśnie zrozumiała moją pomyłkę.

– Niemożliwe! Myślałaś, że...

Przytakuję ruchem głowy.

– Moja biedna Camille, ciągle sobie coś roisz.

Śmieje się. Moje ciało eksploduje od wewnątrz, mózg stoi w płomieniach, a ona się śmieje!

Jestem blokiem przedziwnej, nieistniejącej materii, na którą Léa wylała silnie reagujący środek. Topię się, płonę, iskrzę. Kilka słów i nagle wszystko się zmienia.

– Ale ja myślałam...

– A ja sądziłam, że w twojej „skomplikowanej historii” chodzi właśnie o Axela!

Jestem oszołomiona.

– Chodzisz z Tiborem?

– Zaszliśmy już nawet nieco dalej...

– Świntuszko! I nic mi nie powiedziałaś!

– Chciałam, ale...

Przerywa nam wejście doktora Nguyena.

– Przepraszam, że wam przeszkadzam, ale czas się skończył. Musimy dokonywać pomiarów w równych odstępach czasu. Zrobimy co w naszej mocy, żebyście mogły znów się wkrótce zobaczyć i mieć dowolną ilość czasu na wyzywanie się od świntuchów.

Czuję się dosłownie rozdarta na pół, jak złamana lalka. Przebiega przeze mnie głęboka szczelina: z jednej strony ból na widok przyjaciółki w niebezpieczeństwie i w tym otoczeniu, z drugiej – uczucie, którego nie potrafię chwilowo określić, ale które popycha mnie w stronę Axela. Strach i pożądanie. Chęć podjęcia walki, żeby ją ocalić, i potrzeba ucieczki, żeby zgubić się w jego objęciach. Oba zbocza tej góry mają tylko jeden wspólny punkt – siłę miłości, jaką darzę każde z nich.

Lekarz spogląda na jedno z urządzeń.

– Nie zapomnij. Leć powiedzieć Tiborowi – szepcze Léa.

- Chcesz się z nim zobaczyć?
- Kiedy to tylko będzie możliwe – tak, proszę.
- Możesz na mnie liczyć.

Całuję ją i wychodzę.

Akshan Palany byłby ze mnie dumny: wiem, na czym polegają moje misje, i postaram się ze wszystkich sił je wypełnić. A potem przyłożę się do gry na cytrze.

Na parkingu dla nauczycieli w pełnym słońcu panuje upał. Lekki wiatr porywa płatki kwiatów wiśni, rozsiewając je po niebie.

Czekam przy samochodzie pana Rossiego. Kiedy wreszcie się pojawia, ruszam w jego stronę.

– Przepraszam, że tak pana nagabuję...

– Ależ proszę! Co mogę dla ciebie zrobić?

– Szukałam pana bezskutecznie w pokoju nauczycielskim, później zaś nie przyszedł pan na nasze spotkanie...

Pan Rossi się uśmiecha.

– Sądziłem, że hospitalizacja Léi zmieniła nasze plany. Dzwonili jej rodzice z informacją, że nie będzie mogła przychodzić już do szkoły w tym roku. Podejrzewam, że już o tym wiesz.

– Tak, ale myślałam...

Nauczyciel otwiera bagażnik i wkłada do niego teczkę.

– Czy mam rozumieć, że chciałabyś kontynuować nasze spotkania?

– Moglibyśmy prowadzić nasze rozmowy w mniej formalnym otoczeniu, na przykład przy kawie.

– Ty i ja nie potrzebujemy już kodów, żeby rozmawiać. Podejmę dodatkowe ryzyko, podając ci mój numer telefonu komórkowego. W zamian jednak powinnaś podpisać pięciusetstronicowy dokument poświadczający, że nigdy nie zachowałem się w stosunku do ciebie dwuznacznie i że cię nie dotknąłem.

Zapewne z powodu mojej miny pan Rossi dodaje:

– Żartuję, Camille! Wszystko w porządku.

Zapisuje swój numer telefonu na paragonie i wręcza mi go.

– Widziałaś się z Léą? Jak ona się czuje?

– Lepiej, ale wahają się jeszcze przed wypuszczeniem jej z oddziału intensywnej terapii.

– Na pewno ją odwiedzę. Muszę z nią porozmawiać.

– Będzie jej miło. Bardzo pana lubi.

Pan Rossi nie odpowiada, obchodzi samochód, żeby znaleźć się przy drzwiach od strony kierowcy.

– Muszę cię zostawić – mówi, otwierając drzwi. – Spróbuj się rozerwać. Powtarzaj także materiał. Ta sprawa zajmuje w tobie dużo miejsca. Zadajesz sobie wiele pytań.

– Pan ich sobie nie zadaje?

– Owszem, zapewne równie wiele jak ty, ale staram się stawiać im czoło po kolei. Ty zaś...

Nigdy nie sądziłam, że będę z nim na ten temat rozmawiać, stojąc na zewnątrz, z samochodem między nami.

– Czy wszyscy zadają sobie tyle pytań?

– Nie sądzę. Nie mam jednak pewności.

Wieje wiatr. Pada śnieg płatków.

– Czy istnieje wiek, w którym przestajemy je sobie zadawać?

– Jeśli ten wiek istnieje, jeszcze go nie osiągnąłem, mogę cię bowiem zapewnić, że to się nie uspokaja.

– A znajduje pan odpowiedzi?

Spogląda w niebo i wzdycha. Wreszcie powoli przenosi wzrok na mnie. Chyba nigdy jeszcze nie łączyła nas taka zażyłość.

– Wiesz, Camille, znajdowanie odpowiedzi nie jest najtrudniejsze. Życie przynosi ci je samo, prędzej czy później. Najtrudniej jest żyć, znając je.

Pani Serben podaje nam wyniki ostatniego sprawdzianu w tym roku. Odtąd będziemy już tylko powtarzać materiał. Jeśli się tak dobrze zastanowić, będzie to ostatnia ocena, jaką otrzymamy w liceum. Dziwne uczucie. Kończy się pewien rozdział. Mam wrażenie, że teraz jeszcze nie uświadamiam sobie tego w pełni, ponieważ jestem wśród przyjaciół, w klasie. Założę się jednak, że za trzydzieści lat, kiedy znów spojrzę na tę kartkę, niezależnie od oceny, jaką otrzymam, moje oczy napełnią się łzami.

Sprawdzian pisaliśmy dzień po tym, jak Léa trafiła na intensywną terapię. Wielu spośród nas było myślami gdzie indziej, delikatnie mówiąc. Axel mimo wszystko dostał czternaście punktów. Marie zdobyła dwanaście. Nauczycielka rozdaje nam prace zgodnie ze swoim systemem: „Im ocena wcześniejsza, tym mina podlejsza, im dłużej czekała, tym większa chwała”.

W moim wypadku suspens nie trwał długo. Pani Serben oddała mi pracę niemal na początku. Oberwałam pięć na dwadzieścia. Najgorsza ocena od trzech lat. Tibor również się nie naczekał: dostał sześć. Jego najgorsza ocena od ośmiu wcieleń. Nie rzucił się w przepaść, niczego nie wysadził w powietrze. Nawet się nie rozpląkał. Wszyscy wiedzą, dlaczego zarobił taką ocenę, nawet nauczycielka. Wbrew wszelkim zwyczajom rozczochrała mu czule włosy, jak gdyby był małym chłopcem. Chyba już jednak nim nie jest. Swoją drogą bardzo wydorósł ostatnimi czasy. Określenie „dojrzał” byłoby zapewne bardziej na miejscu. Kiedy myślę o naszej grupie z początku roku i o tym, czym jest ona teraz, stwierdzam, że wiele przeszliśmy. Dobrze by było, żeby bóg żartowniś zostawił nas na jakiś czas w spokoju... Niech zajmie się kotami, na przykład. Wyprawiają nie wiadomo co ostatnimi czasy, szczególnie nocą.

Siedzimy z Tiborem obok siebie. Zgodnie z moją teorią oboje jesteśmy akcjonariuszami Léi. We dwoje dysponujemy chyba większością głosów w jej radzie nadzorczej. Jak wszyscy wielcy inwestorzy lubimy trzymać się razem. Z ludzkiego punktu widzenia czujemy się przez to bliżej niej i lepiej radzimy sobie z pustką, jaka powstała w klasie. Pozostali zaakceptowali nieobecność Léi. Przystosowali się. Im mniej są z nią związani, tym szybciej to nastąpiło. Jak koła na wodzie, coraz mniej wyraźne, w miarę jak oddalamy się od punktu zetknięcia się z taflą.

Dziś Tibor założył koszulę. Jest na niego nieco za duża, ale do twarzy mu w niej. Co jeszcze bardziej zaskakujące, uczesał się – zapewne przy użyciu psiej szczotki, sądząc po rezultacie. Po lekcji matematyki czekają nas dwie godziny zajęć w świetlicy, podczas których zamierza odwiedzić Léę.

- Camille, czy mogłabyś pójść ze mną do szpitala?
- Nie wolicie, żeby zostawić was w spokoju?
- Chciałbym jej przynieść kwiaty, ale nie bardzo potrafię wybrać. Brak wprawy. Gdybyś mogła mi pomóc.

Uważam, że jest uroczy. On, taki wariat, działający tak instynktownie, próbuje użyć jednego

z najstarszych istniejących kodów, żeby okazać kobiecie uczucie.

– Nie ma sprawy. Pójdę z tobą.

W kwiaciarni pytał, czy kwiaty nie cierpią za bardzo, kiedy się je ścina, które najlepiej symbolizują płomienną miłość i czy można zjadać zwiędłe płatki. Usiłował spróbować jednego, kiedy kwiaciarka komponowała bukiet. Sądząc po jego grymasie, chyba zrozumiał, dlaczego jednak się ich nie je. Wyszedł ze wszystkimi czerwonymi różami, jakie kwiaciarnia miała na stanie.

Idzie wyprostowany, naręcze róż przyciska do piersi, jakby to było dziecko.

– Wolę cię uprzedzić: aparatura wokół Léi jest dość przerażająca. Ale zobaczysz, ona czuje się dobrze.

– Dzięki za ostrzeżenie. Wiesz, co mnie najbardziej dziwi?

– Nie.

– Nikt się ze mnie nie nabijał, kiedy wszyscy się dowiedzieli, że chodzę z Léą.

– Zazwyczaj ludzie nie nabijają się z takich rzeczy. Pan Rossi mówi, że jesteśmy w wieku prób i nikt nie może nas pouczać, ponieważ może się to obrócić przeciwko niemu. Rozumiem cię jednak. Nie jest łatwo demonstrować uczucia.

Nie sądziłam, że będę kiedyś pocieszać kogoś w takiej sprawie.

– Léa nie jest dla mnie próbą. Naprawdę jest mi z nią dobrze. Radziłem sobie bez dziewczyny, szczególnie odkąd mam psy. Prawdę mówiąc, Léa pokrzyżowała mi plany. Nie obawiałem się plotek ze względu na siebie, ale na nią. Nie chciałbym przynieść jej wstydu.

– Tibor, nikomu nie przynosisz wstydu. W najgorszym razie możesz kogoś przestraszyć.

Śmieje się razem ze mną.

W szpitalu, wchodząc do pokoju Léi, staram się dozować emocje.

– Niespodzianka! Przyproceedziłam ci gościa, który nie może się doczekać, aż cię zobaczy. Zostawiam was. Zobaczymy się późniejszym popołudniem, jak ustaliliśmy.

Léa natychmiast się prostuje, chcąc sprawdzić, kim jest tajemniczy odwiedzający. Wiem, że ma nadzieję zobaczyć Tibora. Dosłownie wyskoczyła z łóżka na jego widok. Gdyby nie kable i sączki, pobiegłaby w jego stronę. Objęła go, ale nie tak jak mnie albo Axela. Wyszłam i usiadłam na końcu korytarza, żeby poczekać na Tibora. Nie mogłam się powstrzymać, żeby od czasu do czasu nie rzucić okiem przez przeszkloną ścianę. To, co widziałam, nie miało nic wspólnego z koszmarem o Léi i Axelu pobierających się, podczas gdy ja tonę we łzach. Ja, która się przechwalałam, że znam Léę lepiej niż ktokolwiek, jak mogłam nie zauważyć tego, co się dzieje między nimi? Byłam zapewne oślepiona strachem przed utratą Axela. Kiedy myślę o tych wszystkich sytuacjach, które brałam za dowody, o wszystkich tych przemilczeniach, które brałam za przyznanie się. Ależ ze mnie wariatka!

Obserwując ich, stwierdzam, że pasują do siebie. Tibor zamaszystymi gestami usiłuje coś przedstawić, stojąc w nogach łóżka Léi, która przygląda mu się zafascynowana i promieniejąca szczęściem. Sądząc po jego frenetycznych ruchach, Tibor opowiada jej o najnowszej sztuczce, jakiej nauczył psy, albo o bitwie Antiocha, albo o katastrofie Titanica. Wydają mi się piękni. Ona nadaje ludzki wymiar jego szaleństwu, budzi ukrytą w nim czułość. On sprawia, że jest mniej grzeczna, że odsłania to wszystko, co ma do ofiarowania

ukochanemu.

Może na tym polega sekret prawdziwego związku – każdy musi odsłonić lub obudzić coś w drugiej osobie. Zastanawiam się, co Axel obudzi we mnie. Co ja odsłonię w nim?

Z grzeczności zostawiam ich samych i schodzę do szpitalnego holu. Czuję, że Tibor pomoże mi uratować Léę. Wiem, że przy nim odzyska energię. We dwoje wyleczymy jej serce.

Siedząc na ławce, przyglądam się płynącemu tłumowi. Wciąż ten sam wystrój, te same sceny, ale inni aktorzy. Nadzieja, nagły przypadek, radość albo cierpienie. Każdy po kolei odgrywa swoją rolę. Ostatnio odgrywałam „nagły przypadek”, dziś gram „nadzieję”. Ta rola zdecydowanie lepiej mi odpowiada. Nagle odnoszę wrażenie, że kogoś rozpoznaję. Zrywam się na równe nogi i ruszam w jego stronę.

– Przepraszam...

Przygląda mi się z niedowierzaniem. Oświetlenie jest inne, on zaś nie ma na głowie czapki z daszkiem, ale to na pewno ten sam człowiek.

– Mieszkał pan w pobliżu dworca, w budynku, który rozebrano...

Jego twarz się ożywia.

– Mój Boże! Ty jesteś tą małą, która zatrzymała się przy mnie, kiedy było mi tak źle!

Ściska mi serdecznie dłoń i pyta:

– Ale co ty tutaj robisz? Mam nadzieję, że nie jesteś chora?

Jest pełen energii. Nie ma już w sobie nic z tego przybitego człowieka w zimowy poranek.

– Czuję się dobrze. Cieszę się, że pana widzę. Najwyraźniej jest pan w formie.

– O, tak!

– A pańska żona?

– Powinni ją wypisać w przyszłym miesiącu. Opowiadałem jej o naszym spotkaniu. Jeśli masz czas, chętnie was sobie przedstawię, leży na drugim piętrze.

– Dziś mogę mieć z tym problem, bardzo żałuję. Czekam na kogoś, kto powinien lada chwila się pojawić.

– Często o tobie myślę. Tamtego dnia okazałaś się opatrnością losu. Niemal sięgnąłem wtedy dna. Kiedy odeszłaś, posłuchałem twojej rady i poszedłem bezpośrednio do mojej Claudine. Jeszcze tego samego popołudnia o wszystkim jej opowiedziałem. Wykazała się większą odwagą niż ja! To ona wpadła na pomysł, żeby skontaktować się z asystentką społeczną. Dzięki niej dowiedzieliśmy się o tym, że w nowych blokach są również przewidziane mieszkania socjalne. Tym sposobem za kilka tygodni wprowadzimy się pod ten sam adres. Zamieszkamy nawet na tym samym piętrze, co prawda bez kominka, ale w zamian będziemy mieć do dyspozycji windę. To znacznie lepsze rozwiązanie dla naszych starych nóg!

– Tak się cieszę.

– Musisz nas odwiedzić. Naprawdę bardzo mi na tym zależy. Fader, Jean i Claudine Fader. Zobaczysz nasze nazwisko na domofonie. Nie wiem, jak to się robi, ale obiecali, że tak będzie.

Ujmuje mnie za rękę.

– Jak dobrze było cię znów zobaczyć. Pójdę opowiedzieć o wszystkim Claudine!

– Obiecuję, że przyjdę. Mam dla państwa małą pamiątkę.

Naprawdę się cieszę z ich powodu. Tak bardzo się o niego bałam. Ja, która zawsze czuję się odpowiedzialna za wszystkich, znowu się czegoś nauczyłam: czasami sprawy rozwiązują

się same, niezależnie od nas.

Ale nie zawsze.

Między powtórkami materiału, czasem spędzonym w szkole i odwiedzinami u Léi życie przybrało nowy rytm. Tylko ja i Tibor przychodzimy do szpitala codziennie. W ubiegły wtorek pielęgniarka nakrzyczała na Tibora, ponieważ potajemnie przyprowadził jednego ze swoich psów. Léa płakała ze śmiechu, opowiadając mi o tym. Tibor zaopatrzył się w kieszeń kangura pod swoim płaszczem kloszarda i maszerował korytarzem z wielkim drgającym brzuchem. Pies – młody border collie – zaczął wariować w pokoju i od razu dał się nakryć. Gdyby nie profesor Nguyen, cała sprawa przerodziłaby się w tragedię, ale udało mu się załagodzić sytuację.

Przestałam już przynosić Léi materiały do powtórki. Nie zamierza podchodzić do egzaminów. Nikt również nie mówi o jej powrocie do domu, ja zaś nie ośmielam się o to spytać. Podczas moich wizyt często spotykam jej brata, Juliana, który spędza z nią dużo czasu.

Rano korzystam z kilku wolnych godzin i zamierzam wcześniej odwiedzić Léę. Dzięki temu wieczorem będę mogła wyjść z Axelem, który zaprosił mnie do kina. Tylko on i ja...

– Cześć! Jak się dziś czujesz?

– Camille? Już osiemnasta?

Léa sprawia wrażenie otępiełej.

– Nie, dopiero kwadrans po dziesiątej. Dobrze się czujesz?

– Niezbyt. Miałam okropną noc.

Usiłuje się podnieść. Pomagam jej.

– Widziałaś się z lekarzami?

Poprawiam jej poduszkę.

– Chyba tak. Sama już nie wiem. Tylu ich widzę.

Uśmiecha się do mnie z wysiłkiem.

– Dobrze, że tu jesteś.

Nagle wczepia się we mnie i wybucha płaczem. Przytulam ją do piersi, usiłując pocieszyć.

– Uspokój się. Znowu histeryzujesz.

Léa szepcze:

– Nie, Camille. Nie tym razem.

– Co ty opowiadasz?

Pochyliłam się nad nią i ujmuję jej twarz w moje dłonie. Spoglądam jej w oczy. I dostrzegam coś, czego jeszcze nigdy w nich nie widziałam: strach.

– Camille, ja umrę – szepcze. – Niewiele czasu mi zostało. Nie będzie przeszczeptu...

– Widzę, że naprawdę masz doła. Mam wezwać lekarza?

Léa jeszcze mocniej ściska moje ramię.

– Nie. Oni nie potrafią nic zrobić. Pomóż mi jeszcze trochę pożyć, pomóż mi stąd wyjść.

– Nie mogę... Jak miałabym to zrobić? To byłoby nierozsądne.

– Nie potrafię tego wyjaśnić, ale czuję, że wszystko się wali. Coś mi mówi, że wkrótce odejdę. Błagam cię. Jeśli choć trochę mnie kochasz, nie pozwól mi tutaj umrzeć...

Zadzwoiłam do taty. Łkając, powtórzyłam mu słowo w słowo to, co powiedziała mi Léa.

– Słyszałem wielu ludzi, którzy tak mówili – odpowiada. – Zazwyczaj się nie mylili...

Płaczę w najlepsze.

– To niemożliwe!

– Camille, posłuchaj mnie! Musisz pomóc Léi. Jeśli tego nie zrobisz, będziesz zawsze żałować, ze względu na nią i na siebie. Wiem, że to bolesne, kochanie, ale musisz wytrwać.

Pomogę ci.

– Jak mam to zrobić? Przecież nie zgodzą się, żeby wyszła...

– Gdybyś miała zgromadzić razem wszystkich twoich przyjaciół, jakie miejsce byś wybrała?

Usiłuję się uspokoić, pociągam nosem i myślę.

– Na Polanie Jeleni. Tak, tam jest najlepiej.

– Czy jesteś w stanie zorganizować takie spotkanie jak najszybciej?

– Robiliśmy już gorsze rzeczy. Jak jednak wyprowadzimy Léę ze szpitala?

– Nie mam pojęcia. Najpierw muszę uprzedzić Chrisa i Élodie. Nie zdążymy załatwić tego formalnie. Być może profesor Nguyen stanie po naszej stronie, ale nie jestem pewien...

– Tato, być może mam pewien pomysł.

– Żeby wyprowadzić Léę ze szpitala?

– Tak, ale mogą być z tego kłopoty...

– Jesteś pewna, że to się uda?

– Przy minimum przygotowań powinno zadziałać.

– Zrób to więc. Zajmij się Léą i kolegami, a ja wezmę na siebie „kłopoty”. Bądźmy w kontakcie.

– Kocham cię, tato.

– Ja ciebie też. Do dzieła!

Kolejny telefon wykonuję do Axela. Podczas rozmowy z nim szybko powstaje plan. Nie usiłował przemawiać mi do rozsądku albo odwozić od moich zamiarów. Po prostu pomógł mi działać najskuteczniej jak to możliwe. Wziął na siebie poinformowanie pozostałych osób z naszej grupy i rozdzielenie ról. Podczas gdy część ekipy gromadzi niezbędne akcesoria do spotkania na polanie, pozostali szykują plan ucieczki Léi. Nie będzie mogła biec ani się zmęczyć. Musimy ją traktować jak przesyłkę, którą trzeba wynieść ze szpitala, albo – używając określenia Marie – jak dzieło sztuki wykradane z muzeum. Logistyka jest złożona, ale jesteśmy gotowi na wszystko, Léo jest zaś doskonałym strategiem. Sprawdzamy z nim po kolei wszystkie etapy planu, który on nazywa „wycofaniem tajnego agenta”.

Louis i Axel sprawiają wrażenie najstarszych. Odegrają role noszowych, którzy przyjdą po Léę do jej pokoju. Malik, Marie i Pauline poprowadzą ich do wyjścia mniej uczęszczanymi korytarzami i skorzystają z wind towarowych. We wszystkich miejscach, w których nasza grupa mogłaby zostać namierzona, będą zabezpieczać teren, pilnując, aby w chwili transportu panował tam spokój.

Będą ubrani w białe kitle z laboratorium chemicznego, z przyczepionymi do góry nogami plakietkami ze stołówki, które z daleka przypominają karty dostępu.

Julien, który wypożyczył furgonetkę od elektryka, jednego ze swoich kolegów, będzie czekał na *Monę Lisę* przy drzwiach zarezerwowanych dla dostawców szpitala. Tam przejmie Léę i jej eskortę, po czym zawiezie wszystkich w stronę wzgórza.

Byłam zaskoczona, z jaką łatwością brat Léi zgodził się nam pomóc. A przecież nie powiedziałam mu nic na temat niepokojących przewidywań jego siostry. To potwierdza moją teorię: kiedy chłopcy czują, że sprawa jest poważna, potrafią się zachować.

W tym banalnym szpitalu nikt się nie spodziewa takiej operacji. Na naszą korzyść pracuje zaskoczenie. Mimo wszystko trzeba będzie zmylić czujność wszechobecnych tutaj pielęgniarek. To nas doprowadza do grząskiego tematu dywersji. Tibor zaoferował się spontanicznie, ale wszyscy wiemy, do czego jest zdolny, jedynym sensownym rozwiązaniem byłaby więc odmowa. Wiemy również, że niełatwo będzie odsunąć go od operacji, biorąc po uwagę to, co łączy go z Léą. Wobec jego nalegań i miny nieszczęśliwego psiaka racjonalna odpowiedź została odrzucona i Tiborowi została przydzielona delikatna misja odwrócenia uwagi wszystkich opiekunów medycznych. Będę mu towarzyszyć, być może uda mi się w razie potrzeby nieco go przystopować. Kto zajmuje najmniej zaszczytne miejsce? Superuwodzicielka!

Sprawy toczą się zbyt szybko, żebyśmy zdążyli się zastanowić, i tak być może jest lepiej. Niecałą godzinę później, po tym jak Léo zmusił nas do zsynchronizowania zegarków i kazał powtarzać chórem kluczowe etapy, wracam do szpitala w towarzystwie Tibora.

– Jak zamierzasz zabrać się do dywersji?

– Zaufaj mi.

– Tibor, zostaniemy oskarżeni o porwanie i narażenie życia osoby trzeciej, nie możemy

sobie pozwolić dodatkowo na podkładanie ognia pod budynek użyteczności publicznej.

– Nie martw się. Lepiej będzie, jeśli nie będziesz nic wiedziała. Jeśli cię złapią i będą torturować, żeby zmusić do mówienia, możesz położyć całą operację.

Jak gdyby mało nam było Léo bawiącego się w komandosa.

W windzie Tibor oddycha krótkimi seriami, jak sportowiec przed maratonem. Mnie to nie przeraża, ale staruszka, która jedzie z nami, sprawia wrażenie zaniepokojonej. Uśmiecham się do niej, usiłując dodać jej otuchy, choć pewnie wyglądam jak kretynka.

Na piętrze Tibor się przeciąga i kręci głową, żeby rozruszać kręgi. Kiedy porusza się w ten sposób, przypomina skrzyżowanie martwego gołębia i kobry tańczącej przed zaklinaczem węży grającego disco na flecie.

Ruszamy bezpośrednio do pokoju Léi. Nie wiem dlaczego, ale idziemy z Tiborem krok w krok.

Léa wita nas pełna nadziei.

– Przyszłaś z moim ukochanym? Załatwiliście mi pozwolenie na wyjście?

Podchodzę do niej i szepczę:

– Niezupełnie, ale za niecałe trzy minuty Louis i Antoine wyniosą cię na noszach.

– A więc wychodzę?

– Taki jest nasz cel.

Puszczam do niej oko. Léa natychmiast wszystko pojmuje i zaczyna zbierać swoje rzeczy z nocnego stolika. Uspokajam ją:

– Nie miotaj się tak. Jeszcze zwrócisz na nas czyjąś uwagę.

– Musimy zabrać moją butlę z tlenem.

– Nie ma sprawy. Powiedz im.

– Zostaniesz ze mną?

– Muszę pilnować Tibora. Ma za zadanie odwracanie uwagi pielęgniarek.

Léa spogląda na niego nieco zaniepokojona. Tibor uśmiecha się do niej uroczo.

– Nie wygłupiaj się, mój Tiborze.

– Ocalę cię – odpowiada.

Wypowiada to zdanie. Gdyby czas na to pozwalał, wymieniłybyśmy z Léą spojrzenie będące mieszaniną szalonego śmiechu i paniki. Ale Tibor wychodzi już z pokoju zdecydowanym krokiem.

– Idź za nim – rozkazuje mi Léa. – Nie zostawiaj go samego, jest taki wrażliwy.

– A ty bądź gotowa. Chłopcy pojawią się za dwie minuty.

Tibor zmierza w stronę pokoju pielęgniarek. Zerka na zegarek, żeby się upewnić, czy mieści się w czasie.

– Tibor, poczekaj na mnie!

Za późno, już wszedł do środka.

– Proszę szanowne panie o wybaczenie, że przeszkadzam, ale potrzebuję pomocy. Chyba złapałem coś nieprzyjemnego i chciałbym zasięgnąć specjalistycznej opinii, ponieważ bardzo się niepokoję. Wyskoczyła mi wielka krosta i nie wiem, co to jest. Zaraz pokażę...

Bez uprzedzenia opuszcza spodnie i slipy. Goły tyłek!

Okrzyki w pokoju pielęgniarek. Nie mogę nic zrobić, żeby załagodzić sytuację, która wymknęła mi się spod kontroli. Przyciągnięte gwarem nadbiegają dwie panie pomoce

medyczne, które znajdowały się do tej pory poza pokojem.

„Jest taki wrażliwy...” Mimo to sprawia wrażenie, jakby czuł się całkiem swobodnie z wypiętym gołym tyłkiem. Kobiety zaczynają protestować:

- Ależ niech się pan ubierze!
- To nie punkt konsultacyjny! Co to ma być!
- Niech pan idzie świecić tyłkiem gdzie indziej!

Tibor nie zraża się jednak i dodaje:

– Nie to jest jednak najbardziej niepokojące! Proszę zobaczyć, co się pojawiło na moim małym pingwinku.

Odwraca się i pokazuje to, co Inès nazywa piorunochronem. Albo śnię, albo cały jest pokryty kolorowymi krostami wykonanymi pisakiem. To dlatego chwilę wcześniej zniknął na kilka minut! Działał z premedytacją! Jestem ciekawa opisu zdarzeń w wykonaniu prokuratora...

Żeby pielęgniarki mogły dokładniej się przyjrzeć, naciąga swojego „małego pingwinka”. Tym razem rozlegają się krzyki. Trzeba będzie uciekać. Odwracam się, Léi nie ma już w pokoju. Nie zauważyłam nawet, kiedy Louis i Antoine się przemknęli.

– Tibor, wystarczy, chodź!

Łapię go za opuszczone spodnie i wyciągam z pokoju pielęgniarek.

– Będziemy mieli kłopoty – szepczę. – Biegnij!

Tibor podciąga ubranie i bierze nogi za pas.

– Unikaj wind, idź schodami! – wołam za nim.

Chłopak przeskakuje po cztery stopnie.

– I jak wypadłem?

– Ty i twój pingwinek spisaliście się doskonale.

– Mogłem wymyślić coś bardziej wyrafinowanego, ale potrzebowałbym więcej czasu!

– Czyje są te pisaki, których użyłeś?

Prawdziwi komandosi na pewno nie śmieją się tyle co my.

Nie zdradziłam nikomu zwierzeń Léi. Wszyscy są przekonani, że organizujemy dla niej przyjęcie niespodziankę. Kiedy spacerowicze zobaczyli na polanie blisko dwadzieścia młodych podeksytowanych osób niosących sprzęt, czym prędzej się wycofali. Romain zdobył trzy namioty – na wypadek gdybyśmy zostali na noc. Malik układa krąg z kamieni pod ognisko, każdy taszczy jedzenie w plecaku.

Kiedy wreszcie dociera do nas Léa, wszystko jest gotowe na jej podjęcie. Ze swoich noszy, dźwigana przez czterech chłopców niczym cesarzowa, dostrzega przygotowany dla niej tron w pobliżu naszej betonowej ławki. Pomagamy jej się rozsiaść pośród kobierca jaskrawych mleczków i stokrotek. Wygodnie usadowiona na nadmuchiwanym materacu i poduszkach może do woli podziwiać widok na miasto albo na nasze naprędce zorganizowane obozowisko. Niektóre osoby z naszej grupy nie były tutaj od lat. Biegają wokoło, wskazują na ławkę, odczuwają szczerą radość, odkrywając ponownie miejsce zapamiętane z dzieciństwa w towarzystwie tych samych przyjaciół.

Tibor jest na każde zawołanie Léi. Sprawdza, czy jej butla z tlenem stoi stabilnie, po czym delikatnie zakłada jej maskę.

– Tutaj, z nami, nic złego nie może ci się przydarzyć.

Głaszcz ją po dłoni.

– Ej, Tibor! – woła Antoine. – Pomożesz nam z napojami?

Zostaję sama z Léą.

– Nic im nie powiedziałaś? – pyta mnie.

– Tylko tyle, że chciałaś się z nimi zobaczyć, a szpital to uniemożliwił. Niesłusznie?

– Nie. Tak będzie lepiej.

Przeciąga się i wreszcie wydaje się rozluźniona.

– Miałaś świetny pomysł, żeby zgromadzić nas tutaj. Ekstra!

– Cieszę się, że ci się podoba. Czy ucieczka nie zmęczyła cię za bardzo?

– Nie, było dość zabawnie. Będziecie mieli kłopoty.

– Nieważne. W końcu to w szczytnym celu.

– Uprzedziłaś mamę i tatę?

– Mój tato wziął to na siebie. Przyjdą. Tato zostanie w okolicy z kolegami, żeby stawić czoło wszelkim ewentualnościom.

– Wszelkim ewentualnościom?

– Upewni się, że nikt nie będzie nam tutaj przeszkadzał i że nie spotka cię tu nic złego.

– Podziękuj mu. Jest naprawdę kochany.

– Sama będziesz mogła mu to powiedzieć. Wpadnie tu później.

Léa rozgląda się wokoło. Jej najlepsi przyjaciele są tutaj i się bawią.

– Prawdziwe święto, nikogo nie brakuje.

Cichy trzask gałązki przyciąga naszą uwagę. Podchodzi Julien i klęka przed siostrą.

– Trzeba zmierzyć puls.

– Zostaw, jest doskonały. Sprawiacie wszyscy, że moje serce bije o wiele szybciej niż kiedykolwiek.

Słońce zaczyna zachodzić i cienie się wydłużają. Wszyscy się bawią i niemal zapomnieliśmy, po co się tutaj zebraliśmy. Czujemy się trochę jak na kiermaszu, trochę jak na przyjęciu urodzinowym. W powietrzu unosi się zapach wakacji i lata. Pauline przyniosła głośniczki do odtwarzacza MP3 i wśród nadchodzącego wieczoru rozbrzmiewa muzyka.

Jemy chipsy, pijemy soki owocowe, chłopcy przygotowują kanapki pełne wędlin – tak wielkie, że z trudem można się w nie wgryźć. Przyjemność z tego niekończącego się wieczoru dopełnia radość, że jesteśmy tu razem. Léa ani przez chwilę nie jest sama. Każdy podchodzi, odchodzi, bawi się i wraca do niej. O ile Léa nie je nic z tego, co się jej proponuje, chętnie rozmawia. Widzę, jak się uśmiecha, ściska dłonie, obejmuje kolegów i koleżanki. Tibor nigdy za bardzo się nie oddala, a kiedy tylko miejsce przy Léi się zwalnia, natychmiast się tam zjawia.

Julien zszedł zanieść posiłek mojemu tacie i jego kolegom stojącym na straży u stóp wzgórza. Pauline i Vanessa rozmawiają z Léą. Eva, Manon i pozostali szykują jedzenie na tekturowych talerzach. Stoję oparta o drzewo, nieco na uboczu, na skraju polany, i przyglądam się okolicy. To piękna chwila. Kiedy widzę ich wszystkich razem, kiedy myślę sobie o tym, jak szybko każdy z nich przyłączył się do tego ryzykownego planu, nie mogę uwierzyć, że ludzie są tak źli, jak niektórzy chcieliby nam to wmówić.

Podskakuję na dźwięk głosu, który rozlega się tuż koło mnie.

– A gdybym poprosił cię do tańca, zgodziłabyś się?

Axel zaszedł mnie od tyłu. Nie słyszałam, jak się zbliżał. Opiera się o moje drzewo, tuż obok mnie. Czy znowu się wymigam, czy też znajdę w sobie odwagę, żeby odpowiedzieć mu szczerze?

– Nie potrafię tańczyć. Boję się, że się ośmieszę. Na balu mogłabym ci odmówić z obawy, że wypadnę żałośnie w twoich oczach. Byłabym jednak zachwycona, że mnie poprosiłeś...

– Nie miałem odwagi, ale ciągle o tym myślałem.

Pochyla się i opiera brodę na moim ramieniu. Mruży oczy, żeby lepiej zobaczyć to, co daleko przed nami. Jego policzek dotyka mojego. Czuję jego ciepło, delikatny zapach.

– A więc to widać z twojej wysokości...

– Podnieś mnie, żebym zobaczyła, co widać z twojej.

Nie kazał się długo prosić.

Słońce rozpala horyzont ostatnimi promieniami. Z miejsca, w którym jesteśmy, można odnieść wrażenie, że całe miasto stoi w płomieniach. Słysząc krzyki ptaków. Ulice już lśnią. Stokrotki zamknęły się w oczekiwaniu na poranną rosę, która pozwoli rozkwitnąć im na nowo.

Dołączyli do nas rodzice Léi i moi. Christophe obszedł całą polanę i uściskał każdemu z nas dłoń. Élodie wymieniła pocałunki z tymi osobami, które znała. Mama stanęła przy zaimprovizowanym bufecie i rozmawia z Marie, Vanessą i Manon.

Tato podszedł do mnie, do stoiska z napojami.

– Powracają stare wspomnienia – mówi.

– Też tutaj biwakowałeś?

– Ja nie. Pamiętam za to, że ty i spora część twojej grupy to robiliście.

– Przecież ciebie wtedy tutaj nie było...

Odwraca się i wskazuje na tonący w ciemnościach las.

– Ukrywałem się gdzieś w tym sektorze, z Pierre'em, moim dawnym kolegą.

– Szpiegowaliście nas?

– Czuwaliśmy nad wami. Chyba nie sądzisz, że mielibyśmy porzucić was samych na tym odludziu, kiedy nie mieliście jeszcze nawet dziewięciu lat?

Bawi mnie myśl o tych aniołach stróżach.

– Widziałeś, jak chłopcy straszili nas gałęziami i latarkami?

– I tego, który wszystko pochłapał ketchupem... Mam wrażenie, że to było wczoraj.

Tato przytula mnie i całuje w czoło.

Christophe i Élodie dają nam znaki: Léa chce ze mną rozmawiać...

– I co, moja droga? Udany wieczór?

Léa spogląda na mnie. Jej oczy lśnią. Zapewne ze zmęczenia, ale wolę wierzyć, że ze szczęścia. Siadam obok niej.

– Jak się czujesz? Wyglądasz na doładowaną, aż przyjemnie na ciebie patrzeć.

– Korzystam z chwili. Wiesz, Camille, może się to wydać dziwne w moim stanie, ale nigdy nie byłam aż tak szczęśliwa. Musiałam wiele przejść, żeby przeżyć te momenty. Chyba było warto. Jesteście tu wszyscy, na wszystkie możliwe sposoby, kocham każdego z was całym sercem.

Mija nas biegiem Tibor, ścigany przez Antoine'a i Quentina, którzy chcą zmusić go do skosztowania jednej ze swoich cudownych potraw. Léa patrzy na niego wzrokiem, jakiego nigdy jeszcze u niej nie widziałam. Uśmiecha się.

– Miły jest, nie uważasz?

– Owszem. Ma również ładne pośladki. Wszystkie pielęgniarki będą mogły ci to potwierdzić.

Léa wybucha śmiechem.

– Gdyby coś mi się stało, musisz o niego zadbać...

– Bo jest „taki wrażliwy”, wiem!
– Mówię poważnie.
– Nie martw się! Przeżyjecie jeszcze wiele chwil we dwoje i to on będzie nad tobą czuwał. Jej wzrok gubi się wśród krajobrazu.
– Powinniśmy byli zaprosić pana Rossiego.
– Rzeczywiście, jest sympatyczny.
– Więcej niż sympatyczny. To wyjątkowy człowiek. Jakiś czas temu odwiedził mnie w szpitalu. Chciał porozmawiać. Myślałam, że będziemy dyskutować o mojej nauce i powtarzaniu klasy, ale nie. Mam wrażenie, że miał ochotę – jak by to ująć? – zwierzyć się. To nie jest właściwe słowo, ale tylko ono przychodzi mi spontanicznie na myśl.

– Zwierzyć się?
– Wiedziałaś, że miał syna, który zmarł, kiedy był w naszym wieku? Moje zaskoczenie jest aż nazbyt wyraźną odpowiedzią.
– Nigdy ci o tym nie wspominał?
– Nie. Raz tylko dał do zrozumienia, że jest żonaty.
– Już nie jest. Jego związek nie przetrwał utraty chłopca. Wyobrażasz to sobie? Teraz lepiej rozumiem, dlaczego zawsze dawał nam z siebie wszystko.

Wiele wypowiedzi pana Rossiego nabiera nagle dla mnie nowego znaczenia.

Léa splata delikatnie dłonie i wsuwa swoje palce pod moje. Gdybym miała zamknięte oczy, pomyślałabym, że to małe dziecko chwyta mnie za rękę.

– Tobie i Axelowi dobrze się układa?
– To sam początek, ale tak, układa się dobrze.
– On jest stworzony dla ciebie, a ty dla niego. Wyobrażam sobie, że spędzicie resztę życia razem. Wcale nie przypominacie par całujących się z powodu buzujących hormonów.
– Tak sądzisz?

– Powinnaś wreszcie nauczyć się sobie ufać, Camille. Zawsze się wahałaś. Zawsze patrzyłaś na mnie jak na wzór, nie zdając sobie sprawy, że często to ja ciebie naśladowałam. Znamy się od dawna. Razem odkrywałyśmy świat.

– I jeszcze nie skończyłyśmy!

Podchodzi do nas zdyszany Tibor – z powodu późnej pory niektórzy będą wkrótce wracać do domów. Moja mama zaoferowała, że rozwiezie ich samochodem. Wszyscy podchodzą, żeby pożegnać się z Léą. Każdy obiecał, że odwiedzi ją w szpitalu w najbliższych dniach. Wszyscy są przepełnieni energią tego nieco szalonego wieczoru. Patrzę, jak Léa całuje każdą z osób. „Najbliższe dni” – banalne wyrażenie, jeśli jest się przekonany, że przyszłość istnieje. Cóż za straszna koncepcja, kiedy każda godzina jest odroczeniem.

Zostaje nas tylko siedmioro i rodzice, którzy rozsiedli się nieco dalej wokół ogniska i dorzucają do niego regularnie suche gałęzie. Płomienie rozświetlają nasze twarze łagodnym blaskiem. Skąpani w tym świetle wszyscy wyglądają zdrowo, nawet Léa. Nie opowiadamy już sobie strasznych historii. Rozmawiamy o maturze, o egzaminie na prawo jazdy, o nadchodzącym lecie i tym, co czeka nas w przyszłym roku. Léa więcej słucha, niż mówi. Siedzę przed Axelem, opieram się o jego klatkę piersiową, czuję wokół siebie jego ramiona. Tibor jest obok Léi i niezdarnie głaszcze ją po ramieniu. Chyba zachowuje się wobec niej tak jak wobec swoich psów. Julien siedzi na naszej ławce i nie spuszcza wzroku z siostry. Louis

i Antoine usadowili się nieco dalej, na krawędzi wzniesienia, mając za sobą uśpione miasto. Przekonują Léo, że uda mu się przedostać nad nami, wykorzystując gałąź jak tyczkę do skoku wzwyż.

– Dalej! Spróbuj! – woła Antoine. – Jeśli rezygnujesz raz, rezygnujesz z całego życia.

Zwariowali, ale Léa śmieje się z ich wygłupów. W wyniku całej kombinacji licytowania się i przekonywania, do jakiej tylko faceci są zdolni, Léo ostatecznie decyduje się skoczyć. Oczywiście następuje to, czego się spodziewaliśmy i na co liczyliśmy – gałąź pęka z głośnym suchym trzaskiem i nasz szpieg spada z łomotem na ziemię. Po pozbawionym jakiegokolwiek godności lądowaniu turla się, krzycząc z bólu.

Mój tato nawet nie drgnie. Wiem, co myśli, jak przystało na dobrego ratownika: „Kiedy dziecko upada na ziemię i płacze, nic złego się nie dzieje. Dopiero kiedy nie płacze, sprawa jest poważna”.

Wszyscy pokładamy się ze śmiechu, zgięci w pół, ze łzami w oczach.

Léa nawet się nie uśmiechnęła. Kiedy Léo runął z przestworzy, ona odpłynęła. Na dobre.

Kiedy się ogląda tyle amerykańskich filmów, człowiek zyskuje w końcu przeświadczenie, że pogrzeby ukochanych osób odbywają się na pięknych cmentarzach o nieskazitelnych płytach nagrobnych, które stoją rzędem na soczyście zielonych trawnikach, w cieniu wiekowych drzew. Przed oczami mamy ciąg czarnych limuzyn sunących powoli alejami, a nawet oddział przystojnych umundurowanych wojskowych oddających salwy honorowe ku niebu. Ptaki zrywają się do lotu. Najlepiej białe gołębie. Dla dopełnienia idealnej scenerii pogoda albo jest cudowna, albo pada ulewny deszcz. W prawdziwym życiu jednak tak to nie wygląda.

Léa nie żyje. Wbrew jej życzeniu rodzice nie poddali jej kremacji. Nie mieli siły usunąć materialnego śladu dziecka, które właśnie stracili. Rozumiem ich. Cóż może być bardziej bolesnego niż utrata tych, którym daje się wszystko i którzy powinni was przeżyć?

Cmentarz jest mały, poprzecinany siatką żwirowych alejek, które zlewają się z szarością grobowców wszelkich możliwych rozmiarów i kształtów. Pogoda jest niepewna, ale ceremonia mimo wszystko wypada przepięknie. Przyszło mnóstwo osób i każdy skrawek ziemi jest zajęty, nawet między grobami. Pojawiło się wiele osób z liceum, niemal wszyscy z klasy, a także nasi nauczyciele: pan Rossi, pani Serben, pani Gerfion, pan Taribaud – po raz pierwszy widzę go ubranego w coś innego niż w dres – pani Holm z mężem, pan Tonnerieux, a nawet jedna z pań ze stołówki. Profesor Nguyen jest również obecny, stoi wśród nieznanymi mi osobami zebranych tutaj, żeby wspominać Léę albo wspierać jej bliskich. Wokół grobu, przy którym stoi trumna z ciemnego drewna, tłum jest jeszcze gęstszy.

Ciocia Margot przyszła z nami. Kiedyś słyszałam, jak tłumaczyła, że życie sprowadza się do „przechodzenia z jednej dziury do drugiej, często czołgając się między nimi”. Między tymi etapami musi jednak wydarzać się coś bardzo ważnego, z jakiego bowiem powodu – w przeciwnym razie – byłaby aż tak wzruszona?

Rozglądam się wokół z wyjątkową intensywnością, ale nic nie czuję. Zauważam najdrobniejsze ruchy, każdy szczegół. Dodający otuchy gest po prawej, kosmyk włosów poderwany podmuchem wiatru, czerwieńszy niż inne kwiat w oceanie bukietów i wieńców otaczających trumnę. Widzę wszystko, niczego nie odczuwam. Jestem w stanie nieważkości, mocno związana z tym, co się dzieje, tyle że z dystansu. Mój umysł przepędza wszelkie myśli, którymi zazwyczaj tak lubi żonglować. Dziś nie ma o tym mowy. Nie mam wątpliwości. Nie chcę. Mogę je znosić tylko wtedy, kiedy nie dotyczą tak bliskich mi spraw. O tyle łatwiej jest rozważyć życie, kiedy nie jest się z nim bezpośrednio skonfrontowanym. Żadna z zasad, w które wierzę, nie zdoła utorować sobie drogi ku mojemu spustoszonemu sercu. Po raz pierwszy tracę kogoś, z kim miałam nadzieję się zestarzeć. Léi będzie mi brakować – często, codziennie, aż do końca życia.

Kiedy przyszłam, Julien pocałował mnie i powiedział: „Oboje straciliśmy siostrę”. Nie rozplakałam się. Być może dlatego, że zbyt często robiłam to w ciągu ostatnich dni, być może dlatego, że smutek zajął już każde z włókien mojego ciała i wiem, że będę musiała nauczyć się z nim żyć. W każdym razie dziś nie potrafię okazać jakiegokolwiek emocji. Zamknięte z powodu

remontu.

Axel stoi tuż za mną. Cała nasza grupa wysunęła się do pierwszego rzędu, otaczając rodzinę. Wielu spośród nas trzyma się za ręce. Tym razem nikt nie może zapomnieć, dlaczego tu jesteśmy. Lucas nie marudzi, że drapie go koszula i krawat. Tibor przyszedł ze swoim border collie, któremu założył muszkę. Nawet pies zachowuje się spokojnie. Podobnie jak ja rozgląda się wkoło.

Nie było pompatycznych przemówień, żadnej czczej gadaniny, żadnej obietnicy iluzorycznego raj. Widziałam, że Élodie płakała, kiedy pojawiła się trumna. Pan Rossi również.

Marzyłam, żeby któregoś dnia wszyscy tutaj obecni zebrali się w innych okolicznościach i usłyszeli, jak moja przyjaciółka śpiewa. Dziesiątki razy wyobrażałam sobie ten idealny koncert, podczas którego zostałby doceniony jej talent. Ona promieniejąca w świetle reflektorów, ja zaś za kulisami, koordynująca jej triumf. Zakończyłaby koncert piosenką *You're Nobody...*, a kilku najbardziej znanych na świecie piosenkarzy dołączyłoby do niej na czas tego historycznego finału. Pragnęłam tego bardzo mocno i czasami wydaje mi się, że już to przeżyłam. To się jednak nie wydarzy. To już niemożliwe. „Niemożliwe” – cóż za paskudne słowo. Mimo to przeżyliśmy chwilę jeszcze intensywniejszą, niż mogłam to sobie wyobrazić: minutę ciszy.

Wokół skrzyni, w której jest uwięziona moja przyjaciółka, zapanowało milczenie. Wtedy właśnie wydarzyło się coś paradoksalnego i cudownego: ten tłum, tak liczny, emanujący energią, wyciszył się do tego stopnia, że było słycać jedynie lekki szmer wiatru. Film w zwolnionym tempie z wyłączonym głosem.

Kiedy grabarze spuścili trumnę, Marie, Pauline i Vanessa rozplakały się pierwsze. Wiele osób poszło w ich ślady. Léo chyba także, chociaż próbował ukryć łzy za ciemnymi okularami.

Rozjaśnia się. Niesamowite, jak dalece słońce może wydawać się nie na miejscu, kiedy jest się zdruzgotanym rozpaczą.

W chwili gdy trumna dotyka dna grobu, jakiś mężczyzna zabiera głos, ale nikt go nie słucha. Każdy jest pogrążony we wspomnieniach, które dzieli z Léą. Lucas ma rację: odchodząc, zabrała również część nas. Ale dużo nam również zostawiła.

Pod koniec ceremonii tłum nieco się przersedza. Wiele osób podchodzi złożyć kondolencje rodzinie. Teraz odchodzą. Życie toczy się dalej. Jakie wspomnienie zachowam z tego dnia, kiedy będę miała osiemdziesiąt lat?

Nie wiedziałam, że grabarze czekają, aż odejdziemy, żeby zamknąć grób. Jestem zaskoczona, że mielibyśmy opuścić to miejsce, pozostawiając Léę samą i grób otwarty na podmuchy wichru.

Mała dziewczynka trzyma mamę za rękę. „Jestem głodna!” – woła.

Podchodzę do mojej mamy i chociaż nie jestem już małą dziewczynką, wsuwam swoją dłoń w jej rękę.

– „Żyjemy, umieramy, ludzie płaczą, później jednak się zastanawiają, co by tu zjeść”.

Mama patrzy na mnie zaskoczona.

– Skąd znasz ten cytat?

– Słyszałam, jak mówiłaś o tym z tatą. Wy również w młodości straciliście przyjaciela rówieśnika.

- Tak.
- Historia się powtarza.
- Historia zawsze się powtarza, Camille. Wszyscy mamy to samo życie. Tylko to, co postanowisz widzieć albo ignorować, czyni je wyjątkowym.
- Ten stary człowiek, który nauczył cię tych słów, nie powiedział, skąd pochodzą?
- Nie, ale szukałam. Potrzebowałam na to ponad piętnastu lat i bez Internetu zapewne nigdy by mi się to nie udało. To cytat z książki Jacka Higginsa, ze zwykłej powieści przygodowej.
- Zaslugałyby jednak na to, żeby wypowiedział je ktoś genialny.
- Wzruszenie może mieć swoje źródło we wszystkim. Geniusz nie jest potrzebny. Na tym właśnie polega magia życia.

Alejki cmentarza opustoszały. Zostałam ostatnia przy otwartym grobie, blisko Léi. Axel jest ze mną. Élodie i Christophe postanowili zgromadzić bliskich u siebie w domu na poczęstunek w formie bufetu. Byli tak uprzejmi, że zaprosili całą naszą grupę, a nawet pana Rossiego, który idzie właśnie sam jedną z równoległych alejek. Zostawiam na chwilę Axela i dołączam do niego.

- Przyjdzie pan na obiad, prawda?
 - Nie chciałbym przeszkadzać.
 - Pana miejsce jest wśród nas.
 - To miłe.
 - Léa opowiedziała mi o tym, co pana spotkało... – ośmielam się wyznać.
- Zatrzymuje się.
- Mówiła ci?
 - Tak, powiedziała mi o pana synu. Bardzo mi przykro.
- Pan Rossi wskazuje jedną z alejek odbiegającą w prawo.
- Thomas leży tam. Wszyscy wołali na niego Tom.
 - To się zdarzyło dawno?
 - Dwanaście lat temu. Myślę o nim codziennie, za każdym razem gdy widzę jedno z was. Żeby oszczędzić sobie tego bólu, lepiej by było, gdybym został mechanikiem.
 - To ku jego pamięci daje pan z siebie tyle uczniom. Widzi pan w nas swojego syna?
 - Nie, Camille, robię między wami różnicę. Jego nieobecność sprawiła jednak, że doceniłem wartość życia i czasu. Mówiłem ci już, że to nie znajdowanie odpowiedzi jest najtrudniejsze, lecz życie, gdy już zna się odpowiedzi.
 - Nigdy nie myślał pan o odbudowaniu sobie nowego życia?
 - Nie ma nic do odbudowywania. Nie sposób niczego wymazać, trzeba po prostu próbować żyć dalej.
 - To, co się przydarzyło Léi, musiało bardzo pana zboleć.
 - Léa, ty i twoja wesoła grupa nie zrobiliście mi nic złego. Największym nieszczęściem, najgorszą z samotności, jest bycie nieprzydatnym. Wy zaś pozwoliliście mi przysłużyć się skromnie jedynej wartościowej rzeczy w tym życiu. Akshan Palany powiedziałaby, że na tym polegała moja misja. Pokonanie tych przeszkód razem z wami mnie ocaliło.

– Dokąd mnie zabieracie?

– Zobaczysz. Pospiesz się, jesteśmy umówieni!

Axel pedałuje jak szalony i z trudem za nim nadążam. Wyjechaliśmy na rowerach z centrum miasta. Od dawna tak nie jechałam. Jutro pewnie nie utrzymam się na nogach. Będzie musiał mnie nosić. Myśl o spędzeniu dnia w jego ramionach bardzo mi się podoba. Ta tortura może nie jest ostatecznie aż taką katastrofą.

Pogoda iście letnia. Minęliśmy już park górujący nad miastem i Axel ciągnie mnie w stronę drugiego zbocza wzgórza. Tak daleko zapuściłam się może raz czy dwa razy w całym moim życiu. Sunie drogami wijącymi się między zagajnikami i łąkami porośniętymi wysokimi trawami, wciąż wspinając się coraz wyżej.

– Axel, już nie mogę...

– Proszę, postaraj się jeszcze, jesteśmy już prawie na miejscu.

Nie chciał mi zdradzić celu naszej eskapady. Jestem równie zdecydowana go nie zawieść, co ciekawa, w co chce mnie wciągnąć. Daję z siebie wszystko i wreszcie docieramy na mały cypelek skierowany na północ. Stamtąd rozciąga się widok na przemysłową, ciągnącą się w nieskończoność część miasta, ale także na równinne resztki terenów uprawnych i sady, służące za alibi w kwestii „natury” naszej radzie miasta.

Nie hamując nawet, Axel zeskakuje z roweru. Ten ostatni kończy trasę wśród traw. Axel podbiega do mnie, zdejmuje z siodełka i przytula. Przeraza mnie i fascynuje. Ma ten sam uśmiech co podczas meczu rugby w błocie. Jakież on piękny... Co on knuje?

– Chodź, nie możemy się spóźnić!

Trzymając mnie za rękę, ciągnie mnie na skraj skarpy.

– Tutaj będzie idealnie.

– Co ty wyprawiasz?

Z plecaka wyciąga zapakowany w ozdobny papier przedmiot i oznajmia:

– To ani twoje imieniny, ani urodziny, jesteśmy jednak razem chyba od pół roku, ten prezent chciałem zaś wręczyć tylko tobie. Otwórz szybko.

Niech żyje romantyzm! Przy tym tempie za sześć minut będziemy zaręczeni, za dziesięć minut – po ślubie, a tuż potem zajdę w ciążę. Za godzinę nasze dzieci rozpoczną rok szkolny. Życie jest cudowne.

Nigdy nie widziałam go tak podekscytowanego. Co jest w paczce? Jest za duża na pierścioneł, za mała na kapelusze, który ostatnio razem oglądaliśmy.

Rozpakowuję... lornetkę. Nie jest nawet nowa.

„Zacukana” to słowo, które zapewne najlepiej mnie opisuje.

– Bardzo ci dziękuję, Axel. To bardzo miło z twojej strony... To pamiątka? Spadek?

– Popatrz tam, przy sadach.

– Przejechaliśmy piętnaście kilometrów, żeby zobaczyć sady przez lornetkę?

– Właśnie. Szybko!

Przykładałam lornetkę do oczu. Myślę sobie, że być może posmarował wizjery pastą do butów i będę zaraz wyglądała jak panda. Wiem, że czasami trzeba mężczyznom pozwolić się zabawić. Do tego samego wniosku doszłam wczoraj wieczorem, kiedy Lucas zaklinał się w kratce ściekowej przed naszym domem, ponieważ założył się z kolegą, że wciśnie się tam cały. Nawet Kłaczek przyglądał mu się z niedowierzaniem, a przecież on także jest samcem.

Reguluję ostrość, dostrzegam drzewa owocowe. Wszystkie te liście, gałęzie... Po prostu pasjonujące.

– Co powinnam zobaczyć?

– Niebieski samochód.

Przeczesuję teren wzrokiem.

– Widzę go. Brawo, jest wspaniały.

Odkładam lornetkę i żartuję:

– Dziękuję, Axel. Jestem wzruszona, że mogłam dzielić z tobą tę chwilę. Przysięgam, nigdy jej nie zapomnę. Ten samochód, te drzewa... Przejmujący widok. Warto było niemal połamać sobie nogi, pedałując jak uciekinier przed bombardowaniem, żeby to zobaczyć.

– Nie przestawaj patrzeć!

Stosuję się do polecenia.

– Co widzisz? – pyta Axel.

– Zielone drzewa. Niebieski samochód. Przepiękne. Zaraz się rozplączę. Jest także rowerzysta jadący drogą.

Axel dosłownie podskoczył, kiedy wspomniałam o rowerzyście. Zaczynam przyglądać mu się dokładniej.

– Dziwne, ten gość na rowerze przypomina Léo.

– Nie spuszcza wzroku z samochodu. Patrz na samochód.

Nagle doznaję olśnienia.

– Znam ten samochód! Należy do nazisty, który mieszka na twoim osiedlu. Ten, za który musiałeś płacić, prawda?

– Nie spuszcza z niego oczu!

– Co on tu robi? A Léo, po co tutaj przyjechał?

Podskoczyłam w chwili eksplozji. Lornetka nie była potrzebna, żeby ją zobaczyć, biorąc pod uwagę siłę wybuchu. Tył samochodu aż oderwał się od podłoża wśród snopa płomieni. Pojazd opadł na koła, ale wszystkie szyby i tylne drzwi zostały zdmuchnięte. Ogień gwałtownie dewastuje wnętrze, a gęsta kolumna czarnego dymu wznosi się ku niebieskiemu niebu.

– Axel, czy to wy wysadziliście samochód w powietrze?

– Fajnie, co? Nie uważasz? Głupio mu będzie wracać na piechotę.

– Jesteście nienormalni!

Axel nawet nie zdaje sobie sprawy z mojej wściekłości. Nie mogę uwierzyć. Spoglądam przez lornetkę, żeby sprawdzić, czy nie śnię. Samochód przypomina olbrzymie ognisko, dostrzegam także teraz jakąś postać miotającą się w bezpiecznej odległości od miejsca katastrofy. Ktoś podnosi ramiona ku niebu, drepcze w miejscu, skacze, usiłuje okrążyć pojazd, zasłaniając twarz przed promieniującym żarem. Jakbym oglądała starą niemą komedię.

Axel się cieszy. Stoi prosto i zwraca się do wysokich traw, jak gdyby przemawiał do tłumu

zebranego u stóp wzniesienia.

– Dedykuję to zwycięstwo młodym Czarnym dręczonym przez starych dupków, a także Panu Bobrowi!

Stało się – mojemu facetowi odbiło. Znalazłam sobie jednego, który wydawał się porządny, ale dziś uświadamiam sobie, że ma coś nie tak z głową. Moje życie jest już przegrane. Równie dobrze mogłabym poślubić Zoltana.

Axel zauważa wreszcie, że mam go za wariata. Próbuje się usprawiedliwiać:

– Odkryliśmy, że ten drań szantażuje rodzinę z sąsiedniego budynku, ponieważ udzielała schronienia nielegalnym imigrantom. Na dodatek przyjeżdża tutaj, żeby wykraść owoce, które sprzedaje sąsiadce, twierdząc, że je dla niej kupuje. Prawdziwa kanalia.

– Co jednak, gdyby on akurat siedział w tym samochodzie? Pomyślałeś o tym?

– Dlatego właśnie przejechał tamtędy Léo. Zero ryzyka. Wszystko pod kontrolą.

– Uważasz, że to było rozsądne?

Axel unosi brew i odpowiada z rozbawioną miną:

– Ty mnie pytasz, czy to rozsądne? Ty?

Co on może wiedzieć o mnie, o czym nie chciałabym, żeby się dowiedział? Moje pamięciowe skanery działają na pełnych obrotach. Czy widział, jak przed naszą pierwszą wspólną kolacją wciskam sobie cytrynę do oczu, żeby lśniły? Wyglądałam wtedy jak chomik z myksomatozą. A może zauważył, jak utknęłam w szpilkach w kratce wentylacyjnej, którą ci złośliwcy z kina umieścili przy wejściu na salę? O mój Boże! Mam nadzieję, że nie widział, jak łatam dziurę w rajstopach taśmą klejącą, podkasawszy spódnicę aż po zęby!

Muszę być dzielna i stawić czoło przeznaczeniu: udam, że niczego nie rozumiem.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Podtrzymuję swoje zdanie, że wysadzenie samochodu w powietrze nie jest zbyt mądre. Nie żyjemy w grze komputerowej!

– A pisanie kartki pocztowej, takiej jak ta, którą wysłałaś wczoraj, jest mądre?

Cholera, widział mnie! Jak mu się to udało? Musi dysponować nadprzyrodzonymi mocami. Superuwodzicielka będzie zadowolona. Nie będę jej jednak ułatwiać zadania.

– Jaka znowu pocztówka?

– Dobrze wiesz. Początkowo sądziłem, że chcesz mi wysłać liścik miłosny, aż się wzruszyłem, a kiedy zobaczyłem, jak piszesz: „Hau, hau, łaf, łaf, hau, hau” na całej stronie, uznałem, że chodzi o szyfr zainspirowany psami Tibora. Ale ty się nawet nie podpisałaś! I wysłałaś ją! A teraz mnie wyzywasz od stukniętych!

Śmieje się półgębkiem. Podstawa to nie stracić twarzy.

– Gdybyś mnie śledził do samego końca, wredny zdrajco, zobaczyłbyś adres – zaułek Augusta Renoira numer trzystaście – i nawet twój żalostny chłopięcy umysł by zrozumiał.

Axel zamiera.

– Niemożliwe! Nie mów, że wysłałaś kartkę psu panny Mauretta?

– Wyobraź sobie, że właśnie tak. Na skrzynce widnieje jego imię, ale jestem przekonana, że nigdy nie otrzymuje żadnej korespondencji.

Axel wybucha śmiechem. Pogoda jest piękna, samochód wciąż płonie, drań podskakuje coraz wyżej przed wrakiem tego, co zostało z jego niezasłużonej własności, Axel zaś przyciąga mnie do siebie. I nagle wszystko się zmienia.

Pięć dni później zdawaliśmy maturę. Bardzo brakowało mi Léi. Przygotowywałyśmy się wspólnie do tego egzaminu od dawna. Myślałam o niej cały czas. Dwukrotnie nawet poszłam ją odwiedzić. Alejka szesnasta, parcela dwudziesta ósma. To jej nowy adres, ale wiem, że wysyłanie kartki pocztowej nie jest potrzebne. Wciąż mam w telefonie wszystkie jej esemesy, a jej numer znajduje się na liście ulubionych. Wieczorem jednak, kiedy jestem sama w pokoju i przemawiam do niej, ona nie odpowiada. Pan Rossi ma rację: wiedza jest znacznie trudniejsza do zniesienia niż pytania.

Bez Axela nie dałabym rady. Całą naszą grupę utrata Léi bardzo dotknęła, ale także scementowała naszą przyjaźń. Przystąpiliśmy do egzaminów, wspierając się nawzajem. Trudno to powiedzieć, ale smutek sprawił, że przestaliśmy się bać. Doświadczyliśmy zbyt wielu rzeczy – pięknych i strasznych – żeby teraz wpadać w panikę. Tragedia nauczyła nas relatywizować. Nie ma na to odpowiedniego wieku. Potrzebne są tylko stosowne okoliczności.

W dniu ogłoszenia wyników tylko ja i Tibor pomyśleliśmy o wysłaniu wiadomości do Léi. Wymieniliśmy porozumiewawcze spojrzenie, którego nigdy nie zapomnę. We dwoje stawiliśmy czoło uczuciu, które nas wtedy ogarnęło. Często się widujemy. On zdobył dwadzieścia punktów na dwadzieścia możliwych z matematyki i gratulacje od komisji. Wszyscy zdaliśmy, nawet Inès – która zresztą otrzymała wyróżnienie. A zatem wszystko jest możliwe.

Organizujemy przyjęcie. Zadawaliśmy sobie to samo pytanie, które stawiali moi rodzice. Nie znając ich historii, Axel oświadczył: „Urządzając tę imprezę, nie zdradzamy Léi. Ona by tego chciała. Życie musi oprzeć się śmierci”. Mogę się wam przyznać, że dziwnie się poczułam, słysząc te słowa. Dostrzegam w tym znak. Moja mama usłyszała, jak mężczyzna jej życia wypowiada niemal te same słowa, a dziś wciąż są razem. Trzymam kciuki.

Postanowiliśmy przyjść na imprezę w przebraniach. Inès nie chciała nam uwierzyć. W ramach zemsty Méliissa przekonała Antoine’a, z którym chodzi, że tematem zabawy są mundurowi. Przekonała go do przebrania się za „sexy-disco gliniarza w lśniącem wdzianku” i podała mu adres komisariatu zamiast sali zabaw.

Tym razem chyba zatańczę. Léa mnie do tego namówiła. Skoro mam to szczęście, że żyję, spróbuję być tego godna. Czeka ją na mnie. Muszę was pożegnać. „Niech życie będzie dla was łaskawe i niech miłość wypełni wasze dni”. To słowa tak zwanej Geneviève Flobelu. Nie jest ona jednak potrzebna, żeby wyrazić uczucia tym, których kochamy. Na dodatek z takim nazwiskiem może łatwo trafić do raju pralek.

KONIEC

A na zakończenie...

Dziękuję, że dotarliście wraz ze mną aż do tych stron. Jeśli macie ochotę, chętnie podzielę się z wami kilkoma strzępkami tej niewiele znaczącej istoty, jaką jestem. Zwierzenie się wam z mojej skromnej osobistej historii ma za cel dać wam – mam taką szczerą nadzieję – siłę i chęć, żebyście własne życie przeżyli lepiej.

Życie dało mi wiele lekcji, z czego pierwszą bardzo wcześnie. Miałem zaledwie trzy godziny – leżałem nagi, owinięty w prześcieradło, a pierwsza nauka mogłaby sprowadzić się do tego zdania: „Możesz zostać porzucony”. Zostałem porzucony przed wejściem do kaplicy przy rue d’Assas w Paryżu. Jęki skrzypiec i litość są zupełnie niepotrzebne, to bowiem, co może sprawiać wrażenie łzawego dramatu w dziewiętnastowiecznej scenerii, dziś jawi mi się jako pierwsza ofiarowana mi wielka szansa. Sześć miesięcy później ci, którzy dali mi wszystko, nie znając mnie – moi jedyni prawdziwi rodzice – przyjęli mnie u siebie, a oprócz schronienia udzielili mi drugiej lekcji, którą można sprowadzić do tego: „Nieznajomi mogą uratować ci tyłek”.

Od tamtej pory, ukształtowany przez te dwie podstawowe lekcje, obserwuję ludzi i mam nadzieję – jak chyba każdy z nas – że zostałem wybrany do tego, żeby nie być sam. W szkole po raz pierwszy musimy wybierać i jesteśmy wybierani. W ciągu tych ważnych lat doświadczamy pierwszych prawdziwych paktów i autentycznych zdrad. W pełni pojąłem wartość pojednania i, w świetle dwóch pierwszych lekcji, jakie dało mi życie, zacząłem w pełni korzystać ze wszystkiego – ze szczególnym upodobaniem do szczęścia i lojalności. Okres ten trwa do dziś.

Powracają mi dwa wspomnienia. Pierwsze przenosi mnie w pewien wczesny mglisty listopadowy poranek na boisko w Taverny, gdzie moja klasa i dwie inne stały się na lekcję wychowania fizycznego. Nauczyciel poprosił dwóch najlepszych uczniów o skompletowanie drużyn do gry w piłkę. Atleci wybierali na zmianę, rzucając się na najbardziej wartościowych graczy. Nie muszę wam chyba mówić, że zostałem sprzedany w ramach promocji! Biegałem szybko, ale było wiadomo, że lepiej wychodzi mi płatanie głupich żartów niż dryblowanie z kulą wyprodukowaną w całości z krowiej skóry – zwaną piłką – i trafianie nią za wszelką cenę do „klatki” ze sznurka, do której dostępu strzeże zazdrośnie wasz kumpel, zachowujący się nagle jak pies na łańcuchu. Kiedy graczom udaje się umieścić „kulę” w „klatce”, wpadają w szał, krzyczą, rzucają się na siebie nawzajem i zapominają o prawdziwych problemach. Zazdrość im tej bez troski.

Pod koniec tworzenia drużyn zostało nas już tylko trzech do „adopcji”. Zamiast smucić się tym stanem rzeczy, który logicznie plasował mnie na końcu wszelkich zestawień, obserwowałem zaniepokojone spojrzenia moich dwóch kolegów, dotąd również jeszcze niewybranych. Widziałem ich rozpacz i zwątpienie w sobie. Kiedy Benoît, nasz osiłek, wybrał mnie, wiedziałem, że robi to przede wszystkim ze względu na naszą przyjaźń, i dałem mu dyskretnie znak, żeby zamiast mnie wziął do drużyny Vincenta, który wyraźnie cierpiał. Chyba zależało mu na tym, żeby nie być wybranym w ostatniej kolejności. W rezultacie

zostałem sam, wystawiony na spojrzenia dziewcząt, które lubiły mnie, ale nie podziwiały. Znacznie później uczymy się rozróżniać te dwie rzeczy, dziś zaś wiem, o ile lepiej jest być kochanym niż podziwianym.

Podczas meczu strzeliłem gola, ponieważ nikt nie obawiał się rezerwowego. Nawet ja byłem zaskoczony. Możecie sobie wyobrazić, jak dalece mój plan gry był tajny! W związku z tym do następnej gry zostałem wybrany na początku, ale już w pierwszych minutach meczu, ożywiony moją nagłą sportową wiarygodnością, kopnąłem w kulę z krowiej skóry tak mocno, że wylądowała w ogrodzie dyrektora. Zawstydzony, odprowadzony spojrzeniami zebranych, chciałem ją odzyskać, przeskakując z gracją przez ogrodzenie. Runąłem na ziemię niczym pajac, któremu obcięto sznurki, i złamałem sobie rękę. Przysięgam, że to prawda. Spędziłem wiele lat, usiłując doszukać się sensu w tym bajzlu.

Drugie wydarzenie, którym chciałbym się z wami podzielić, nastąpiło w drugiej klasie liceum o profilu naukowym. Zdaniem nauczycieli byliśmy klasą „wesołą, lecz niezbyt odważną”. Mieli rację co do obu cech. Rok szkolny zaczął się już dawno i tworzyliśmy dość zgraną paczkę. Pewnego ranka z zaskoczeniem zobaczyłem jedną z najmilszych dziewcząt w klasie, jak złości się z powodu niesprawiedliwości, która jej wcale nie dotyczyła. Zazwyczaj widzieliśmy ją roześmianą, łagodną, tymczasem jakaś oburzająca sprawa dotycząca jej przyjaciółki sprawiła, że wyszła z siebie. Była gotowa stawić czoło całemu światu. Zafascynowały mnie jej energia, prawość, idealizm i siła. Dobrze się zawsze rozumieliśmy, ale od tamtej pory zacząłem na nią patrzeć inaczej. Często siadywaliśmy razem w ławce. Zdarzało mi się od niej ściągać (nieważne, sprawa już się przedawniła!). Co gorsza, opierając się na jej wiedzy, udawało mi się otrzymywać lepsze niż ona oceny (co bardzo ją wkurzało!). Jeśli wam powiem, że mi z tego powodu wstyd, nie uwierzycie, i słusznie. Te zbrodnie nigdy się nie przedawniają. Zaprzyjaźniliśmy się, ja jednak szybko zacząłem liczyć na coś więcej. Ona była inna, nie dbała o przyjęte kody. Zdała maturę. Nadal byliśmy sobie bliscy. Było miło, ale to mnie nie interesowało, miałem ochotę dzielić z nią coś więcej. Z natury jestem dalekowzroczny, tyle tylko, że życie uparcie stara się krzyżować mi plany! Pascale odrzuciła moje oświadczenia przynajmniej dwukrotnie. Po raz pierwszy przed talerzem rozgotowanego przeze mnie makaronu, sześć miesięcy później w samochodzie podczas ulewy. Dwa upokorzenia, dwie czarne polewki, dwie traumy, że skończę życie z jakąś gęsią (samica). Mimo to wiedziałem, że jeśli pozwolę jej pokochać kogoś innego albo jeśli pozwolę jakiemuś innemu kretynowi zbliżyć się do niej, moje życie będzie gorsze. Nie zostawiłem jej więc wyboru. Podejmowałem prawdziwe ryzyko, ponieważ Pascale ma mocny charakter i kiedy się złości, z jej oczu wystrzelują pociski, na jakie nawet amerykańska armia nie może sobie pozwolić. Dedykuję to nędzne lichwiarskie zwycięstwo wszystkim moim braciom i siostram, którzy w siebie wątpią. Skoro udało mi się nie skończyć samotnie, każdemu – powtarzam wyraźnie: każdemu – jest dana szansa. Jesteśmy dziś małżeństwem z dwudziestopięcioletnim stażem i słusznie powtarzałem sobie, że ona jest moją szansą. W ciągu tych szczęśliwych lat Pascale wpoila mi dwie podstawowe zasady: nie można zakładać białych skarpetek do ciemnych spodni i miłość istnieje. O jednej z nich czasami zapominam.

Lata gimnazjalne i licealne, jak było zapewne również w waszym wypadku, okazały się dla mnie determinujące. Uczyszczamy do szkoły w poszukiwaniu wiedzy, opuszczamy ją bogatsi

w życie. Tam uświadomiłem sobie znaczenie wybierania i bycia wybranym albo nie. Z tych cudownych lat wyciągnąłem tylko dwie lekcje: „Nie próbuj być kimś innym, niż jesteś. I nie czekaj, aż ktoś zdecyduje za ciebie. Wyrażaj swoje zdanie, zawsze szczerze”. Wykorzystajcie te lekcje najszybciej jak to możliwe. Wyjdziecie na tym lepiej niż ja.

Miałem szczęście przeżyć te lata w towarzystwie prawdziwych przyjaciół, których udało mi się nie stracić lub których teraz odnajduję. Dużo się śmialiśmy, wiele odczuwaliśmy i dzieliliśmy. Zdarzało nam się jednak również uczyć! Nie mam łatwego charakteru, za to wiele idiotycznych pomysłów, wy zaś cierpliwie mnie znosiliście, podawaliście mi dłoń, od ławki w parku aż po tę szkolną. Gorące podziękowania niech raczą tu przyjąć: Patrick Basuyau, Christophe Bastian, Céline Escafre-Bellegarde, Sylvie Deschamp-Braut, Marc Devogel, Isabelle Desseroit, Sophie Cheron-Depuis, François Camus, David Guillemet, Bruno Laurent, Philippe Lavaud, Véronique Lavoisière-Klimczak, Marie Leclève, Bruno Mitton, Marc Monmirel, Philippe Ohanian, Nadine Pozzo-Caramelle, Benoît Schäfer, Carole Cerbelaud-Dubois, Christine Tchimakadze, Catherine Tchimakadze-Fontaine, Élodie Oberlis, Emmanuel Romeau, Sandrine Tallec i Sylvain Vincent. Szansą dla mnie było dorastanie razem z wami i nawet jeśli wszystkich nas pożera czas, serce rozgrzewa mi myśl, że idziemy dalej naprzód. Ucałujcie serdecznie wasze rodziny w moim imieniu.

Chcę także podziękować nauczycielom, którzy przekazali nam tyle wiedzy dzięki swojej osobowości i swoim lekcjom. Nie wiem, czy wykonujecie najpiękniejszy zawód świata, ale jestem przekonany, że na pewno jeden z najtrudniejszych. Szczególne pozdrowienia kieruję do pani Lesec, pana Carmony, pani Carmony i Jeana-Pierre’a Chrétiena, wyjątkowego nauczyciela matematyki, a dziś przyjaciela (jak widać, można zapanować nad pierwotnymi lękami!). Ci, którzy wykonują swoje profesje, tak jak wy, stanowią nieocenioną szansę na drodze nowych lokatorów tego świata.

Dziękuję Philippe’owi Duvalowi, dyrektorowi szkoły, że przyjął mnie po trzydziestu latach w swoim liceum – imienia Jacques’a Préverta w Taverny – gdzie nie zmieniły się tylko płytki podłogowe i rozterki uczniów. Po raz pierwszy spędziłem tyle czasu w gabinecie dyrektora i nic złego dla mnie z tego powodu nie wynikło! Ogromne podziękowania należą się Dominique Bourdin, mojej nauczycielce języka angielskiego, która trzydzieści lat później okazała się wspaniałym przewodnikiem po miejscu, w którym nauczala i z pasją odkrywała przed nami świat teatru.

Dziękuję ci, Samantha Clément, za opowieść o Inu i Alto, ale przede wszystkim za twoją wierność i wzruszającą energię.

Dziękuję ci, Marion Lehuraux, mój kanarku w głębi kopalni węgla. Jeśli wszystko wyleci w powietrze, to będzie twoja wina.

Podziękowania niech raczą przyjąć moi bliscy: Annie i Bernard Lecœur, Stéphane i Martine Busson, Sylvie Descombes (obok której siedziałem na matematyce z Jeanem-Pierre’em), Michèle Fontaine (sprzymierzeniec od czasów przedszkolnych), Brigitte Gaguèche (strzeż się mężczyzn z racicami...), Éric Grimois (ludzie chcą zobaczyć twoje zdjęcie, wiesz, to, które leczy radością... chyba w końcu ulegnę!), Cathy i Christophe Laglbauer, Hélène i Sam Lanjri, Philippe i Gaëlle Leprince, Soizic i Stéphane Motillon, Thomas (10,36 z matury, gdybyś widział swoją minę...) i Katia Thuilot.

Dziękuję ci, Chloé, moja pierwsza czytelniczko, nigdy nie ukrywaj serca. I tobie,

Guillaume, któremu zawdzięczam najszczerze spojrzenie. Nadal dzielcie się ze mną tym, co odkrywacie, a czego ja nigdy nie widziałem.

Tobie, Pascale, nieprzytomnie. Brawo za maturę. Jeszcze raz przepraszam, że dostałem siedemnaście punktów, ty zaś tylko trzynaście z klasówki, a przede wszystkim dziękuję, że oddawałaś mi swoją porcję mięsa w stołówce. Dziękuję również, że umożliwiłaś mi stanie się tym, kim nigdy nie byłbym bez ciebie.

Dziękuję mojej redaktorce, Céline Thoulouze. Pokonanie tej drogi z tobą było szansą. Dziękuję pracownikom Univers Poche za naszą wspólną piękną przygodę, szczególnie podziękowania niech przyjmą Marie-Christine Conchon, François Laurent, Thierry Diaz, Deborah Druba, Valérie Miguel-Kraak, Véronique Boyau-Ferrandez, Sabrina Ananna, Julie Buffaud, Bénédicte Gimenez, Céline Gonzalez, Marina Chiab, Estelle Revelant, Alexandra Wagnon, France Thibault i wszystkie pozostałe ekipy na stanowiskach.

Chcę również podziękować księgarzom za ich wsparcie, uwagi i zaufanie, szczególnie Gérardowi Collardowi i jego pracownikom, Valérie Caffier, Danièli Lanoë, Brigitte i Jeanowi-Claudowi Ternisienowi, a także Julienowi Tenatowi.

Jestem szczęśliwy, mogąc zakończyć tym, co najważniejsze. Wszyscy mamy zaszczyt pracować dla ciebie, czytelniku. Bez ciebie – zwłaszcza ja – nie mielibyśmy po co istnieć. Po publikacji *Czego się nie robi dla mężczyzny* wielu spośród was mówiło, że byliście przekonani, że książkę napisała kobieta. Po *Do usług szanownej pani* byliście łaskawi uznać, że fabułę mógł wymyślić jedynie stary mędrzec. Nie jestem żadną z tych osób. Mam nadzieję, że w końcu powiecie po prostu, że jestem mężczyzną jakich wielu, ale lubię się wam przyglądać, rozumieć i opowiadać o was. Wasze listy, słowa i spojrzenia są dla mnie najpiękniejszym powodem, żeby iść naprzód. Po raz kolejny moje życie, tak jak ta książka, znajduje się w waszych rękach – i dobrze mi z tym. Mam ogromne szczęście kochać tych, dla których piszę, a wiem, że nie jest to reguła w tym zawodzie. Kiedy was spotykam, mam osobliwe wrażenie, że was znam. Cynicy nie potrafią pojąć tej alchemii. Nie szkodzi. Wolę być nieszczęśliwy, jak ja, niż szczęśliwy, jak oni. Z wami świat jest bardziej ludzki i dlatego warto wstawać o trzeciej nad ranem!

Nie mogę się doczekać, kiedy znów się z wami spotkam.

Dbajcie o siebie!

Z gorącymi pozdrowieniami.

PS Powinniście posłuchać albo ponownie przesłuchać *You're Nobody till Somebody Loves You*.

Spis treści

1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22
23
24
25
26
27
28
29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

60

61

62

63

64

65

66

67

68

69

A na zakończenie...